DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom VIII.

LWÓW.

Nakład i druk E. Winiarza.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie VIII.

I. Żywoty Świętych, legendy i rozmaite historye święte:

stronica:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

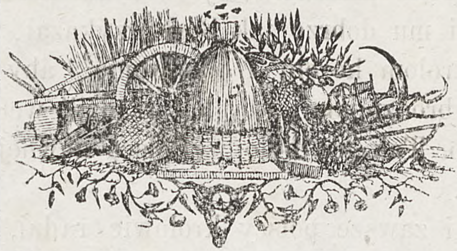
VII. Zdania, myśli, przysłowia i przypowieści:

Tom VIII. Nr. 1.

1. Stycznia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nowy rok w Krakowie

za królów polskich.

Kiedy pan Bóg łaskawy dał nam doczekać nowego roku, więc najpierw życzę ja wam moi mili wszystkiego dobrego, a dalej opowiem wam piękny zwyczaj dawnych królów polskich jak oni obchodzili święto nowego roku. Zda mi się, że na nowy rok najlepsza taka historya do czytania, więc dlatego ją spisałem

Zaś mieliście już nie raz pisanie o dawnych królach polskich, iż to byli panowie dziwnie zacni i dobrzy. Najbardziej godzi się pamiętać o nich, iż wszystkich ludzi biedniejszych kochali i dla nich łaskawi byli, więc mieszczan różnych i cały lud wiejski. Zaś każden król polski był taki dobry, i inszego nie wzięliby sobie Polacy na króla. Także mieli królowie polscy ten piękny obyczaj, iż z każdym człowiekiem po ludzku się rozmówili, a nawet największy chudzina i biedaczek mógł przyjść do króla polskiego i sprawę swoją opowiedzieć mu, zaś król wysłuchał go zawsze i uczynił mu sprawiedliwość. Otóż choć królowie polscy byli bardzo wielcy panowie, i bogaci

i możni i rodu wielkiego, przecieć nie gardzili żadnymi ludźmi nawet najuboższymi, i z każdym obchodzili się jak dobrzy ojcowie. Zaś byli to prawdziwi ojcowie dla narodu, opiekowali się nim i czynili mu dobrze jak Bóg przykazał, bo jużci na to daje pan Bóg królom korony i panowanie, aby byli dla narodów ojcami i dobrodziejami, aby lud rządzili według uczciwości i prawa dobrego. Tak też było w Polsce dawnej, i tak czynili polscy królowie.

Otóż bywali zawsze polscy królowie radzi, kiedy im wydarzyła się jaka sprawa z mieszczanami albo z ludem wiejskim. Zaś król Kazimierz Wielki jeździł nawet po wsiach na to, aby pogadać z ludźmi i wypytać się ich, czy czego nie potrzebują albo czy jakiej krzywdy nie mają. Dla tego kochał tych królów okrótnie cały naród, i przy każdej sposobności pokazywał im tę miłość i szacunek. Teraz opowiem wam, jak w Krakowie winszowano królom na nowy rok, i jak to starali się ludziska pokazać dobre serce swoim panom.

Wiecie moi mili, że Kraków przez bardzo długi czas był stolicą Polski, bo tam mieszkali królowie i główny swój dom mieli w Krakowie. Owoż jak nadchodził nowy rok, to w całem mieście był wielki ruch i wielkie przygotowania. Mieszczanie wybierali się w odwidziny do pałacu królewskiego, kobiety ich zabawiały się nagotowaniem świątecznych sukien i podarków dla królowej polskiej. Jużci było ztem nie mało turbacyi i frasunku, boć to nie żarty stanąć przed najjaśniejszą królową polską i każdy rad był pokazać się jakoś uczciwie, aby nie było wstydu i sromoty. Każdy człek ma swój honor, więc wedle tego każdy rad był pokazać królowej, że jest człek porządny jak się patrzy, a także iż umie poszanować osobę królewską; przeto każdy stroił się jak tylko mógł najpiękniej, i baczył dobrze, aby na czas wszystko przygotować.

Zaś na Nowy rok, zaraz po mszy świętej, szli wszyscy na zamek wawelski pięknie postrojeni, i w porządku należytym. Na samym przodzie szła rajczyni krakowska pięknie ubrana, zaś inne kobiety za nią, a dalej mieszczanie. W bramie zamku królewskiego czekał już na nich urzędnik królowej, który się zwał marszałek, ze służbą dworską i prowadził wszystkich do

wielkiej a pięknej sali, kędy była najjaśniejsza królowa polska. Ta pani siedziała na pięknym złotym tronie pod baldakinem, jaki nad xiężami noszą podczas procesyj.

Kiedy wszyscy weszli do sali, pokłonili się pięknie królowej, a ona ich witała z dobrocią i uśmiechała się mile. Zaś wnet przystąpiła do królowej rajczyni krakowska, i pokłoniwszy się, mówiła w taki sposób:

— Przychodzimy do najjaśniejszej pani z powinszowaniem nowego roku, i życzymy szczęśliwego panowania, a także wszystkiego dobrego i łaski pana Boga, aby nam najjaśniejszą panią długo jeszcze w dobrem zdrowiu i szczęściu zachował. Zaś na pokazanie naszej wierności i służby powolnej, prosimy, aby najjaśniejsza pani przyjęła łaskawie podarek mały. Małyć to wprawdzie i skromny, ale serce dobre, z jakiem przynosimy ten podarek.

Zaś po tej mowie oddawały mieszczki dary. Pewnie ciekawi jesteście moi mili, jakie to bogactwa okrótne były te dary? Otóż żadne bogactwa, ale jeno kura zwykła i kilka placków. Może się będziecie dziwić, dlaczego takiemi drobiazgami nachodzili królowę. Toć moiściewy nie chodziło tu o bogactwo, ale tylko o dobre serce i o chęć dobrą. Królowe polskie miały dość dużo bogactw różnych i majętności, a nie potrzebowały bogatych darów. Zaś potrzebywały one dobrego serca narodu i starały się o takowe, a kiedy im kto dał ono i pokazał swoją miłość i pamięć dobrą, to rade były więcej niżby im największe dał bogactwa. Toć i teraz cieszyła się królowa, i odebrawszy kurę z plackami mówiła do mieszczek:

— Dziękuję wam bardzo moi mili za wasze dary, a jeszcze więcej za wasze dobre życzenia. I daj Boże, aby wam się dobrze działo i aby wam pan Bóg nagrodził wasze dobre serce dla mnie.

Zaś potem kazała królowa podać kieliszek z winem i piła wino za zdrowie mieszczan krakowskich i całego ludu polskiego. A potem kieliszek ten podawała mieszczankom i wszyscy pili z niego za zdrowie królowej.

Tak to moiściewy obchodzono w Krakowie Nowy rok za polskich królów.

Chata pod śniegiem.

Z prawdziwego zdarzenia

Ubogim ludziom na pociechę napisał **Teofil Lenartowicz.**

Kto z Bogiem
To i Bóg z nim.

Byłoto w górach gdzie śniegi nie giną,
Bystra rzeczułka przepływa doliną,
Ponure bory czernią się w około,
W parowach rzeźka młódź huka wesoło,
A góry jeszcze, wierzchołki i brzegi,
Przeszłorocznemi obleczone śniegi;
Aż kiedy słońce ogniście dogrzeje,
Ów śnieg w szeroką rzekę się rozleje,
I lecąc z góry na chaty górali,
Czasami całą osadę zawali;
Co też jednego zdarzyło się lata,
Że się śnieżyskiem zasypała chata...
Słuchajcież tedy o nieszczęściu człeka,
A wierzcie, że jest nad ludźmi opieka.
Oto tak było kiedy raz w dzień biały,
Góralską chatę śniegi zasypały,
Co przystawiona do skały na boku,
We mgłach zdaleka stała jak w obłoku,
Za którą góral szałas wybudował,
Kędy przez zimę owce swoje chował,
I tak dobytek cały miał za chatą,
A w izbie wszelki był porządek za to.
Jednego razu gdy cała czeladka,
Troje drobiazgu, stary Jan i matka,
Siedzieli w chacie obsiadłszy ognisko,
Huk przeraźliwy usłyszeli blizko.
Patrzą kurzawa, śniegi z góry lecą,
I naraz ciemno tylko węgle świecą.
Wnet zrozumieli co się z nimi stało;
Jedno i drugie ręce załamało:
Matko królowo! toć już pomrzeć z głodu,
Bo do komory nie było przechodu.
Dzieci ujrzawszy, że rodzice w trwodze,
W ciemności onej jęły płakać srodze,
Poczem zasnęły braciszek przy siostrze,
Jak polne ptaki gdy się noc rozpostrze.

Wśród dnia białego noc się stała ciemna,
I cisza taka ponura, podziemna,
Że już tam z dołu ze ślicznego świata,
Żaden najcichszy głos ich nie dolata,
I ani wiedzieć czy świt niebo krasi,
Przy którym z krzykiem wychodzą juhasi,
Czy wschód na niebie, czyli zmierzch wieczoru,
Odkąd nie słychać dzwonienia z klasztoru!
Długi czas Janek co czynić nie wiedział,
I jak zdrętwiały przed ogniskiem siedział;
Aż kiedy dzieci zbudzone na nowo,
Poczęły z płaczem kwilić mu nad głową,
Wołając z ciemnych kątów: ojcze chleba!
Poczuł, że przecież coś próbować trzeba.
Głód małych dzieci siły mu podwoił,
Toporem ręce żylaste uzbroił,
I drzwi wywalił i jął kopać w śniegu,
Ale się nie mógł przedostać do brzegu.
Zasypka śnieżna bez końca się zdała,
Siły ustały, i ręka omdlała.
Do tego ogień zagasł na kominie,
Od tej wilgoci co ze śniegu płynie,
Topniejącego nad słomianą strzechą,
I z tą się wreszcie rozstali pociechą.

Nie mogąc drzwiami, wywalił okienko,
I począł silnie śnieg rozgarniać ręką.
Palce zgrabiały, nie odbił dwoch łokci,
Kiedy krew jęła bryzgać z za paznogci,
I trzeba było próżny trud odłożyć,
Za cóż więc Pan Bóg chciałby nas umorzyć.
Tak myślał prostak i do Boga wołał,
Bo wielkich grzechów przypomnieć nie zdołał.
Chwile jak lata, a za każdą chwilą,
Dzieci po kątach wygłodniałe kwilą.
Straciwszy wszelką nadzieję rodzice,
Na naleciałą upadli śnieżycę,
A wtedy dzieci krzyczały ze łzami:
Czyż nikt nie przyjdzie wyrwać nas z tej jamy?
Lecz nie przynosił nikt biednym pomocy,
I tak siedzieli w tej okrótnej nocy,
A jednak w strasznem nieszczęściu wytrwali,
Śpiewali pieśni i nie narzekali,

Choć w koło cisza była przeraźliwa,
„*Kto się w opiekę Panno litościwa.*“
A głos ich dzieci co po kątach spały,
Budząc się płaczem rzewnym zagłuszały.
I tylko jedno dziecko osobliwe,
Jako baranek siedziało cierpliwe,
I samo głodne przez trzy noce długie,
Uspakajało jak umiało drugie
Lat miał trzynaście, lecz rozum nad lata;
Wyraźnie z nieba bo jużciż nie z świata,
Jako ubóztwo nie chadza do szkoły,
Po gór wyżynach pasąc chude woły,
To jedno dziecko co cierpliwość miało,
I z kąta swego pieśni powtarzało.

Nareszcie przyszedł ten czas i godzina,
Kiedy naprawdę śmierć się przypomina.
Widzący tedy że umrzeć przychodzi,
Jako się dobrym chrześcijanom godzi,
Poklękli biedni ludzie na pacierze;
Lecz na myśl samą, że ich Bóg zabierze
Bez sakramentów i bez rozgrzeszenia,
Za wszystkie grzechy, wszystkie przewinienia,
Poczęli biadać, głowy tłuc o ścianę,
Bo chociaż wszystko Panu Bogu znane,
Ale umierać niosąc z sobą grzechy,
Bez tego słońca niebieskiej pociechy,
Toć już najtrudniej i znów życia szkoda,
Do serca myśli im żałośne poda.
A w tej narzekań nieustannych dobie,
Gdy się już prawie widzieli przy grobie,
Najstarsze dziecko jakby chcąc ich zbawić,
Otarło oczy i tak jęło prawić:
Oto widzicie ja rzecz taką czuję,
Która mnie cieszy i bardzo raduje.
Wszak pamiętacie to śliczne kazanie,
Coście mnie latoś prowadzali na nie,
O Abrahamie i o Izaaku,
Którego ojciec chciał poświęcić w krzaku,
Dla tego że Bóg żądał tej ofiary,
Chcąc wiedzieć jeśli dobrej byli wiary?
Otóż ja chcę bydź jak Izaak mały,
Żeby te dzieci pożywienie miały,

I nie krzyczały już i nie płakały.
Żebyście wy się także pożywili,
Wy coście zawsze tacy dobrzy byli,
A jak ja umrę, jak ja tę rzecz zrobię,
To mnie do nieba Pan Bóg weźmie sobie.
Nieszczęsni ludzie słysząc one słowo,
Rzewnemi łzami zleli się na nowo.
Wreszcie Jan stary, wzrok utkwiwszy w niebie.
Rzekł: jużciż dziecko to nie gada z siebie.
Jest wola Boża w tem co ono mówi,
Tedy uczynim co Bóg postanowi.
Natenczas matka padła jak nieżywa,
I była cisza w chałupie straszliwa,
Nieprzerywana jak ciężkiem szlochaniem,
Ciężkiem szlochaniem, srogiem narzekaniem,
I tylko chłopiec z duszyczką prostaczą,
Słuchał zdziwiony czego oni płaczą.
Raz jeszcze góral za oknem próbował,
Czy śnieg nie opadł, czy się nie zluzował,
Wszystkiemi siły bił w te śnieżne ściany,
Czy nie wybije przez nie świt rumiany.
Ale napróżno, wtedy krzyk straszliwy
Wydarł się z piersi matki nieszczęśliwej,
Gdy ojciec stary wiodąc wzrok złowrogi
Podniósł góralski swój topór z podłogi.
Ale gdy kamień do ostrza przyłożył,
Tak zadrżał cały i tak się zatrwożył,
Że spuścił rękę i skamieniał z męki,
Bo na krew swoją nie mógł podnieść ręki.
A chłopiec: ojcze nie bójcie się ino,
Jak ja nie zginę, toć wszyscy poginą.
Patrzcie na dzieci na matuchnę biedną,
Mają mrzeć wszyscy, toć lepiej że jedno.
A potem ja wam i tak nie przydatny,
I już jesteście na nas bardzo stratny.
Franek już dobrze na górskie polany,
Z drugimi może wyganiać barany,
Izaak także grzechem się nie zmazał,
A szedł posłuszny kiedy Pan Bóg kazał.
To czemuż jabym śmierci miał się trwożyć,
Jakbym ja głowy też nie mógł położyć.
Ot weźcie topór prędzej mój ojczeńku,
I pójdźcie bliżej ja tu sam przy pieńku.

A w tejże chwili huk się rozległ w koło,
Spuszczone w górę podniósł góral czoło,
Po przeminięciu pierwszego przestrachu,
Gdy przycichł łomot zapadłego dachu,
Ciekawy góral wybiegł z ciemnej nory,
Do zawalonej śniegami komory.
Aż owo ujrzy z serdeczną pociechą,
Że się dzień bieli nad złamaną strzechą.
Światło przegląda przez śnieżycę białą,
Tak, że już w koło izbę widzi całą.
Śnieg się obrywa, pęka, a ze śniegiem,
Sarenka mała, utrudzona biegiem,
W chwili roztopu nad chmurną Łomnicą
Porwana na dół z lecącą śnieżycą
Spadła przed człeka co jak z martwych ożył,
Jakby mu anioł baranka położył.

W radości człowiek o złem zapomina,
Toż i góralska zbawiona rodzina
Patrząc na cuda ręki Bożej jawne,
Zapominała swe nędze niedawne,
I na sarenkę oczy się zwracały.
Poklękli starzy, dzieci poklękały,
I tylko chłopię tam nie było małe,
Jedyne w ciemnej izbie pozostałe,
Które nie wiedząc że pękła zapora,
Jak się schyliło pod cięcie topora,
Zmęczone głodem, pokorne, cierpliwe,
Przy onym pieńku jak gdyby nieżywe
Spało cichuchno nie myśląc o zgonie,
Jakby u matki rodzonej na łonie.
Gdy go zbudzono, kiedy śród wesela
Jedno się z drugiem radością obdziela,
Dziecko im swoje sny opowie błogie,
Że we śnie widział śliczne kwiaty mnogie,
I niby w wietrze, i niby po kwiatach,
Schodzili k' niemu jaśni w jasnych szatach:
Otóż mnie dola była dana taka
Od Pana Boga jak dla Izaaka,
Chociaż ja przecie nie żadna osoba,
Ale Bóg czyni co mu się spodoba,
I kogo zechce tego zbawić może,
I wszystko dzieje się przez ręce Boże.

Taka się w górach historyja stała,
Z której podwójna Panu Bogu chwała,
Że zbawił ludzi ode śmierci z głodu,
I ztąd że z pośród biednego narodu
Coraz to jakąś sierotkę wywiedzie,
By jak gołąbek leciała po przedzie,
Prowadząc nasze białe polskie stado,
Za świętych pańskich złocistą gromadą.

Noc Nowego roku.

W wigilię nowego roku około północy chodził Maciej setnie zamyślony po swojej własnej chałupie. Byłci to już starzec siwiuteńki na głowie, jak ów śnieg zimowy, czoło i twarz cała poorały się zmarszczkami, jak ziemia skibami na wiosnę, ciało pokurczyło się i zeschło jak trawa skoszona w lesie, a on cały drzał i trząsł się jak liść osikowy w jesieni. I srodze zadumał się siwy staruszek, bo widział już przed sobą grób otwarty, a tu nie miał ani żony, ani dziecka, ani żadnego nawet przyjaciela, coby mu na łożu śmiertelnem zamknął powieki. Aż zapłakał z wielkiego rozżalenia, gdy sobie wspomniał, że on tak jest samotny jak palec na tym bożym świecie.

Z wielkich nudności roztworzył stary Maciej sporą skrzynię, bo myślał, że go pocieszy widok wielkiej kupy talarów i cwancygierów, ale srebro przy jasnem świetle miesiączka tak mu zaćmiło oczy, że musiał coprędzej zamknąć nazad ten skarb swój przez tyle lat zbierany.

— I co mi teraz — prawi do siebie stroskany Maciej — po tych pełnych skrzyniach pieniędzy, i po tych stajniach pełnych dobytku, i po tych stodołach pełnych zboża, i po tych polach i łąkach, co to je człowiek jeden nie godzien obejść przez dzień do koła, kiedy mnie one teraz nie cieszą i od śmierci wykupić nie mogą? — I komuż ja te bogactwa przekażę po mojej śmierci, coby przynajmniej szczerze o mojej duszy pamiętał? Nie mam nikogo, bo nie miałem nigdy żony, ani też słyszałem tego słodkiego nazwania: ojcze!

W wielkiem rozżaleniu zbliżył się Maciej do okna, a gdy przez nie wyjrzał na niebo gwiaździste, na ten miesiączek promienisty i na tę ziemię bieluśką, ogarnął go jakiś wstyd i lęk ogromny, bo zdawało mu się, że na tym całym świecie szerokim wszyscy ludzie tacy szczęśliwi i spokojni, a on sam jeden tylko pełen utrapienia i boleści...

I nie nadaremnie trapił się tak stary Maciej, bo nigdzie nie widział już dla siebie pociechy i ratunku. Kiedy sobie wspomniał na swoje lata młode, to się tak wstrząsł cały, nieprzymierzając jak ów szatan skąpany w święconej wodzie. Zaś te jego lata młodości pełne były zbrodni i występków, bez najmniejszej szczypty jakiego dobrego uczynku, któryby mu teraz przypomniał się na pocieszenie utrapionej starości. Za młodych lat nie przysporzył Maciej nic dla swojej duszy, tak iż na starość zostało mu się tylko ciało schorzałe i serce obładowane najszkaradniejszemi grzechami. A skoro spojrzał w przyszłość, to aż oczy sobie zakrył rękoma ze strachu, bo takie mu się jakieś straszliwe rzeczy i widziadła przewidywały.

Owoż gdy sobie tak Maciej rozmyśla i frasuje się, zjawiła się naraz w pośrodku izby śmierć straszliwa, ot taka, jak to ją wszędzie malują, wysoka, chuda, koścista, z kosą w ręku, i rzecze do niego:

— Widzi mi się, że się już dosyć nażyłeś na tym świecie, i temu też wstąpiłam po drodze do ciebie, aby cię zabrać ze sobą. Porzuć więc wszystko co masz, i chodź ze mną, bo już nadeszła twoja ostatnia godzina.

Aż pot zimny wystąpił kroplami na czoło Macieja, gdy usłyszał takie rezolutne wołanie, i zrazu też nie wiedział, co ma robić; aż na końcu ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, zaczyna się wymawiać i prosić, i błagać i zaklinać, aby mógł jeszcze żyć choć rok, choć pół roku, choć miesiąc, a nareszcie choć tydzień jeden, w którym to czasie mógłby się z Bogiem pojednać i dawne złe naprawić...

A śmierć nieubłagana prawi do niego:

— Przeżyłeś już człeku chwała Bogu osiemdziesiąt latek z górą, miałeś więc dosyć czasu przygotować się do tego życia wiecznego, do którego cię teraz wołam.

Odciągał się Maciej jeszcze długo, ale śmierć widząc, że nasz staruszek zaciął się nieprzymierzając jak kozioł w kapuście, i nie chce się ani rusz zabierać z chałupy, wypchała go owa napastnica gwałtem za drzwi i ostrą kosą pędziła go poprzód siebie.

Takci to śmierć nielitościwa kazała Maciejowi opuścić wszystko, co tylko posiadał, i nie zostawiła mu nawet tyle czasu, aby mógł komuś całe swoje mienie przekazać.

Świszcze wiatr po polu ta i świszcze, a śmierć idzie z Maciejem ta i idzie, i prowadzi go przez góry, debry i wertepy, aż nareszcie doszli do jakiegoś lasu, kędy to drzewa przeraźliwie szumiały, a rozmaite straszydła z po za krzaków wyzierały.

Gdy tak sobie oboje idą, zabiega naraz Maciejowi drogę kilkanaście sierot półnagich, bosych, w podartych tylko koszulinkach i z rozczochranym włosem na głowie i wszystkie krzyczą żałośnym głosem:

— W daleką jak widać wybraliście się drogę Macieju, a nas zostawiasz bosych i nagich bez strzechy i przytułku wśród ostrej zimy? A gdzie to nasz majątek, który razem z nami wziąłeś pod swoją opiekę? Przyrzekłeś święcie zajmywać się nami, a tymczasem przetachlowałeś naszą spuściznę, a nas wypędziłeś pod gołe niebo na cztery wiatry. Oddaj nam nasze mienia i dobytki, oddaj, oddaj, niechaj nie płyną więcej łzy nasze, łzy co płynąc po licach na serce padają, co nam zdrowia ujmują i życie skracają, bo inaczej biada ci będzie!

Chciał się zatrzymać biedny Maciej choćby na chwilę i wrócić się do domu, aby tym biednym sierotom wynagrodzić ich krzywdę, ale śmierć nieubłagana pędziła go ostrą kosą dalej i wołała: naprzód, naprzód, bo już twoja ostatnia godzina wybiła!..

I znikły gdzieś owe sieroty, a biednemu Maciejowi zdawało się, że mu jakieś palące krople niby roztopiony ołów padały na serce, i piekły go nieznośnie; a tymczasem nie było to nic innego, jeno wypłakane łzy wszystkich tych pokrzywdzonych sierót.

I znowu pędzi śmierć swoją ofiarę dalej, aż tu pojawia się przed Maciejem wielka liczba obdartych zarobników i woła do niego:

— Poczekajno Macieju, poczekaj, boś jeszcze z nami nie skończył rachunku. A gdzie to zapłata i nagroda za nasze prace i trudy? Toćto w lecie pracowaliśmy jak woły na ciebie, a ty w zimie żałowałeś nam łyżki strawy, i wypędziłeś nas głodnych, bosych i bez przyodziewku z chałupy, mówiąc, że nie masz czem karmić takiej hołoty. Kiedyśmy na przednowku jedli pokrzywę z otrębami, ty karmiłeś trzodę twoją kartoflami i zbożem, a kiedy nam dałeś kwartę jakiego ziarna na zapomogę, tośmy musieli potem w czwórnasób to wszystko odrobić. Kiedy bydlę zrzuciło młode, kiedy koń zgubił podkowę, kiedy się oś złamała u wozu, lub inna jakaś mała szkoda zrobiła się przypadkiem w gospodarstwie, wtedy odtrącałeś nam to w dwójnasób z naszej płacy. Pókiśmy byli zdrowi i sił nam starczyło do pracy, pótyśmy mieli u ciebie utrzymanie, a skoro który z nas zaniemógł, żałowałeś mu wiązki słomy pod głowę i nie pozwoliłeś nawet przeleżeć się w stodole. Jeżeli nas najmywałeś do roboty, to obiecywałeś więcej niż inni ludzie, a skoro przyszło do wypłaty, to wyszukiwałeś sobie zawsze coś na przyczynę, że to źle wyżęte, a to niedobrze wyorane, i potem dawałeś tylko połowę tej przyobiecanej płacy, o którą jeszcze trzeba się było parę niedziel upominać. Kaleka, żebrak, podupadły gospodarz, nie znalazł nigdy u ciebie przytułku i wsparcia; ale za to gościłeś u siebie jakichś zawołoków, co to ci pletli smalone duby, buntowali przeciwko panom, i namawiali do procesów o cudze pastwiska i lasy. Z tej też racyi nie dowierzałeś panom, nie słuchałeś rad i napomnień xiędza dobrodzieja i dla nikogo nie miałeś już czci i poszanowania. Patrzaj na ciało nasze wynędzniałe, na nasze ręce, na których się skóra połuszczyła z gorąca i pracy, i miej litość nad nami!

Siła to razy pracowaliśmy u ciebie od świtu do ciemnej nocy, a potem powracaliśmy do domu z próżnemi rękoma, i musieliśmy patrzeć na rozpacz chorej żony i głodnych dzieci, które do nas wołały: Tato! chleba, chleba. Wtedy nie było innej

rady, jeno trzeba było ostatni łach wynosić z chałupy i zastawiać go u arendarza za topkę soli, lub bochenek chleba.

Oddaj nam choć teraz naszą zapłatę, bo krzywda nasza woła o pomstę do nieba.

Krew ścięła się w żyłach, i włosy stanęły na głowie Maciejowi, gdy usłyszał te skargi i żale. Wróćcie, ach wróćcie moje młode lata! — wołał on w rozpaczy, ale nadaremnie, bo te młode lata leżały przed nim jak te zwiędłe liście opadłe drzewa dzikiego, które żadnego na zimę nie przyniosły owocu. Wolałbym siebie nie znać, niż znać się w tym stanie — prawi Maciej dalej do siebie — o gdybym drogę życia przechodził raz drugi, to bym już pewnie potem siebie samego nie przeklinał....

W tej chwili uderzyła dwónasta godzina w nocy, wszystkie dzwony odezwały się na powitanie nowego roku i każdy cieszył się, że mu pan Bóg dał znowu jeden rok szczęśliwie przeżyć.

Jeden tylko Maciej idąc ze śmiercią, płakał gorzkiemi łzami, i myślał sobie: Czemużem był taki głupi, i nie słuchał tych życzeń, które mi rodzice, krewni i przyjaciele w dzień nowego roku w mojej młodości składali, i czemużem pogardzał troskliwemi naukami xiędza dobrodzieja, i szczeremi radami naszego pana, gdy mnie oni od złego przestrzegali. Wróć się, ach wróć się moja młodości, a stanę się całkiem innym człowiekiem!

I młodość wróciła, bo widzicie, moiściewy kochani, wszystko to było snem tylko, który w nocy nowego roku trapił naszego Macieja. A Maciej nasz był jeszcze młodym gospodarzem, bo nie miał więcej jak lat dwadzieścia i sześć, ale przy tem wszystkiem miał już różne niedobre chęci do złego i do ludzkiej krzywdy, jak mu się to wszystko w nocy przyśniło. Jakże się Maciej ucieszył, gdy się przebudził, i przekonał, że to wszystko było snem tylko. Święcie dotrzymał on tej obietnicy, którą we śnie uczynił i od tego czasu całkiem się poprawił. Dom jego stał otworem dla sierot, żebraków i kalek, a majątek jego, co mu go pan Bóg więcej niż innym udzielił, nie pleśniał w skrzyni, ale szedł na zapomogę biednym i nieszczęśliwym. Porzucił dawne życie niewstydliwe, i pojął sobie

uczciwą dziewuchę za żonę, a pan Bóg dał mu kilkoro walnych dzieciaków, które swego ojca w starości pielęgnowały.

Weźcie i wy sobie ten sen Macieja za przestrogę, zaniechajcie z tym starym rokiem waszych dawnych błędów i występków, aby wam kiedyś na starość wspomnienie waszej młodości nie przyniosło gorzkich wyrzutów sumienia, i abyście na łożu śmiertelnem leżąc nie potrzebowali wołać: ach wróćcie moje młode łata! — bo one się na jawie już nigdy nie wrócą.

Tego wam życzy z tym nowym rokiem wasz brat i szczery przyjaciel *Jacenty z Magierowa.*

Piękne przykłady.

Poczciwa i trzeźwa gromada.

Jest tu jedna wieś w górach Trzebunia, co się okrutnie pięknie gromada w niej popisała, a to tak było.

Jak tam nastał przed dziesięcią łaty nowy xiądz pleban, to widząc że we wsi dosyć boskiej obrazy i o pijaka nie trudno, tak sobie pomyślił, aby wstrzemięźliwość duchem między ludkiem zaprowadzić. No i wziął się do tego. — Ale choć to wszyscy kapłani nasi dobrodzieje, chcieliby wstrzemięźliwość zaprowadzić, i pięknie do ludzi przemawiają, i boskie słowa opowiadają, to w niejednej parafii jak groch na ścianę rzucił. Sługa boski, kapłan, choćby i piersi wygadał, jak ludzie zatwardzieli w grzechu, to i nic nie pomoże, i po próżnicy jego praca, a ludzie jak pili tak piją.

Ale tam w tej Trzebuni widzicie, jakoś Pan Jezus Miłościwy inaczej zakierował, że się to ziarnko wstrzemięźliwości do razu przyjęło, i nie wyszło roku, a nie było pijaków, i co lepsze, że nawet żyd karczmarz, widząc że tu nie ma co robić, wyniósł się z parafii, potem się i karczmisko zwaliło, no i patrzcież minął jakiś rok, że o szynku ni o karczmie nikt nie pomyślił. Zaś ludek poczynał się dorabiać grosza i dobytku, i choć ta prawda dostatku nie ma, bo tam jeno z tego żyją, co sobie jakowym przemysłem zarobią, kiedy wożą drzewo do Krakowa,

albo znów płótna naprzędą i sprzedadzą; więc i drożyzna i podatek wielki, tak że trudno o dostatki, ale przynajmniej ostatni krajcar nie szedł na gorzałkę.

Aż tu przeszłego lata przyjechała rewidować te dobra dziedziczka, ale to pani nietutejsza, gdzieś tam aż z za Wiednia, i duchem kazała, aby w każdej wsi dla porządku niby była karczma. Rządcy jużcić uczynili co dziedziczka kazała, poczęli stawiać karczmy, ta wystawili i w tej Trzebuni, gdzie jej długo nie było. O mówię wam, jakem się o tem dowiedziała, to mi się żal tej wsi zrobiło, bo sobie myślę: człek nie święty, a jak będzie miał pokusę, toć się i do złego łatwo wróci. Ci poczciwi górale, co poczęli tak pięknie Panu Bogu służyć, któż wie czy nie popsują się jak będą mieć więcej sposobności, co zły duch im szepnie do ucha, i bądź zdrów, będzie po ich cnocie i rzetelności.

No i tak jakem się jeno o tem dowiedziała, tom się trapiła, bo moiściewy nic mię tak nie trapi, jak kiedy gdzie między wami widzę obrazę boską, a osobliwie też to przemierzłe pijaństwo, co najwięcej ludzi do piekła zawiodło.

Aż tu niedawno wypadło mi jechać przez tę wieś Trzebunię. Nadjeżdżam, karczma stoi gdyby jaki dwór, okna się w niej szklą, a mnie aż coś strzęsło; aż tu zbliżam się, patrzę, a tu moja karczma w dzień, jak rybie oko, stoi sobie zamknięta na kłódkę, bo się żaden karczmarz na nią nie zerwie, bo wie, że w tej parafii nie piją, to tu nie ma co robić.

Oj dopierom się też ucieszyła, ażem do razu do Najświętszej Panienki Zdrowaś Marja zmówiła — i wnet sobie pomyślałam, że ja o tej parafii dam wiedzieć ludziom, aby sobie to mieli za piękny przykład. *Ludka z Myślenic.*

RÓŻNOŚCI.

Nie zawadzi i o tem pamiętać. W Czechach i na Morawie, a toć kraje te są blisko nas, i ludzie tameczni nie wiele się różnią od naszych, i mówią tak, że ich bez mała zrozumieć można — otóż jest tam lud wiejski bardzo rozumny i uczony. I aż miło patrzyć, jaki tam dobytek, jaki porządek i jaka uczciwość. A wiecie czemu to tak? Oto bo w każdej wsi znajdziesz tam i szkołę piękną i naukę dobrą: a

już najmniej jedną gazetę nieprzymierzając jak nasz Dzwonek, zaś często bardzo i więcej, czasem pięć i sześć. Na czytaniu zna się tam prawie każden, i na dobrą xiążeczkę nie żałuje grosza. Więc jużci u każdego gospodarza znajdziesz w chałupie kilka xiążek, a jak poczniesz z nim rozmawiać, to jakby z jakim surdutowym, choć to sobie człek prosty i chodzi w sukmanie, zaś rozprawia tak pięknie nikiej xiądz na kazaniu. A kiedy jest rozum, to całkiem inaczej idzie gospodarka. Nie zmarnują ci tam przez nierozum niczego, a najlichszą rzecz potrafią na pożytek obrócić. O każdym nowym sposobie wiedzą z gazet i pomagają sobie nim przy pracy. Zaś najbardziej ten mają pożytek, iż przy czytaniu pięknych nauk stają się ludziska uczciwsi, pobożniejsi i pracowitsi. Włóczęgów, złodziejów, darmojadów różnych to tam prawie całkiem nie ma, a wszyscy jak jeden zacni i poczciwi. Taki to pożytek z czytania, a daj panie Boże, aby u nas jak najprędzej podobnie było.

Pisanie Wawrzka i Kuby. Napisali do mnie z Dubiecka Wawrzek i Kuba Lis piękny list, w którym jest wiadomość o darowiznie pana hrabiego z Dubiecka i o wdzięczności tamecznych włościan, jak to już wedle pisania Józefa Grzegorzaka wydrukowaliśmy w Dzwonku w numerku 14. Dalej zaś piszą oni w liście swoim tak: „Prosimy was, abyście podali do powszechnej wiadomości o zacnej pani w Nienadowej — która wieś jest w obwodzie rzeszowskim, co to własnym kosztem urządziła apteczkę, i każdemu nie tylko swoim, ale i obcym, chętnie i spiesznie udziela pomocy. Ona to na wzór dawnych naszych polskich pań sama własną ręką wyszywa ornaty, i niemi okoliczne ozdabia kościoły; a jej córeczki w tak sztucznie robione przystrajają kwiatki, w takie bławatki i maczki, jakbyś je dopiero co z żytka lub pszeniczki zerwał. Znajduje się tam także i szkółka, do której państwo wiele się przyczynili. Dziatek chodzi do niej przeszło siedmdziesiąt, które już pięknie czytają; aż serce skacze z radości, jak te pacholęta czyściutko i bielutko kiejby jakie gołąbki parami idą na nabożeństwo. Daj nam panie Boże doczekać z nich pociechy a krajowi pożytku.“ — Tak piszą Wawrzek i Kuba, za co im pięknie dziękuję, i proszę bardzo, aby znowu do mnie kiedy napisali, jak będą mieć wiadomość o jakiej pięknej sprawie.

Przysłowia.

Lepsza cnota w błocie,
Jak niecnota w złocie.

Poznać z mowy,
Jakiej kto głowy.

Co się prędko wznieci,
Niedługo świeci.

Nie każdy się dąsa,
Kto wargami trząsa.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VIII. **Nr. 2.**

11. Stycznia **1863.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pan Jezus płaczący.

Nie daleko to od nas, boć jeno jakie 10 mil ku naszej Warszawie, leży koło miasta Radomia mała mieścina, co się z dawien dawna zowie Iłżą. Lud tam polski jak i my, pobożny bardzo, bo mają tam mieszczanie kościół murowany, co się zowie farą, a w tym kościele jest w wielkim ołtarzu ukrzyżowany Pan Jezus tak miłosierny i dobry, że jak popatrzy grzeszny człek na niego, to mu serce drzy z radości a z ócz leją się łezki, aż czasem trudno otrzeć te łzy z oczu. Otóż do takiego Pana Jezusa idą tam pobożni ludzie jak woda do dalekiego morza i każdy ma tam o co poprosić i za czem szczerze popłakać albo też i podziękować za co dobrego. A jak tam przyjdzie kto po pierwszy raz na jaki odpust, to on się tam zaraz dowie od ludzi tamtejszych o różnych cudach tego Pana Jezusa; i zaraz mu tam każde małe dziecko powie, że ten Pan Jezus ukrzyżowany płakał już nie raz krwawemi łzami.

Otóż niedawno przyszło tam na odpust z daleka dwu gospodarzy, co to już byli w niejednem cudownem miejscu i co to przecie wiedzieli i rozumieli dobrze, jak to bywało dawno

w tych polskich krajach i gdzie to się to dobre podziało teraz. Weszli oni sobie do kościoła, poklękali, nachylili siwe głowy ku ziemi i zaczęli się modlić i patrzyli na tego Pana Jezusa. A był tam na ten czas w zakrystyi organista staruszek i ten poznał zaraz, że to ci gospodarze muszą być gdzieś z daleka.

A gdy ci gospodarze już zmówili swoje paciorki i obeszli cały ołtarz wielki na kolanach w około i złożyli ofiary pobożne, wtedy powstali, stanęli sobie przy ołtarzu i zaczęli z płaczem przypatrywać się temu Panu Jezusowi. Wtedy wyszedł do nich organista i pyta ich:

— Wy ojcowie pobożni pewnie z dalekich stron i pewnie dopiero pierwszy raz w tym kościele?

A oni ocierając sobie oczy powiedzieli:

— Myć ta po prawdzie z daleka, ale ani my Niemcy, ani Moskale, jeno po Bogu i ludziach tak Polaki jak ta i wy tu choć pod Moskalem.

Na to organista staruszek powiada im:

— Toć ja uważam już po waszym stroju, po waszej mowie i po waszych modlitwach, że wy Polaki, bo jeno polski lud może być tak pobożny i dobry.

A gospodarze mu powiedzieli:

— Toć nas wszystkich Polaków nie jest ani dwu ani tysiąc, jeno prawie tyle co i Francuza i Niemca — i nie można nas też zabrać w płachtę jakby trawę dla bydła, ani wsadzić do beczki jakby ziarno dla koni, ani podusić jakby robaki jakie marne — toć gdy nas ten Pan Jezus zwoła do kupy i postawi razem na sądzie, to nas tam będzie jakby czerniawa straszna.

I gdy ci gospodarze tak gadali, pocieszył się na to stary organista i powiedział im:

— Otóż opowiem ja wam moi dobrzy ludzie, co to za cud stał się tu w tym kościele, bo wy widać bywalce i macie dobry rozum, i radzi też posłuchacie o dawnych królach polskich.

A gospodarze podziękowali za dobry uczynek i prosili, aby im organista wszystko dobre przypomniał.

Pan organista też zażył tabaczki z rożka, poczęstował i

gospodarzy, odetchnął sobie, otarł się chuściną i tak jął im opowiadać:

— Jużto wy wiecie przecie, jacy to ojcowie byli dawni króle polscy — to nie tacy, jak to są Moskale. Otoż temu dobrze 200 roczków, a żył tu przy tym samym kościele mój pradziad Maciej Wrona i był tu także organistą, a ja już piąty po nim tu w służbie Bożej, jużem się postarzał i posiwiał i zapamiętam dobrze ostatniego naszego króla i pana Kościuszkę, co to był ojcem chłopów i bił Moskala, aż się kurzyło, a chłopi go też kochali i słuchali jakby króla swego. Otoż uważacie moi dobrzy ludzie, był wtedy w Warszawie, ot ztąd jakie 15 milek, król polski Jan Kazimierz, co to został królem po starszym bracie Władysławie i ożenił się pono z wdową po bracie, a lubił tych braci strasznie nawet Ojciec święty, bo to mieli być tacy dobrzy i pobożni, że już o mało co nie zostali xiężami, choć ta i królowie i tacy bogaci. A ten król Jan Kazimierz to się modlił po całych dniach do Najświętszej Panny i pościł i suszył, bo to już był i ich ojciec Zygmunt tak samo jakby święty, i taki był ród cały widać z dopustu Bożego. Ja wam też pokażę dwa złote kielichy i patyny i monstrancyą, co to darował ten król Zygmunt do naszego kościoła, a to nie dosyć, że darował, ale jak gadają ludzie starzy, to on sam swoją ręką to wszystko zrobił, a to takie piękne, aż nie żal przypatrzyć się temu.

A gospodarze zadziwieni mówili:

— Jak to? toby sam król robił kielichy i patyny?

A organista zaraz na to:

— A jużci! bo ta tacy bywali dawni królowie polscy, oni ta darmo nie tracili dukatów, ale sami nie jedli i nie pili, a potem dali na fundusz jaki pobożny, co sobie cichuteńko złożyli. A widzicie jeszcze, że ten król Zygmunt III to nigdy nie rozpoczynał wojny, dopóki się pierwej nie wyspowiadał, nie wypościł i nie namodlił po całych dniach, i dopiero wtedy zwoływał xięży i radził się ich, co ma zrobić.

A gospodarze mówią na to zaraz:

— Mój Panie Jezusie! co to za dusze pobożne siedziały w takich królach, boć to było i dobrze, boć to nie żart te

wojny, a kto tam zginie, to już po nim i aż na sądny dzień powoła go ten Pan Jezus na sprawę za życie. Ale mówcie no mój panie organista o cudzie.

Więc opowiadał organista dalej tak:

— Otóż uważajcie sobie dobrze moi gospodarze, że to już 200 lat temu, jak się to stało tu w tym kościele i to za króla Jana Kazimierza. Jakieś licho spadło na kraj polski wtedy — bo to jak jeden król dobry, a jego sąsiedzi źli, to trudno dobremu dać sobie krzywdę robić i nic nie mówić. I wtedy też Turek był zły, jak ta i dziś nie lepszy — Moskal był taki sam dla Polaków łakomy, zły, niesprawiedliwy, jaki jest ten sam i dziś dla nas — Niemiec patrzył z boku na szczęście i bogactwo polskie i byłby brał, gdyby jeno można — Węgier zadzierał nosa do góry, a Szwed wlazł z wojskiem do Warszawy i hulał jakby to były zapusty, a dobry i pobożny król polski ustąpił się tym złośnikom aż za Kraków i tam się zabierał do wojny na tych łupieżników. A tu żołnierze Szweda rabują po wsiach, palą dwory, zabierają kościoły to na stajnie końskie to na magazyny i wynoszą ci z kościołów naszych to ornaty, to obrusy z ołtarzów i nakrywają sobie temi rzeczami poświęconemi swoje szkapy, aż strach o tem gadać, że to temu hultajstwu rąk nie powykręcało zaraz na miejscu.

A gospodarze na to mówili w taki sens:

— A czy to już nie było wtedy katolików pobożnych, co by byli zabronili takie rzeczy wyrabiać po wsiach i po kościołach?

A organista odpowiada:

— Ot gadacie! dyć wiecie, żeby chłopi trzymali razem z kościołami i dworami, toby się takie rzeczy nie działy nigdy. Ależ słuchajcie jeno dalej końca; boć to złemu każdemu przychodzi koniec. Otoż gdy się takie bezbożności i rabunki działy, gdy i z tego kościoła przyszli Szwedy zabierać kielichy i chcieli zerwać koronę złotą z główki tego Pana Jezusa samego, jak go tu widzicie, a ludzie tu się modlili i płakali i krzyżem leżeli, a był także i mój pradziad Maciej Wrona wtedy w kościele i przepowiadał ludziom różne pieśni i litanie i widzicie naraz puściły się łzy ciurkiem temu Panu Jezusowi,

jakby kto lał wodę z rurki małej na ziemię — zobaczył to mój pradziad i zaczął wołać: O dla Boga świętego, co to się dzieje, że już i ten Pan Jezus płacze z żalu, że takie krzywdy się dzieją w całej Polsce! I wszyscy ludzie zaczęli płakać, aż się kościół trząsł cały, a Szwedy coś zmiarkowali i wynieśli się precz.

A gospodarze mówili z płaczem:

— Ha! jużto nie dobrzy katolicy byli ci ludzie kiedy sobie dali zabierać z kościołów ornaty, obrusy, kielichy i tak poniewierać te domy Boże — a czyż to oni nie mogli odegnać takiego Szweda?

A organista mówił:

— Toć widzicie powiadali starzy, że dla tego płakał ten Pan Jezus, że też już nie było ani xięży, ani chłopów, coby bronili domu Bożego, a jeno to pouciekało gdzieś i zostawili same babki i dziadków koło kościoła, a sami się pokryli jak myszy w dziury — gdzie kiedy komu trza było czego, to przychodził tu prosić tego Pana Jezusa, a jak Szwed odzierał główkę najświętszą z korony, to nie było obrony żadnej. Ot tacy to ludziska, dziś człek człeka nie ratuje, choć blisko jeden drugiego, a jakże ma bronić krzyża świętego i swej wiary? Ale nie dość na tem, bo ten sam Pan Jezus płakał znowu drugi raz — jeno poczekajcie trochę, to wam opowiem, ale muszę tam poprawić świecę, co się zaczyna lać, bo to u nas pali się zawsze światło koło tego Pana Jezusa i na to zrobił fundusz król polski Jan Kazimierz.

I poszedł poprawić świecę organista na ołtarzu, a gospodarze dumali sobie jakie to przeróżne cuda działy się na tej polskiej ziemi, kiedy to byli ludzie pobożniejsi i żyli w zgodzie i miłości jeden z drugim i westchnęli sobie pobożnie:

— Czemuż to tak dziś nie żyją chłopi w zgodzie między sobą i z dworami i kościołami i czemu nie są tak pobożni!

I zlazł organista z ławeczki i wrócił do gospodarzów i tak dalej opowiadał:

— Otóż widzicie polecieli ci żołnierze, co to chcieli koronę z główki brać temu Panu Jezusowi, i opowiedzieli to królowi Szwedowi, co się jakoś nazywał nie po naszemu, jeno

z niemiecka jakoś to, pono Gustaw Adolf. A ten myślał, że oni mu nieprawdę gadają, i nuż na konia siadaj i dalej tu do tego kościoła leci — a gdy tu przyszedł, było tu już ludzi jak mrowia, co to już zaczynali na dobre pomrukiwać sobie i rada w radę, aby się jakoś bronić. Otoż ten król sunie do kościoła i machał sobie pałaszem, jakby to nie w kościele, ani kapelusza nie ruszył, ani nie ukląknął, ani się nie przeżegnał. A wtedy znowu zapłakał ten sam Pan Jezus tak, jakby nieprzymierzając małe dziecko na rękach matki, a łzy aż tu na stopnie ołtarza ciekły. Król sobie poszedł jak przyjechał — ale wtedy dopiero zrobił się hałas, jakby jaki sąd Boży, najprzód tu, potem het po wsiach i po miastach, i jakoś się ludziskom otworzyły oczy, że to już bardzo źle idzie, kiedy już sam Pan Jezus płacze z miłości wielkiej nad ludem biednym — i nuż zaraz polecieli ludzie do Krakowa do króla swego i opowiedzieli mu to wszystko, a tam już było polskie wojsko. I wtedy to stał się cud znowu, bo jak się nie wezmą ludzie do tego Szweda, nuż go trapić i morzyć i bić, to go wygnali aż za dziesiątą granicę, a za jaki miesiąc był już nasz król w Warszawie. Potem tu przyjechał, było tu wielkie nabożeństwo i wtedyto zrobił tu król wielkie fundusze na szpitale i na światło i do dziś jest tu co rok nabożeństwo, jak to ludzie upamiętali się dopiero na łzy samego Pana Jezusa i zaczęli się z jego pomocą bronić i obronili siebie od zaguby, a kościoły od takiej poniewierki i wygnali Szweda aż do jego kraju za morze. Otoż to, taki cud był tu!

A gospodarze zadumani spytali:

— A nie ma też gadki kto ten kościoł fundował i sprawił tego Pana Jezusa?

A organista mówił:

— A wy jak myślicie, żeby nie było — a toć by to było dopiero. żebyśmy już nie pamiętali takich fundatorów pobożnych. Toć to miasto całe należało do biskupów krakowskich, a jeden pobożny biskup Grot fundował ten kościół i sprawił także tego cudownego Pana Jezusa, daj tam Panie Jezusie jego duszy wieczny odpoczynek.

Gospodarze podziękowali panu organiście za opowiadanie,

złożyli ofiary na mszę świętą i dali na ubogich dziadków, kupili i świece na ołtarz, potem pomodliwszy się wrócili do domu i opowiadali to wszystkim ludziom.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Krakowiaki.

Orze Walek orze, parą na ugorze;
Kto szczerze pracuje, Pan Bóg mu pomoże.

Stoi Boża męka niedaleko wioski,
Opuszczeni ludzie, są w opiece Boskiej.

Maciek we wsi służy, niechce iść do miasta,
Bo wie, że i kamyk na miejscu obrasta.

Lecą lata lecą, jak wiatr bracia moi;
Kto się dobrze sprawia, śmierci się nie boi.

Na skaranie złego dosyć jedna chwilka;
Oj! nosił wilk owce, ponieśli i wilka.

Nie zaorał Bartek, rola mu nie rodzi;
Kto lubi próżniactwo na biedę przychodzi.

Szumi potok szumi, po kamieniach leci;
Co się prędko wznieci, nie długo to świeci.

Szumi potok szumi, po kamieniach wali;
Słychać dobre w świecie, a złe jeszcze dalej.

Przestawaj na swojem, od cudzego zasię;
Bo na cudzej łące koń się nie upasie.

Przestawaj na swojem, nie żądaj cudzego;
Bokiem ci wylezie, gdy skrzywdzisz bliźniego.

Nie właź w sad sąsiada, ani do stodoły;
Bo kto drugich krzywdzi ten zawsze jest goły.

Pozbył Kuba roli, pozbył i konika;
Wnet wyjdzie na dziada, kto gorzałkę łyka.

Przyleciała sroka i skrzeczy na płocie:
Lepsza cnota w biedzie niżeli grzech w złocie.

Prz. L.

Sprawiedliwość Boska.

Opowiedział Józef z Bochni.

Było to letnią porą, słońce okrótnie dopiekało, kiedy Tomaszowa, wdowa po nieboszczyku Tomaszu Szubie, już niemłoda kobiecina, oparta na kiju szła zwolna krok za krokiem wydeptaną ścieżką.

Sakwy zawieszone na plecach, torba u pasa wisząca, wyraźnie pokazywały, że chodzi po żebraninie. Wzdychała ona i ocierała łzy, ale uszedłszy kawałek drogi uciszyła się biedna wdowa, bo podniosłszy głowę, zobaczyła już starą chatkę pochyloną jak ona od lat i śniegu i deszczu, która sobie prawie na samym końcu wsi oparta o drzewo stała.

Wybiegł przed nią Jędrek, jej syn, i zamiast powitać długo niewidzianą staruszkę, krzyczał on z całego gardła:

— I długom miał jeszcze siedzieć i czekać! Niechże was licho porwie z waszem chodzeniem. Leziecie jak mucha w miodzie, a ja ledwiem się nie potargał ze złości i ledwie mię...

— Ale mój Jędrusiu, upamiętajże się! — przerwała Tomaszowa — nie dziw się, że ja pomału chodzę, boć człowiek już stary i nogi mi osłabły. Nachodziłam się po domach, aby z głodu nie zginąć, a ty jeszcze na mnie krzyczysz?... I upadła na ziemię biedna staruszka, serce w niej biło gwałtownie i łzy jedna za drugą spadały po twarzy.

Jędrek nibyto litością przejęty wziął matkę jakby jakie pomiotło pod pachy i przyprowadził do izby, kędy ją na łożu położył, a ona schorzała niedługo zasnęła.

Ale jakże okropnie było popatrzeć na tę izbinę! Ostatnia nędza zakradła się do tego samotnego kąta, nic zgoła nie było oprócz komina oblepionego gliną, łoża ze słomą, kilku na niem łachów, połamanego stołu, rozbitych szyb w oknie i kilka garków w starej szafce. Zawyje wiatr, to chata szamota się na wszystkie strony, i co tylko się nie wywróci, a gdy nastanie

ulewa, to deszcz ciurkiem leje się do izby i kałużę robi na podłodze.

A trzeba wam wiedzieć, że stary Tomasz, który już dawno odpoczywa na cmentarzu, był niegdyś zamożnym gospodarzem i mieszkał w pięknym domu obok kościoła. Ale skoro pokrzywdził na majątku swojego rodzonego brata, gdy tenże odchodził do wojska — już to widać z dopuszczenia Boskiego ogień pochłonął cały dobytek, bo na wszystkiem była krzywda braterska.

I od tego czasu nie mógł się Tomasz niczego dorobić, wszystko zniszczało zupełnie, aż nakoniec jak niepyszny musiał się w starej chałupinie, w której dawniej pasterz mieszkał, umieścić. Zaś razu jednego poszedłszy do lasu, spadł z drzewa i potłukł się tak okropnie, że niebawem zmarł w wielkich mękach.

Po nieboszczyku została na ubóstwo żona i dziewietnastoletni Jedręk. Zaś był to chłopak bardzo nieuczciwy, a przytem próżniak taki, że starą matkę, która ledwie nogi za sobą włóczyła, wyganiał na żebry, a sam zostawał niby dla pilnowania chałupy. I chociaż dobre matczysko powracało z pełnemi torbami — Jędrek zawsze ją oziębłe witał a często wyzywał jeszcze. Otoż to odwdzięczenie się za trudy i prace matczyne. Bo że to był chłopak bez serca, to o tem ani wątpić; ze wszystkiem podał się po swoim ojcu.

Już wieczór zapadł, a Tomaszowa jak spała tak spała. To też i Jędrek nie wiele myśląc rozebrał się i dalej na spoczynek bez pacierza. Raniutko, ledwie słoneczko zajrzało do chaty, wstała poczciwa matka, rozpaliła na kominie ogień i nuż gotować śniadanie, a Jędrek jeno rozwalał się na wszystkie boki.

— Jędruś, Jędruś! — zawołała — a wstańże, wstań, bo już dzień!

— A coż mi do tego! — zaboruczał jak niedźwiedź.

— Wstańże a idż po wodę — woła Tomaszowa znowu — wszak widzisz, że nie mam już siły.

— A to sobie tam idźcie! — zawołał — hę! jaka mi pani, patrzaj!

— Ej! bój się Boga — odrzekła matka — uważajże na moją starość. Ja robiłam, gdym miała siły, ale teraz widzi Bóg, że nie mogę. Na tom ja cię to wychowała, żebyś nie słuchał?...

— Czego się wam zachciewa?... stulicie!... stulicie!... ej! bo jak wstanę!... — wrzeszczał Jędrek.

— Ale mój Jędrusiu! upamiętajże się, ja cię proszę — dodała matka — tyś mię przecie powinien wyręczyć we wszystkiem, usłużyć, bo ci tak każe moja starość, moje cierpienie!..

— Ej! Chryste Zbawicielu! będziecie cicho, nie? — krzyczał Jędrek aż się rozlegało.

— Oj Boże miłosierny! zmiłuj się już raz nademną, a weź mię lub to wyrodne dziecko z tego świata, niech nie żyje na obrazę Twoją! — tak błagała Tomaszowa.

— I coż ty stara żmijo nie przestaniesz! — wrzasnął rozwścieklony Jędrek i w tem uderzył w twarz dwa razy matkę swoją.

— O rany Boskie! — wykrzyknęła Tomaszowa i w okropnym płaczu przewróciła się na ziemię — a Jędrek coprędzej uciekł od matki i nie wrócił już więcej.

Na taki płacz i krzyk pozbiegali się ludzie, co szli do roboty i obstąpili na ziemi bez sił leżącą Tomaszowę. I zaraz zaczęli się ciekawi ludzie dopytywać:

— A co wam to miła Tomaszowo? czego tak płaczecie?

A Tomaszowa ledwie zdołała na to odpowiedzieć:

— To widzicie mój Jędruś tak mi się wywdzięczył, żem go budziła, za to uderzył mię w policzek z takim zamachem, żem się aże przewróciła. I litowali się ludzie nad biedną Tomaszową, a ona jęła im opowiadać o wszystkich jego sprawkach, po czem każdy kipiał gniewem na niewdzięcznego Jędrka. I stękała Tomaszowa i wołała:

— O zmiłujcie się nademną, na miłość Boską was proszę, moi ludzie, weźcie mię do siebie, a ja za to będę wam usługiwać i modlić się do Boga za wami!

— Ej! nie zawodźcie kobieto — odpowiedzą ludzie — już my się o was postaramy.

I powstała Tomaszowa, a jeden z gospodarzy mówi do niej:

— Bóg sprawiedliwy ukarze niegodziwego syna w swoim czasie, a wy chodźcie do mnie, to ja wam już dam wszystko. Usłużycie za to przy domu albo przypilnujecie w polu i tak będzie wilk syty i owca cała.

A Tomaszowa ocierając łzy odrzekła:

— Bóg zapłać za dobre serce — ja wam wszystko robić będę co tylko zechcecie.

I zabrała się Tomaszowa z gospodarzem zostawiwszy pustą chatę na zburzenie wiatrom i ludzie się do swojej pracy rozeszli.

Ale nie upłynęło pół roku Tomaszowa się rozchorowała, nakoniec po kilku dniach słabości umarła.

Pogrzebali ją ludzie chociaż ubogo ale poczciwie, żałowali jej bardzo, bo to była dobra kobiecina.

Co się zaś z jej synem stało, posłuchajcie dalej.

Uderzywszy Jędrek swoją matkę, uciekł aż do piątej wsi i tam jakimś dziwnym sposobem dostał się do dworu za parobka do koni. We dworze powodziło mu się nie źle; państwo byli bardzo dobrzy, obchodzili się ze sługami jak się należy i pomagali im w czem się tylko dało.

Owoż niedługo zachciało się Jędrkowi chorować na pana. Zaczął nad wszystkimi przewodzić, a panu dziedzicowi donosił różne plotki na jego ludzi, co sam nazmyślał, a to tylko dlatego, aby siebie zasłonić, bo sam odemkniętej stajni odchodził do karczmy.

Pan dziedzic gniewał się na ludzi i różne powstawały ztąd kłopoty, a żaden z ludzi nie śmiał Jędrka oskarżyć, bo on się tak umiał przed panem łasić, że zdawało się, że to najlepszy człowiek. Ale dotąd dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie.

Otoż i Jędrkowi przebrała się miarka. Jednego dnia, a było to w niedzielę wieczorem, chodził pan rządca po wszystkich miejscach i oglądał czy wszystko jest w porządku. Ale jakże się zadziwił, gdy Jędrka nie zobaczył w stajni. Czekał długo, jednak widać go nie było.

Jędrek tymczasem umizgał się w karczmie do Jagusi,

córki po nieboszczyku Sebastyanie i przyobiecywał jej, że się z nią ożeni i skakał z nią obertasa i spiewał krakowiaka przybijając podkówkami:

Da moja dziewczyno, moje pocieszenie,
Dajże mi chusteczkę do mojej kieszeni,
Dajże mi chusteczkę ta z koroneczkami,
Coś ją sama szyła twojemi rączkami.
Dajże mi chusteczkę, coś ją sama szyła,
Gdzie ja się obrócę, będzie mię cieszyła!

I ani mu w głowie stajnia, ani wspomniał na pańskie konie. W tem przychodzą dworscy ludzie i powiadają mu, że pan rządca czeka na niego. Ledwie nieledwie wywlókł się Jędrek z karczmy i poszedł z nimi do dworu.

— A wolno ci to bez pozwolenia chodzić na muzykę i zostawiać odemknięta stajnię? — zawołał pan rządca.

— A czy ja byłem kędy proszę pana? — odezwie się Jędrek jąkając się co słowa.

— A hultaju! poczekaj sprawię ja ci kąpiel, że na trzeci miesiąc nie zapomnisz, drabie jeden! — krzyknął rozgniewany pan rządca — Hej bierzcie go! — zawołał na karbowego i ogrodnika.

Przynieśli go do stajni i położyli na ławie.

— A kto ci pozwolił na muzykę — pytał znowu pan rządca, podając gruby kij karbowemu — tak to poczciwi robią parobcy? I kazał mu wypalić kilka kijów, że się Jędrek zwijał i zmiłowania wołał.

Od tego czasu niepowodziło mu się zupełnie, stracił łaskę u pana, który poznał teraz jego sprawki i pochlebstwo, co się długo udawać nie może.

Jagusia odtąd, gdy go zobaczyła, wołała zawsze:

O! jaki mi ładny zalotnik, co go na ławie biją!

Na to zezłościł się Jędrek i tak okropnie zbił ogrodnika, że ten aż zachorował. Dowiedziawszy się pan dziedzic o tem, natychmiast wypędził niedobrego Jędrka, bo na cóżby się miał gryźć z takim zawalidrogą, kiedy do dobrego państwa każdy służyć pójdzie. Tak się to dzieje takim, co rodziców ani dobrodziejów swoich nie szanują.

Jędrek nasrożył oczy, jak nie wiem jaka gadzina i chociaż mógł zmiarkować, że go nędza czeka, z fantazyą odchodził ze stajni. Już to w młodości zaprawił się on do tego: męczył niech Pan Bóg broni małe zwierzątka, a że go krzyk i boleść zwierząt nie wzruszyła, wymarła litość i uczucie w jego sercu i stał się takim bezecnikiem, że rodzoną matkę odważył się uderzyć, którą kochać i szanować powinien nad życie.

I poszedł Jędrek ze dworu, ale dokąd szedł, tego sam nie wiedział, aż po długiej drodze usiadł sobie zmęczony na pagóreczku, a właśnie już pociemniało na dworze, noc była czarna, gwiazdy nie świeciły, tylko xiężyc kiedy nie kiedy wysunął się z za chmur. Teraz dopiero zaczęło mu się robić markotno, a przypomniawszy sobie całe życie, nie wiedział, co począć, bo poznał, że jest rozpustnikiem, któremu Bóg odmówił błogosławieństwo swoje i marne czeka go skonanie.

W tem daleko ujrzał światełko.

— Oj trzeba tam iść, może mię przyjmą na nocleg — pomyślał sobie i dalej puścił się w drogę.

— Hej puśćcie tam miły gospodarzu, — zawołał pukając do drzwi.

A kto tam tak pożną nocą? — odezwie się gospodarz.

A Jędrek odpowie:

— To ja! puśćcie mię puśćcie!

Na to rzeknie znowu gospodarz:

— Nikogo tu nie przyjmujemy, jesteśmy już wszyscy!

— Ale miły gospodarzyku! — prosił Jędrek — przyjmijcie mię, bo kędyż pójdę tak ciemną nocą?

I już ciekawa żona chciała otworzyć, ale gospodarz zakazał — a Jędrek znowu puka do okna, dzieci się przestraszyły, gospodarz począł kląć, a chłopak co wyglądał oknem wołał w niebogłosy.

— O gwałtu! to złodziej! jak mu się to oczy iskrzą!

— Gospodarzyku! ja nie złodziej — tylko mię noc napadła; puśćcie mię puśćcie, moi mili! — tak żebrał rozżalony Jędrek.

I dał się przecie namówić gospodarz, że przyjął Jędrka na nocleg zaprowadziwszy go do stodoły, bo w izbie nie było już miejsca. — Zaś co się z nim dalej stało, będzie opisane w przyszłym numerku.

Kolęda dla dzieci polskich.

W Warszawie wydrukowano znowu bardzo piękną xiążeczkę z obrazkami, która się zowie Kolenda dla dzieci polskich. Są tam bardzo piękne rzeczy, i różne opowiadania i spiewki i nauki. Zaś są tam także bardzo piękne rady dla dzieci, a z tych wydrukujemy wam tutaj kilka.

Otoż napisano tam tak:

Żeby się dziecko z całej nauki wyuczyło tylko czytać i pisać i nic więcej, toby nie warto było chodzić do szkoły i czasu marnować. Lepiejby było przez ten czas pomagać w robocie ojcu i matce w domu. Ale jak się dziecko przy czytaniu i pisaniu pilnie zastanawia i bierze sobie do głowy i do duszy to, czego się uczy i co czyta, dopiero wtedy prawdziwie się uczy, bo mu się rozum wyjaśnia i dusza poczuwa się do pełnienia cnotliwych uczynków.

Wtedy jedynie korzyść przynosi nauka,
Kiedy się w niej pomocy do zbawienia szuka.

Dziecko przedewszystkiem powinno poznawać Boga, uczyć się chwały i obowiązków dla Niego. Elementarz na to nie wystarczy. Trzeba słuchać o Stwórcy jeszcze mowy xiędza i nauczyciela, trzeba czytać żywoty Świętych, którzy więcej niż my poznali Boga i czytać świętą Ewangelią, w której opisane jest życie Jezusa Chrystusa przez śś. Ewangielistów. Żeby poznać Boga dzieci kochane powinny też czytywać po skończeniu szkoły różne xiążki uczciwe o utworzeniu i układzie świata i o różnych stworzeniach i dziwach, co nas na ziemi otaczają.

Każda xiążka i świat cały,
Niech nas uczą boskiej chwały,

Jak dzieci poznały dobrze tę powinność dla Boga i ludzi, i zachowują się wedle poznania swego, to się wiele nauczyły, ale jeszcze nie wszystkiego; bo się jeszcze nie nauczyły jak trzeba postępować ze zwierzętami, które Bóg stworzył dla naszej pomocy i dogodności. Dzieci powinny wiedzieć, że ze zwierzętami należy się obchodzić łagodnie. Kto bezpotrzebnie bije konia, albo wołu, głupi jest; bo konia i wołu dał nam Pan Niebieski do pomocy tylko i wyręczania nas, żebyśmy sami nie ciągnęli wozów i nie zaprzęgali się do pługów. A jak nadużywamy darów Bożych, męczymy zwierzęta i pastwiemy się nad niemi, tośmy bardzo źli i godniśmy żeby nas dręczono. Nawet żartami dzieci dobre nie biją zwierząt, bo żarty bolące nie miłe są żadnemu stworzeniu.

Dzieci nie męczcie zwierząt, bo Opatrzność święta,
Na pomoc, nie na krzywdę stworzyła zwierzęta.

Bóg tak ładnie świat utworzył i upięknił go drzewami i kwiatami i słońcem i gwiazdami, pewno na to, żeby nas zachęcał do zamiłowania piekności, porządku i czystości. Piękność, ład i porządek widzimy w tem wszystkiem, co my robimy. To też w każdym domu powinno się dbać o czyste powietrze, o schludność i porządek. Dzieci powinny siebie przestrzegać, żeby nie błocić i nie zaśmiecać izby, żeby nie mazać ścian, ani walać sprzętów. Dziewczynki powinny w lecie hodować kwiatki przy domu, a w zimie w doniczkach na oknach, stroić niemi ołtarze i obrazy. Chłopczyki powinni im powagać. Dzieci porządne nietylko powinny mieć staranie o domu, ale jeszcze i o sobie, żeby nie drzeć odzieży, nie plamić jej, ale zwykle chodzić ochędożnie, bo to zdrowo i miło dla każdego. Wody nie brak w studni. Należy się umywać i czesać nietylko z rana, ale zawsze jak się dziecko zabrudzi albo mu się potargają włosy. Dziecko porządne wie, żeby było „choć ubogo, byle chędogo“.

Czysty sprzęt, czyste ciało, w izbie czystość wszędzie,
To i przed sądem Boga dusza czystszą będzie.

RÓŻNOŚCI.

Pisanie ze szkoły medyckiej do tego, co to pisze Dzwonek. Panie pisarzu Dzwonka! Niech będzie pochwalony Pan Jezus narodzony z Najświętszą Panną, królową naszą polską, a nam wszystkim Polakom dajże Panie Jezusie wszystko dobre i szczęśliwe! Otoż piszemy wam panie pisarzu Dzwonka, żeśmy szkolarze z Medyki ucieszyli się bardzo tą kolendą, co to ją darował xiądz z Kuliszny temu Jasiowi Kostruniowi, a wyście ją wypisali do Dzwonka tak czysto i wyraźnie. My też szkolarze wyuczyliśmy się do razu tej kolendy, dobrzy ludzie nam powiedzieli nutę do niej, a my sobie uradzili tak, aby ją kolendować ludziom, najprzód naszemu dziedzicowi, xiędzu i innym, a co sobie zbierzemy za to, to my znowu tak uradzili, aby kupić mapę wielką do naszej szkoły i resztę dać biednym na papier. I tak nam pobłogosławił pan Jezus, bośmy dostali za kolendowanie i jabłek i obrazki od naszego dziedzica, a do tego złożyli nam dobrzy ludziska po kilka krajcarów i uroslo kilka reńskich z tej kolendy i będzie mapa Europy, i jeszcze zbędzie co i na papiery do pisania. Otoż dziękujemy wam panie pisarzu za kolendę, a oraz uprasza my was, abyście to wypisali do Dzwonka, ażeby drudzy szkolarze w naszym kraju polskim tak samo spróbowali zrobić jakto my sobie uradzili i zrobili.

Więcej nic nie mamy do pisania, jeno was prosimy o to, abyście i to wypisali jeszcze, że my szkolarze wszyscy życzymy wszystkim takim szkolarzom jak my, zdrowia i nauki, abyśmy potem mieli dobry rozum i nie dali się kusić nikomu do grzechu, a was panie pisarzu zostawiamy Bogu.

Szkolarze z Medyki.

Za to pisanie dziękuję ja bardzo szkolarzom z Medyki i bardzo się cieszę, że oni sobie tak pięknie i tak rozumnie postąpili. Zaś dla dobrego przykładu wydrukowałem to wszystko w Dzwonku, aby wszyscy ludzie o tem wiedzieli. Zaś teraz oddaję was panu Bogu moi mili bracia.

Pisarz Dzwonka.

Zdania.

Człowiek prawdziwie mądry, nie pogardza nikim, pobłaża każdemu, ale surowym jest dla siebie.

Panu Bogu i ludziom podobają się: zgoda między rodzeństwem, przyjaźń między sąsiadami i małżeństwo w wierze i miłości trwające.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VIII. 21. Stycznia

Nr. 3. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Starodawna kaplica.

Przejeżdżałem niedawno na odpust do Jakubowni i jechałem przez wieś Wierzbowice, a jest to wieś wielka, luda tam gęsto i dużo, dwór murowany, kościół już stary ale w porządku, zwyczajnie jak dom Boży, a gospodarze pracowici, nie pijacy i chwalą sobie xiędza i pana swego, a osobliwie samą panię i dwie jej córki, co to uczą małe dziewczęta czytać, szyć, gotować, spiewać pieśni rozmaite, a mają być dobre i pobożne jakby dwa aniołki z nieba. Jadąc od końca do końca przez te Wierzbowice zobaczyłem i dom nowy blisko plebanii i zaraz pytam się pierwszego lepszego:

— Co to za dom taki porządny i z takiemi wielkiemi oknami i gankiem?

A ludzie mi gadali.

— To szkoła nasza, tu się uczą nasze dzieci, a co niedziela uczą się tu i parobczaki i poganiacze, a xiądz z organistą czytają im tu różne historye co jeno się stanie gdzie co ciekawego na świecie. Podziękowałem ludziom za dobre nowiny i jadąc dalej zobaczyłem koło drogi kaplicę z kamieni posta-

wioną, a koło niej gruszę starą i jeszcze starszego dęba. Na przodzie kaplicy wisiała na drucie grubym latarnia, która widać świeciła się koło tej kaplicy. Ciekawy co to za kaplica, kazałem memu furmanowi stanąć, a sam poszedłem opatrzyć to święte miejsce; zaś był tam Pan Jezus ukrzyżowany, a pod krzyżem stała smutna Najświętsza Panna.

Ledwom uchylił czapczynę, a tu zjawił się zaraz staruszek jakiś, co był taki drobny i wyschły, żeby lekusienko wlazł cały do ćwierci i zmieścił się tam. Powitaliśmy się jako katoliki i Polacy i ja zaraz zapytałem go:

— Mój dziadusienku dobry! może to do was należy ta kaplica i wy tu pilnujecie?

A dziaduś gadał:

— To z dziada pradziada nasze prawowierne to miejsce i każdy gazda z tego gruntu musi podług jakiegoś tam zapisu dawnego pilnować tej świętej kaplicy i tej latarni, aby co piątek świeciło się tu w nocy światło.

Ja też ciekawy zapytałem zaraz:

— To widać musi być jakaś stara ta kaplica, kiedy z dziada pradziada należy do tego gruntu i każdy gazda dba o nią.

A dziaduś mi odpowiedział:

— Ho! ho! Jegomość, to już nie ma w całym świecie pamiętnika, coby to miał tyle lat, co ona ma.

A ja znowu poderwałem go zaraz:

— A jakże wy dziadusiu wiecie, że ta kaplica tak dawna? albo kto ją fundował i na jaką pamiątkę?

A dziaduś mi ze łzami gadał:

— O mój xiężuniu! jać to nie żył wtedy, kiedy ludzie fundowali tę mękę Bożą, ale też ci ludzie gadają rozmaicie o tym Panu Jezusie i ja też słyszał nie jedno od mojego dziadka, com go pochował dopiero 6 lat w zapusty. Oj słyszałemci słyszał dziwne rzeczy, a jeźli jegomość zechcą trochę posiedzieć i wyrozumieć mię starego, to ja też opowiem co nieco o tej kaplicy.

I ja usiadłem na kamieniu, a dziaduś poprawił sobie pasinę i koszulę na sobie, złożył ręce jakby do pacierza i pokłonił się Panu Jezusowi w kaplicy i jął rozpowiadać tak:

— Dawno to dawno Jegomość temu, jak postawiona ta kaplica, bo to jeszcze byli tu króle polscy i my chłopi należeli do króla polskiego, co to sobie siedział w Krakowie i jeździł nieraz od wsi do wsi i wypytywał się każdego wójta, co słychać nowego? czy kto nie zgorzał? czy nie zostały po kim sieroty lub biedna wdowa? czy mają kościół i xiędza? czy im kto nie robi jakiej krzywdy? oj bo to bywało wtedy jakoś inaczej na tym bożym świecie, jak to teraz się wiedzie każdemu do niczego dobrego, do biedy i potem do onej śmierci, a nieraz do zguby swej duszy. Ale co to dobrego nadawali ludziskom tacy dobrzy króle, to nieraz znowu zabierali i rabowali jacyś poganiska, i wie co Bóg zkąd to plugastwo przyłaziło tu do nas i tyle zdziwiało się nad biednym ludem.

A ja dodałem zaraz dziadkowi:

— To tak rabowali po całej Polsce tu koło Lwowa, Przemyśla, Sokala, a nieraz aż koło Krakowa, a takie niewiary, co to zwali ich nasi dziadkowie Tatarami; oj bo to byli drapieżne wilki, co nie zjedli na miejscu, to zabierali, a co nie mogli zabrać, to spalili albo w błoto rzucali — a dwory i kościoły to pierwsze zawsze palili, bo tam było co więcej brać niż u chłopa — a co to oni ludzi ztąd nabrali i wykradali.

A dziaduś zaraz mi przerwał i gadał:

— Toć niechno jegomość pozwolą mi dokończyć to i ja tu opowiem wielkie ciekawości, co to się tu u nas miało stać od tych Tatarów. Otóż widzi jegomość! raz jakoś to było w adwencie czy też już koło wielkiego postu nalazło tych Tatarów tyle do polskich krajów tam gdzieś od wschodu słonka aż z poza Lwowa i tam gdzieś od Sadogóry, gdzie to nasi krajanie po dziś idą na woły, i to psiarstwo niedobre zapełniło het swemi szkapami wszystkie łąki i pola, a brało to ludzi na sznurki jakby Boże odpuść ludzie byli psami lub bydlętami na zabicie jakie i wiązali jeden do drugiego tak, że jeden taki Tatar ciągnął za sobą i po kilkoro odartych i pokaleczonych i w ogniu poparzonych ludzi. Ej mocny Boże! co to musiało

przecierpieć to biedactwo tak powiązane na krzyż i na poprzek i pędzone o chłodzie i o głodzie i boso i prawie nago jakie sto mil dzień i noc het tam do krajów tatarskich! Ej! ej! co to z tej wsi zabrali wtedy naszych kobiet i dziewek! Powiadają że tu na tem miejscu został jeno kamień i woda i to co potrafiło uciec do lasów ot tu w góry i przeżyło tę biedę i te rabunki — i rozpłakał się na to dziaduś starenki i obrócił się twarzą ku kaplicy i zaczął wzdychać do Pana Jezusa a ja też rozpłakałem się trochę i mówię mu:

— To pewnie ta kaplica fundowana na tę pamiątkę, że kogoś cudownym sposobem uratował Pan Jezus od zaguby oczywistej i on też na wieczną chwałę postawił ją tu Panu Jezusowi.

A dziaduś otarł sobie łzy końcem rękawa i pokiwał głową i opowiadał mi tak:

— Toć to prawdę jegomość mówią, boć ta i tak było. Oto dwór i kościół i wieś na cztery rogi podpalili w samo południe i xiędza staruszka pobożnego i pana dworu, co to był ojcem tej gromady i jego dwie córki zabrali z sobą i pognali w świat daleki z dziewkami ze wsi. Oj wtedy to był tam także i mój pradziad Szymek Polaczyk zabrany i razem xiędza, pana i jego do jednego sznura związali i pognali jakby woły na targ jaki. Co to było tam płaczu potem, ha! wie to ten Pan Jezus najlepiej, boć on to widział z nieba wysokiego.

Zaś dalszą rozmowę xiędza Wojciecha z dziadowiną wydrukujemy wam w drugim numerku.

Marcin Oraciewicz.

Na rynku w Krakowie wielki krzyk i wrzawa,
Bo Moskal już miasto w swe ręce dostawa,
Na rynku w Krakowie młódź chwacka się zbiera
I hejże na Moskwę odważnie naciera.

Na rynku w Krakowie kują broń kowale,
A z armat do miasta strzelają Moskale,
I śmieją się w oczy walecznej młodzieży —
„To fraszka! wołają moskiewscy żołnierzy.“

A kiedy na mieście te rzeczy się dzieją,
Ze strachu dziewczęta, kobiety truchleją,
Wychodzi na miasto Marcin Oraciewicz,
Mieszczanin krakowski, nie żaden królewicz.

I ukląkł na rynku wzniósł dłonie do góry
„Najświętsza“ — rzekł — „Panno krakowskie chroń mury,
I niedaj nam ginąć w moskiewskiej niewoli,
Patrz Maryo jak krwawo nas serce dziś boli!“

A wstawszy, co prędzej przybiegł do kowali;
„Kul dajcie!“ — zawoła — „niech skropię Moskali!“
„Nie ma już lać z czego,“ — odrzekną majstrowie,
„Ni kawał ołowiu nie znajdziesz w Krakowie.“

Co robić? pomyślał nasz Marcin w rozpaczy —
W tem lśniące guziki przy sobie zobaczy —
I guzy śrebrzyste jak nosił przy pasie
Odrywa je snadno i rzecze: „To zda się!“

„Błogosław Maryo!“ i w swoją strzelbinę
Dał guzik miast kuli, jakoby na drwinę;
Cóż robić? kul więcej nie mieli kowale,
Więc poszedł z guzikiem, gdzie byli Moskale.

Wymierzył strzelbinę, dał ognia na wroga —
W tem raptem Moskali wielka wzięła trwoga —
I tłuszcza żołnierzy co prędzej zmykała,
Bo Marcin guzikiem zabił jenerała!

Na rynku w Krakowie radośna nowina!
Na rękach obnoszą po mieście Marcina —
„To zbawca!“ — wołają — „to zbawca Krakowa!“
I po dziś w pamięci Marcina lud chowa.

Grzela z Waszkowiec.

Sprawiedliwość Boska.

Opowiedział Józef z Bochni.

(Dokończenie).

Jędrek przewracał się na słomie, różne go nachodziły myśli złe i dobre, i tak poczęło mu się serce ruszać, że głowę z kretesem utracił. Przyszła nań nieprzytomność i wielki go sen umorzył, w którym miał takie widzenie:

Zdawało mu się niby, że już był po śmierci i błądził po różnych Bóg wie jakich tam miejscach, aż nagle spostrzega przed sobą dziwne zjawisko. Otóż zobaczył on ogromną jasność iż raziła go w oczy i nie mógł się patrzeć nawet w ową stronę. Zaś był to Pan Jezus — a suknie jego tak błyszczały, bo były z promieni słońca. Twarz jego była bardzo śliczną, ale jej Jędrek nie widział, bo był grzesznikiem.

Po obu stronach Pana Jezusa klęczeli anieli, a mieli sukienki bielutkie jak śnieg; na ich twarzach jaśniały rumieńce, a włosy to tak wyglądały jakby ze złota zrobione. I spiewali oni przecudnym głosem i chwalili Boga na wysokościach, a śpiew ich rozchodził się naokoło i weselem napełniał przestrzeń całą.

Przed tymi znowu aniołkami stał cudnej piękności młodzieniaszek trzymający w ręku gałązkę zieloną — a to był stróż anioł.

Aliści daleko, gdzie ciemno było aż strach, widać było ogień przeokropny, a w nim skakali jacyś czarni — a to byli czarci przebrzydli.

Na takie widzenie Jędrek osłupiał jak ściana. Nie długo przynoszą aniołkowie święci wielką wagę na zważenie uczynków niegodziwego Jędrka i stawiają ją naprzeciw jasności.

Nagle daje się słyszeć słodziutki głos z jasności a to Pana Jezusa:

— Aniele stróżu! powiedz mi też o sprawowaniu na świecie tej oto duszy!

— O Wszechmocny Panie! — odpowie stróż anioł — wszakże donosiłem Ci o tej duszy, co zrobiła dobrego, ale bardzo mało tego było. Wyrodny ten syn zapomniał o Tobie;

ani się modlił, ani chodził do kościoła, a co największe, ani szanował on swojej matki, nie zważał na jej starość i w gniewie uderzył ją w policzek, a tyś powiedział:

— Ze wszystkiego serca twego czcij ojca twojego, a nie zapominaj stękania matki twojej!

— Więc on nie szanował matki swojej? — spytał Pan Jezus.

— Tak Boże i Panie — on był niedobrym dla matki swojej — powiedział stróż anioł.

— Połóżcie więc jego dobre uczynki na jednej wadze — rzecze teraz Pan Jezus — a grzechy, któremi mię obraził, na drugiej.

I uczynili aniołkowie jak Pan Jezus rozkazał, ale grzechy przeważyły, bo ich było bardzo dużo, a dobrych uczynków jeno kilka.

Właśnie w owym czasie pojawiła się Jędrkowa matka, a Pan Jezus odezwał się do niej:

— Czy się tak wydarzyło, jak mi doniósł stróż anioł?

— Tak samo kochany Boże! — odrzekła matka.

I w tej chwili dał się słyszeć glos:

— Zawołajcie sługi piekielne, niech sobie pojmą tę duszę obrzydłą, kiedy nie słuchała przykazań moich!

Już aniołkowie chcieli iść zawołać czartów, gdy w tem upadła matka przed jasnością i poczęła wołać:

— Miłosierny Boże! zlituj się nad dzieckiem mojem, daj mu jeszcze czasu na odpukotowanie swoich grzechów, błagam Cię w imieniu Świętych twoich — a ja daruję mu wszystkie przewinienia.

I w okamgnieniu znikła matka — i natenczas dała się widzieć twarz Pana Jezusa, a stróż anioł obróciwszy się do Jędrka, wyrzekł:

— Pozwolił ci Pan Jezus używać jeszcze życia, idź w świat jeszcze raz i odpokutuj wszystkie twoje grzechy znosząc wszystko co cię spotka cierpliwie, inaczej zginiesz na wieki, albowiem napisano:

— Ktoby uderzył ojca albo matkę swoję, niech śmiercią umrze!

Naraz wszystko znikło z oczu Jędrka, przebudza się, a właśnie już dniało.

Zmiękczyło to bardzo zepsutego Jędrka, atoli podziękowawszy gospodarzowi za nocleg, ruszył w dalszą drogę. Koło południa przybył on do rodzinnej wioski. Widzi już znajomą górę, widzi źródełko, u którego czerpał wodę, widzi starą drzewinę, ale z chatki nie zobaczył tylko szczątki, bo ją wiatry zgruchotały.

Rozlamentował się niezmiernie, łzy puściły mu się z oczu, pocierpnął na ciele — markotno mu było i smutno.

Idzie tedy do wioski, aby się spytać o matkę i usłyszał miły dzwonek kościelny, co prawie dzwonił na południe.

Biegnie więc czemprędzej do kościelnego i błaga go, aby mu powiedział gdzie jego matka, której szuka.

— Ale mój człowieku! — rzeknie kościelny — Tomaszowa już od trzech lat nie żyje!

— Nie żyje! — jęknął a serce stanęło mu w piersi od wielkiego bolu.

— Oj nie żyje, nie! — odpowiedział kościelny.

— Gdzie leży, pokażcie mi miły człowieku! — prosił zasmucony Jędrek. I zaprowadził go kościelny na cmentarz i pokazał mu wieczny spoczynek biednej matki, co ani prostego krzyża zatkniętego nie miała.

Zrazu mówił Jędrek pacierze, potem z okropnym zamachem rzucił się na jej grób, i w tej chwili straszliwy wydał krzyk, bo sobie prawą złamał rękę.

— Gwałtu! — gwałtu! — ratunku, ratunku! — krzyczał kościelny biegnąc po ludzi.

Wkrótce naschodziło się wiele ludzi; jedni krzątali się koło Jędrka, wołającego — dobij! dobij! bom grzesznik wielki — drudzy załamując ręce rozmawiali na boku.

— Aj widzicie, tać to syn po nieboszczyku Tomaszu Szubie — mówi jeden — co to przed trzema laty wybił swoją matkę.

— I nie oczywista to kara Boża! dodał Michał Styrna — a właśnie tę rękę złamał, którą bił staruszkę.

— Bo też to był bardzo zły chłopak — rzecze stary Maciej — nigdy jak słyszałem nie chodził do kościoła i bardzo niepoczciwe prowadził życie.

A na to powie znowu kościelny:

— Nigdy to nie ujdzie zły uczynek bezkarnie, bo Bóg sprawiedliwy jak nagrodzić, tak ukarać umie.

A na ostatku rzekli wszyscy:

— Niech mu tam Bóg przebaczy! — i zaczęli się rozchodzić do domów. Zaś Jędrka zawieźli ludzie na wózku do miastowego szpitala, gdzie długie na puchliznę chorował czasy, a potem jako dziad chodził po domach bez ręki, którą pan doktor oderznął — w obdartych łachmanach, a często opowiadał dzieciom swoje przygody zaklinając ich na Boga, aby podobnie jemu nie czynili, żeby nie mieli takiego niepowodzenia jako on w tem życiu.

Dziś już Jędrek leży w ziemi — a co Pan Jezus zrobił z jego duszą, tego nikt nie wie. Jeżeli odpukutował wszystko należycie tu na świecie, to może mu Pan Jezus przebaczy — w przeciwnym razie pokutować musi na tamtym świecie.

Niechże wam służą moje dzieci te okropne zdarzenia niedobrego Jędrka za przestrogę, abyście nie szli w ślady jego, ale kochali rodziców waszych, a wtenczas będziecie mieli błogosławieństwo Boże i długo żyć będziecie na ziemi.

Zaś wy kochani rodzice pilnując dzieci waszych, dajcie im dobry przykład ze siebie, abyście tym sposobem ściągnęli ich miłość na siebie, inaczej szanować was nie będą, a za to czeka ich przykre życie, a po śmierci was i wasze dzieci może spotkać potępienie wieczne, czego wam nie życzę jako wasz przyjaciel.

Piękne przykłady.

Pisanie wójta Antka Kujawiaka do pisarza Dzwonka.

W ostatnim numerze Dzwonka jaki odebrałem przed samem Bożem narodzeniem, prosicie panie pisarzu, ażebyśmy wam

o wszystkich pięknych przykładach i czynach, jakie w kraju zdarzają się, donosili. Gdyby to każden z nas co jedzie gdzie w drogę o tem pomyślał, że Pan Bóg dał człowiekowi oczy na to, aby wszystko piękne i użyteczne widział, i u siebie zaprowadzał; że dał mu na to uszy, ażeby o wszystkiem dobrem i użytecznem słyszał, a na złe lepiej uszy zatykał; że dał na to mowę, ażeby o wszystkiem co dobre i użyteczne dowiadywał się i znowu innym opowiadał, cobyśmy wiele dobrego widzieli, słyszeli i innym opowiadać mogli. Ale kiedy to czy blisko, czy daleko jedziemy, nic nie widzimy, nic nie słyszymy, a choć i zobaczymy jakie piękne zboża, lub bydełko lub co innego w drodze, to przychodzi nam najczęściej tylko grzeszna myśl: „*o żeby to moje było*", ale nawet się nie zapytamy cóż ten robił, co takie piękne zboże lub bydełko ma, bo możebyśmy i sami to potrafili, i tym sposobem do niego przyjść mogli.

Ja, chwała Bogu, wszystko widzę i wszystko słyszę, gdy gdzie w drogę jadę, bo lubię z uczciwymi ludźmi rozmawiać; dla tego też moi sąsiedzi wydziwić się nie mogą, że im po każdej mojej podróży tyle opowiedzieć umiem.

Otóż tej jesieni przejeżdżałem przez miasteczko Cieszanów powracając z Jarosławia, gdziem odwoził jakiegoś pana z Polski na kolej żelazną, i przywiózłem piękny grosz do domu, bo mam dobre szkapięta i wóz porządny z półkoszkami; to też pan pochwalił moją jazdę, i uczciwie zapłacił. Stanąłem sobie tedy na rynku w Cieszanowie, założyłem szkapiętom siana, a potem wyjąłem z koszałki kawałek chleba i słoniny, aby i siebie cokolwiek posilić.

Tak jedząc rozpatruję się po miasteczku, i widzę piękny kościołek, plebanię, pięknemi sztachetami ogrodzone, a to wszystko takie bielutkie i schludne, że aż miło patrzeć. W tem odzywa się dzwonek na jakimś domku, i nie długo ze wszech stron idą dzieciaczki z xiążeczkami pod pachą, przechodzą koło mnie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekną, a ja im odpowiem: na wieki wieków amen. Dzieciaczki idą do szkoły. Nadchodzi mieszczan, a ja do niego: z przeproszeniem waszeci, a dawno to już u was ta szkoła parafialna?

— A niedawno — odpowie — dopiero kilka lat, ale to trywiałka.

— A kto wam ją zaprowadził? — pytam dalej.

— Ha jużcić nie kto inny, tylko nasz xiądz kanonik dobrodziej.

— Musi to być majętny xiądz, ten wasz kanonik — rzekę ja — skoro wam trywiałkę zaprowadził; bo jakoś i kościół pięknie oparkaniony, bielutki, i plebania nowa, a tak porządnie i schludnie wszędzie, że aż miło patrzeć.

— O nie są oni wcale majętni nasz dobrodziej — odpowie mieszczan — bo podobno nie mają więcej pensyi jak kancelista od Becyrku, a gruntu także nie ma do plebanii tylko ogród; ale nasz nieboszczyk dziedzic pozwolił używać kawałek piasku dworskiego xiędzu kanonikowi, a oni sobie ten dobrze wyprawili i zgnoili, to też mają z tego tyle że chleba dla siebie i dla ubogiego nigdy nie zabraknie. Już to nasz dobrodziej są gospodarz co się zowie; oni to dają przykład, co z małego zrobić można; bo gdybyście mój gospodarzu widzieli, jakie oni konie, jakie piękne bydło na tym lichym kawałku piasku utrzymują, tobyście się zdziwili; a co za pasiekę mają, to w całej okolicy podobnej nie ma. Otóż nas dobrodziej, pracując tak na kawałek chleba dla siebie, a mając jeszcze przytem obowiązki proboszcza i dziekana, nie zapomina o miasteczku i parafianach swoich. Możeście słyszeli, że przed 10 laty pogorzał Cieszanów, spłonął także kościół i plebania i budynki plebańskie, tylko same mury pozostały. Nasz dobrodziej jak się koło tego zakręcili, jak przemówili do panów, mieszczan i włościan, tak w jednym roku wszystko stanęło. Potem za jego staraniem stanął jeszcze szpital, szkoła i nowe organy do kościoła naszego. I jeszcze nie dosyć na tym, teraz jegomość sprowadzają różne xiążki, trzymają Dzwonek i Przyjaciela domowego, i zakładają czytelnią parafialną. Takich xiążek będzie już może sto, i to nasz dobrodziej rozdają do czytania parafianom, a ludziska czytają i oświecają się; i co dawniej było jak tabaka w rogu, albo jak but nie przymierzając, dziś już nie da się jakiemu zabłędzie obałamucić, co to do procesów namawiał, i pieniądze z kieszeni wyłudzał. Mamy też za-

cnego xiędza wikarego, któren się bardzo szkołą zajmuje, i bardzo pracowitego i uczciwego nauczyciela, bo jakoś nam Pan Bóg błogosławi, że wszystko co dostaniemy za pomocą xiędza kanonika, dobre jest.

Bywało nim to jeszcze szkoła trywialna stanęła, a xiędzu dziekanowi podobał się jaki chłopczyk, więc rzecze do xiędza wikarego tak: Jegomość, nie masz ani roli ani pasieki, masz więcej czasu jak ja, a więc ucz mi tego malca, aby na człowieka wyszedł. Tak mieliśmy tu piwowara który ociemniał; tą nieszczęśliwą rodziną nie tylko że opiekował się nasz dobrodziej, ale syna piwowara dał pięknie wyuczyć. Chłopca uczył xiądz wikary kilka lat, aż nakoniec gdzieś znikł; aż tu dowiadujemy się, że chłopiec jest już w seminaryum duchowienstwa i będzie za kilka lat xiędzem.

Otóż mój gospodarzu, kończył mieszczan, taki jest nasz xiądz kanonik. Już przeszło 30 lat opiekuje się nami i jest naszym ojcem i dobrodziejem. Pamiętam ja jeszcze jak tu nastał, to Cieszanów był dziczą, bo byli tacy co i pacierza nie umieli, a coż dopiero czytać i pisać. Dziś jest zupełnie inaczej, a przecież są ludzie między nami, którzy jeszcze na naszego dobrodzieja wymyślają za to, że dzieci do szkoły sprowadzać każe, i tym podobne gadki bezrozumne prawią. Ale mam nadzieję w Bogu, że przyjdą do upamiętania i błogosławić mu będą.

— Oj co będą to będą — rzeknę ja — bo gdzież znajdą drugiego takiego dobrodzieja. Ludzi takich przymierzyć trzeba do nierozumnych dzieci, które nie wiedzą co czynią; boć pamiętam, że i nasz pan dziedzic, jak mi kazał uczyć się czytać, pisać i rachunków, to nieraz wymyślałem na niego i na panicza co mnie uczył, gdyż wolałbym był się rozbijać po ślizgawce, lub gonić się z chłopcami; a nawet mój ojciec nieboszczyk nieraz mówili do pana: Proszę jegomości, a na co memu chłopcu tego, on do pługa i kosy stworzony. Ale potem co to radości było, jak widzieli, że xiędzu proboszczowi służę do mszy świętej w białej komeszce, jak im czytałem w niedzielę i święta różne ładne powieści z xiążek, jak przychodzili do mnie sąsiedzi, a ja im czytałem papiery jakie odebrali z urzędu,

lub listy od synów, co w wojsku służyli, albo też jak kto miał rachunek z arendarzem, wyrachowałem wszystko do czysta, i nie pozwoliłem żydowi oszukać sąsiada. Wtenczas to wszyscy mówili: „oj żebym ja takiego syna miał“ — a mój ojciec często sobie nieznacznie połązę ocierali, a nie mogli się panu dosyć nadziękować. Toż i ja tego mojemu panu, który mnie jeszcze jako panicz uczył, nigdy nie zapomnę, i gotowem mu za każdego szturchańca dziś jeszcze rękę pocałować, bo wiem że to na moje dobre było; a człek tego wtenczas nie rozumiał i zmiarkować nie potrafił. Zostańcie z Bogiem panie mieszczanie, bo mnie w drogę, to i czas; Bóg zapłać za wasze opowiadanie.

Otóż w teraźniejsze święta, podziękowawszy Panu Bogu za wszystko dobre w kościele, nie miałem tak dalece co robić, bo i burza na dworze była, więc też każden w chałupie siedział, i używał co Pan Bóg dał; a zaś mnie przypomniała się moja rozmowa z mieszczanem Cieszanowskim, więc spisałem ją i posyłam do Dzwonka.

Antek Kujawiak, wójt.

WŁÓCZĘGA.

Włóczęga — a ubogi —
O to przedział srogi.

Prawie już pod wieczór powracając z pola szedłem jak to mówią ze spuszczonym nosem, medytując nad tem, że to ani kropelka deszczu nie upadnie. Kiedy tak idę, aż tu na drodze wyskakując ktoś hołubce wybija. Zbliżam się pospieszniej i oczom i uszom moim nie chcę wierzyć. Bo wystawcie sobie, oto chłopak około lat 12 mający, obdartus całą gębą, prowadząc niby kalekę dziada, a łyknąwszy zapewne kieliszek, wyspiewuje na całe gardło:

Gdybyś ty mnie moja Basiu chciała,
Tęgiegobyś ze mnie kosyniera miała.

A to co? pomyślałem sobie, i pohamowawszy się w pierwszem oburzeniu, stanąłem nagle przed nim, i zawołałem: Hola mości spiewaku! jesteś tak tęgim kosynierem, że aż się Basi zalecasz, to się spróbujemy. — Aż mu rury zmiękły, gdy zo-

baczył xiędza przed sobą, nastroił zaraz okrutnie skromną minkę, właśnie jak kot, kiedy na mysz czatuje. Ale ja przystąpiłem zaraz do rzeczy i mówię mu: Przeżegnaj się! A tu on chłopak ani wie zkąd zacząć. — Powiadam mu: Mów pacierz! — a on i tego nie umie. — A no! rzekłem, kiedy ty umiesz tak ładnie spiewać, a Pana Boga chwalić nie umiesz, to cię muszę wziąć w naukę, abyś się nauczył Pana Boga chwalić, a ludzi nie oszukiwać. Ledwom te słowa wymówił, a tu obdartus uwinął się tak szybko, że mi w okamgnieniu gdzieś przepadł.

Dopiero ja zwróciłem się do onego niby kaleki dziada, i zacząłem mu prawić, jak wielką odpowiedzialność zaciąga na siebie przed Bogiem, że sam udaje niewidomego, a przytem tak młodego chłopaka psuje i kieruje na łotra. Wzdychał ci on, gdym to mówił, przewracał oczami udając skruszonego, a tymczasem raz poraz spoglądał na kieszeń, w której trzymałem rękę, spodziewając się zapewne po nauce jałmużny. Ale się chudzina potężnie omylił, bo nie tylko że nic nie dostał, ale mu zapowiedziałem, że jeżeli go jeszcze raz gdzie z tym chłopakiem zobaczę, to jego i chłopaka jako próżniaków, włóczęgów i oszustów sołtysowi odstawić każę.

Poszedł, mrucząc coś pod nosem niby pacierz, a mnie ból serce ścisnął na myśl, że tylu jemu podobnych od wsi do wsi, od chaty do chaty się włóczy, i jałmużnę z biednych ludzi wyłudza, a nawet pacierza jednego za nią nie zmówi. Chłopcy jak dęby, twarze nabrzmiałe od pijaństwa, wyuzdane natręctwo szczególnie tam, gdzie chaty pojedyńczo po polach porozrzucane, odgrażanie się, wyzywanie, oto jest pokora, z którą o jałmużnę proszą — a naśmiewanie, drwinki i pijaństwo, oto modlitwa, która idzie za daną jałmużną.

Lud nasz poczciwy, bogobojny i miłosierny, daje co może; nawet i najuboższy wyrobnik ostatnim kęsem chleba dzieli się z wyciągającym rękę w Imie Chrystusa, bo słyszy na nauce, że błogosławiony mąż, który ma wyrozumienie nad nędzarzem i ubogim, albowiem w dniu złej przygody wybawi go Pan; bo słyszy, że jałmużna uwalnia od grzechu, będąc hamulcem przeciwko grzechowi; będąc lekarstwem, żeby powtórnie nie

upaść; będąc nam pobudką do pokuty, a przytem zabezpiecza miłosierdzie Boże w dniu sądu ostatecznego. Ale jakiejże to potrzeba siły, aby się oprzeć pokusie nie dania nic, gdy widzim tyle złości w tych, co się jałmużny domagają w Imie Chrystusowe, ale wbrew duchowi Chrystusowemu! jakże to gwałtownie serce biedne bije poczciwego i pobożnego człowieka, nie mogąc sobie jasno wytłomaczyć, czy ta jałmużna, którą daje, nie da powodu do większej obrazy Boskiej!

Z tem wszystkiem Ludu poczciwy! trzymaj się św. Pawła, że lepiej jest dawać, aniżeli brać. Dawajcie więc jałmużnę, a nie oglądajcie się na osobę, bo Bóg widzi serca wasze, i za to odpłaci wam. Pijanym zaś, a szczególnie młodym, silnym i zdrowym, albo też i dzieciom, które wodzą dziadów, nie dawajcie pieniędzy, bo im przez to do łotrowskiego życia dajecie zachęty. Zasilcie ich kawałkiem chleba, lub łyżką strawy — a przytem patrzcie, czy mają przynajmniej wyobrażenie o Bogu i Chrystusie; czy umieją się przeżegnać, lub czy pacierz znają; bo jeżeli tego nie umieją, jakże się mogą na twą intencyą modlić?

W ogóle schorzałych, starych, kaleki uważajcie za ubogich — zdrowych zaś, silnych i natrętów uważajcie tylko za to, czem istotnie są — za włóczęgów, i według tego swe serce regulujcie. *Sz. N.*

Rady gospodarskie.

Obiecaliśmy wam, że w Dzwonku będzie zawsze sprawa o gospodarstwie, iż to jest rzecz dla każdego człeka wiejskiego potrzebna. Tak też będzie jak wam obiecaliśmy. Zaś najpierw iż jest zima, a niebawem zacznie się już wiosna, i roboty różne gospodarskie zaczną się, wiec o tym będzie sprawa. Rzecz to bardzo ważna, aby się znać na roli. Bez tego nie można dobrze gospodarować. Kto nie wie co posiać w jakiej roli, jak każdy grunt przyprawić i obrobić, temu też nie uda się żadne zboże. Dobry gospodarz powinien najpierw znać swoje grunta jak się patrzy, powinien doskonale wiedzieć jaka uprawa któremu należy, i jakie ziarno w każdym posiać można. Toć

każdy wie, że to nie bajka i nie mała sprawa znać się na tem, gdzie i kiedy siać ziarno. Także i ta jest rzecz, iż nie we wszystkich miejscach można jednako gospodarzyć i jednako uprawiać rolę. W niektórych wsiach jest grunt tłusty i piękny co się zwie; indziej sucha glinka, indziej znowu kamienie, albo moczary, albo wyparzeliska. Gospodaruj że tu jednako, a dopiero zobaczysz jak ci się uda.

Rola moiściewy to nie fraszka, a znać się na niej dobrze to rzecz nie mała. Długo trzeba pracować, długo próbować, nim człek trafi na dobrą racyę. Przeto prosiłem ja różnych starych gospodarzy, aby mi powiadali jak gospodarują, i aby mi spisywali dobre rady gospodarskie. Dobrzy ludziska przystali na to, i tak mam już różne nauki, a także i z mojego doświadczenia nie jedno wam opowiem.

RÓŻNOŚCI.

Nieszczęście we Lwowie. Niedawno zdarzyło się we Lwowie wielkie nieszczęście, bo się jednej nocy zwaliła kamienica, i kilkoro ludzi zginęło. Lament był wielki i zbiegowisko ludzi, aż tu rano zaczyna się walić druga kamienica. Przyszedł urząd, zamknął kamienice, i zaczęto wywozić rumowiska. Za trzy dni znaleziono jeszcze troje ludzi, a jedna dziewczyna była jeszcze żywą, reszta podusiło się. Dziś jeszcze widać one zwaliska, bo wszystkiego nie można było uprzątnąć.

Piękny przykład. Pisałem wam niedawno moiściewy, iż w Czechach są ludzie bardzo chętne do nauki, i że tam lud wiejski już bardzo rozumny i uczony, a także dobrze się ma z onej racyi. Otóż piszą teraz po gazetach, iż w Czechach i na Morawie nietylko zakładają ludzie szkółki i kupują sobie różne xiążki a gazety do czytania, ale iż sobie wynaleźli jeszcze jeden sposób do nauki i dobrej zabawy. Oto po miasteczkach i po wsiach zakładają tam gospodarze czytelnie, więc na to mają izbę dobrą, gdzie może wiele ludzi zejść się razem, a w tej izbie za wspólne pieniądze są xiążki i gazety. Wieczorem po pracy, w święto i niedzielę, schodzą się ludzie i zabawiają czytaniem. Każdy daje na to małą opłatę, bo tylko 10 krajcarów, a nauki i zabawy ma dostatek. Zaś piszą iż to sami gospodarze zakładają takie czytelnie, a nie panowie albo xięża, i sami wieśniacy proszą u urzędu o pozwolenie. A czyż to nie dobry przykład, powiedźcie sami, i czy nie warto czynić tak samo?

Wydawca odpowiedzialny: E. Winiarz.

Tom VIII.

1. Lutego

Nr. 4.

1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Starodawna kaplica.

(Dokończenie).

A ja spytałem zaraz dziadka:

No! i cóż się stało z xiędzem, panem i waszym pradziadkiem Szymonem?

Na to dziadowinka rzecze:

Widzi Jegomość, jak to popowracały dzieci i wdowy i pani dworu do domu z lasów, jak to zaczęło wszystko ryczeć, po ziemi się talać z żalu i poginęły dzieci z żalu za matkami i ojcami swemi i wtedy zeszli się starsi ludzie i nuż rada w radę, co tu robić bez xiędza i pana? Kto się pomodli za nas, kto na sąd boży przygotuje? a kto pomoże i poratuje w biedzie i poradzi na dobre i do króla przemówi za chłopkami? i wybrali trzech z gromady, aby oni poszli szukać xiędza i pana i jego dzieci i innych tam do Tatarów i ci też poszli. A tu mija rok, a ich ani słychu ani dychu — mija drugi rok, już gromada stawiała kościół, bo król dał pieniędzy na to, już i dwór postawili jaki taki i chłopi pobudowali sobie chałupki, bo się panowie i inne gromady na to składali, a król nadesłał pięć garcy

pieniądzy dla nich, a tu ani dudu o naszych posłach. Aż dopiero na trzeci rok zjawiło się jeno dwu z tych posłów, bo trzeci został tam zafantowany dopóki nasi nie nadeszlą pieniędzy na wykupno xiędza, pana i innych.

A ja się odezwał na to:

I cóż też mogli oni opowiadać o tamtych biedakach?

A dziaduś mówi mi:

Oj Jegomość! Jegomość! toć ci Tatary mieli przykuć xiędza i pana i innych do jednej sztaby żelaza za obie ręce i tak ich trzymali, ale jak nasz jeden poseł dał się także okuć dobrowolnie za xiędza i pana swego, to dopiero wtedy wolno było im jedną ręką ruszać i dopiero wtedy mogli się choć sami wody napić i zjeść co im kto podał, albo się przeżegnać i podnieść choć jedną rękę do wysokiego nieba do Pana Jezusa o miłosierdzie jakie.

A ja dodałem na to:

Widzicie dziadusiu! jacy to byli ludzie dawno po wsiach; xięża ginęli za owieczkami, panowie szli na wojnę i mękę za gromady swoje, a gromady stały o xięży i panów jakby za ojcami swymi bo też xiądz i pan to ojcowie na wsi — xiądz dobry to ojciec bo prowadzi duszyczki do nieba na wieki i uczy o Bogu, a pan dobry to także ojciec, bo radzi, ratuje, pomaga i jako rozumny broni praw gromady, bo on najstarszy w gromadzie. A gdzie to teraz tak się dzieje? gdzieby teraz gromady stały tak o kościoły i dwory, żeby ludzie poszli na koniec świata szukać xiędza i pana swego? Ale mówcieno dalej, bo to i na mnie czas wielki jechać na odpust.

Dziaduś odetchnął i gadał dalej:

I widzi Jegomość! jak wrócili do nas ci ludzie i opowiedzieli nam o tej biedzie, to też nie pozostało tak i nie skończyło się jeno na samym płaczu i żalu, boć zaraz poszli ci gazdowie do króla do Krakowa, a tenci wysypał im pełny kapelusz dukatów, potem szli od dworu do dworu, od plebanii do plebanii, od wsi do wsi i wszędzie zbierali pieniądze na wykupno tych biedaków od Tatarów i tak zgromadzili coś sta i coś jeszcze więcej jakie tysiące i znowu poszli do Tatarów het gdzieś aż za Sadogórę i patrzcieno dobrzy ludzie! wydobyli

z biedy tych naszych nieboraków! Oj co to musiała być za radość na wsi, jak wrócił na plebanię xiądz staruszek i pan i dzieci jego i chłopskie dzieci?

A ja się zadumał nie mało na to gadanie i mówiłem dziadkowi:

Toć to pewnie gromada postawiła tę kaplicę na pamiątkę dla nas, abyśmy dziś rozpowiadali sobie jeden drugiemu o dawnych ludziach i abyśmy tu dziękowali panu Jezusowi i Najświętszej Pannie za opiekę nad biednym ludem, toć pewnie i ta latarnia świeci się co piątek na to, aby każdy przechodzący tędy pomodlił się i dowiedział o dawnych czasach.

A dziaduś na to kiwnął siwą głową i dodał:

A jeno że tak samo, jak Jegomość mówią, jeno starzy ludzie gadają, że tu na tem miejscu witała gromada cała swego xiędza, pana i swoich krajanów, co wrócili wtedy z tej strasznej biedy i tu stanęła ta kaplica, ale wie to Bóg, jak dawno ona tu stoi. Jeno nasz pan gadał mi, że tu gdzieś na ścianie stoi coś popisane, ale ja tam nie rozumiem czytania, jeno robię swoje i pilnuję tej kaplicy, bo to obrona mej chałupiny i chwała Boża dla mnie grzesznego człowieka.

Ja wstałem zaraz z kamienia i poszedłem szukać po ścianach kaplicy owego napisu i znalazłem rok niewyraźny 1286, i mówię dziadkowi:

Oj dziaduniu! dziaduniu! wiecie wy przez ducha świętego ile to lat temu, co wy tu gadali?

A on popatrzył na mnie i słuchał, a ja mówię:

Toć to już blisko 600 lat stoi ta kaplica — i widzicie był królem polskim wtedy w Krakowie Leszek Czarny, a wtedy to byli tu Tatarzy jakie trzy razy w krótkim czasie, a w tym roku, jak wy mi gadacie, zabrali oni samych dziewek jakie trzydzieści tysięcy z naszych krajów i wtedy to zabrali oni waszego xiędza, pana i tyle ludzi i wtedy to porobiło się to wszystko, jak u was starzy ludzie do dziś opowiadają o tem.

I zeszło się potem do tej kaplicy dosyć ludzi z Wierzbowic, a ja im też opowiadał na nowo to wszystko i dodałem jeszcze, że ten polski król Leszek Czarny królował 10 lat w Krakowie, że był to król dobry i ojciec dla gromad, że

miał biedę z tymi Tatarzyskami, bo mu ciągle leźli na kark i trapili mu ludzi i palili całe gromady, że do tego był głód wielki i powietrze straszne po tych Tatarach, a jak on pomarł, to była bieda w Polsce przez jakie 6 lat, bo on nie miał dzieci, jeno został po nim młodszy brat, Władysław mały czyli Łokietek, a ten dopiero porobił porządki po gromadach polskich. A gdym to powiedział, prosiłem ludzi, aby się modlili za duszę tego króla i tych, co poginęli od Tatarów, i uklękliśmy razem wszyscy i zmówiliśmy wieczne odpoczywanie za nich, a ja potem odjechałem. A wam też moi bracia i gromady piszę o tem, o czem ja się przypadkiem dowiedział, abyście i wy też wiedzieli o tej kaplicy i rozumieli, jak to bywało dawno z ludźmi na tej ziemi, i jacy to byli króle i xięża i pany i gromady całe i abyście wy też dziś tak dobrymi i poczciwymi byli. *Xiądz Wojciech z Medyki.*

Modlenie kłosków.

Powiedźcie proszę matulu moja,
Czemu ptaszyna śpiewa w zdroju?

Ptaszyna pacierz mówi dziecino,
Modli się Bogu, a spiewem ino,
Bo ptaszek mówić nie umie składnie,
Więc się spiewaniem modli tak ładnie.

Matulu moja powiedźcie jeszcze,
Dla czego zboże w polu szeleszcze,
I wciąż się chyla do ziemi kłosem?

O dziecię moje, bo przed niebiosem,
Przed panem Bogiem co mieszka w górze,
Każde stworzenie chyla się z cześcią,
Więc ludzie, ptaszki, zboże i róże,
Z pokłonem kwiaty wszystkie szeleszczą.

A tak się z niemi dzieje za młodu
Jak z dziećmi, tyle z niemi zachodu.

Zboże maleńkie nie wie co trzeba,
I prosto główką patrzy do nieba,
I panu Bogu się nie pokłoni,
Zaś bezrozumne są jeszcze oni.

Dopiero wietrzyk jak dobra matka
Nachyla główkę zboża i kwiatka,
I mówi: kłosku chylaj powoli,
A Bóg ci za to wyrość pozwoli.
I które zboże pięknie się chyla,
To też urośnie wielkie, ot tyla,
I w kłosie miewa ziarnek pełniutko,
I już się kłania zawsze cichutko.
Zaś kiedy zboże nie słucha które,
I główkę prosto podnosi w górę,
To takie bywa puste, bez ziarna
I już z takiego rzecz bywa marna.

Otóż pamiętaj dziecinko moja,
Niech będzie dobra modlitwa twoja,
A pan Bóg urość tobie pozwoli,
I będziesz miało szczęścia do woli.

Pamiętaj także byś grzeczne było,
I abyś główkę skromnie nosiło,
Bo tylko puste kłoski wystają
W górę, a puste ziarnek nie mają.

Skarb zaklęty.

Było to w niedzielę. Dopiero co tylko dnieć poczęło, kiedy w izbie młynarza Gazdy gorzała świeczka na stole i już się krzątali. Młynek Gazdy leżał nad samym krańcem Siewochy, a teraz właśnie dla wielkiej suszy był stanął. Toć dziwnie wygląda owo ranne krzątanie się w chacie młynarza, kiedy Gązda nie potrzebywał czuwać w młynie a jeszcze więcej, że to był dzień niedzielny. W izbie był młynarz, jego żona Jagna i urlopnik *Johann*, jak się sam nazywał, luboć go Jonkiem zwano po ludzku.

— Mężu mój, mężu! odezwała się z żalem Jagna — czy chcesz zostawić sieroty po sobie — patrzże na to biedactwo!

— Ej *kuda* — odrzekł urlopnik — ktoby w to wierzył, co chamy gadają — ja *szyćko* znam lepiej — wszakże byłem w świecie, dużo rzeczy widziałem, ale *tajfla* nie widziałem nigdzie. *Jo jo* wierzcie mi Gazdo — ja wam za szyćko stoję.

— Ależ mój mężu — błagała Jagna ze łzami — toć tobie milsze jest życie, aniżeli ten skarb przeklęty!

— Et, co znowu — mówił urlopnik dalej — kiedy można mieć i życie i pieniądze, a *tajfli* w dzień spią — oni nam teraz nic nie zrobią.

— Prawda, prawda, odezwał się wreszcie Gazda, lubo znać było, że strach siedział mu już na plecach.

— Tylko odwagi! odwagi! wołał urlopnik a będziemy...

— Będziemy mieć skarb — dokończył młynarz i oczy obom zaiskrzyły się z radości. Teraz za nic już były wszystkie prośby i błagania biednej Jagny — młynarz postanowił usłuchać urlopnika i poszedł za nim.

Zaraz za wsią na małej górce były rozwaliska starego zamku; na mil kilka w okolicy widać je było — a lud dziwną opowiadał sobie o nich gadkę. Powiadano, że za bardzo dawnych czasów miałci tu jakiś pan bogaty zbudować warowne zamczysko. Osiadłszy w niem na starość stał się on odszczepieńcem od wiary Chrystusowej a zapisawszy duszę swoją czartom zostawił im po sobie wielkie skarby.

Otóż gadka prawi — że i teraz jeszcze mają czarci, gdzieś w piwnicach zamkowych siedzieć na tych skarbach — a pijani lub lękliwi i dziś jeszcze słyszą spiewy, muzykę głośną i tańce djabelskie i różne a różne dziwa w pośród rozwalisk, zaś wszystko ucicha i konczy się — kiedy kur na północ piać poczyna.

Temuż omijają wszyscy stare zamczysko a matki straszą płaczliwe dzieci djabłem co na skarbie siedzi.

Otóż to tutaj wybierał się urlopnik z Gazdą ażeby znaleźć skarb zaklęty.

Słonko już dobrze było na niebie podeszło, zanim obaj wyruszyli w drogę. Młynarz niósł dwa rydle — a urlopnik

ciężki, długi świder i dwu korcowy wór pod pachą. Wyszedłszy zaś z chaty szli oni różnemi manowcami — bo juści, że na prostej drodze mógł ich kto łatwo zdybać czego żaden z nich nie chciał. Manowcami była droga daleko dłuższa, lecz im się więcej do zamczyska zbliżali, tem bardziej zaglądał strach obom w oczy, nawet już i *Johann* nie miał tej odwagi, którą tak wojował w izbie Gazdowej.

— Ja się czegoś boję — mówił młynarz.

— At pleciecie głupstwa—odrzekł urlopnik, choć także trząsł się ze strachu.

Wydrapali się wreszcie na górkę i już byli blisko zamczyska — młynarz ledwo co włókł nogi za sobą — a urlopnik także zwolnił kroku.

— Gdybym był wiedział — zawołał znowu młynarz — że tu tak straszno, byłbym się wyrzekł wszystkiego.

— Nic nie pomoże! odpowiedział urlopnik i ująwszy bladego ze strachn młynarza za rękę zeszedł z nim na dół, do piwnic zamkowych.

Zęczęli więc szukać tutaj; przetrzęśli wszystkie zakamarki, zwiércili i skopali całą piwniczną ziemię — a skarbu, jak nie było tak nie było.

— A co, gdzie skarb? pytał z wyrzutem Gazda urlopnika.

Lecz nagle dał się słyszeć stukot jakiś w pobliżu.

— Słyszysz?! zawołali obaj na raz.

— To djabły!.. krzyknął urlopnik.

— Jezus — Marja! ratunku! uciekajmy! — zawołał młynarz i obaj prędko się wymknęli i weszli w wąską ciemną sień, która szła wedle całego dołu piwnicznego środkiem. Ale stukot wcale nie ucichał, lecz coraz był głośniejszy i bliższy.

— Gwałtu!!. ratunku! krzyczeli obaj umykając przed goniącą marą. Raptem tuż za sobą usłyszeli przeraźliwy pisk i równocześnie przesunęło im się coś pomiędzy nogi. Urlopnik powalił się na ziemię jak długi — a młynarz usiadł na *stracha* jakby na konia i uchwycił się sierści zprzodu, gdyż sierść miał na sobie mniemany djabeł.

— Gwałtu! ratunku! djabeł mnie porwał i unosi — krzyczał biedny młynarz, a mniemany djabeł umykał z młynarzem

i piszczał przeraźliwie. Wyniósł go wreszcie na świat, lecz tu już nie miał on więcej siły trzymać się na swoim wierzchowcu — a blady jak ściana i bez przytomności powalił się na ziemię.

— Pan młynarz na wieprzu!. cha... cha... dały się słyszeć głosy i wiele ludu przybiegło na pomoc powalonemu.

— Mężu mój — zawodziła Jagna, która tu także była i gorzko płakała nad młynarzem, co jak kłoda leżał bez życia.

Zaczęto cucić młynarza, gospodarze czynili co tylko mogli, lecz Gazda leżał ciągle jakby trup na ziemi — i ledwo co tylko znaki życia dawał. Dobra zbiegła chwila i słonko w południe już stanęło — kiedy młynarz zaczął się ruszać i przychodzić pomału do siebie.

Zdziwi was to moi mili — skąd raptem wzięła się tutaj Jagna z tyla ludem? Otóż cała sprawa była taka. Skoro tylko Gazda i urlopnik wyruszyli w drogę drugiemi drzwiami, pobiegła zasmucona żona do wsi, ażeby zwołać ludzi na ratunek. Ledwo co tylko z poczciwymi ludźmi zdążyła na górkę, kiedy raptem ujrzano młynarza na wieprzu karmnym Piotrowej wyjeżdżającego, jak by na koniu z rumowiska. Świnie sielskie ryły sobie tutaj często i właśnie przypadkiem zabłąkał się do wnętrza zamczyska wieprz Piotrowej teraz — kiedy młynarz poszedł szukać skarbu.

— To oczywisty dopust Boży — odezwał się Bruzda stary kmieć z Lewochy — kiedy już żadnego nie było niebezpieczeństwa o życie młynarza.

— Widzicie — mówił on dalej — teraz otworzyły nam się wszystkim oczy i widzimy jasno, jakie to są djabły na świecie.

Wierzcie mi ludzie — wszystkie o nich baśnie podobny miały początek. Pytam się was wszystkich — powiedzcie mi szczerze, jak całkiem inaczej wydawałaby się nam cała ta przygoda Gazdowa, gdybyśmy ją byli na własne nie widzieli oczy? Młynarz prawił byłby o djable, którego na własne widział oczy — a całe sioło, ba nawet cała okolica z rozdziawioną gębą słuchałaby tej opowieści i jak w Boga w nią by wierzyli! Czy nie tak ludzie mili?

— Tak — tak — zawołał ktoś z gromady.

— Święta prawda — mówił drugi.

— Niechcę ja winić Gazdę, mówił Brózda dalej, iż on by chciał był nas okłamać; broń Boże i on był by jak najmocniej przekonany, że nie na wieprzu, jeno na szatanie wyjechał z zamczyska. Niema djabłów na świecie — a tylko z bojaźni bywają o nich gadki. Otóż macie dobrą naukę z całej tej przygody! Bóg ukarał chciwość a nam wszystkim otworzył oczy, żebyśmy już raz przejrzeli!

Święte wasze słowa! — wołali wszyscy i odtąd nikt już w baśń starą nie wierzył. Gazda i urlopnik, którego wynieśli poźniej z zamczyska gospodarze, długo odchorowali przeprawę z wieprzem a wyzdrowiawszy nie byli już chciwymi. Zaś urlopnik przestał nawet przezywać się Johanem od tego czasu.

Długoć ze śmiechem rozpowiadano sobie w Lewosze i całej okolicy o Gazdowym wierzchowcu, aż oto i ja posłyszałem historyę, i spisuję wam moi mili bracia na naukę i na zabawę. A najpierw żebyście poznali jak to brzydko być chciwym i pragnąć lekkim sposobem grosza. Pan Bóg najlepiej wie co komu potrzeba, i tyle dał każdemu ile on potrzebuje. Dał także Pan Bóg ludziom sposób na uczciwe zarobienie majątku i dostatku, ale na to trza pracować. Rzecz to djabelska iżby byle jakim sposobem bez pracy przyjść do dostatków, i dla tego też wszystkie skarby znalezione od djabła przychodzą i na złe idą człowiekowi, jak prawi przypowieść. Głupi urlopniczysko, co się ta nasłuchał bajek różnych od ludzi, chciał na złe poprowadzić młynarza, który także głupi że go posłuchał. I otóż zarobili na wstyd i pośmiewisko u ludzi. Dzięki Bogu że im to przynajmniej na dobre wyszło.

Grzela z Waszkowiec.

Co do waszego zdrowia pomaga.

A to moi kochani, pamiętajcie sobie, że nic tak zdrowiu waszemu nie szkodzi, jak kiedy człek w wielkiem niechlujstwie i nieochędożności żyje, a co się to u was moi ludkowie

po chałupach bardzo często przytrafia. Ale może powiecie: „że to u nas bieda, to nie można porządku zachować“.

Oj nieprawda moi kochani, i najbiedniejszy człek może być ochędożny; bo czyż to dla biednego nie ma wody, aby się co dnia jak się patrzy umył, uczesał, a w jakiś czas, cały w wodzie zanurzył? Wody przecie i najbiedniejszy nie kupi, a ona się tyle do naszego zdrowia przyczynia.

To też wy moje matki dajcie na to pozór, aby wasze dzieci były co dnia myte, uczesane, na to nie trza majętności, a to się wiele do zdrowia przyczyni.

Albo na ten przykład, wejdziesz nie do jednej chałupy, a tam śmiecia, co nie raz na wiosnę jeszcze adwent pamięta; a czy ci też to bieda przeszkadza, zamieść sobie co dnia ślicznie, pięknie w chałupie i przed chałupą? — a i to ci wielką pomocą do zdrowia, bo widzicie ludzie moi, że gdzie śmiecie, nieczystość, tam nie ma zdrowego powietrza, a ztąd różne niemocy na ludzie, a osobliwie na dzieci przychodzą.

O ten porządek, to szczególnie kobiety wiejskie starać się powinny, a strzedz się niechlujstwa jak grzechu. Dla tego muszę wam też tu powiedzieć gadkę o jednej kobiecie, co jej się taka niemiła stała okazja, i we wielką szkodę popadła, za to, że była nieochędożna plucha.

Otóż to tak było: W pewnej wsi, gospodarz rzecze jednego dnia ku wieczoru do swojej:

Słyszysz Magda, trza pono będzie jutro na jarmark pognać naszą krasulę; zanosi się na przednowek nielada, człek się Bożą manną nie obędzie, i do tego karmy nie ma, bydlęta się do wiosny nie przeżywią. Szkodać prawda krasuli, boć ta jeszcze kapkę mleka daje, ale znowu lepiej ją pozbyć niż boczulę, bo ta młodsza; a miał by się człek we dworze bez ustanku naprzykrzać, i tak się tam już jaką ćwiartkę winno; albo Panie odpuść u żyda pożyczyć, co by ci może od kilku ryńskich i trzecią część pola nie wagował się wziąć, toć lepiej sprzedać krasulę, i kupić sobie po ćwiartce zboża; odda się podatek, bo już Sołtys trzeci raz przysyła — i będzie człek spokojny. Ale wiesz ty co Magda? — rzekł znów gospodarz, do miasta kawałek, musimy wyjść przed świtem: śniadanie

warzyć, nie byłoby czasu, to rozpal na nalepie, i upiecz kilka placków; masz tam pono jeszcze trocha żytniej mąki, przymiel garstkę owsa, i zagnieć razem. No i zrobiła Magda do razu, co chciał gospodarz, i zanim legli spać to już placki były gotowe, i krasula miała założone w żłobie, bo Magda była niby nie zła baba, i robocza, tylko że straszna płucha, o czem się zaraz dowiecie.

Jak zarobiła placki, i jak sobie ręce ciastem oblepiła, tak jej ani nie przyszło na myśl, żeby się umyć; położyła się z takiemi rękami, a wstawszy przed świtem, gdzie jej też tam to było w głowie, aby się umyć. Ogarnęła się niby z wierzchu, wzięła swiąteczną przyodziew, ale umyć się, że była niechluja, to jej się już nie chciało.

No i pojmali krasulę, ta i pędzą oboje, i nie wysoko jeszcze słonko było na niebie, kiedy doszli do miasteczka, i stanęli na krowiem targowisku.

Choć to już było na przednowku, ale jakoś jeszcze bydło popłacało, i kupców było dosyć. Kręcą się rzeźnicy i żydów jak by nasiał, wszędzie ich pełno; ot jak to po naszych jarmarkach.

Nie jeden już otargował krasulę; wreszcie mąż Magdy rzeknie: Zostań że tu przy krowie, a ja pójdę na drugi koniec i przypatrzę się jeszcze lepiej; może trza się i zgodzić, i wziąć 30 ryńskich aby ku południowi bydło nie spadło, a jak by ci kto tym czasem mało wiele nad 30 ryńskich nadłożył, to weź.

Nie opodal od nich stał jakiś polewacz jarmarczny, hultaj widać bity; ubiór jego niby rzeźnicki, niby z waszecia, zamawiał trocha z niemiecka, jakby żyd, ale to nie był żyd, tylko któż ta wie jakiej religii; otóż on dosłyszał, jak gospodarz nazwał swoją Magdę, jednym rzutem oka przepatrzył kobietę jaka jej chyba była, i jak on z tego będzie miał sposób wywieść ją w pole.

I nie wyszedł jaki kwadrans, jak gospodarz odszedł, zbliża on się do Magdy, która go dotąd nie widziała, i rzeknie: pani gosposiu, pani Magduś, ja sem tu przyszedł abyście mi oddali waszą krowę, com dopiero był kupił od waszego pana gospodarza; — a że on się tam gdzieś w urzędzie zatrzymał

to mi kazał pójść tu do was, i wziąć krowę, za którą mu aże 31 ryńskich zapłaciłem; i jeszcze bo on was przecie gosposiu *recht sehr* kocha, to nie chciał sprzedać krowy, póki mówił, jego kobiecie na piękny czepiec co nie dorzucę. I dla tego ja wam tu pani Magduś tego ślicznego cwancygierka, z Matką Boską, podaruję.

Ale — odrzekła kobieta, której choć się oczy na widok pięknego cwancygierka zaiskrzyły z radości, czegoś się przecie wagowała tak od razu oddać krowę nieznajomemu przelewaczowi — tylko panie kupiec ja was nie znam, co może mój — będzie się gniewał, jak bym wam bez niego krowę oddała?

Zaraz widać, odrzekł przelewacz, że to u was mądra głowa, — i żeby was nie prędko kto w pole wyprowadził, — gospodarz się też tego spodziewał i dla tego kazał powiedzieć, że ta jego kobieta, co tę krowę, tę krasulę trzyma na postronku, zowie się Magdusia, a poznam ją mówił, bo ma całe palce ciastem oblepione, co je na prędce zapomniała umywać; a zkądże by ja to wiedział, jak nie od niego?

Zaperzyła się trochę kobieta, bo jużcić prawda, że miała palczyska zaciaszczone po samą dłoń; ale sobie myśli: prawda, mój musiał mu to powiedzieć, bo zkądże by mu zaś przyszedł taki koncept do głowy? — ta i wzięła krowę za postronek i oddała przelewaczowi, porwawszy z radością białego cwancygierka, z którym pobiegła w rynek, myśląc sobie co wszystko za niego nakupuje.

W jakie pół godziny, spotyka swojego. — A cóż rzecze gospodarz, dużo ci nadłożyli, nad 30 ryńskich, — i któż kupił krasulę, czy Maciej rzeźnik, czy ten pan Ekonom, co ją najpierwej targował? Ej zalękło się serce Magdy na tę mowę, ale jeszcze w sobie myślała że gospodarz kpi. Ale gdzie ta, nie było kpin, bo Magda przez swoje niechlujstwo straciła krowę — i jak kamień w wodę, tak złodziej przelewacz przepadł z krową; a wszystko tylko Magda swojej głupocie i niechlujstwu przypisać sobie musiała, że za cwancygiera pozbyła krowę. — A tu miły Boże w chałupie nie było już ziarnka; ni podatku czem opłacić, ni co: dopiero by się im przez tę

okazyję była bieda dała we znaki, i byliby może musieli i ostatnią krowinę pozbyć, żeby nie dwór, co jak się o tem dowiedział, to się zlitował nad nimi, i ratował ich w biedzie.

Ale Magda, ta długi czas nieszczęśliwa była, nie śmiała się nigdzie pokazać, bo się z niej całuśka wieś naśmiać nie mogła, i prześmisznie ją przezywano; — tylko zaś za to na potem poprawiła się bardzo, i była najporządniejsza gospodyni we wsi — a i inne kobiety miały z tego naukę, i nie byłyby już nigdy wyszły nie ochędożne, i nie umyte z chałupy.

Ale na cóż tu czekać, aże kogo szkoda rozumu nauczy — lepiej być mądrzejszym od razu.

Pamiętajcie sobie więc moje gosposie wiejskie często na tę Magdę, i starajcie się, aby w waszych chałupach i koło was zawsze czysto i ochędożnie było. *Ludka z Myślenic.*

Rady gospodarskie.

O pługu.

Nie ma gadania o tem, że pług to rzecz najważniejsza dla gospodarza. Bez pługa niema całkiem gospodarki, bo kiej niema czem ziemię rozruszyć, to niema także gdzie posiać ziarno; zaś bez ziarna, bez siewu niema żniwa, a co mi to za gospodarka bez żniwa. Otóż bardzo ważna sprawa jest pług i oranie. Od pługa i od dobrego orania wiele zależy, czy będzie zboże piękne a czy nie. Nieurodzaje często ztąd przychodzą, że orka kiepska, zaś oranie najczęściej złe dla złego pługa. Nie raz ma człek grunt piękny, umie orać doskonale, ma i pług i doskonały zaprząg, a przecieć podziubie ziemię tak, że i chwasty nie chcą na niej rosnąć. I pyta potem: Moiściewy ludzie, zaś jaka temu przyczyna, a toć chyba uroki i czary jeno a nic inszego. Tymczasem uroków i czarów niema, jeno jest płużysko kiepski, że ino w piec z nim a nie do roli, i od tego cała przyczyna złego. Zda mi się przeto moi mili, że nie zawadzi pomiarkować sobie dobrze, jaki pług być powinien, i jaki jest najlepszy.

Dobry pług powinien ziemię nietylko krajać jak należy, ale także i przerzucać. Jużci jednakowo nie można orać każdej

roli; czasem trzeba głębiej, to znowu płytko, jak gdzie grunt jaki. Zaś można tak pług urządzić, aby wedle potrzeby orał i płyciej i głębiej, a jak to zrobić, będzie potem napisano. Zaś każdy pług powinien krajać ziemię prosto, bo wtedy skiby same się przewracają i lekko idzie pług, a chudoba niema mitręgi. Owoż dobrze na to trzeba uważać, aby pług krajał ziemię prosto, bo inaczej i bydlęta zamęczysz, i podłubiesz rolę jakby na kpiny.

Każdy z was moi mili wie dobrze, jak pług wygląda. Jużcić o tem powiadać wam nie potrzebuję, ale nie zawadzi zmiarkować, jaka to powinna być każda część pługa, i jak on cały powinien być złożony, aby był dobry. Otóż najpierw chodzi tu o lemiesz. Najlepszy lemiesz jest dobrze kończasty, a w tyle gruby i silny, zaś szeroki bogdaj na dziesięć cali. Lemiesz taki dobry do ziemi tłustej, glinkowatej i czystej; zaś do kamienistej nie zdał się na nic. W kamieniach lemiesz szeroki albo się złamie, albo tak pomęczy bydlęta, że ci popadają przy pługu; więc do takiej ziemi trzeba wązkiego lemiesza, aby nie miał więcej jak sześć cali szerokości.

Druga rzecz przy pługu jest krój, który idzie przed lemieszem, i ma skibę krajać od niezoranej ziemi.

Dla tego stoi on do brózdy nieco ukośnie, i ziemię więcej pruje, niż kraja. Pługi w krajach piasecznych nie mają i nie muszą mieć kroja, tem więcej potrzebują go zaś ziemie ciężkie, iłowate a bardzo trawą zarosłe.

Odkładnia albo odwalnica, trzecia część pługa, jest deska ku samemu lemieszowi przybita, a ma po prawej stronie lemiesza ziemię krojem nakrajaną i lemieszem poderznięta i podźwignioną odrzucać w prawo i wcale przewracać, przy tem też jak najbardziej pokruszyć.

Nasad czyli płaz jest ta część pługa, na której są utwierdzone z przodku lemiesz, nad nim w prawo odkładnia. Nasad ma utrzymywać cały pług w równym chodzie, aby się lemiesz nie mógł ani za głęboko do ziemi wryć, ani aby nie mógł wzgórę podskakiwać. Nasad więc ma po ziemi się płaszczyć, w równej linji, jak przodem, tak spodem. Aby zaś takiem płaszczeniem się cały pług nie musiał się o ziemię bardzo trzyć, a przez to

bydło zbytnie utrudzać, jest dobrze, aby nie był zbyt długi, a do tego aby był gładki, co osobliwie przy nasadach żelaznych łatwo można uczynić, gdy przeciwnie drewniane nasady chropowate są i zwykle nie bardzo długo wytrzymują. Na długość nasadu liczy się zwykle półtora albo dwie stóp, na szerokość zaś tylko 3 albo 4 cali.

Dalej idzie słupica, jako piąta część pługa. Słupica jest podobna do słupa, który u spodu na ziemi spoczywa między lemieszem i nasadem, a w górę idąc trzyma odkładnię, bądź za pomocą śruby, albo gwoździa. Może także być nasad i słupica z jednego kawałka, co wtedy jest dobre, gdy ta część pługa jest żelazna.

Wszystkie te części pługa są spojone z grządzielem, który z przodku podobność ma do dyszla, i posługuje do zaprzęgu i kierowania całym pługiem. Jest to dyszel drewniany, który na końcu swoim ku przodku opatrzony jest w pierścień do zawieszenia wag, do których się bydło zaprzęga.

Nakoniec ma pług dla wygodniejszego kierowania jeszcze jeden albo dwa klęki, które sięgają w dół aż do samego nasadu, oprócz tego jednak i do grządziela przybite są. Klękami można pług kierować i dźwigać jako dźwignią, dla tego czynią one tę służbę tem lepiej, im dłuższe są a im ukośniej są przysadzone. To tycze się głównie wszystkich pługów bez kół, pługi z kołami nie potrzebują zaś tak długich klęków.

Otóż macie siedm części pługa, a teraz jest pytanie, czy pługiem, który ma wszystkich siedm części takich, każdemu robotnikowi można dobrze orać? — Powiem ja wam, że nie zawsze. Nie tylko że części pługa niekiedy bywają źle urządzone a pług wtedy i przy najlepszym oraczu dobrze służyć nie może; ale i w innym sposobie źle się nieraz dzieje. Pług taki zbyt często puszcza się bardzo płytko, a kto płytko orze, ten i najdoskonalszym pługiem nie doorze się bogactwa. Pomówmy więc najprzód o pierwszej wadzie, to jest kiedy części pługa źle przypasowane.

Najczęściej znajdujemy u pługów naszych źle urządzony lemiesz do nasadu. Koniec lemiesza zawsze powinien głębiej stać niż jego stopa, jednakże nigdy w równi ze spodkiem nasadu. Kto chce swój pług dobrze oglądać, niechaj go postawi

na równej desce; tu musi tak stać, aby na desce tylko końcem lemiesza i końcem nasadu się opierał, między obiema temi końcami musi jednak zostać szczelina blisko calu wysoka wzdłuż całego lemiesza. Kto na to nie zważa i ma pług niestósownie urządzony, ten nigdy nie zdoła orać brózdy równej głębokości, lecz bardzo nierówne, częścią płytkie, częścią za głębokie. Co potem z takiego orania następuje i następować musi, powiemy później.

Drugą wadą pługów jest, że jeżeli mają krój, nie jest upewniony na właściwem miejscu. Krój, mając brózdę narznąć, musi zawsze krajać mniejszą skibę, aniżeli ma lemiesz podrzynać i dźwignąć; bo inaczej reszty nie można dosyć łatwo odgarnąć, i ziemia robi się garbowatą. Z tego wychodzi, że krój powinien stać zawsze nieco więcej w prawo niżli koniec lemiesza, tak iż na 1 albo 2 cali ziemi poderzniętej od lemiesza zostaje do następnej brózdy. Niewygoda od złego kroja, pokazuje się osobliwie w ziemiach trawą zarosłych, albo w koniczyniskach, gdzie krój ma przerzynać korzenie perzówki i koniczyny. Tu tedy zamiast gładko a równo zoranej ziemi, pokazują się ściany brózd pełne brył i niedotarganych korzeni, których nie można należycie przewrócić, aby pod ziemią zbutwiały.

Trzecia wada pługów jest często w odkładni. Zgoła wszędzie widać pługi z samą tarcicą albo deską równą. Jakże może taka deska to zrobić, co od odkładni żądamy, a najbardziej aby ziemię podtargniętą rozgarniała i przewróciła spodkiem na wierzch. Tego nie zrobi sama deska nigdy; ona tylko ziemię trochę skruszy, niektóre części ścierniska i korzeni pokryją ziemię, większa część jednak zostanie niepokryta na wierzchu roli. W ten sposób zorane pole ma więcej podobności do pastwiska, które świnie rozkopały, aniżeli do zoranej roli. Najwięcej widać to w ziemiach ciężkich, iłowatych. Tu się brózda ledwie w pół otworzy, wszystko trawsko, któreby miało być zagrzebane pod ziemią, wystaje po bokach, a tak rośnie znowu. Dla tego radzimy, aby każdy urządził sobie odkładnie nakrzywione; które wprawdzie z drzewa i desek nie łatwo, lecz tem lepiej z żelaza zrobić się dają i bardzo długo trwają. Zaś jeszcze więcej o tej sprawie napiszę wam inną razą.

Wydawca odpowiedzialny: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 5.

11. Lutego 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiona Ludwina.

Darmo szukać po świecie lepszych czasów jak za dawnych polskich królów. Jużto na wołowej skórze nie spisałby różnych pięknych przykładów, jakie się naonczas działy, bo ich pełno gdzie tylko człek zacznie przypominać sobie o dawnych czasach. Zaś działo się tak tym sposobem, iż ludzie byli wcale insi niż dzisiaj, wcale lepsi bywali. Boć to nietylko do wojaczki byli sprawni nasi przodkowie, ale i w domu byli oni serdeczni, słowni, gościnni, a już nadewszystko pobożni jak rzadko. Jeżeliście czytali historyę polską, to wiecie, jak to królowie polscy przed każdą bitwą polecali się opiece Matki Boskiej, a po zwycięztwie przeróżne kosztowne podarunki w kościołach składali; jak to oni żadnej sprawy nie rozpoczynali nie wysłuchawszy pierwej jednej lub kilku mszy świętych, jak to wielcy panowie fundowali kościoły, a na piersiach nosili zawsze szkaplerze, medaliki i wizerunki Matki Boskiej, a te ich bezpieczniej od zranienia chroniły, aniżeli wszystkie zbroje żelazne.

Wielkie także w owych czasach odbywano pielgrzymki do miejsc cudownych i świętych i takich ludzi nazywano *pątnikami*. Trzeba zaś wiedzieć, że owe dawne pielgrzymki nie były takie jak dzisiaj. Teraz jeżeli się człowiek wybiera gdzie o dwie lub trzy mil na odpust, to już o tydzień naprzód przemyśliwa nad tem, coby to wziąć ze sobą na drogę, a naładowawszy opałki pieczonemi pierogami, serem, masłem i przeróżnem jadłem, a do kalety wsypawszy sporo grosza, aby mu starczyło w drodze na dobry napitek, siada dopiero na wóz i jedzie na odpust, gdzie zamiast czci tylko obrazę dla świętego miejsca przywozi.

Nie tak to było dawniej, moiściewy kochani!

Kiedy ludziska chcieli odwidzić jakie cudowne miejsce, to się zbierała cała gromada takich pątników i pątniczek, a pozabierawszy torby na plecy a do rąk kostury, szli wszyscy o żebranym chlebie nietylko do cudownych miejsc swego własnego kraju, ale nawet do Rzymu, i het aż do samej Jerozolimy, gdzie to Chrystus Pan cierpiał i umarł na krzyżu.

Owoż o jednej takiej świątobliwej pątniczce chciałbym wam tutaj po krótkości opowiedzieć.

Za czasów Zygmunta III króla polskiego, żyła w miasteczku Kenty, co to leży niedaleko Krakowa w obwodzie wadowickim, pobożna sierota, co to ją wszyscy nazywali Ludwiną. Dzieckiem jeszcze odumarli ją rodzice, a pan Bóg, który się i najmniejszym wróblem opiekuje, nie dał zaginąć sierocie. Nie mogąc jeszcze innym sposobem zarobić sobie na kawałek chleba, pasała Ludwina zrazu ludzkie gęsi, a kiedy już na dojrzałą wyrosła dziewuchę, najęło ją sobie kilku gospodarzy za pastuszkę do swego bydła. Ależ bo to i szukać potrzeba było drugiej takiej pastuszki, jak to była Ludwina. Teraz miły Boże serce kraje się człowiekowi, gdy uwidzi, jak to swawolni pasterze z próżniactwa i zbytków uganiają na polu za biedną chudobą, i zdziwiają się nad nią różnym sposobem. Ludwina bywało nie uderzyła bydlęcia za nic w świecie, a o krówki swoje lepiej dbała, aniżeli o siebie. Kiedy inni chłopcy i dziewczęta nieprzystojne żarty na łące stroili albo ptaszkom gniazda zabierali, to Ludwisia spiewała sobie godzinki i zbierała prze-

śliczne kwiatki i jednemi stroiła obraz Matki Boskiej w kościele farnym, a z drugich wiła piękny wianek i zasadzała go znowu na głowę Matki Boskiej, której kamienna figura stała przy drodze z Kent do Krakowa.

Gdy tak Ludwina pewnego razu zbierała sobie kwiatki i spiewała godzinki, przechodziło drogą do Krakowa kilkanaście kobiet, spiewając nabożnie litanję do Matki Boskiej.

— Niech będzie pochwalony!... pozdrowi ich Ludwina.

— Na wieki wieków — odrzekną kobiety.

— A gdzie to Pan Bóg prowadzi?

— Idziemy do Rzymu, do grobu świętych Piotra i Pawła.

— A nie wzięlibyście mnie ze sobą? zapytała się ich dalej Ludwina.

— Jeżeli tylko masz zdrowe nogi i chęć po temu, to przyłącz się do nas, a będzie nam w kompanii weselej.

Uradowała się wielce pobożna Ludwina z tego szczęśliwego trafunku, i bez długiego namysłu puściła się razem z pątniczkami w daleką podróż. Szły więc owe pątniczki przez piaski i laski, przez góry i rzeki, i zaszły nareszcie po wielu trudach do samego Rzymu. Jest ci tam w tym Rzymie jeden polski kościół świętego Stanisława, i do tego kościoła dopytały się też najprzód owe pątniczki, gdzie ich polscy xięża bardzo mile powitali. Co to była za radość owych pątniczek, kiedy po świętej spowiedzi i komunii zaprowadzili ich nareszcie owi xięża do kościoła świętego Piotra i Pawła. Kościół bo też to kościół, o jakim się żadnemu z nas nawet nie śniło. Cały dzień od świtu do zmroku trzeba by go oglądać, i jeszcze człowiek nie pozna dobrze całego domu Bożego. To też i owe pątniczki zwiedzały go kilka razy, a gdy już wszystko co tylko mogły oglądnęły, i otrzymały błogosławieństwo, które sam ojciec święty z ganku kościelnego pobożnemu ludowi udziela, wyszły z powrotem do domu. Jedna tylko Ludwina nie mając ani rodziców ani krewnych w ojczyźnie, rozstała się z płaczem ze swemi towarzyszkami, i została w Rzymie. Tutaj dopiero zaczęła prowadzić świątobliwe życie, jak tego już dawno pragnęła, spędzając czas na ustawicznej modlitwie i pokucie. Najwięcej przesiadywała ona w kościele świętego Stanisława. Co ranka

zamiatała go czysto i ścierała prochy, a potem sprzedawała i zapalała ofiarki, zbierała podczas mszy do puszki grajcarki, a resztę dnia siedziała modląc się na kamiennej ławeczce w babińcu, gdzie jej przechodzący ludzie jałmużnę rzucali. Skoro nadeszło południe i kościół zamknięto, udawała się Ludwina prosto do klasztoru OO. Dominikanów, którzy znając jej pobożność przysyłali jej co dnia z refektarza dostateczny posiłek. Po kilkunastu latach takiego cnotliwego życia zapisała się Ludwina do bractwa świętego Franciszka pod nazwiskiem tercyarek i przywdziała na siebie habit zakonny. Trzeba zaś wiedzieć, że i teraz jeszcze istnieje to bractwo tercyarek, i to u nas w Polsce. Dawniej musiała każda tercyarka nosić podobny habit jak xięża Franciszkanie i opasywać się paskiem białym, teraz zaś, jeżeli się jaka panna lub wdowa do tego bractwa zapisze, to dostaje od XX. Franciszkanów także taki biały poświęcany pasek, jaki oni sami noszą, którym to paskiem musi się zawsze opasywać i pewne modlitwy co dnia odmawiać, a za to dostępuje różnych łask za życia i po śmierci.

Jako tercyarka prowadziła Ludwina jeszcze pobożniej swój żywot, umartwiając swoje ciało postem i różną niewygodą, a z uzbieranej jałmużny biedniejszym chętnie udzielała wsparcia. Sława świątobliwego jej życia rozeszła się po całym Rzymie, i ze wszystkich stron cisnęli się do niej ludzie polecając się świętym jej modlitwom. Wielkie też cuda działy się za jej przyczyną: słabi przychodzili do zdrowia, a nieszczęśliwi doznawali pociechy w swoich frasunkach i utrapieniach.

Długo jeszcze żyła pobożna Ludwina na pociechę całego Rzymu, a mając lat 60 rozstała się z tym światem 23 kwietnia 1623 roku, więc temu bez mała dwieście lat i czterdzieści.

Po jej śmierci cały Rzym opłakiwał ją rzewnemi łzami, a lud tak się tłumnie cisnął do jej ciała, że ją trudno nawet było pogrzebać. Z wielką czcią i uszanowaniem zaniesiono jej ciało do polskiego kościoła świętego Stanisława, i tam je pochowano po lewej stronie ołtarza świętego Jacka, gdzie ją dotychczas wszyscy za świętą poczytują, i różnych cudów za jej przyczyną doznają.

Módlmy się i my do tej błogosławionej Ludwiny, ażeby i ona królując w niebie między świętymi polskimi patronami wstawiała się za nami do Najśw. Panny Maryi, i wyjednała zbawienie dla swoich krajanów i dla tej naszej ziemi ukochanej.

Jacenty z Magierowa.

Rozmowa Jakóba z sąsiadem.

— Co tam słychać gazdowie?
— Bieda u nas, odpowie.
— A dla czego to bieda?
Bo pijecie u żyda.
Większe macie zagrody,
Większe u was dochody,
Macie lasy i błonie,
Lecz to w karczmie utonie.
Oj szyneczek u żyda,
To nieszczęście i bieda.
Kościołek wam się wali,
Wyście karczmę stawiali,
A na Boga sąsiedzi
Jak tam pleban wasz siedzi,
Jak się biedzi chudzina,
Dyć budynków tam niema.
Taka ziemia bogata,
Czy jest dobra tam chata,
Czy jest komin na dachu?
Jabym zginął ze strachu,
Co wy ludzie robicie
Takie nędzne wieść życie.
Ledwieś zmłucił korzec żyta,
Idziesz przepić ta i kwita.
Dajcie pokój Jakubie,
Słuchać tego nie lubię,
U nas zawsze tak bieda.

— Już ja to sam widzę,
Czasem się i zawstydzę,
Ale trudno, człek stary
Przywykł do tej psiej pary.
Zresztą w chacie wciąż bieda,
Więc się idzie do żyda.
Wnet gorzałka się zjawi,
To się człowiek zabawi,
Jakoś prędzej dzień zleci
Jak się we łbie zaświeci.

— Oj wstydźcie się, czy wiecie
Jakie u nas jest życie?
Jest w stodole, w oborze,
Jest pełniutko w komorze.
Są w kieszeni i grosze,
I wszystkiego po trosze,
Człowiek nie wie o biedzie,
Nie wie także o wstydzie.
Było jedno żydzisko
Gdzieś przy drodze tu blisko,
Ale nikt ta nie chodził,
Mało żyd się nie zgłodził,
Więc się wyniósł zawczasu
I uciekał jak z lasu.
My zaś w święto, w niedzielę,
Wprzód bywamy w kościele,
Po południu gromada
U jednego sąsiada
Poschodzi się spokojnie,
I nagwarzy dowolnie,

Jakby złemu zaradzić,
Gdzie trza drzewka posadzić,
Co xiądz mówił w kościele,
Czyje będzie wesele,
I tak jakoś się żyje,
Choć się wódki nie pije.
Jak się trafi wesele
To jest w domu, w kościele,
Wesoło, przyzwoicie,
Aż miłe takie życie.
I dziewuchy u nas śwarne,
I kobiety gospodarne,
Nie wyniesie ćwierci z domu
Na gorzałkę pokryjomu.
Panowie nas też szacują,
O bo i oni miarkują
Kto wart tego na świecie.
Wy jak bydło żyjecie.
— Nie wstyćcież mię, jeno wrócę
Pić przestanę, żonę skrócę
A da Pan Bóg za dwa lata,
Inna będzie u mnie chata.

Antoni Makoski,
wieśniak z Chronowa.

Jak Maciej oduczył Jędrka kłamania,
czyli
Historya o okrótnym psie i cudownym moście.

Łońskiego lata powrócił Jędrek syn Maciejów na urlop do domu. Już sześć lat było, jak go wzięli do wojska jeszcze młodym chłopakiem, więc od tego czasu nie widzieli go ojcowie. Teraz kiedy wrócił do domu, nie poznali go wszyscy. I wyrósł jak dąb, wąsiska mu urosły kiejby wiechy nad szynkiem Moszkowym w miasteczku, ot nie wiele gadając zrobił się chłopisko setny. Także dobry był człek, jeno że się trochę popsuł w wojsku, a najbardziej że się kłamstwa wyuczył okrótnie. Jak nieraz zacznie rozprawiać dziwy różne, bajki że aż śmiech bierze, historye jakieś zakazane — to ludzie jeno głowami kiwają i pomrukują: a niechże cię pływaczu; zaś co uczciwszy gospodarz, to głośno mu powie: at nie kłamałbyś Jędrku, boć to jeno grzech i obraza Boska a nic więcej. A Jędrek gada swoje i gada, i jeszcze klnie się że szczerą prawdę mówi.

Markotno to było Maciejowi staremu, bo to był człek zacny jak się patrzy, a także był dawny wojskowy, bo jeszcze z Polakami razem bijał Moskali jak człek rycerski. Owoż gadał on na rozum Jędrkowi, aby zaniechał tego kłamania, nieraz

nakrzyczał na niego, ale wszystko nic nie pomogło, i Jędrek po dawnemu kłamał jak z rejestru. Aż razu jednego trafiła się Maciejowi dobra okazya, aby kłamcę dobrze zawstydzić i oduczyć kłamania.

Raz w lecie poszli obaj rano z kosami na łąkę, aż na drugi koniec wsi pod lasem; było kawał drogi do tej łąki, i trzeba było iść przez rzekę za wsią, na której nowy całkiem most postawiła gromada. Idą więc obaj, a Jędrek po dawnemu zaczyna kłamać przeróżne historye.

— Zaś wiecie tatulu — powie on do ojca — jaka mi się dziwna historya wydarzyła w Italii, kędy my chodzili na wojaczkę.

— A zaś jakie znowu kłamstwo nowe przyszło tobie do głowy — pyta Maciej.

— Gdzie tam kłamstwo tatulu — powie Jędrek — zaś prawda jeno szczera. Kiedyśwa przyszli do Majlandu...

— Do Medyolanu Jędrku — przerwał ojciec — tak nazywali to miasto nieboszczyk nasz pan dziedzic, który bywał w onem mieście za dawnych lat.

— Ano więc do Medyolanu kiedyśwa przyszli, więc dali mi kwaterę u jakiegoś Włocha okrótnego, który miał chałupę ogromną na ulicy ciemnej i takiej ciasnej, że ledwo dwoch ludzi mogło przejść koło siebie.

— No to dziw taka ulica — powie Maciej — i jeszcze nie widziałem takiej w mojem życiu, choć ta człek nie mało świata zbiegał.

— Powiadam tatulu że to najpewniejsza prawda; jeno nie wszystko jeszcze, a jak wam opowiem dalej, to może i uwierzyć nie zechcecie takie ja dziwa widziałem, i ja sam nie wierzyłbym takiej gadce, gdybym na moje własne oczy nie widział.

— No i cóż takiego — pyta Maciej, a jakoś uśmiechał się pod nosem złośliwie.

— Zaś tatulu — pocznie Jędrek mleć językiem jak stara Walentowa, co to mieszka w trzeciej chacie od kościoła na lewo — zaś tatulu powiadam wam że to dziw okrótny. Jak ja tylko przyszedłem do onego domu wielkiego na kwaterę, aż tu w sieni stoi coś niby koń a niby wół, a jeszcze większe

nawet, bo calutenką sień zastąpiło. Patrzę ja co to jest, aż tu jak nie szczeknie i nie zawyje ona potwora — miły Boże! to mnie ciarki przeszły od stóp do głowy, i aż mi gwer wyleciał z ręki.

— Zaś mój Jędrku — powie Maciej — kiedy już nie możesz zaprzestać kłamstwa, to choć mów po ludzku jak Bóg przykazał. Coż to znowu za g w e r, i czy nie możesz nazwać po polsku i powiedzieć karabin.

— No więc karabin — powie zawstydzony Jędrek — i wnet zacznie pływać na nowo. Ale to nie kłamstwo tatulu, to już ja wam powiadam że nie kłamstwo, i pewnikiem tak było wszystko jak ja mówię. Otóż kiedy ona bestya ryknie...

— Więc ryczała a nie szczekała? — pyta Maciej.

— Zaś gdzie tam — mówi Jędrek — bo to i ryczało i szczekało razem, a wszystko tak strasznie, że już nie wiedziałem co ze sobą poradzić. Więc jak zachuczy, to mało nie skamieniałem ze strachu, i mało co nie upadłem, choć ja ta nie żaden tchórz, i nic mnie łatwo nie przestraszy. Więc pytam gospodarza, co to za bestya? A on mi powiada że to pies, i taki byłto psisko jeno okrótny, a już takiego nie widziałem jeszcze w mojem życiu.

— A to dziw prawdziwy — powie Maciej — bo i ja nie widziałem i nie słyszałem nigdy o takim psie. Ale powiedz mi Jędrku, jakże ty rozmówiłeś się z gospodarzem, kiedy on Włoch, a ty po włosku nie umiesz gadać?

— A to już na migi rozmówiliśmy się — powie Jędrek — i gospodarz pokazał mi palcem, że to pies a nie insze bydle.

— To dziw także — mówi Maciej — jak on tobie na migi pokazał palcami że to pies, i jak ty potrafił zmiarkować to pokazanie.

— Ba tatulu, to człek nie jednego nauczy się we wojsku, coby w chałupie nigdy nie zmiarkował.

— Jużci że nauczy — mówi Maciej — a najbardziej kłamstwa.

— Gdzie zaś — powie Jędrek — toć to prawda, żebym tak zdrów był, i powiadam wam tatulu, że ja na własne oczy widział tego psa, który był większy jak nasz koń siwy i wię-

kszy nawet jak ta okrótna szkapa pana ekonoma. Toć ja z początku oczom moim nie wierzył, alem się potem przekonał, że tak jest na prawdę.

— No i cóż więcej jeszcze powiesz o tym psie? — pyta Maciej.

— Ha tyle wam powiem tatulu — mówi Jędrek — że to iście pies, i jak tam dłużej zostałem na kwaterze, to się psisko tak ze mną oswoił, że leżał przy mnie i łasił się jak nasz Burek.

— A to piękna historya — rzeknie Maciej — i zaczął się śmiać na głos.

— Zaś tatulu myślicie, że ja bajki prawię — rzecze Jędrek — a toć to prawda najświętsza, i już ja nie wiem jakbym miał wydziwiać przed wami; bodajbym tak zdrów był, że to prawda, bodajby...

— Daj spokój Jędrku i nie przeklinaj, toć ja wierzę — rzeknie Maciej — wszędzie można znaleźć dziwa, i nie szukając daleko, ot w naszej wsi jest także dziwo, o którem ty jeszcze nie wiesz. Patrzajno ten most na rzece, kędy będziemy wnet przechodzić, toć nie ma jeszcze dwa lat jak postawiony.

— Owa wielkie dziwo — mówi Jędrek.

— No pewnie że dziwo, jeno nie wiesz jeszcze jakie — rzeknie Maciej — Oto patrzaj co się dzieje. Most ten jest taki cudowny, że jak tylko idzie kto przez niego, który pierwej skłamał, to złamie nogę pewnikiem.

— Gdzie zaś — powie Jędrek — to bajki.

— Mój synu — mówi Maciej — a czy to ja tobie bajki kiedy prawił? Toć tylko taki chłystek jak ty wymyśla kłamstwa, co się na nic nikomu nie zdadzą. A kiedy mnie nie wierzysz, to zapytaj sołtysa Szymona, i Jacka Zagrodnika i Walentego Cieciurę i Wojciecha Kobzę, także zapytaj całej gromady, co ci powiedzą, a będziesz wiedział prawdę. Zaś teraz radzę ja tobie, abyś dobrze pomiarkował, czy dziś nie skłamałeś, bo taki szkoda nogi.

Jędrek aż się poskrobał w głowę i bardzo mu było markotno, bo choć sam łgarz był doskonały, przecież łatwo dał się zbałamucić, i uwierzył każdej bajce. Więc teraz na prawdę

myślał że to jaki most cudowny, i zafrasował się okrótnie o nogi, aby nie połamał. Zaś iż było niedaleko mostu, więc zacznie iść powoli i mówi do Macieja.

— A jakto ja mówił tatulu o owym psie? Bo widzi mi się że był mniejszy jak nasz koń siwy.

— E gdzie mniejszy — powie Maciej — toć mówiłeś że większy od ekonomskiej szkapy.

— Ano, to już ja się pomylił — powie Jędrek — bo pewnie większy nie był, a zda mi się że chyba taki był jak wasza krasula. Ale tatusiu czego tak prędko biegniecie.

— Mój Jędrku, toć nie ma czasu — mówi Maciej — słonko już wysoko, kośby jest piękny kęs, i roboty dostatek. Ale powiadasz, że on pies nie był tak wielki jak nasz siwek?

— Pewno że nie tatulu — zaczął prędko tłómaczyć Jędrek — i nawet taki nie był jak nasza krasula. Chybaby najwięcej tak wielki, jak łysa jałowica Wojciecha.

— No, no — mówi Maciej — to zawsze jeszcze był psisko wielkie, i takiego także nie widziałem ja na moje oczy.

— E czemu tatulu, możeście i widzieli — mówił Jędrek — bo jak sobie dobrze przypominam, to ten pies już chyba taki był jak cielak od naszej krasuli.

Kiedy to mówił Jędrek, przyszli już do mostu i trza było przechodzić przez niego. Maciej szedł naprzód i mówi:

— Więc był taki pies jak nasz cielak? Ano dobrze, ale pamiętaj Jędrku na most.

Powiedziawszy tak stąpił już Maciej na most. Chwyci go Jędrek przestraszony za sukmanę i rzeknie:

— Gdzie tam tatulu, czekajcie. Ot powiem wam, że ten pies był sobie tak całkiem zwyczajne psisko, niby nasz Burek.

Wtedy roześmiał się Maciej i powie:

— Widzisz kłamco jaki ty głupi. Toć tylko ty mógłeś zmyślić bajkę o jakimś psie wielkim, i chciałeś aby tobie każden wierzył. Wiedziałem ja dobrze że to kłamstwo, a na twój wstyd powiedziałem ci ową bajkę o cudownym moście, jakiego także nigdzie nie znajdziesz. Żebyś miał rozum, tobyś był temu nie uwierzył, a jeszcze bardziej nie kłamałbyś bajek o psach. Pamiętaj sobie, że jak jeszcze kiedy będziesz kłamał przed ludźmi, to

całej gromadzie opowiem twoją historyę z mostem, i będą się wszyscy śmiać z ciebie.

Na to gadanie zawstydził się Jędrek okrótnie, i obiecał że już nigdy kłamać nie będzie. Więc uczynił tak jak obiecał, i od tego czasu był z niego chłopak uczciwy i rozsądny, a wnet ożenił się, uwolnili go od wojska, i jest dziś gospodarzem jak się patrzy.

Piękne przykłady.

Wdzięczny kmieć.

Wielką prawdę powiedział Jacenty z Magierowa pisząc o parafii w Mościskach, że nauki tyle człowieka nie naprawiają, ile dobry przykład. Bo juźcić niejeden kiedy słyszy o pięknym uczynku, to pomyśli sobie: mógł ten, mógł ów, czemubym i ja nie miał tak uczynić, coby mię ludzie pochwalili. I tym sposobem wystrzega się błędów, które popełniał, wstępuje w ślady dobrych ludzi i staje się coraz lepszym. A iż przykład, który wam tu podaję, jest piękny — weźcież go sobie do pamięci.

Wiadomo każdemu, że tego roku mieliśmy bardzo ładne lato. Nie było grzmotów i deszczu, a natomiast przygrzewało słonko i powiewał wietrzyk, że aż ochota brała przejść się na przechadzkę. Porobiwszy tedy wszystko należycie, wyszedłem nieraz ku lasowi albo w pole — ale na jednej takiej przechadzce dziwne miałem zdarzenie. Działo się to w sąsiedniej wsi od naszej, gdy właśnie byłem u mojego krewnego na chrzcinach, bawiąc kilka dni u niego — zaś prawie w połowie miesiąca września.

Owoż powracając dnia jednego do domu, zaszedłem przed drewniany kościołek w około staremi lipami osadzony i zacząłem mu się przypatrywać nie znając go dokładnie.

W tem słyszę jakiś płacz i szeptanie pacierza. Idę zaraz w ową stronę i widzę przed kaplicą do kościoła przybudowaną klęczącego człowieka, który płakał.

Długo stałem przemyślając, coby to znaczyć miało? aż gdy powstał na nogi człowiek, zbliżyłem się do niego i pytam:

— Mój człowieku! powiedzcie mi, czy to jest kaplica nowo wybudowana?

— A tak, jest kaplica — odrzecze uprzejmie — fundacyi gromady i naszego miłościwego pana dziedzica.

— A teraz powiedzcież mi dlaczego tak płaczecie i zawodzicie — zapytałem znowu — czy macie jakie zmartwienie, może ja was pocieszyć mogę?

— I pokażcież mi, moi mili — rzecze do mnie — który człowiek na świecie jest bez zmartwienia? A ja jakże nie mam zawodzić i płakać, utraciwszy najdroższego sąsiada, co mi tyle uczynił dobrego!... Oj była to dusza, było serce ze złota! — dodał z płaczem.

— Dawnoż on umarł? — rzekłem do niego.

— Właśnie już rok na schyłku jak się odbył pogrzeb — odpowiedział — a mnie do dziś dnia tak żal za nim, że gdy wspomnę na niego, bez łez obejść się nie mogę!

— I cóż wam takiego dobrego uczynił, że wam tak przykro za nim? — odezwałem się po chwili.

— Otóż widzicie tak się rzecz ma. Poszedłszy na odpust do Kalwaryi, nie było mię prawie dwa tygodnie w domu. W owym tedy czasie wybiegła moja dziewucha do rzeki i kąpiąc się poszła na głęboką wodę i utonęła. Na szczęście spostrzegł to mój sąsiad, skoczył we wszystkiem do wody i wydobywszy moje dziecko, za pomocą innych ludzi tak długo ją ratował, aż dziewczyna przyszła do siebie. Lecz jakże mi boleśnie było dowiedziawszy się o nieszczęśliwym wypadku, gdym sąsiada nie zastał przy życiu, aby mu podziękować! Teraz za to póki życia z wdzięczności będę się modlił do Boga za jego duszę, aby otrzymała niebo, bo na co innego nie stać mię biednego człowieka. Nie tylko ja, ale cała wieś go żałuje, albowiem wszyscy znali jego dobroć i szlachetność!

— A nie ma to żony, albo dzieci, cobyście się im za niego odwdzięczyli? — przemówiłem.

— Oj niema ci niema, już dawno wszyscy pomarli, tylko on jeden żył jeszcze, a miał już pono do sześćdziesięciu latek —

odrzekł wieśniak i ocierał sobie rękawem zapłakane oczy — a mnie się tak zrobiło markotno, że żegnając go miałem łzy w oczach.

Niebawem kilka zaledwie minęło dni po owem zdarzeniu, gdy dowiaduję się, że nadeszła rocznica śmierci poczciwego wieśniaka i że odbędzie się żałobne nabożeństwo sprawione przez onego chłopka, którego przy kościołku zastałem.

Jakoż dnia 5 października zeszli się ludzie do kościołka i modlili się za duszę Walentego, bo tak zmarłemu było na imię.

Po nabożeństwie uściskałem fundatora nabożeństwa i rzekłem do niego:

— Wdzięczność wasza podoba się panu Bogu, dlatego też udzieli On Walentemu spokoju wiecznego, którego mu z całego serca życzycie. I w kilka dni potem wyjechałem z onej wioski.

Bądźcież i wy, drodzy bracia, wdzięcznymi za dobrodziejstwa i łaski wyświadczane, pamiętając, że

Wszystkie cnoty są piękne, lecz wdzięczność tak droga,
Że jedna może człeka przybliżyć do Boga.

Józef z Bochni.

Dobrzy ludkowie.

Czytuję ja zawsze Dzwonek — i bardzo mi się do serca przypadł, bo też tam w nim wiele pożytecznych rzeczy człek się dowie. Z łaski Najwyższego znowu jeden tom złożyłem i cieszę się że nadal wychodzić będzie, bo też właśnie postanowiłem o dobrych ludziach napisać, dla przykładu drugim.

Michał Konował, człek uczciwy mieszkał w Bucniowie w obwodzie Tarnopolskim wraz z żoną swą kobieciną Agnieszką, a liczyli już oboje po pięć krzyżyków. Nie byli ci oni bogaci, lecz pracując ciągle żywili siebie i kilkoro już dorosłych dzieci. Obowiązki małżeńskie wypełniali należycie, dla tego też Bóg z nimi był.

Przyszedł nareszcie czas i zmarło się naszej Agnieszce. Wielki to był smutek dla Wojciecha, lecz tak się stać musiało, bo to była wola Boska. Czekała jednak Wojciecha jeszcze przykrzejsza chwila, bo do roku po śmierci żony umiera najstarszy syn i córka już zamężna, która zostawiła dwie sierotki. Łzy mi się sznurkiem puściły, gdym usłyszał jak dwie sierotki na matkę wołały, a ona już bez duszy. Starość naszego Wojciecha już nie wytrzymała, bo w trzy dni po pogrzebie córki umarł — a sześcioro sierot zostało na Opatrzności Boskiej. Działo się to akuratnie przed żniwami.

Już nasz Wojciech spoczywa w grobie wedle żony i dzieci a w jego chacie radzą zgromadzeni sąsiedzi o biednych sierotach. Radzili długo aż im Wawrzyniec Stangret gospodarz na całą wieś przerwał i tak się odezwał:

„Moi gazdowie, już pewnie u każdego z was konopie wybrane a oto pójdźcie i popatrzcie się, że tutaj jeszcze nie ruszane. W Imię Boga chodźmy więc wszyscy i poratujmy te biedne sieroty. Posłuchali, a po chwili już wszystkie konopie były wybrane. Bóg zapisał ten dobry uczynek do złotej xięgi a ja dla nauki drugich do Dzwonka napisałem.

K. T.

Rady gospodarskie.

1. Jeszcze jedna nauka o nawozie z kości.

W szóstym tomie pisałem wam, moi mili gospodarze, aż dwa razy o nawozie z kości, i pokazałem wam, iż taki nawóz jest bardzo dobry, zaś lepszy nawet od wszystkich innych. Pisałem wam także, iż za granicą kości na nawóz mielą po młynach osobnych, które do tej sprawy naumyślnie budują, bo tylko mąka z kości używa się za nawóz. Takie młyny trudno na razie stawiać, a iż nawóz z kości jest każdemu gospodarzowi potrzebny, więc wymyślili ludzie nowy sposób, aby kości na nawóz przysposobić. Jestto bardzo łatwy i tani sposób, więc opiszę go wam na naukę i poradę.

Otóż robi się tak. Trzeba układać warstwę nawozu końskiego, a na nią znowu warstwę zwykłych kości. Potem znowu warstwę nawozu i warstwę kości, i tak długo jak wam starczy jednego i drugiego. Każda warstwa ma być wysoka na jedną stopę. Jak już stos ułożony, zostawić go spokojnie na dłuższy czas, i tylko kiedy wielkie posuchy bywają, należy podlewać wodą albo krwią bydlęcą. Jak sobie taki stos przez cały rok spokojnie postoi, jest już nawóz gotowy. Można to poznać w ten sposób, że stos będzie o połowę niższy jak z początku, bo koński nawóz zmiękczy kości tak, iż się na mąkę rozpadną. Takim nawozem możesz miły gospodarzu śmiało gnoić pole, a urodzi ci się zboże śliczniuchne, czego wszystkim wam życzę od pana Boga.

---

2. Jak można dobrze przechowywać owoce i jagody?

Zda mi się iż każdy ogrodnik chętnie posłucha tej nauki i rad będzie dowiedzieć się o niej. Bo też to niemała sztuka, aby jagody przechować na zimę dobrze, i aby one wyglądały świeżo i pięknie. Różne na to opowiadają sekreta i sposoby, a przecież mało który udaje się dobrze, zaś nikt nie potrafi całkiem pięknie przechować owoce, a jeszcze bardziej jagody. Otóż wyczytałem ja teraz jeden doskonały sposób na przechowywanie jagód, i podaję go wam do spróbowania i do użytku.

Jagody takie, które chcecie przechowywać na zimę, należy najpierw długo zostawiać na łodydze, i to choćby do pierwszego mrozu, niech całkiem prześcigną. Wtenczas odcina się zdrowe jagody ostrym nożem, i na kilka dni zostawia się je w zimnej izbie. Zaś potem obwijać je należy lekko w zwykłą bawełnę, której wszędzie łatwo dostanie, i układać w naczynia blaszane albo szklanne, ale także lekko, aby się nie pogniotły. Potem przytyka się naczynie, i zalepia nakrywkę żywicą, a to na to, aby powietrze nie szło do naczynia. Kiedy już wszystko skończone, trzeba naczynie schować do izby zimnej ale nie mroźnej, i tam już niech spokojnie stoją aż do użytku. Także jabłka i gruszki można doskonale przechować, kiedy je obwinie się w bawełnę i zostawi spokojnie w zimnej izbie. Wszyst-

kie takie owoce nie tylko zachowają się dobrze i świeżo, ale będą mieć nawet barwę piękną, jakby je dopiero z drzewa zerwał. Uważcie sobie moi mili, jakto każdy chętnie kupi taki owoc, i dobrze za niego zapłaci, a tak wrócą się koszta i człek uczciwie może dobrze zarobić.

3. Jak można mieć dobre drzewa owocowe na złym gruncie?

Kiedy już mowa o owocach, niezawadzi opisać tu, jakim sposobem można w złym gruncie mieć piękne drzewa owocowe. Do tego czasu myśleli wszyscy, że na złym gruncie tak powinno się sadzić drzewa, aby wielki dół wykopać, napełnić go dobrą ziemią, i dopiero wtedy sadzić drzewo. Zaś to na nic się niezdało, bo jak drzewo urośnie i puści korzenie, to im brakuje miejsca w dobrej ziemi, i muszą leźć w zły grunt, więc niebawem usychają i całe drzewo na nic idzie. Otoż daleko lepszy i pewniejszy jest następny sposób.

Najpierw nie trzeba sadzić drzewa głęboko, ale płytko. Zawsze znajdzie się na najlichszym gruncie warstwa dobrej ziemi, a kiedy jej niema, toć zawsze łatwiej z wierzchu nałożyć ją. Otóż posadziwszy drzewko płytko, należy korzenie dobrze zasypać i obłożyć dobra ziemią. Dobrze jest także, aby ziemię ponad korzeniami takiego drzewka obkładać przez parę lat liściem, a w zimie nawozem, bo to użyzni ziemię. Zaś na każden sposób należy zawsze, nawet i w dobrym gruncie sadzić drzewa płytko, bo korzenie będą się mogły dobrze rozrastać w najlepszej ziemi, a toć korzenie najważniejsza rzecz u drzewa.

RÓŻNOŚCI.

Dobra rada. Dla wszystkich furmanów jest taka dobra rada do jechania, i składna bo wierszami, a każdy powinien o niej pamiętać:

Gdy ujedziesz milę,
Postój koniom chwilę;
Gdy ujedziesz trzy,
Oczy koniom wytrzyj;
Gdy ujedziesz sześć,
Daj co koniom zjeść.

Wydawca odpowiedzialny: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 6.

21. Lutego 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pan Jezus Miłosierny.

Jak w Rzymie, gdzie to siedzi nasz Ojciec święty, są groby przeróżnych świętych z całego świata, tak też i w naszym Krakowie mamy groby to świętych, to królów polskich, a koło tych grobów działy się rozmaite cuda, o których Krakowianie potrafią ciekawości rozpowiadać, żebyś trzy dni i trzy nocy słuchał i anibyś chciał jeść ani pić ani spać, jenobyś słuchał i słuchał bez końca. Co to tam kościołów, co to tam ofiar, a prawie o każdym kościele rozpowiadają sobie nawet dzieciaki małe różne cudowne rzeczy to o samym Panu Jezusie, to o Najświętszej Pannie, to o królach, to o królewnych.

Otóż raz przyjechał sobie gazda Franek Skowronek do Krakowa, a jechał on ci jakie 12 mil i to naumyślnie po to, aby sam zobaczył i także swoim synom pokazał wszystkie dawne ciekawości w Krakowie. Bo to ten Franek to chłop nie ladajaki — on sam pisał i czytał każdy druk i każde pismo; w niedzielę to sobie siadał na ławce pod oknem i sam czyta

xiążki o królach polskich i opowiadał chłopcom swoim i znał ci prawie co nie tak samo te historye, jakby i sam pacierz święty, a Moskala to mu na oczy nie pokazuj, bo by mu ślepaki wydrapał jak psu wściekłemu. A i ludziska też z tejże wsi Żubrowni schodzili się do niego i niejeden tam nauczył się rozumu lepszego; a co najlepiej było, to że ten gazda Franek był najpobożniejszy, najmiłosierniejszy dla wszystkich, a dobry i słodki jak miód z pytlowanym chlebem. To też dwaj chłopcy chodzili do szkoły w mieście Tarnowie a znowu w chałupie jego wszystko co żyło, nawet i parobek, umieli na xiążce i spiewali jakie sto pieśni nabożnych.

Otóż przyjechał on sobie z chłopcami do Krakowa i po drodze wszedł do jednego kościoła, co to jest fundowany jeszcze od króla Mieczysława, który z królów polskich pierwszy się ochrzcił. A gdy zmówił pacierz, wstał pomaleńku, wziął chłopców za ręce i zaprowadził ich do wielkiego ołtarza i kazał im przypatrzyć się dobrze Ukrzyżowanemu Panu Jezusowi. Chłopiec starszy Sobuś patrzył i mówił:

— Tatusiu! to to korona na główce Pana Jezusa jest z samego złota? a te buciki na nożkach świętych to także takie? ale takiego płótna, jak ma koszulkę ten Pan Jezus, tom jeszcze nie widział.

Na to rzecze ojciec:

— Tak! tak! moje dzieci, to wszystko złote, a ta sukienka to nie z płótna jeno z najcieńszego jedwabiu i z nici złotych.

A Sobuś się zaraz pytał:

— I któżto tatusienku sprawił takie rzeczy temu Panu Jezusowi?

A ojciec mądry i pismienny rzecze:

— To moje dzieci ofiara święta tego samego króla, co to pozwolił stawiać krzyże święte w całej Polsce to koło dróg, to na cmentarzach i co to pierwsze kościoły boże wyfundował i zwołał xięży z całego świata aby chrzcili, co jeno żyło i nawracali na wiarę naszą.

A młodszy chłopiec Tomuś zaraz zagadał:

— Tośto ten król to Mieczysław I, to on się ożenił z ochrzczoną panią Dąbrówką i ta pobożna królowa namawiała

go do wszystkiego dobrego — toto on fundował dorazu kościoły w Gnieznie, Poznaniu, Kruszwicy, Krakowie, Płocku, ba! nawet porobił pierwszych biskupów w Gnieznie, Poznaniu, to też za tyle dobrego dał im Pan Jezus i takiego syna, co to był najmocniejszym królem na świecie i cały świat drżał wtedy przed nim.

A znowu Sobuś zagadał:

— No to pono ten król był Bolesław Chrobry, co to porobił granice naokoło Polski, co to tak lubił św. Wojciecha, co nasprowadzał zakonników pobożnych do Polski, i był gdzieś na wschodzie słonka w Kijowie i tam sobie pałasz wyszczerbił, co to porobił biskupów w Krakowie, Wrocławiu, a jak on pomarł, to wszyscy Polacy od małego do wielkiego cały rok płakali za nim i w dzień powszedni i w święto nie nosili innego ubrania na sobie z żalu, jeno czarne jak węgiel.

Na to gadanie ładne ucieszył się gazda Franek, że też to jego dzieci nie rosną jak tyki w grochu, ani nie były głupie jakby nogi u stołu, pogłaskał chłopców po głowie i powiedział:

— No teraz słuchajcie znowu, to ja wam opowiem o cudzie tego Pana Jezusa, jak go tu widzicie.

Otóż moje dzieci tego Pana Jezusa dostał król nasz Mieczysław I od drugiego sąsiada króla, ale wyfundował ten kościół i włożył tego Pana Jezusa do ołtarza; jeno ten Pan Jezus był ubogo ubrany, a to się jakoś królowi nie zdawało i kupił tę koronę złotą i te buciki złote i tę sukienkę, gdzieś to daleko za granicą, a to miało razem więcej kosztować, niż fundacya całego kościoła.

A Sobuś ciekawy zapytał ojca:

— To tatusiu ten kościół już tak dawny, jeszcze z czasów pierwszego króla polskiego?

A ojciec zaraz na to tak:

— A jeno moje dziecko! Są tu w Krakowie dwa takie kościoły, a pono kościół św. Wojciecha ma być dawniejszy, bo on stoi na miejscu pogańskiego kościoła, gdzie św. Wojciech gadał pierwsze kazanie do Polaków, nawet ma być ta sama kazalnica; ale ja wam to moje dzieci wszystko pokażę, jeno teraz dokończę o tym Panu Jezusie. Otóż jak ten kościół zo-

stał poświęcony, to tu królowa Dąbrówka chodziła co dzień z królem na nabożeństwo, a luda bywało tu nieraz tyle, że pozalegało to het cały plac na około, a wszystko się patrzało na tego złotego Pana Jezusa i modliło się ze łzami, to też bywały cuda takie, że na cały świat nie było takiego drugiego cudownego kościoła. Otóż o podal od kościoła tego był niejaki chudzina, aż strach o tem mówić, bo to miałci żonę i kilkoro dzieci, a jeno to pobożna królowa ratowała od głodu, a król znowu to przyodziewał i kazał wyuczać na xiążkach.

A Tomuś słysząc to poderwał ojcu:

— Toć pono Tatusiu nie było wtedy nigdy głodu ani biedy w polskich krajach, a wy gadacie że...

A ojciec na to zaraz prawi:

— Bo widzisz moje dziecko! wtedy tu na około Krakowa i aż po za Tarnów ku Węgrom, były lasy i lasy, a ludzi bardzo mało, to dopiero król Łokietek i jego syn Kazimierz nasprowadzali ludzi i kazali lasy wycinać, kościoły stawiać i gromady robić — to też były pieniądze, kto mógł zarabiać, ale chleba bywało mniej — a chorowity, staruszek i dziady to się chowało blisko króla, bo król sypał na około pieniądze ćwierciami, a jak kto był sam, to sobie szedł do szpitalu jakiego i tam miał wszystko na życie — to też po tamte czasy nie chodziły dziady i baby po żebraniu. Otóż widzisz ten chudzina o którym ci chcę opowiedzieć historyę miał chałupinę, babinę i troje dzieci i to się żywiło wszystko ze stołu króla, ale on by był brał i najwięcej. Toć też zarabiał co mógł, a co rano i wieczór to leciał tu do tego Pana Jezusa i prosił na kolanach o poratunek jaki, a odchodząc ztąd całował zawsze nóżki święte Pana Jezusa i to obie po kilka razy, a nieraz została się tam niejedna łezka tego biedaka na nóżce świętej: A umiał on ci trochę i rzempolić na skrzypcach, i nie grał on ani spiewek brzydkich, ani po weselach, ani w święto po karczmach, jeno po robocie siadał sobie i próbował pieśń do Najświętszej Panny, co to się zaczynała jakoś dziwnie i Ojciec święty ją przysłał xiężom naszym, a nie raz też to wygrywał żałośnie mękę Pana Jezusa, że się i rozpłakał przy tem. Otóż tak sobie robił dobrze jakie 20 lat, a nie przestawał pracować, żyć pobożnie,

a do tego modlić się codzień, i przygrywać sobie potem znowu jakie pieśni święte. Dwóch synów wyuczyło się dobrze na xiążkach, król ich porobił czem jeno było można, ale ci obaj synowie zginęli na wojnie, boć ich Niemcy zabili, a pchali się już wtedy ci ludzie do naszych polskich krajów, nie wiedzieć po co, że już i król sam nie mógł sobie rady dać z nimi, to brał ich do kraju i osadzał po miastach, to po wsiach, ale im pachło zabierać wszystko i miasta i wsie i kościoły nasze, aby to potem wszystko było ich, a my za parobków przy nich. Otóż widzicie dzieci znowu ten biedak został na starość sam z babiną i jedną córeczką, ta córka mu już dorosła na dziewkę dobrą, trza było ją gdzie dać z domu, a tu nikt nie chciał brać, bo zwyczajnie biedaka to pono mało kto widzi, a jak dziewka nie ma wiana sutego, to tam po nią rzadko kto trafia.

A Tomuś na to gadał:

— O coby jej tam była za wielka bieda, jakby ją była wzięła sama królowa do dworu, boć to wtedy to pono i kmiece dzieci sługiwali u króla i dorabiali się majątku i wychodzili nieraz na wielkich ludzi — wtedy to był król nie tak jak dziś, jenoto był ojciec taki, jak wy tatusiu dla nas a drzwi się ta u niego nie zamykały nigdy, a warta puszczała i sieroty do dworu.

A ojciec radośny dodał do tego:

— To prawda mój Tomusiu! wtedy ta nie trza było pisać ani supliki, bo papieru nie znali jeszcze ludzie jeno pisywali na liściach albo skórach bydlęcych, ani nie potrza było brać nikogo do siebie i dopiero z nim pójść do dworu, jeno jak ci co dopiekło, toś się ubrał po swojemu i czysto i pięknie jakby do kościoła i sunąłeś śmiało do króla i zrobiłeś tam z królem i z królową, coś sobie żywnie chciał i to dorazu, nawet półdnia nie czekałeś na to. Ale dokończę wam historyę dalej. Otóż raz ten chudzina i z babiną i córką swoją poszedł do tego Pana Jezusa — i nuż zaczęło to biedactwo prosić i prosić i płakać bez końca — aż starowina wstał i miał już odchodzić, to też nadstawia gębę, aby ucałować nóżki Panu Jezusowi, i patrzy, a tu dźwignął sam Pan Jezus jednę nóżkę do góry,

podrygnął nią mocno, aż mu spadł z nóżki bucik złoty, a wtedy dał się słyszeć głos na kościele:

— To wiano dla ciebie i dla twej córki za to, żeś był całe życie pobożny, pracowity, a choć ubogi, toś nikogo nie skrzywdził, nie namówił do złego niczego, i tuś codzień chodził na modlitwę — twoje wszystkie łzy pozbierane, twoje modlitwy zapisane, a twoje granie na skrzypcach słuchali nieraz Anieli — otóż weź sobie ten złoty bucik i sprzedaj!

Potruchlał na to biedaczysko — ale ucałował na nowo Pana Jezusa, wziął bucik i poleciał radośny do domu, a z domu na miasto, aby to sprzedać, jak mu Pan Jezus kazał.

Na to gadanie aż włosy stanęły chłopcom, popatrzyli ze łzami na Pana Jezusa, poszli oba i pocałowali święte nóżki, a Sobuś się odezwał:

— No! i cóż się też stało Tatusiu z tem dalej:

A ojciec znowu jął gadać:

— Otóż ledwo wybiegł na miasto ten biedak z tym złotym bucikiem i pokazał go ludziom, a tu zaraz łap go za ręce i prowadź do króla jako złodzieja. Król wysłuchał to wszystko, nadeszła i królowa, luda jak mrowia zleciało się do króla, ten biedak płakał i przysięgał się, że tego nie ukradł, ale lud pobożny aż się trząsł na to, że on to śmiał brać takie rzeczy z kościoła i to z samego ołtarza i wołał na króla:

— Królu! to śmierć za takie grzechy — my łamiemy rękę, albo wybijamy oko złodziejom — a między nami nie trafia się nigdy złodziej, bo my się boimy Boga, jedno obcy przychodzą do nas złodzieje, u nas chodzi bydło po polu bez pastucha, a nie zginie chyba od wilka czasami, u nas pasieki po lasach daleko, a nikt tam ani tknie naszej pracy, u nas stodoły same na polu w krzakach bez kłódki, a nikt tam nie ruszy chyba wróbel wydzióbie kłósko jakie, a siano gnije po łąkach, a nikt go nie podniesie — a ten bezbożnik okrada aż kościół, i to to złoto twoje królu!

A król na to powie:

— No! i cóż mam zrobić z nim?

A pobożna królowa z płaczem przemówiła:

— Ja was proszę moi ludzie, zaprowadźcie tego biedaka jeszcze raz do tego pana Jezusa — jeźli to prawda, co on mówi, to niechto jeszcze raz objawi nam ten Pan Jezus cudowny! boć przecie znacie sami dobrze tego biednego, on całe życie nie kradł ani się upijał jeno pracował i codzień się modlił, a do mnie też przychodził o poratunek, i robiło się dla niego, co było można.

— No! to dobrze! krzykněli wszyscy i poprowadzili go na nowo do kościoła, stanęli cicho i pobożnie na około, a ten biedak klęknął i zaczął płakać:

— O Panie Jezusie Miłosierny! pokaż też łaskę nową nademną biednym, boć ja nie złodziej żaden, a grzeszny jak każdy człowiek!

Na to zaskrzypiało coś na krzyżu i wszyscy patrzali na ołtarz, aż patrzą, a tu sam ten Pan Jezus poruszył główką i spadła złota korona na głowę tego biedaka — to znowu potrzęsła się nóżka święta i spadł na ziemię drugi bucik złoty i zrobiło się cichutko, jakby kto makiem siał. Lud cały poklękał na kolana, zaczęli spiewać, xięża zaczęli odprawiać nabożeństwo, a król darował to złoto temu biedakowi:

Na! masz poczciwy człeku! skoro ci to darował sam Pan Jezus Miłosierny, to i ja ci daruję, a ja sprawię znowu nowe złote buciki i koronę temu Panu Jezusowi.

I uznali wszyscy za niewinnego tego biedaka, a Pan Jezus nagrodził mu jego pobożność; z tego wszystkiego nie chciał brać ten biedak, jeno jeden bucik wziął sobie i sprzedał, a koronę zostawił i drugi bucik dla tego Pana Jezusa na nowo. I byłci on potem bogaty, i córka się wydała dobrze, a on biedaczysko rozdawał drugim co jeno mógł, bo sobie dumał:

— Dał tobie Pan Jezus Miłosierny tyle, to dajże i ty drugiemu, a za to zapłata albo na ziemi, a niemylna w niebie.

Otóż opowiedział gazda Franek Skowronek z Żubrowni swoim dzieciom o tym dawnym cudzie, co to się stał zaraz za pierwszego króla polskiego w Krakowie, dzieci sobie to spamiętały i ucałowały nóżki święte swego Pana Jezusa i poszły z ojcem do innych kościołów na obchodziny. A ktoby sobie życzył zobaczyć tego Pana Jezusa dziś jeszcze, niech jedzie

do Krakowa, a tam trafi do kościoł na Zwierzyńcu, co go fundował król Mieczysław I, co to królował 30 lat u nas i umarł w Poznaniu i tam pochowany leży.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Targ na chłopców.

— Co ty wieziesz hej Janie?
— „Trzysta chłopców mój panie!
— Gdzie ich wieziesz tak Janie?
— „Na jarmarek mój panie!
— Co wart jeden z nich Janie?
— „Sto za szeląg mój panie!...

Setka cała wart szeląga,
Bo z nich każdy czas marnuje,
Dobrym ludziom się urąga,
Tylko pije — wyspiewuje!....

Ot niewarci oni dudka,
Bo nie pomną i na Boga —
Pierwszą panią u nich wódka,
W kościele nie stanie noga!

Hej setka grosza nie warta,
Nikt się z nich pracy nie ima,
Ojczyzna bolem rozdarta,
A żaden się jej nie trzyma!

— Co ty wieziesz mój Janie?
— „Trzysta chłopców mój panie!
— Chcesz ich sprzedać hej Janie?
— „Ej, broń Chryste mój panie!
— Co wart jeden mój Janie?
— „Tysiąc złotych mój panie!

Tysiąc złotych wart z nich jeden,
Bo nad karczmę kościół woli,
Każdy wesół, chociażby bieden,
A cudza nędza go boli...

Tysiąc złotych za każdego,
Bo każdy chłopak nie lada,
Chętnie rad słucha mędrszego,
A jak gada, dobrze gada!

Każdy wart z nich złotych tysiąc,
Każdy Polskę z duszy kocha!
Hej że wart! to mógłbym przysiądz!
I nie spuszczę ani trocha!...

Wojtek ze Smolnicy.

Cudowna woda
czyli
jak stary Grzegorz pogodził Antka z jego żoną Magdą.

Jak długo stoi na świecie wieś Jaworzec, takci nie było w niej nigdy tak swarliwego i złośliwego małżeństwa, jak kmieć Antek i jego żona Magda!... Skoro nie było Antka w chacie, to Magda była cicho — skoro zaś Magda wyszła gdzie do kmotry na pogadankę, toć i Antek trzymał język za zębami. Ale za to Chryste Panie jak się zeszli do kupy, to było co posłuchać! Wtedy najpierw poczęła Magda swarzyć się i wymyślać, wrzeszczeć i wygadywać, że jej język obracał się w gębie gdyby jaki kołowrot, a cała chata aż się trzęsła. A Antek także nie darował. Jak-ci począł nastawać na żonę, odkrzykiwać i odpowiadać, to-by był każdy człek poczciwy przysiągł, że stary młynarz Andrzej wszystkie skrzydła swego wiatraka na wiatr rozpuścił! A że zawsze tak bywało, że Antek swoje, a Magda swoje, toć i nigdy nie było końca tej kłótni i temu swarowi — i cała sprawa kończyła się na tem, że Antek palnął pięścią po grzbiecie Magdę — a Magda znowu zajechała swemu Antkowi paznogciami w oczy i włosy.

Bywało taki hałas i taką okrótną wrzawę było słychać z Antkowej chaty, że spokojni gospodarze, co szli drogą, żegnali się jakby od jakiego licha, spluwali na ziemię i mówili:

— A to czyste skaranie Boże!...

Wdawali się w to i starsi z gromady, wdawał się i xiądz proboszcz sam — ale ani rusz zrobić spokoju. W chacie Antka jak była wrzawa okrótna i hałas piekielny — tak była. Jużci to nareszcie i gniewało mocno całą gromadę i samego xiędza proboszcza i do dworu nawet się zaniosło.

Ale trudna rada! Xiądz i gromada swoje, a Antek i Magda swoje. I już się wszystkim gospodarzom z Jaworca zdawało, że taki nie będzie nigdy końca temu zgorszeniu i tej waśni — kiedy naraz jednej niedzieli xiądz proboszcz właśnie wtedy, kiedy Magda przyszła do kościoła, przemówił do serca z ambony, jak to być powinno i jak to nasz święty Zbawiciel Jezus Chrystus nakazuje, aby między małżeńską parą była miłość i zgoda i spokój jak się patrzy.

Trafiło to jakoś od razu do serca Magdzie i wszystkie sąsiadki uważały, jak się w kościele po tych słowach xiędza proboszcza okrótnie zawstydziła i zafrasowała. Sąsiadki spoglądały na Magdę, a jedna i druga szturknęły się pomiędzy sobą. Magdzie zrobiło się strasznie markotno, łzy jak groch puściły jej się z oczów i wybiegła co rychło z kościoła.

Jakci Magda wyszła z kościoła, to już nie przyszła nazad do chaty, tylko z płaczem i narzekaniem szła drogą przez wieś na dół. Zaś na samym końcu wsi mieszkał stary Grzegorz, co to miał już lat górą dziewięćdziesiąt.

O tym zaś starym Grzegorzu mówiła gromada, że to bardzo mądry człowiek i że jak już nikt czemu zaradzić nie umie, stary Grzegorz, jak da radę, to już jakby rękami wszystko złe odjął od razu. Czy to kto zachorował we wsi, a nie miał za co posłać do miasta po doktora albo do cyrulika, czy to komu chudoba czegoś się popsuła, albo czy to wreście jaki spór powstał między dwoma gospodarzami — aliści zaraz każdy biegł do starego Grzegorza na koniec wsi, a on na wszystko poradził i wszystkich pogodził.

Toć to przecie każde dziecko wie w Jaworcu, że jak leśnemu Jankowi mała Kasia zachorowała strasznie i już Jankowa żona zawodziła nad nią okrutnie i myślała że na pewniaka umrze — stary Grzegorz jak przyszedł, jak oglądnął i dał się napić jakiegoś ziela, toć dziewczynce zaraz jakby

cudem boskim lepiej się zrobiło — a jak doktor przyjechał z miasta, to już wszystko było dobrze i po ludzku. Albo jak starej Marcie, co to biedna wdowa mieszka tam na pagórku koło rzeki a biedna niebogą co aż strach — zasłabła ostatnia krówka i już zdechnąć miała — kto pomógł? A jużcić nikt inny, jeno stary Grzegorz. Albo jak Maciek Warchlok powadził się z Jędrkiem Łabą o kawałek sianożęcia nad potokiem i już obaj do becyrku mieli pójść i prawować się na zabój — kto ich pogodził? Także stary Grzegorz!

O już niema gadania, że ten Grzegorz był strasznie rozumnym człowiekiem. To też go gromada szanowała i kochała gdyby przełożonego jakiego i nie było dnia, aby do chaty Grzegorza nie przyszedł jaki gospodarz i nie prosił o radę i pomoc. Byli i tacy we wsi, co mówili że Grzegorz zna się na czarach i gusłach, i dla tego tak umie nadać się na wszystko, ale to była furda i nieprawda i głupcy tylko tak mówić mogli, — bo też proszę was moiściewy, czy może kto inny, jak tylko jaki siarczysty dureń, wierzyć w czary?...

Otoż do tego starego Grzegorza pobiegła Magda po radę. Jak przyszła do izby, zastała Grzegorza, jak się modlił gorąco. Grzegorz miał bowiem jak już słyszeliście lat dziewięćdziesiąt, więc też trudno było słabemu staruszkowi wlec się zawsze do kościoła, to też modlił się u siebie w komorze.

Magda wpadła do izby z takim płaczem i z takiem szlochaniem, że aż stary Grzegorz się przestraszył i xiążka wypadła mu z rąk.

— A tobie co kobieto? — zawołał Grzegorz.

A Magda poczęła zawodzić:

— Ot dola moja ciężka, nieszczęście srogie, pokaranie Boże!... Jużci ja nie wiem co mam robić na tym bożym świecie, czy się utopić czy co?...

— Uspokój się niewiasto! — odpowiedział Grzegorz i wstał z ławy — Wstyd przecie mieć takie grzeszne myśli... Powiedz co ci jest takiego?

— Oj! moiściewy Grzegorzu — odpowiedziała na to Magda — tać wy wiecie co mi takiego!... Mam męża złego i gniewnego, toć wiecznie muszę się z nim kłócić i swarzyć, że aż

strach a xiądz dobrodziej się gniewa i sąsiady się śmieją!.... Oj biedaż, moja bieda!...

— Cyt kobieto! — mówił na to stary Grzegorz i odgarnął sobie ręką z czoła siwe i jak szczere srebro błyszczące włosy — cyt, nie narzekaj, bo i ty temu winna...

— A gdzież ja, kiedy Antek ciągle wrzeszczy i zaczepia mnie!....

A stary Grzegorz na to:

— Już to ja i Antka nie zwalniam od winy... Jakie jedno takie drugie... Antek złośnik — a i wy nic nie darujecie.... Jak Antek wam co powie, to wy nuż odpowiadać i odkrzykiwać ząb za ząb, że aż się powała trzęsie... Toć i nie dziw, że musi być zawsze swar i kłótnia...

Magda nic nie odpowiedziała, tylko białym rańtuchem ocierała zapłakane oczy.

A stary Grzegorz mówił dalej:

— Trzeba koniecznie aby, jak jedno zacznie krzyczeć, drugie milczało, bo inaczej nigdy spokoju nie będzie... A jak między małżeńską parą niema zgody i miłości, to ztąd istna obraza boska i zgorszenie ludzkie i hańba wierutna!...

Magda na to:

— Ale moiściewy, cóż ja mogę, że —

— Ot nie bredźcie — ofuknął Grzegorz — i nie przerywajcie. Posłuchajcie a opowiem wam gadkę. Jak dwóch rozumnych się zejdzie, to i słomki nie przerwą, bo jak jeden pocznie ją ciągnąć, to drugi puści, a jak drugi szarpnie słomkę ku sobie, to ją pierwszy z rąk wypuści... A jak dwóch głupich się zejdzie to i łańcuch rozerwą... Bo jak jeden ciągnie w tę stronę, to drugi w przeciwną i taki łańcuch rozerwać muszą... No cóż, rozumieliście?...

— Ta zrozumiałam — odpowiedziała Magda.

— No, to jak Antek zacznie marudzić, to wy trzymajcie język za zębami, a jak wy macie chętkę do zwady, to niech Antek ustąpi i będzie cicho i zgodnie!

Na te słowa starego Grzegorza odpowiedziała Magda:

— Oj złote słowa mówicie Grzegorzu! Ale cóż kiedy ani rusz tak zrobić... Bo jak Antek zacznie się swarzyć, to choćby

i umierać, nie można milczeć... Już nieraz chciałam nie odpowiadać, aby nie dać powodu do zgorszenia dla drobnych dzieci i sąsiadów, ale cóż kiedy mnie tak język pocznie piec i świerzbieć, że choć i nie chcę, to słowa same wymykają się z gęby....

— A to źle, bardzo źle... — odpowiedział Grzegorz — ale ja wam dam na to radę... Poczekajcie tu na mnie tylko chwilę...

I stary Grzegorz poszedł do alkierzu. Po chwili wrócił i przyniósł z sobą flaszkę z jakąś wodą.

— Weźcie to rzekł do Magdy.... Jest to woda cudowna.... Skoro Antek zacznie was napastować, to weźcie jeno tej wody pełną gębę i trzymajcie ją przez cały czas, aż Antek nie przestanie mówić a was gniew nie minie... A ja już wam ręczę moim siwym włosem że zaraz będzie inaczej...

Magda aż poskoczyła, tak się mocno uradowała. Podziękowała najpiękniej staremu Grzegorzowi, pocałowała go w rękę i pobiegła do domu.

Skoro tylko przyszła do chaty, aliści ujrzała Antka jak mu z oczu gniew patrzy i cały czerwony, gdyby ćwikła. Zaraz wzięła pełną gębę wody i czeka.

A Antek począł krzyczeć:

— A gdzieś to tak długo była?... ty taka, ty owaka!...

W Magdzie gniew okrutny się ruszył i aż się trzęsła, tak ją korciło odpowiedzieć i stanąć do kłótni, ale że trzymała wodę w gębie, więc musiała być cicho.

— Poczekaj ja cię nauczę! — krzyczał dalej Antek — ty niecnoto, ty niepotrzebna babo!...

A Magda milczy jak kamień!

Antek mówił jeszcze to i owo, ale jak widział, że Magda nic nie odpowiadała, zdziwował się okrótnie, a potem gniew go ominął i przestał krzyczeć.

Wtedy Magda pobiegła na dwór, wypluła wodę, a jak się wróciła do chaty, to już była święta zgoda i spokój, jak się należy.

Otóż tak moi kochani działo się przez cały tydzień. Skoro Antek począł się swarzyć, Magda brała wodę do gęby i milczała. Powoli Antek coraz rzadziej począł ją zaczepiać, bo

widział, że mu nie daje do gniewu przyczyny. Ludzie z Jaworca dziwowali się strasznie, coby to takiego było, że między Antkiem a Magdą taka zgoda i spokój.

A Magdzie tymczasem już niestało wody cudownej w flaszce. Pobiegła więc za wieś do chaty starego Grzegorza i poczęła mu bardzo dziękować, że jej tak dobrze zaradził. Mówiła:

— Bodaj wam Pan Bóg nagrodził Grzegorzu za tę wodę cudowną... Usłuchałam waszej rady i tak mi to pomogło, że już cały tydzień minął, a jeszcze ani razu nie było kłótni między mną a Antkiem. Ale cóż, kiedy mi już woda ta cudowna het wyszła. Bądźcież więc tak łaskawi, moiściewy Grzegorzu, i dajcie mi znowu z jednę flaszczynę tej wody, a Bóg wam stokrotnie nagrodzi.

A stary Grzegorz począł się śmiać i rzekł:

— Moja Magdo, jak chcecie jeszcze takiej wody, to idźcie sobie albo do potoka za gromadzkiemi łąkami, albo do studni dworskiej, albo do rzeki pod wsią.

— Jakto? — zapytała Magda.

— No jużci że nie inaczej! — odpowiedział stary Grzegorz i wciąż się uśmiechał — dyć ta woda, com ja wam dał, nie jest żadna cudowna, ale prosta i zwyczajna, jak każda inna....

— To nie może być — rzekła zdziwiona Magda.

— A jakżeż nie może być, kiedy tak jest — odpowiedział stary Grzegorz — dałem wam zwyczajną, studzienną wodę, abyście przywykli do milczenia, kiedy Antek się gniewa. Bo jużci żaden człowiek mówić nie może, jak ma pełną gębę wody. Otóż i wy trzymając wodę w gębie musieliście być cicho — a na taki sposób Antka złośliwa passja opuściła i przestał na was krzyczeć.

Dopiero teraz Magda całą rzecz zrozumiała.

A stary Grzegórz mówił dalej:

— Ja nie jestem żaden czarownik ani nic i nie mam żadnej wody cudownej. Ale człek żyje chwała bądź Bogu nie od niedawna już na świecie, więc też rozumie się na sposobach jakby ludzi na dobre naprowadzić. Zaś pamiętajcie zawsze, moja kochana Magdo, jak Antek zacznie się gniewać, to niech

wam się zdaje, że macie wodę w gębie i bądźcie cicho, a zobaczycie że go zawsze złość minie i będzie spokój święty, jak Bóg przykazał.

Magda zawstydziła się, że wierzyła, że to woda cudowna i że nie zrozumiała od razu, o co tu idzie — ale podziękowała raz jeszcze staruszkowi i przyszła do domu.

Ale od tego czasu to już na wielką uciechę xiędza proboszcza i całej gromady była zawsze zgoda i miłość między Antkiem i jego żoną Magdą. Bo skoro Antek począł się swarzyć, to Magda ani ruszyła językiem — akuratnie tak jakby trzymała wodę w gębie.

No i jakże nie prawda, że ten stary Grzegorz był bardzo rozumny i mądry — jak rzadko! Na to ani słówka!

Wojtek ze Smolnicy.

RÓŻNOŚCI.

Złodziej strasznie ukarany. Że cudza własność i krzywda nigdy nikomu na dobre nie wyjdzie, ale że owszem Pan Bóg srogo karze wszystkich takich bezbożnych ludzi, którzy się chcą cudzem zbogacić — o tem wiedzieliście zawsze, kochani ludkowie. Otoż posłuchajcie co się stało niedawno takiemu, a zobaczycie jaka to prawda święta. We wsi Balińcach, co to leży gdzieś w cyrkule Czortkowskim, ukradł jeden człowiek nie dobry, co się zwał Andrzej J. jednemu gospodarzowi z tej samej wsi parę wołów. Jak-ci ten złodziej już miał w ręku skradzioną chudobę, tak mu pilno było, aby z nią rychło gdzie uciec daleko, coby go nie złapali i do sądu nie oddali. Wziął one woły z sobą i chciał się z niemi przeprawić przez Dniestr, co to jak wiecie jest rzeka duża i głęboka. Aliści pan Bóg, a nie kto inny już tak dał, że ten złodziej z wołami trafił na miejsce bardzo głębokie i rwące i jak tylko był w rzece, woda go porwała z sobą i rzuciła nim tak o brzeg, że sobie ręce i nogi het jakby szkło jakie pogruchotał na drobne kawałki. Zaś woły utonęły. Niezabawem zbiegli się na jego stękanie ludzie i chcieli go, jak można po chrześcijańsku ratować, ale cóż, kiedyć nic już nie pomogło i złodziej umarł za chwilę. Takci to bywa ze wszystkimi, co się łakomią na cudze.

Dowcipny kmiotek. Nie szukać to pono długo między ludem polskim kmieci, co to głowę nie od parady na karku noszą, a jak potrzeba, toć tak czyście i do śmiechu odpowiedzą, żeby się tego nie powstydził i niejeden szkolarz, co zjadł zęby na abecadle. Boć to już taki ten naród sławny polski, że i pięść ma twardą do szabli, i głowę mądrą do rady i język przydatny do ciekawej jakiej przypowiadki. Posłuchajcie jeno, jakto jeden chłopek rozmawiał się z podróżnym panem. A było to tak:

Szedł sobie jeden kmiotek zrana do wsi i zdybał jakiegoś podróżnego pana, co jechał gdzieś zdaleka. Nasz kmiotek ukłonił się, jak się należy, i pozdrowił po chrześcijańsku nieznajomego. A nieznajomy pan go się pyta:

— A czy daleko, człowieku, południe?

A kmiotek na to:

— Nieszło tędy miły panie, toć i niewiem jak jest już daleko....

— A kto tę wieś trzyma? — pyta dalej podróżny.

— Ziemia i płoty!... odpowiada figlarz chłopek.

— Głupiś... fuknął pan — ja się pytam, kto tu najstarszy?...

— A jużci, że nie kto inny, tylko stara Małgorzata, co to mieszka koło organisty w samym środku wsi, bo ma już więcej jak sto lat...

Podróżny począł się już trochę gniewać, ale pyta dalej:

— Ale kto tu najwyższy?

— A dwie topole, co rosną koło kościoła a wyższe od samej wieży!... odpowieda kmiotek.

A pan pyta znowu:

— A kogo się tu najbardziej boją?

A filut na to:

— A Jackowego bryśka, boć to takie psisko zażarte i niepoczciwe, że kąsa...

Podróżny poznał, że nie dojdzie do końca z tym kmieciem, więc rozsierdził się mocno i z gniewem zawołał:

— Ej weźmiesz w pysk!

A chłopek na to:

— Miły panie, toć ja nie pies, abym co brał w pysk, ale jak co łaska dacie, to wezmę w rękę!...

Podróżny pan zaśmiał się, dał figlarzowi garść pieniędzy, a on ci mu za to wszystko rozpowiedział, jak trzeba było.

Stare przypowieści.

1. Trudna zgoda, z ogniem woda.
2. Z koniem nie igraj, niewieście nie ulegaj, pieniądze sam chowaj, jeżeli chcesz być bez szkody.

3. Gdzie dwa koty a jeden szczur,
Dwie gospodynie a jeden dwór,
Gdzie jedna kość a dwa brytany,
Tam spokój święty jest nieznany.

Wydawca odpowiedzialny: E. Winiarz.

Tom VIII. 1. Marca

Nr. 7. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Legenda o jagodach.

W biednej chałupie leży chora, nieszczęśliwa matka. Dwoje małych dzieci płacze w kąciku i wołają chleba, a trzeci starszy chłopczyna pociesza je i uspokaja. Ucichły dziatki na chwilkę, zasnęła chora. Starszy chłopczyna ukląkł przy jej łóżku i modlił się gorąco: „Panie Boże łaskawy daj chleba dla mego braciszka i siostrzyczki, daj lekarstwa dla chorej matki. Panie Boże łaskawy pozwól mnie małemu i słabemu zarobić uczciwie na chleb i na lekarstwo, aby dziatki i matka nie pomarły z głodu i choroby. Panie Boże łaskawy zmiłuj się nad niemi i nademną!“

Tak się modlił sześcioletni chłopczyna Jasio, i Pan Bóg wysłuchał modlitwy poczciwego dziecka. I zesłał Pan Bóg aniołka, który szepnął Jasiowi, aby poszedł zbierać jagody w dąbrowie. Jasio przeżegnał się, wziął króbeczkę i poszedł w dąbrowę.

Zaś była na świecie jeszcze bardzo wczesna wiosna, i kwiatki jeszcze dobrze nie rozkwitły i drzewa jeszcze nie wszystkie

zazieleniały, a po wzgórkach leżały jeszcze płaty śniegu. I nikt jeszcze nie widział jagód, bo nie pozakwitały nawet dobrze.

Ale Pan Bóg rozkazał jagodom wyróść w dąbrowie, i wyrosły gęsto i pięknie i takie same cudne a dojrzałe, że poszukać daleko podobnych. I kiedy dziecina z króbeczką przyszła w dąbrowę, nazbierała rychło jagód pełniuteńko, a takich pięknych i dojrzałych, że aż ochota brała do jedzenia.

I poszedł Jasio na targ z jagodami do miasta, a wszyscy ludzie dziwili się okrótnie i pytali:

— A gdzieś to uzbierała dziecino takich ślicznych jagód?

— W dąbrowie — mówił Jasio — a kupcie państwo, bo to na chleb dla mego braciszka i siostrzyczki, i na lekarstwo dla chorej matki.

I kupowali państwo jagody u Jasia, i dali mu dużo pieniędzy, że wystarczyło na chleb i na lekarstwo.

Od tego dnia chodził Jasio codzień rano w dąbrowę na jagody i codzień zbierał pełną krobeczkę i sprzedawał na targu, a za pieniądze kupował chleb i lekarstwa. Niebawem Bóg miłosierny powrócił zdrowie matce Janowej, i była wielka radość w biednej chatce, i szczęście znowu było.

Takto Pan Bóg na prośbę biednej dzieciny uczynił cud z jagodami.

Spiewka kosyniera.

Do rąk wziąłem ci ja kosę,
A czapkę na bakier noszę,
Z galoneczkiem ci srebrzystym,
Z pawim piórkiem pozłocistym.

Hejże! jak mnie pocałujesz,
Mojaśty — nie pożałujesz!
Za buziaka, za każdego
Skoszę Moskala jednego! —

A jak z wojaczki powrócę,
„Górą nasi“ — ci zanucę,

Choć z kulą, o jednem oku,
Ty będziesz przy moim boku.

Będziesz przy mnie przesiadować,
Jak w karczmie będą tańcować,
A kosynier się pochwali
Jak gracko kosił Moskali!

Więc i skłonię się twym rodnym,
Bo cię dziewczę będę godnym,
Xiądz pleban nam zwiąże ręce,
Hej — jak wrócę po wojence.

A jak Bóg nam da chłopaka —
Wymusztruję go w wojaka!
Aby umiał chaty bronić,
I dziewczyny serce skłonić!

A teraz mi bywaj zdrowe
Moje dziewczę malinowe!
Wrócę hej aż po wojence,
Czekaj mnie przy bożej męce!

I pogonił za druhami
Chyłkiem ścieszką i lasami;
Rozpłakała się dziewczyna
W sercu Moskali przeklina!

A. S.

Chciwość ukarana
czyli
jak Błażek Muszka sprzedał Ickowi Bimbum swego konia.

Jużto Bogiem a prawdą trzaby niejedną parę butów schodzić, aby znaleźć takiego drugiego jurnego zucha i figlarza, jak jedynak starej wdowy Barbary, co to to się zwał Błażek Muszka. Hej, hej mocny Boże, co to ci był za fryc wierutny ten Błażek Muszka! Z gruntu był to chłopak tak

poczciwy, że go jeno do rany przyłożyć a tak pracowity, że niech się schowają wszyscy parobcy na dziesięć mil w około — ale jak trzeba było jakiego uczciwego figla wypłatać, albo jakiemu hardemu człowiekowi, co to się dmie jak pchła na mrozie, porządnie nosa utrzeć, to już nie było nikogo nad Błażka Muszkę.

Bywałoć cała gromada aż pęka od śmiechu, jak Błażek jaką śmieszną gadkę opowie, albo jak komu psikusa wypłata, co się zowie! Boć to był już taki chłopak z natury, żwawy, zwinny i dowcipny jak mało. Niechno tylko kto zadarł nos i czuprynę do góry, lub wyśmiewał się i kpił z drugich, albo też czychał na krzywdę bliźniego, to Błażek zaraz się znalazł, jakby wyrósł z ziemi, i tak ci mu przyciął siarczyście, że choćby miał i cztery języki jak łopaty a lizał się niemi przez rok cały, to się nie wylizał z tego figla, którym mu Błażek dojechał!

Jak się tylko jaki niepoczciwy drągal we wsi pokazał, co to ani do Boga ani do ludzi, ani do tańca ani do różańca i ani go przyszyć ani przyłatać — toć zaraz gromada mówiła do Błażka:

— Ano Błażku przystaw mu stołka!...

A Błażek na to jak na lato, i zaraz mu taką łatkę przypiął, jak było potrzeba.

Toć jak Antek Bulba powrócił z wojska i ubrał się jakoś po cudacku, jakby Prusak jaki albo urwipołeć ze świata w pludry i jakieści tam gałgany inne, a nie mówił po polsku jak katolik, tylko jakoś szwargotał niby żyd a niby Moskal, Błażek Muszka tak ci mu przygadywał, tak przycinał, że wszystkie baby i dzieci ze wsi za boki się trzymały przez tydzień cały, a Antek Bulba miesiąc bez mała nie wyściubił od wielkiego wstydu nosa z chaty!

Dużoćby to było mówić o tych ucieszny̨ch sprawach Błażka i na wołowej skórze ponoby ich nie spisał — ale cóż kiedy panowie pisarze D z w o n k a strasznie się sierdzą, jak kto gada i papla bez końca, jak stara baba przy kądzieli. Więc też i ja nie będę wam opowiadał wszystkich figlów Błażka Muszki,

tylkoć wam opiszę, co on raz zrobił arendarzowi z zalipieckiej karczmy, *Ickowi Bimbum*.

Pojechałci raz Błażek Muszka do miasta na jarmarek, by tam trochę sprzedać, a trochę dokupić. Bo trzeba wiedzieć, że Błażek, choć był chłopak jeszcze młody, to był sobie gospodarzem jak niejeden, co mu głowa posiwiała. Błażka matka stara Barbara siedziała na gruncie, co jej nieboszczyk mąż zostawił, a że biedna staruszka już górą lat siedmdziesiąt dźwigała na barkach, więc Błażek Muszka całem rządził gospodarstwem.

Otóż Błażek pojechał na jarmarek, sprzedał dwie letnie jałówki, trochę przenicy, trochę ziemniaków, dołożył jakąś sumkę gotowych pieniędzy i kupił sobie tęgiego konia, gładkiego jak gałka a rączego jak ptak, że ci go się wszyscy nachwalić nie mogli.

Błażek Muszka był bardzo kontent z kupna, boć i nie drogo i dobrze nabył konia, więc też wesoło i spiewając sobie krakowiaczka powracał do domu.

A trzeba wiedzieć, że jak Błażek wsiadł na tego konia i jechał do domu, to wyglądał nie przymierzając tak dziarsko i chwacko, jak ułan polski, a wszystkie dziewuchy stawały i mówiły:

— A to mi chłopak jak ulany!...

Jadąc sobie tak do domu nadjechał Błażek do zalipieckiej karczmy. A że mu potrzeba było widzieć się z niektórymi gospodarzami, co także wracali z jarmarku a spoczywali z chudobą w karczmie, więc zatrzymał się także koło niej.

Zaś w zalipieckiej karczmie był arendarzem jeden żydek, co się żwał *Icek*, a ludzie dali mu imię *Bimbum*, bo jak się żydzina czego zafrasował albo też uradował, to głaskał pejsy i mówił zawsze:

— *Bim! bum! bim! bam!*

Ten Bimbum był to straszny szachraj żydzisko! Już to są i Żydzi często uczciwi, boć to przecie także ludzie i na podobieństwo Boskie stworzeni, ale jeżeliby wszyscy het byli takimi chciwymi i łakomymi na cudze dobro jak Icek, tobyć okrutnie źle było dla nich. Icek Bimbum, jak tylko ujrzał

gdzie pieniądze, to aż się trząsł cały, takby ci je chciał zagarnąć do kieszeni, a jak u kogo widział co dobrego i użytecznego, to tak długo dybał i dybał, tak długo szachrował i szachrował, że wreście i musiał wyszachrować.

To też dla tego i nasz Błażek Muszka krzywo się patrzał na arendarza z zalipieckiej karczmy. Bo Błażek miał serce, gdyby złote i strasznie mu było markotno, jak widział oszukaństwo i cudzą krzywdę.

Nieraz to i nie dwa mówił do siebie Błażek, jak się dowiedział, że Icek Bimbum kogoś oszachrował:

— Poczekajno ty szachraju, dostaniesz się ty kiedyś w moje ręce!...

I akuratnie tak się stało, jak Błażek chciał. Posłuchajcie jeno dalej.

Jak Błażek zajechał przed karczmę, więc wybiegli gospodarze aby oglądać tego ładnego konia, co go Błażek kupił na jarmarku. Zobaczył to Icek Bimbum i wybiegł sobie także, kłapiąc patynkami, aby zobaczyć, czego ludzie powychodzili.

Jak Icek wyszedł na próg karczmy i popatrzył na Błażka co siedział na kupionym koniu, takci mu się aż oczy poczerwieniły od wielkiej chciwości. I takci mu się podobał koń Błażka Muszki, że aż zrazu mówić nie mógł, tylko przewracał oczyma, głaskał rude pejsy i cmokał językiem:

— *Aj waj! bim! bum!... bim! bum!...*

A Błażek tylko z boku spoglądał na Icka i uśmiechał się pod nosem. Zaś Icek przybiegł do Błażka i począł konia klepać i głaskać i spozierać na niego tak łakomie, jakby go żywcem chciał pożreć.

— *Bim, bum!... Aj waj!* ja was nie *mugl* poznawać Błażku! *Kikste!* jak *wun* sobie *przyjechiwał* jak jaki starosta! Ja *rychtyk myszlał*, że to *jakiego ulan* albo co!...

A Błażek nic na to nie odpowiada, jeno rozmawia dalej z gospodarzami.

Zaś Icek znowu głaska konia, szarpie pejsy i cmoka językiem i mówi do Błażka.

— *Bim, bum!* zkąd wy jedziecie? Czy z jarmarku?... Gdzie wy *tegie koń* wyhandlowali? Hum?... *Bim bum!...*

A Błażek na to:

— A wam co do tego?

— *Aj waj!* — odpowiedział Icek — jakto co do tego, mnie wszystko do tego! *Bim bum! Hersti?* zkąd ty się taki wielki *purec narobił?...*

I szwargotał znowu dalej:

— Słuchaj Błażek! powiadaj coś dał za *ten kuń*, ja będę może jaki *hendel robić!*

— Ej daj mi pokój — odfuknął Błażek — ja konia kupił dla siebie, ale nie na szachrajkę.

— *Wuse dus* szachrajka?... *Bim bum!* Co to jest? ja *żitelnego* żyd, ja nie będę *szachrewywać*, ja *będę kupił! Bim bum!*

— Idź precz Icku, mówiłem ci już raz! — zawołał Błażek.

— Nu, czego ty masz *wyksikować!*... Tu nie ma czego *giwałt* yrobić. Ja chcę kupić za *własnego pieniądzów.*

A Janek na to:

— Ale ja nie chcę sprzedać i basta!

— *Hersti! Bim bum!* — mówił Icek i ciągle łypał oczami i targał pejsy, bo się mu koń podobał, co aż strach. — Czemu by ty nie *psidawal*, ty będziesz *psidawal!* Słuchaj Błażek, nie bądź *meszigene!* Kiedy nie chcesz *psidawać tego koń*, to się zamieniaj za moją łysą kobyłę! *Aj waj!* co to za kobyła! To *pikies* nie kobyła! Jaka *wona zdrów*, a jak *ono pobiegiwa*, jak *go* batogiem tylko *będziesz* trochę *polaskotać!* To *rarytnego* zwierz, ta moja łysa kobyła! *Bim bum! Aj waj!* To *tysząc* raz więcej wart, jak *twego koń! Twego koń* to słabe, a nogi ma jak *patyczków*, to *ono* nie będzie nic *chciało porabiać*, *won* by *jadł* tylko *wowsów* i *wowsów*, a jak tylko raz będzie *biegać*, to *będzie zdechł!...*

Błażek jeno się zaśmiał na to szwargotanie Icka, bo wiedział, że ta klacz, co mu ją chciał żyd zamieniać na konia, była ślepa na jedno oko i kulawa na nogę, a taka sucha, żebyć i każdą kosteczkę można było porachować.

Zaś Icek paplał dalej:

— *Nu* co zgoda! Bim, bum!... *Moje kobylka* to mi *wogierek!* Wono dla ciebie *akirat* dobre... Wono ciągnie za dwadzieścia a je tylko za jednę ćwierć *każdego innego koń!...*

— Ale ta twoja klacz ślepa! — powiedział Błażek.

— *Aj waj*! Bim bum! Szkoda żeś *taki mądry glów*, a taki *glupi*. To właśnie *pikies fajn dobrego*! *Wuna* ślepa, to ty jej możesz dać sieczki, a *wona* będzie *pomyśliwać*, że to *najczystszego owies*.

Błażek zaśmiał się z całego gardła i gospodarze też, co przytem byli śmiali się okrutnie — ale Icek jak swoje, tak swoje.

— Ale Icku taże twoja klacz kulawa! — mówił Błażek.

— *Nu*, co to jest kulawa? *Bim bum*! To właśnie dobrze. Że *wona troszki pokuliwa*, to się za to nie będzie bardzo *zbiegal*, nie będzie się *podpalił* i zdychawiczniał... I *ploszył* się także nie będzie! *Bim bum bum*! Nu zgoda Błażku! Ja nie chcę żebyś mi wiele dodał, ja tak po starej znajomości, *będę bràł* od ciebie *w dodatków* tylko *pięć szajnych*!...

— Czy ty oszalał Icku, czy co? — zawołał Błażek — daj mi pokój czysty, niech sobie jadę dalej!

Ale Icek chwycił za uzdę i nie puścił Błażka tylko krzyczał dalej jak opętany:

— Nu! niech stracę. Niech będzie *glów* za *glów*, *kuń* za *kobyłki*. Ja już ci spuszczam dodatków.

Błażkowi przyszedł figiel do głowy i mruknął sobie pod nosem:

— Poczekajno szachraju, już ja ci spłatam sztuczkę!...

I zawołał na żyda:

— No wiesz co Icku! Ja wiem, że ty żyd poczciwy! Ja ci sprzedam konia!

Icek aż podskoczył do góry i pogłaskał się po brodzie.

— Nu! *Bim bum*! A wiele chcesz za niego?

— Bardzo mało! — odpowiedział Błażek.

— Nu! to co innego! Ja zawsze *muwil*, że ty *pikies* chłop, ja wiedział, że ty sobie tylko tak *żartów robiwal*. Nu, a ile chcesz za konia?

— Jak sobie dasz palnąć dwadzieścia pięć kijów — odpowiedział Błażek — to twój koń na wieki!

— Aj waj! *Bim bum*! *ny* po co żarty, albo ja *bachór*, żebym *mal żartowywać*.

— Ja też nie żartuję na pewno — odpowiedział Błażek — tylko mówię sprawiedliwą prawdę. Dam ci dwadzieścia pięć kijów i konia!

— *Hersti* jaki wun mądry, wun sobie *pokiepkuwuje* z rzetelnego żyda.

A Błażek na to:

— Aleć mówię ci Icku, że nie żartuję jakem katolik. Zaświadczam to przy wszystkich gospodarzach, co tu są koło nas.

Icek wreście uwierzył, ale mu strasznie markotno było o swoje ciało. Targał swoje rude pejsy i brodę, zawracał oczyma i bełkotał:

— *Bim bum! Bim bum!*

— No jakże? przystajesz czy nie? — zapytał Błażek.

— *Ny aj waj*, jak ja mam przystawać, *dwadzieścia pięć kij* to nie żart, to nie *szmis*.

— Ha jak chcesz! zawołał Błażek i zaciął konia, jakby chciał odjeżdżać.

— Nu poczekaj, poczekaj, nie bądź *takiego* gorączka! — wołał żyd i to macał się po skórze, to głaskał pięknego konia.

Żydzisko bał się okrutnie o swój grzbiet, ale się strasznie zapalił do konia i myślał sobie:

— Nu dwadzieścia pięć kijów to nie żart — ale to minie, a koń będzie mój na zawsze!

Zaś po chwili powiedział:

— Słuchaj Błażku, a możeby ty trochę popuścił, ot tak piętnaście *kij* będzie akurat dobrze.

— Ani jednego nie spuszczę! — odpowiedział Błażek.

— Nu dwadzieścia *kij!*

— Nie! jak powiedziałem tak zostanie! Chcesz Icku albo nie, bo jadę do domu?

— Nu, co mam robić — odpowiedział Icek — i poskrobał się po skórze, ja *biednego żyd*, niech tak będzie. Ty będziesz dwadzieścia pięć *raz przyłożyć* kij do *mego grzbiet.* Ale słuchaj Błażku, ja muszę mieć wpierwej kontrakt na pismie!

— A dobrze — odpowiedział Błażek — zlazł z konia i poszedł z Ickiem i gospodarzami do karczmy.

Żyd posłał zaraz po wójta i pisarza, aby przyszli rychło spisać kontrakt między nim a Błażkiem.

Skoro wójt i pisarz przyszli do karczmy, Icek zawołał na Błażka:

— Nu Błażek rób ty teraz *kontraktów, cessjów i deklaracjów*, że jak mi dasz 25 *kij*, to koń będzie mój.

Błażek zasadził czapkę na bakier i począł pisarzowi pod pióro mówić:

Kontrakt sprzedaży.

Ja niżej podpisany odstępuję swego karego konia arendarzowi z Zalipiec Ickowi Bimbum na zawsze, skoro tylko dostanie odemnie Icek Bimbum 25 kijów.

Swiadkowie: Błażej Muszka.

Jacenty Rzepka, wójt.

Pafnucy Skrobigąska, pisarz gromadzki.

Na tem pisaniu przybił wójt pieczęć gromadzką. Jak Icek zobaczył swój dokument, jak się patrzy, wziął go do siebie i rzecze do Błażka:

— No panie Błażeju, bierzcie *kija*, ja już gotow...

Błażek kazał przynieść ławę. Icek skrobał się po skórze okrutnie i ciągle mruczał: *Bim bum*, ale jak się popatrzył na pięknego konia, który do niego będzie należał, skoro tylko weźmie 25 w skórę, położył się na ławkę.

— Mój Błażeju! — krzyczał z lamentem Icek z ławki — tylko miejcie *Boga* w sercu i nie *bądźcie przykładać* bardzo mocno *kij* do mego tyłu, bo ja *żitelny* żyd i mam *dziewięciorgi bachury!...*

Zaś Błażek plunął w garść, chwycił za tęgi kij, co to był z świeżej i giętkiej leszczyny i nuż nim okładać Icka. Gospodarze rachowali:

— Raz... dwa... trzy... pięć!...

A Icek wrzeszczał.

— *Aj waj! Bim bum! Aj waj! bim bum! piwoli, piwoli* bo strasznie *okrutecznie poboliwa!*

Ale Błażek nie zważał na krzyki Icka, tylko młócił co się zowie. Nareszcie dał mu dwadzieścia cztery kijów.

— Ile dostał? — zapytał Błażek gospodarzów.

— *Dwadzieścia cztery!* — odpowiedzieli.

— No to dosyć — powiedział Błażek.

Icek porwał się z ławy i począł się okrutnie czuchrać i kłapać zębami. A potem mówił:

— Niech ci tego Bóg *będzie zapominać* Błażku! bo ty *kij* nie żałował. Nu ale teraz dawaj konia!

— Jakto konia? — zapytał Błażek i śmiał się.

— Nu przecież koń mój! — zawołał Icek.

— A Bogać tam twój Icku! — odpowiedział Błażek.

— Ny, jakto? ty *szwarcjur*, ty *szachraj*, ja ma *kontraktów, cessjów, deklaracjów!*...

— Ja wiem, że masz — rzecze na to — ale to swoją drogą. Panie wójcie i pisarzu, jak tam stoi w kontrakcie?

— Stoi tak, że skoro Icek dostanie 25 kijów, to koń będzie jego — odpowiedzieli na to wójt i pisarz.

— No dobrze, a ja mu wiele dał kijów? — zapytał dalej Błażek.

— A dwadzieścia cztery! odpowiedzieli wójt i gospodarze.

A Błażek na to:

— Dwadzieścia cztery to nie dwadzieścia pięć! Jak Icek dostanie akurat 25 kijów, to mój koń będzie jego.

— *Wusedus? Bim bum! Hersti paskidnyk!* Nu to dawaj dwudziesty piąty kij.

— A poczekaj trochę! Ja teraz jadę do domu! — odpowiedział Błażek i wyszedłszy z karczmy siadł na konia.

Wójt i gospodarze poczęli się śmiać okrutnie z tego figla, jakiego Błażek wypłatał Ickowi i mówili:

— Dobrze ci tak! Łakomy i chciwy zawsze bywa ukarany!

A Icek wyleciał jak szalony za Błażkiem i wołał:

— Ty *ganew*, ty *rabuśnik! Bim bum!* Daj konia!...

A Błażek na to:

— A kiedy ja ci według kontraktu obiecał dać konia?...

— No! jak dostanę 25 *kij!* — odpowiedział żyd.

— A ileś dostał?

— Dwadzieścia cztery — odrzekł żydek.

— No to musisz czekać jeszcze na jeden kij — rzecze na to Błażek, aby było spełna 25, a wtenczas dam ci konia!

A Icek wołał:

— *Aj waj!* co to jest, nu to daj jeszcze jeden kij!

— Ho ho! nie zaraz, aż mi się podoba! — odpowiedział Błażek, zaciął konia i pojechał sobie precz.

Icek krzyczał, wrzeszczał, skakał i lamentował, targał brodę i rwał pejsy, ale taki stało się tak jak Błażek powiedział.

Icek chciał lecieć do becyrku, bo aż się wściekał, co go tak Błażek odrwił — ale cóż, kiedy cała rzecz działa się przy świadkach i na piśmie, a Błażek miał słuszność, jak się patrzy!

Takci to ucieszny frant Błażek Muszka ukarał chciwego szachraja, Icka Bimbum, który póki życia nie mógł zapomnieć tego figla i tych 24 kijów, co mu wlepił Błażek filut.

A cała gromada i wszystkie wsie na kilka mil w około opowiadały sobie długo ten figiel Błażka i każdy się z Icka ukaranego śmiał do rozpuku — a i teraz jeszcze każde małe dziecko z Zalipiec opowie ci, jak zechcesz, historję o mądrym Błażku a chciwym arendarzu z zalipieckiej karczmy.

Wojtek ze Smolnicy.

Opis poświęcenia kościoła w Żabińcach.

Mikołaj Roga ze Żabiniec, którego pisanie było drukowane w siódmym tomie Dzwonka, przysłał opisanie poświęcenia kościoła w Żabińcach, które się odbyło w roku przeszłym. Dla nauki i dobrego przykładu drukujemy tutaj całe owo opisanie, które jest takie:

We wsi Żabińcach w obwodzie czortkowskim odbyło się poświęcenie kościoła przez przewielebnego xiędza kanonika z Budzanowa a za pozwoleniem najprzewielebniejszego arcybiskupa lwowskiego, kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, fundowanego roku 1860 przez wielmożnych dziedziców, którzy są bardzo zacni i bogobojni państwo. Chociaż są niebardzo bogaci,

podjęli dla Pana Boga tak wielkie wydatki, za które im Bóg wszechmogący w niebie wieczną szczęśliwością odpłaci. Nikt nie pamięta, ażeby w tej wsi był kiedy kościół albo cerkiew; to też ludzie bardzo się cieszą, że mają we własnej wsi kościół, bo pierwej trzeba było iść aż na trzecią wieś. Włościanie tej wsi bez różnicy Łacinnicy i Rusini dopomagali pracą rąk swoich, i także choć małym datkiem przyczynili się do budowania. Więc za pomocą Bożą w niespełna trzy lat po założeniu węgielnego kamienia został kościół ukończony. Stoi on za wsią na pagórku, wielkim ołtarzem na wschód, a po prawej i lewej stronie są umieszczone dwa małe czyli poboczne ołtarze, które nie są jeszcze ukończone. Od strony zachodniej po obu bokach wielkich drzwi są umieszczeni we framugach dwaj patronowie Polski, święty Stanisław i święty Wojciech, pięknie z ciosu białego wyrzezani, jakoteż w całym kościele są piękne figury z ciosu wyrobione. Na kościele jest wieża z trzema dzwonami, które tego roku dnia 7 września w wilię poświęcenia kościoła przewielebny xiądz kanonik przy assystencyi xiędza Białkowskiego, proboszcza z Kopeczyniec, poświęcił. Są dwa dzwony wielkie na wieży i jeden mały do sygnowania; zaś największy z dzwonów był już dawniej poświęcony. Wszystką też garderobę poświęcił xiądz kanonik w wilię; są tam różne prześliczne ornaty, alby, komeżki dla xięży i różne przybory.

Nazajutrz rano, to jest dnia ósmego września, wyszedł xiądz Tomaszewski obrządku łacińskiego z cichą mszą świętą, a przewielebny xiądz kanonik w kapie bardzo kosztownej, sprawionej przez wielmożnych państwa fundatorów, poświęcił wszystkie trzy ołtarze i cały kościół. Ludzi było bardzo wiele, a jeszcze więcej było kiedy przyszły processye z Hadyńkowic, Kopeczyniec i Husiatyna. Otóż zaraz po pierwszej mszy świętej i poświęceniu kościoła wyszła żabiniecka processya, i na końcu wsi złączyła się z nią processya z Hadyńkowic z kościoła obrządku greckiego, i razem już szli na spotkanie kopeczynieckiej i husiatyńskiej, które się pod wsią Kociubińce także złączyły, i tuż na granicy między Kociubińcami a Żabińcami zeszły się wszystkie cztery processye i ładnie się jedna drugiej chorągwiami pokłoniły, i wszystkie razem powtórzyły chórem

ową znaną nam pieśń do Matki Boskiej: „Matko Potężna.“ I tak wszystkie cztery processye śpiewając różne nabożne pieśni doszły blisko kościoła, w którym uderzyli wraz we wszystkie dzwony. Zaraz zaczęła się w obrządku greckim msza święta soborna, odprawiona przez xiędza ruskiego z Czarnokoniec, podczas której wielu panów w ubraniu staropolskiem przy karabelach stało ze świecami na około ołtarza. Po mszy świętej sobornej xiądz Kamiński z zakonu ojców Jezuitów misyonarz z Tarnopola, bardzo wymowny kaznodzieja, wyszedł przed kościół na przygotowaną tam ambonę; w kościele albowiem nie można było około sześć tysięcy ludu pomieścić, dla tego było kazanie przed kościołem. Wszystkich ludzi tak bardzo ono rozrzewniło, że aż wszyscy płakali. Żeby był kto i najtwardszego serca, toby się był rozpłakał. Mówił bowiem xiądz misyonarz o Moskwie, która teraz niezmiernie nad tem pracuje, żeby nam naszą wiarę świętą odebrać, ten skarb najdroższy, nad czem pierwej pracowali Tatarzy i Turcy, paląc i plądrując tę naszą najukochańszą ziemię, zabierając lud i bogactwa nasze w niewolę, lecz wiary nam naszej nie zdołali odebrać. A teraz także są nieszczęśliwe czasy, lecz starajmy się, żeby nam wiary świętej Moskale nie odebrali, choć wyganiają braci naszych na Sybir za wiarę, choć przymuszają do szyzmy; wycierpmy wszelakie katusze i utrapienia a wiary naszej nie porzućmy, bo wiara nasza jest święta, bo bez wiary katolickiej nikt zbawionym być nie może. I długo bardzo trwało to piękne kazanie, a po kazaniu zaczęła się wielka suma, odprawiona przez przewielebnego xiędza kanonika, który był ubrany w prześliczny ornat, sprawiony przez fornala dworskiego Michała za 64 reńskich. Assystowało do sumy trzech xięży obrządku łacińskiego i czterech chłopców, poubieranych w bardzo piękne komeżki. Wszystkich xięży było dwunastu, to jest ośm obrządku łacińskiego a czterech obrządku grecko unickiego.

Dnia 12 października, to jest na piątą niedzielę po poświęceniu, przyjechał nasz przewielebny xiądz proboszcz, były wikaryusz w Gródku pode Lwowem. Bardzo był dla całej parafii dzień ten radośny. Przyjechał on jeszcze zrana przed mszą świętą, więc zebrało się kilkunastu gospodarzy bez różnicy,

Łacinników i Rusinów, bo Chrystus Pan nas uczył, żebyśmy się kochali jak bracia, bo jesteśmy wszyscy sobie bliźnimi, gdyż chociaż obrządek jest trochę jeden od drugiego różny, to wiara nasza jedna katolicka nieodmienna, bo my zostajemy pod najwyższą głową kościoła Chrystusowego, pod następcą świętego Piotra, Ojcem świętym, papieżem rzymskim. Jak powiedziałem zebrało się kilku gospodarzy, a jeden z nich powitał przyszłego proboszcza chlebem i solą, i powinszował pięknie życząc dobrego powodzenia. Jeszcze tego samego dnia miał przewielebny xiądz proboszcz mszę świętą, kazanie zaś miał xiądz Dominikan z Czortkowa. Przez zimę ma mieszkać xiądz proboszcz w tymczasowo urządzonej rezydencyi blisko kościoła, a na wiosnę jak da Bóg doczekać to jeszcze państwo dziedzice chętnie przy pomocy bożej zbudują nowe pomieszkanie, a także i parafianie z chęcią pracować będą około niego, ponieważ fundamenta są już gotowe. Do kościoła tego należą oprócz Żabiniec, Hadyńkowce, Szwajkowce, Probużna i Kociubińce.

Mikołaj Roga włościanin ze Żabiniec.

RÓŻNOŚCI.

Ofiary piękne. Przysłali nam niektórzy panowie i gospodarze pieniądze na naprawę pomnika króla Kazimierza Wielkiego w Krakowie, a zaś ci przysłali: Pan Jan Zaremba 50 centów, gospodarze: Józef Chmura z Chudaczowa 25 centów, Kazimierz Wróbel z Grodziska 25 centów, Antoni Lorenc z Białobrzeg 25 centów, i pan Świątoniowski z Białobrzeg także 25 centów, zaś Stanisław Doktór z Mędrzychowa przysłał 4 reńskie i 40 centów, które tamtejsi gospodarze złożyli, a Jan i Wojciech Solokowie włościanie z Wytrzyszczyki 30 centów więc razem 6 reńskich i 20 centów. Zaś pan Michał Szydłowski z Nadwornej przysłał 1 reński na sprawienie palmy w kaplicy przy trumnie świętego Stanisława w Krakowie. Wszystkie te pieniądze odesłaliśmy do Krakowa, a tu na dobry przykład wydrukowaliśmy nazwiska tych, którzy tę ofiarę uczynili.

Samobójstwo pijaka. Nie trza wam pono mówić, na jaką to biedę i nieszczęście sprowadza gorzałka, boć to o tem już nieraz i niedwa pisał szeroko „Dzwonek.“ Toć każdy z was wie dobrze, że jeszcze żaden pijak

w świecie nie był dobrym gospodarzem i katolikiem, jak się patrzy, ale zginął marnie w nędzy. Zaś posłuchajcie jaki się wypadek zdarzył we wsi *Siechowie*, co to leży we lwowskim cyrkule. Byłci tam jeden kmieć Wojciech D., co to lubiał się upijać i gorzałkę łykał jak wodę. Jak tylko kiedy dostał jaki grosz, zaraz ci z nim biegł do karczmy i dał żydowi za wódkę. Otóż ta gorzałka najprzód zniszczyła jego mienie i dobytek, potem i zdrowie, a nareście mu rozum i mienie odebrała. Aż jednego dnia, a było to 20 lutego tego roku, znaleźli ludzie tego Wojciecha D., powieszonego w stodole. Widać, że musiał się był upić okrutnie i straciwszy rozum i zmysły do reszty powiesił się sam w stodole. Chcielić go wprawdzie ludzie ratować, ale leki już nic nie pomogły. Tak to nędznie i niepochrześcijańsku giną pijaki.

Pożary. Już to ten ogień to istne pokaranie Boże! Ciągle tu piszą do Lwowa o wsiach i chatach co się spaliły. A najczęściej winni sami kmiecie, że nieostrożni i nie warują się przed ogniem. I tak 15 lutego powstał pożar w *Drohowyżu*, w obwodzie stryjskim, i zgorzały czterom włościanom tamtejszym chaty i wszystkie budynki gospodarskie wraz ze zbożem. W *Mszanie* pogorzał **11** lutego przez nieostrożność tamtejszy włościanin Ilko S. a ogień zniszczył wszystkie budynki, zboże, siano i co tylko jeno miał. Zaś w *Humańczycach* w obwodzie Sanockim zniszczył ogień tamtejszemu gospodarzowi Antoniemu Z. cały dobytek do szczętu, a szkoda cała wynosi **916** reńskich srebrnych. Ludzie mówią, że jakiś zły człowiek ten ogień podłożył.

Zdania moralne.

Zwycięztwo nad sobą samym i braterska miłość są Bogu najprzyjemniejszą i najmilszą ofiarą.

Próżność plami nawet najlepsze uczynki, ponieważ odbiera im wartość.

Prawdziwa pokora jest najlepszą zasłoną przeciw pokusom.

Jeżeli widzisz błądzącego, wspomnij sobie na własne grzechy.

Nie sądź nikogo z pozoru bo się omylisz.

Wszędzie i zawsze miej cierpliwość i panuj nad gniewem.

Dobre i czyste sumienie jest największem bogactwem na ziemi.

Łatwo się ten zbogaci, który się obchodzi skromnie.

Cnotliwy sąsiad jest najszacowniejszym skarbem, a zły tak jak powietrze nieznośny.

Wydawca odpowiedzialny: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 8.
11. Marca 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Florjan.

Ten święty żołnierz nie urodził się w naszym polskim kraju, ani się tu nie wychował, ani też za jego życia nie postała tu nigdy jego święta stopa, ani jego oczy żywe nie widziały naszych krajów nigdy, a przecież jest on patronem polskiej ziemi i co wieś i co miasto polskie napotkasz kaplice tego świętego. Otóż niejeden ciekawy zapyta się:

A jakimto sposobem został ten święty patronem polskim, skoro ani się tu rodził, ani żył, ani umarł?

Otóż posłuchajcie, jak to się stało wszystko.

Jużto temu bardzo dawne lata, bo to jeszcze było wtedy, kiedy panowali poganie w mieście Rzymie, gdzie teraz siedzi nasz Ojciec święty, jako najstarszy biskup i głowa wszystkich katolików na całym świecie. A ci poganie nie lubili strasznie Pana Jezusa nauki, ani nie znali Najświętszej Panny, ani nawet nie wiedzieli nic a nic co się jeno zowie o Bogu prawdziwym i żyli sobie tak prawie, jak to nieprzymierzając bydlęta u nas. Zaś mieli oni więcej bożków, niż dni na cały

rok, a to takie było wszystko śmieszne, że aż wstyd o tem gadać. To też jak się trafił w Rzymie między nimi jaki taki rozumniejszy i lepszy, co to był rad dać się ochrzcić i zostać chrześcijaninem, to nuż te poganiska zaraz na niego, nuż go topić, dusić, zabijać — a jak się o kim na pewne dowiedzieli, że on już ochrzczony, to tam nie było dla tego biedaka żadnej rady, jeno trza było z miasta uciekać z duszą a resztę wszystko zostawić na boskie zmiłowanie, albo dać się zabić, zamęczyć, i to nie raz tak strasznie męczyli, że aż strach dziś o tem wspominać.

Otóż między takimi bezbożnikami żył sobie Florjan a ojciec jego był także poganin, jeno matka modliła się pokryjomu do Pana Jezusa i jako matka dobra zawsze tak gadała synowi Florjanowi:

— Ej! dziecko moje! ty jedynaku mój i cała moja pociecho, nie rób ty tak, jak to robi ojciec, albo jak to robią inni tacy młodzi jak ty. Ty sobie zostań pobożnym, nie rób nikomu nic złego, ani namawiaj nikogo do grzechu, a nie trap ty tych pobożnych ludzi, co to noszą u szyi krzyżyki z Panem Jezusem i są ochrzczeni i modlą się po całych nocach w grobach lub piwnicach.

I słuchał młody Florjan nauki swej matki, zawsze sobie rozważał, co ona mu po cichu gadała i zmierził sobie na końcu wszystkie grzechy, co jeno gdzie co u kogo złego widział i tak raz mówił do matki:

O matko moja! nie trap się o mnie ani o moją duszę, bo moja dusza już należy cała do Pana Jezusa, a moje ręce nie powalają się nigdy w cudzej krwi ani czyjej szkodzie, a moje serce pomoże każdemu biednemu, gdzie jeno będzie można, a gdzie jeno trafi mi się kto, to go nauczę od początku do końca o Panu Jezusie i o Bogu i namówię go, aby się ochrzcił i przystał do katolików. I mnie matko ochrzcił już sam biskup tutejszy.

A matka jego objęła mu głowę swemi drżącemi rękami, pocałowała ją i mówiła z płaczem:

Teraz mój synu dobry, umrę spokojnie, boć wiem, że twoja duszyczka nie zmarnuje się, i że ty na moje stare lata

zostaniesz mi pociechą, a jak będziesz pobożnym i wiernym Panu Jezusowi, to pomożesz sobie i twej matce do zbawienia.

I zgadła ta matka dobra, że jej syn Florjan nie zmarnował się, że sobie wysłużył niebo a może i swej matce, ba! ona wtedy ani przeczuła, że jej dziecko pójdzie między aniołki, między ogniste gwiazdeczki, powyżej nad słoneczko tam do wysokiego nieba, gdzie wszystkim pobożnym duszom zgotował sam Pan Jezus mieszkanie na wieki.

Otóż Florjan doszedł do swoich lat i poszedł na wojaczkę. A jak to przy wojsku bywa rozmaicie, bo jeden się popsuje i ani go poznasz po mowie i po stroju, ani ojca i matki znać potem nie chce ani nikomu uczciwego słowa nie da, jeno robi się z niego ostatni zbijacz żeby i 7 mil za piekłem nie nadybał już gorszego. Ale Florjan nie był taki. On sobie był zawsze i wszędzie pobożny, usłużny dla każdego, pamiętny na matkę swoją, co jeno uciułał sobie jaki krajcar, to zaraz posłał go matce, a gdy jego kamraci spali na twardo, on złaził z łóżka, klękał i modlił się gorąco, bo nosił pod koszulą krzyżyk z Panem Jezusem. Ale jako dobry wojak został on starszym i miał aż 50 wojaków pod sobą. To też był on dla nich bratem, ojcem i mawiał im:

— Ot! przestańcie już raz wierzyć w te głupstwa, a dajcie się ochrzcić w imię Pana Jezusa ukrzyżowanego, a będziemy sobie razem jako bracia i dzieci Pana Jezusa.

A wojacy na to gadali:

— A jak nas też potem za to umęczą lub zabiją albo pogonią na koniec świata na zagubę?

To Florjan zaraz na to rzecze:

— Kto dla Pana Jezusa cierpi lub umiera, ten nigdy marnie nie ginie! Niech cię i upieką i zamęczą źli ludzie, aby jeno za co dobrego, czy to za drugich ludzi, czy to za Pana Jezusa, to wtedy nie dbaj, jeno przecierp, a za to masz obiecane niebo!

I usłuchali wojacy rady dobrej Florjana i wszyscy się ochrzcili. Florjan wysłużył swoje lata na wojaczce i wrócił do domu. Ale matka jego już nie żyła, to też on zajął się robotą, aby darmo nie żyć, aby ręki do ludzi nie wyciągać,

ale aby sobie zapracować na kawałek chleba i jeszcze drugiemu biedniejszemu podać rękę. Nikt też nie był darmo u niego, to dawał pieniądze na składkę dla ubogich, to dawał zboże, to chusty dla chudaków, to chował przy sobie sieroty i wdowy, to chodził do chorych, to sprowadzał do domu takich, co ich poganie ścigali i pokrył ich het do jednego aby ich nie pozabijali, to ich znowu sam po nocach odprowadzał daleko, aby się mogli skryć gdzie przed poganiskami i był on taki, żeby się był dał porąbać za drugiego.

Otóż raz dowiedział on się, że tych 50 wojaków, co to byli pod nim i dali się ochrzcić, połapali do jednego te poganiska obrzydłe i mieli ich pozabijać. Nuż Florjan duma sobie w swej głowie:

— Toć ja byłem nad nimi w wojsku, a oni podemną, i toćby oni teraz mieli być lepszymi odemnie i pierwej umierać za wiarę swoją świętą?

I nuż się zaraz zabrał i poszedł do swoich wojaków dawnych, aby ich rozochocić do śmierci świętej, albo gdyby się bali męki srogiej i zapierali się ze strachu wielkiego nawet samego Pana Jezusa, to aby ich namawiać, by zostali wiernymi aż do ostatniego skonu. I gdy tam przyszedł powiedział im:

— Otóż ja nasamprzód pójdę na mękę i umrę za wiarę świętą, abyście i wy tak zrobili.

Na te słowa jeden pogański urzędnik, co to się zwał ni to z niemiecka, ni po turecku jakoś to Akwilinus, kazał go zaraz zewlec do naga i bić żelaznemi kijami, targać kleszczami i wydzierać mu ciało kawałkami. Ale gdy to znosił Florjan cierpliwie, to go po długiem biciu kazał utopić w wodzie i kamień mu do szyi przywiązać, a potem kazał pozabijać i tych drugich. I to ciało jego zaniosła woda daleko i zaczepiła na wielkim kamieniu. Otóż wtedy z dopustu boskiego przyśniło się jednej pobożnej matce, żeby poszła po to święte ciało i pochowała go uczciwie. I zaniosła ona to ciało tego świętego męczennika do kościoła, a ojciec święty kazał go złożyć do grobu, gdzie już było i ciało świętego Szczepana i świętego Wawrzyńca. I otóż widzicie moi kochani, że święty Florjan

żył tam, gdzie to dziś są kraje Ojca świętego, i leżał pochowany w Rzymie już to temu jakie półtora tysiąca lat.

Przy grobach świętych pańskich działy się przeróżne cuda, do tych grobów szli pobożni ludzie i doznawali tam różnych łask od Boga, to też doszły te nowiny aż do polskiej ziemi, a w polskich krajach byli wtedy na cały świat najpobożniejsi i najuczciwsi ludzie. Było po umęczeniu świętego Florjana dobre 800 lat, kiedy w naszym Krakowie siedział sobie król polski Kazimierz II, a był to król co się zowie i dobry i pobożny i dla każdego przystępny i miłosierny, a nie dałci nikomu najmniejszej szkody zrobić, bo on tak mawiał do każdego:

— I mały kociczek niech ma swój kąciczek, a dla drobnego robaczka nie żałuj obroczka — i dla ludzi i dla Boga, niech się nie dzieje żadna szkoda.

To też on po śmierci trzech braci swoich porobił porządki, pofundował kościoły, porozdawał ludziom grunta z granicami, a już na tyle dopomagał każdemu, że tam i komornik i zarobnik miał chusty i pieniądze i zawsze coś dobrego na śniadanie, na obiad i na wieczerzę — każdy był ta wtedy ochoczy do roboty, i uczynny i posłuszny i pobożny, a wszędzie gadano po świecie o królu tak:

— O już ta nie znajdzie w całym świecie tak sprawiedliwego człeka, jak ten król w Krakowie. To też tego dobrego króla nazwali ludzie Kazimierzem Sprawiedliwym, a sam Pan Jezus patrzył się na to wszystko z wysokiego nieba.

Z Węgrami się pogodził ten król o granicę mówiąc:

— Co na tamtej stronie gór Karpat, to wasze i tam sobie siedźcie cicho i spokojnie, a co znowu po tej stronie, to nam dał Bóg tę ziemię i wody i lasy, abyśmy tu byli sobie spokojni i chwalili za to Boga.

A lubił też Ojciec święty niezmiernie tego króla, bo też jeden brat króla Henryk był aż w Jerozolimie u grobu bożego i bronił to święte miejsce od napaści Turków, to też mawiał Ojciec święty:

— Nie ma to jak król polski! on dał i pieniędzy cały wór i trochę wojska, aby obronić grób boży od łupieżników!

To też namówił sam Ojciec święty jednego pobożnego xiędza co się zwał Getko, aby został biskupem w Krakowie i tak mu mówił:

— Ja cię wyświęcę na biskupa do Krakowa, bo tam lud pobożny i pracowity jak mrówki i pszczoły, tam bogactwa tyle, że możesz i kościoły fundować i szpitale stawiać i ubogim dawać, a jeszcze ci zostanie tyle, że nie potrafisz tego zrachować; a król tam mądry i sprawiedliwy, że mu i Salomon nie wyrównywał.

To też był Getko biskupem dobrym, pofundował różne kościoły i sam potem został świętym Gedeonem.

I było w polskim kraju chleba tyle, że stały stodoły i brogi jak gwiazdy na niebie, były pasieki po lasach ni to folwarki, były ryby jak kloce, a zające chodziły sobie stadami jakby barany na polu. A budynki były drewniane i słomą poszyte, to też jak Pan Jezus spuścił gdzie ogień, to tam gorzało po całych tygodniach i nie było końca i miary temu. Otoż raz zeszły się gromady do Krakowa i poszły z biskupem Getkiem do króla i tak mówiły:

— Królu nasz i ojcze! mamy chleba co niemiara, stodoły i brogi stoją nie młócone, ale radź też jakoś, bo nam dużo szkody robi ogień. Pozwól nam pójść z biskupem do Ojca świętego, aby nam dał jakiego patrona od ognia i od szkody.

A król sprawiedliwy rzecze na to:

— Idźcie moje dzieci z biskupem naszym i proście Ojca świętego o to, a ja się sam przyczynię za wami.

I pojechali pobożni ludzie z biskupem do Rzymu i stanęli przed Ojcem świętym i tak mówili:

— Ratuj nas Ojcze święty od ognia, módl się za nami i daj nam ciało jakiego świętego, abyśmy mieli w nim patrona od ognia i od szkody.

A Ojciec święty podumał trochę i powiedział:

— Ja tu mam w grobie jednym trzech świętych i największych męczenników: świętego Szczepana, Wawrzyńca i Florjana — którego sami chcecie, to sobie weźcie.

A potem dodał mówiąc:

— Ja sam pójdę do grobu tych świętych, tam się będziemy modlić i ja się zapytam który z tych trzech zechce pójść do Polski, a Bóg nam da odpowiedź na to. I poszli razem i poklękli nad grobem i modlili się długo a potem Ojciec święty tak mówił:

— Czy chcesz pójść do Polski święty Szczepanie, którego źli ludzie ukamienowali za Pana Jezusa?

A ręka świętego Szczepana ruszyła się w grobie, że nie.

Potem się pytał Ojciec święty świętego Wawrzyńca:

— Czy chcesz pójść do Polski święty Wawrzyńcze, którego źli ludzie upiekli na ogniu za Pana Jezusa?

A ręka świętego Wawrzyńca ruszyła się w grobie, że nie.

Na końcu spytał Ojciec święty znowu świętego Florjana, a ta ręka jego ruszyła się i pokazała tam, gdzie jest kraj polski.

Na to odezwał się Ojciec święty:

— Otóż macie patrona świętego, co to był pobożnym i sprawiedliwym wojakiem, aby was bronił od ognia i od złych sąsiadów. Święty Szczepan wam niepotrzebny, bo wy nikogo kamieniami nie bijecie i bić nie będziecie. Święty Wawrzyniec wam także nie potrzebny, bo wy nikogo nie męczycie i męczyć nie będziecie, choćby był innej religii; a święty Florjan wam widać potrzebny, abyście byli wszyscy wojakami za Paną Jezusa, za Najświętszą Pannę, za sprawiedliwość i za cały świat.

Na te słowa rozpłakali się Polacy, poklękli koło świętego Florjana a potem dali zrobić trumienkę złotą. Ojciec święty złożył do niej ciało świętego męczennika i tak oni bez czapek z swoim biskupem szli pomału, nieśli trumienkę sami na rękach i napisali do Krakowa królowi o wszystkiem. Wtedy król zwołał xięży i lud cały i mówił:

— Otóż bądźcie gotowi, jak jeno przyniosą nasi na granicę naszą to ciało święte, to wszyscy pójdziemy z pokorą i nabożeństwem wielkiem naprzód nich i z processyją wielką sprowadzimy to ciało do Krakowa i będzie nabożeństwo z odpustami jak najdłużej.

I wyszli naprzód 7 mil od Krakowa. Było biskupów 7 i arcybiskup z Gniezna, a xięży i zakonników jak liścia na drzewie, a ludu pobożnego z obrazami, chorągwiami stało jakie 3 mile po drodze, a król sam boso i bez czapki szedł aż 7 mil tam i nazad i sprowadzili to ciało święte do Krakowa. Wtedy król rzecze do ludu:

— Woźcie to ciało po całym Krakowie i spiewajcie pieśni a gdzie wóz z tą trumienką stanie i nie zechce się ruszyć z miejsca, to dla nas znak od samego Boga, że tu ufundujemy wielki kościół i tu złożymy w ołtarzu to ciało.

I woził lud polski po Krakowie to ciało, aż na jednem miejscu stanął wóz jakby go przykuł do ziemi — wtedy król powiedział:

— Otóż tu będzie kościół świętego Florjana, patrona naszego od ognia i od szkody i zostanie na wieczną pamiątkę.

I sypnął król pełne ćwierci dukatów, sypnęli i xięża, ale i lud polski pobożny znosił ofiary, zwoził i znosił kamienie i stanął kościół i stoi do dziś na Kleparzu w naszym Krakowie. Tam leży ciało świętego Florjana, a ten patron broni nas od ognia, broni nas od złych ludzi — a to wszystko stało się roku pańskiego 1184.

O święty Florjanie! broń nas od ognia, od szkody i wszystkiego złego! Jakieś nas bronił od Tatarów, od Turków, od Moskala, tak broń nas i teraz i uproś nam zgodę i miłość między nami Polakami Amen!

Xiądz Wojciech z Medyki.

Sąd przy wódce.

Urząd wiejski siadł za ławą,
Będą sądzić, będzie prawo.
Wójt ogłosił wyrok krótki:
Biłeś Bartku — każ dać wódki:
Maciek zaczął, choć był bity,
Niech da kwartę okowity;

A świadkowie bez wymówki
Dadzą garniec anyżówki.
Koniec sprawy wójt obwołał,
Sam pić zaczął i częstował,
A gdy wszystko wypróżnili
Oskarżeni wójta zbili.
Wódka silna razem z ławą
Wyrzuciła oknem prawo.
Strzeżcie się nasi wójtowie,
Gdy sądzicie, mieć szmer w głowie,
Wódka sprawy nie złagodzi,
Bo niezgoda wraz z nią chodzi.

T. O.

Powrót z jarmarku.

Kuba w blizkiem miasteczku piękne byczki kupił,
Wypił litkup podwójny, więc się tęgo upił.
Zdjął kożuch, przykrył byki, bo go wódka grzała,
Legł w kałuży, bo mu się pierzyną wydała.
Tymczasem nadszedł złodziej i korzystał z pory,
Chłopa w błocie zostawił, byki pognał w bory.
Poźniej Kuba się zbudził, chcąc byki gnać dalej,
Hej byciu! hej! hej! krzyczy, kijem w kożuch wali,
Aż go i podziurawił, lecz ten nieruchomy:
W tem z jarmarku nadchodzi gospodarz znajomy:
Co robisz? — Byki gonię. — A gdzież są te byki?
Ocknął się, darmo płacze i wyrabia krzyki,
Daremnie wszędzie byków długi czas szukano,
A Kubę odtąd w drwinkach byciem nazwano.
Zmartwiony i wyśmiany poprawił się Kuba,
Wkrótce przy dobrym statku nagrodzona zguba,
Stateczny gospodarz opływał w dostatki,
Dla przykładu sam wierszy tych nauczył dziatki.

T. O.

Kradzione nie tuczy.

W Kulowie niedaleko Jaworowa stała pod lasem nędzna chałupina, a w niej mieszkał poczciwy ale wielki chudzina stary Mateusz Kaczała. Miałci on syna Walka, tęgiego już wyrostka, ale tęższego jeszcze leniucha i niezdarę.

Byłci właśnie natenczas, ot jakby teraz przednowek, ludziska doganiali resztkami zimowych zapasów, a co biedniejsi żywili się już tylko grysem i otrębami. Jaki taki gonił za zarobkiem, którego przecie zawsze można znaleźć tyle, że starczy człowiekowi na wyżywienie i przyodzienie, a tylko próżniak i leniuszysko, co się wylegiwał na piecu, musiał się co dnia o jednę dziurkę więcej ściskać pasem, bo mu się brzuch z głodu coraz więcej zapadał.

Owóż Mateusz i syn jego Walek nie mając żadnej innej rodziny, zarabiali sobie z łatwością tyle, iż zawsze byli syci i okryci, i obaj wyglądali sobie dobrze jakby w jesieni. Aż ci tu razu pewnego, a było to jakoś w niedzielę, odezwie się Walek do ojca:

— Widzi mi się tatuniu, że trzebaby nam sobie jakiś czas trochę wypocząć, bo mnie się ta ciągła praca już strasznie dała we znaki, a i wasze stare kości tatuniu radeby się trochę wywczasować.

— Dobrze to się mówi, mój Walku — odrzeknie mu ojciec — ale kto to będzie na nas pracować, ażebyśmy sobie mogli spokojnie w domu spoczywać?

— Alboż to koniecznie potrzeba pracować — mówi dalej Walek — albożtośmy się dosyć nie napracowali — alboż to inni ludzie nie żyją, a przecież nie potrzebują pracować?

— Ot pleciesz mój Walku, pleciesz jakby na mękach — przerwie mu Mateusz — toć inni ludzie mają majątek, a dla nas przecie Boża manna nie spadnie z nieba, jeżeli się lenić będziemy do pracy.

— A jeżelibyśmy tatuniu poszli i ukradli naszemu sąsiadowi Walentemu z półmacek jakiego ziarna, i z ćwierć kartofli, i z połeć słoniny, ta i co jeszcze, tobyśmy jemu wielkiego

uszczerbku nie zrobili, bo on i tak ma wszystkiego podostatkiem, a mybyśmy mieli przez jakiś czas wygodę i spokój.

— Alboż to ty nie wiesz synu — odrzeknie mu na to Maciej — że kradzież jakabądź jest wielkim grzechem, a przytem wielką jeszcze jest prawdą, że kradzione nigdy jeszcze człowieka nie nasyciło i nie utuczyło.

Spierał się jeszcze długo o to Mateusz z Walkiem, ale zmiarkowawszy to już nie raz, że syn jego ma już taką wyrodną złodziejską żyłkę, chciał mu raz na zawsze dać skuteczną naukę i przestrogę.

Owóż po długiem opieraniu się przystał niby Mateusz na gadanie Walka, a w nocy mieli pójść oba i wyciągnąć coby się dało z komory sąsiadowej.

Tymczasem Mateusz, którýby się za nic w świecie takiego brzydkiego czynu nie dopuścił, poszedł ukradkiem do sąsiada Walentego, i trochę za odrobek, a trochę za pieniądze kupił u niego półmacek grochu, ćwiartkę kartofli i połeć słoniny, a opowiedziawszy mu rzecz całą, prosił go, aby to wszystko zostało w komorze, a on miał w nocy zakraść się niby ze synem i zabrać to ze sobą.

Przyszła nareszcie noc, a Mateusz z Walkiem zaczęli się po za płoty i drzewa zakradać do obejścia Walentego i przez okienko, które naumyślnie nie było dobrze podparte, wlazł Mateusz szczęśliwie do komory, i podał Walkowi stojącemu na dworze wszystkie zakupione rzeczy, poczem obaj podzieliwszy się ciężarem, wrócili szczęśliwie do chałupy.

Na drugi dzień skoro świt, zerwał się Walek z pościeli, rozniecił ogień, zgotował spory garnek grochu i kartofli, przymaścił je dobrze zeskwarzoną słoniną, i zabrał się razem z ojcem do śniadania. Aliści naraz powstaje w chacie Walentego krzyk i hałas że w nocy zakradł się złodziej do komory i wielką tam szkodę narobił.

— Schowajmy no tatuniu nasze śniadanie, bo kto bądź wpadnie do chałupy, to pozna zaraz kradzież, bo zielonego grochu i niebieskich kartofel nie ma nikt w całej wsi, jeno tylko Walenty.

Jednakowoż Mateusz nie zważał nic na owo gadanie Walka i zajadał sobie spokojnie śniadanie; Walek zaś po każdej łyżce wstawał i wyzierał przez okienko, czyli się kto nie zbliża, coby mógł odkryć złodziejstwo.

Po śniadaniu poszedł Mateusz do sąsiada Walentego na zarobek, a Walek zostawszy w domu, zaczął znowu gotować na obiad. Wieczorem powrócił ojciec do domu i rzecze do syna:

— Mamy już teraz chwała Bogu co jeść, to warto też, abyśmy się teraz paskiem dobrze ściągali a potem, kiedy nam już nie stanie żywności, będziemy widzieli, o ile każdy z nas utył po tem dobrem karmieniu.

Posłuchał Walek radę ojca, a zapamiętawszy sobie dziurkę na którą teraz pas zapinał, jadł już tyle, co się jeno w niego wlazło.

Jednakże dobrze to mówią: na złodzieju czapka gore — i dla tego też nie miał Walek ani jednej spokojnej chwili, to czy to pies przebiegł po pod chałupę, czy wiater skrzypnął drzwiami, to Walkowi zdawało się że to już idą po niego, i że się sąsiad dowiedział o jego złodziejstwie. Z tej też racyi kwapił się bardzo przy jedzeniu, aby go kto nie nadszedł i nie zapytał się zkąd się u niego na przednowku taki dostatek bierze, a połykając prawie każdą strawę, więcej się poparzył, aniżeli nasycił. W nocy nawet, kiedy Mateusz chrapał jak zabity, zrywał się Walek z pościeli, i chował w coraz inne miejsce skradzione rzeczy, aby je nie tak łatwo znaleźć można było.

Po dwu tygodniach nareszcie minął się skradziony zapas, a Walek chociaż przez cały ten czas miał co jeść do sytości, tak schudł z wielkiego strachu i ciągłej bojaźni, że sprzączka z pasa posunęła się o pięć dziurek dalej; kiedy ojcu jego, który miał spokojne i czyste sumienie, pas ledwie do pierwszej dziurki dochodził.

Wtedy to dopiero opowiedział Mateusz swemu synowi, jak się rzecz po prawdzie miała, i w końcu dodał:

A teraz sobie spamiętaj przysłowie:
Że kradzież nic synu nie warta. —
Jam kupił żywność, toć mi szła na zdrowie,
Ty kradnąc schudłeś na charta.

Owóż i koniec historyi, moiściewy kochani, którą, aby wam poszło na pożytek, opisał *Jacenty z Magierowa.*

Rady gospodarskie.

Pisanie rolnika z nad Wiszenki o różnych gatunkach roli.

Mieliście już moi mili opisanie w Dzwonku, iż to rzecz ważna, aby się znać dobrze na roli. Dobry gospodarz powinien znać doskonale swój grunt, aby wiedział jak go najlepiej uprawić, jak zasiać i jak się dorobić największego pożytku. Powinien on znać sposoby, jak suchej roli dodać wilgoci, a jak osuszyć mokrą, jak twardą rolę uczynić lekszą i sypką, a piasek rolą twardszą i żyżną. Aby to wszystko wiedzieć mógł każdy z was, opiszę wam moiściewy dokładnie, tak jak się tego przez długie lata na gospodarce przyuczyłem. Zaś najpierw opiszę wam główne gatunki ziemi i ich własności.

Takich gatunków bywa u nas pięć. Więc pierwszy jest grunt ciężki gliniasty; drugi piaszczysty; trzeci grunt wapienny i marglowaty; czwarty grunt torfowy a piąty grunt pruchniczy.

Ciężki grunt gliniasty poznasz wnet, kiedy odkroisz skibę a ta jest jeszcze wilgotna, to się błyszczy niby szkło, i leży cała i nie rozsypuje się, a do pługa i woza lipnie, że ją raz po raz odskrobywać musisz. Weź grudkę takiej ziemi do ręki i chuchnij na nią raz i drugi, to poczujesz zapach surowizny, gliny takiej, jaką się ściany oblepiają. Zaś kiedy rozetrzesz oną grudkę w palcach, to ci się poddaje miękko i lipko, a w ustach i żębach ani zgrzytnie, ale lipnie i rozpływa się. Gdy przyjdzie deszcz nawalny, to woda stoi po wierzchu takiej roli, a gdy obeschnie, to na wierzchu zostanie skorupa, która wiele przeszkadza świeżym zasiewom, a najbardziej jęczmionom, hreczce i prosu; zaś kiedy Pan Bóg dozwoli urodzaju, to ci wyrośnie na tym gruncie taka pszeniczka, iż się wąż przez nią nie przeciśnie, choć kiedyś orał, to nie cztery ale sześć tęgich wołów trza było zaprzęgać. Otóż grunt taki nazywa się pszennym i ciężkim, bo orać go ciężko a najlepsza na nim rodzi się pszenica.

Ale choć to grunt najurodzajniejszy, to ci jednak nie urodzi i pan Bóg nie dopuści urodzaju, jeżeli nie będzie widział

że pracujesz i starasz się gorliwie. A więc taki grunt powinieneś na zimę podorać, bo tym sposobem skruszeje i będzie łatwiejszy do uprawy. Zaś jak zobaczysz, że mało ma w sobie piasku, a ten jest niedaleko od twego pola, to nie żałuj trudu a przywieź i połóż warstwę choć na trzy cale grubą, a potem płyciutko przyorzesz i skrzyżujesz, czyli jak to u nas mówią zhakujesz, aby dobrze wymieszać. Czasem na kilka cali pod taką gliną jest piasek, to ci łatwo będzie pod zimę głęboko podorać i piasek nieco na wierzch dobyć. Jak wypadnie rok mierzwienia, to powinieneś nawozić gnój słomiasty owczy albo koński, bo ten znacznie pulchni rolę; zaś jeżeli ugor porośnie gęstą trawą i zaderni się, to pościnaj darń, pozgartuj na kupki i pozapalaj, a popiół i przepaloną derń porozrzucaj niby gnój po polu i razem z mierzwą przyoraj jak należy.

Często pod glinkowatym gruntem leży warstwa iłu, który wodę nie przepuści, a więc od niej rozmaka grunt gliniasty. Taki grunt jest zimny, i łatwo na nim z wiosny przy przymrozkach najtrwalsza ozimina wymarza a w lecie wymaka. Otoż i temu można zaradzić, a to tym sposobem. Pod iłem znajduje się zawsze bogdaj trochę piasku; więc należy kopać rowy aż do warstwy piasku, a już woda spłynie tam i nie będzie psuć grunta.

Na takich gruntach gliniastych rodzi się najlepiej pszenica, także jęczmień, orkisz, koniczyna i owies.

Drugi główny rodzaj gruntu jest piaszczysty, a ten jest całkiem różny od gliniastego. Kiedy go orzesz, to skiba nie pokłada się ale sypie za pługiem, a pług twój jeżeli ma odkładnicę żelazną, to się błyszczy jak gdyby była czyszczona. Jak rozetrzesz taką grudkę w palcach, to ci się wyda szorstką, a rozegrzana niema choćby najmniejszego zapachu. Po deszczu choćby lał jak z konwi, to zaraz zniknie i nie zostaje na wierzchu ani kropli. Otóż taki grunt im więcej ma w sobie piasku, tym się łatwiej daje uprawić i nazywa się lekkim, ale też na suche lata wilgoci nie zatrzyma a zboże na nim będzie karłowate i drobne. Rodzi się na nim piękne i z ważnem ziarnem żyto, hreczki i prosa a w mokre lata ziemniaki. Dobry to grunt dla leniuchów, bo łatwy do uprawy ale też i w komorze

najczęściej wielkie bywają pustki. — Praca wszystko przemoże, to też i na takim gruncie rozum ludzki, wola Boża i łaska Jego, sprowadzi plon, ale nie żałuj pracy i nawieź grunt taki gliną, trofiskami z rowów i moczarów, gnojem dobrze przegniłym a przyorz i powtórz to co lat dwa albo trzy. Zaś nie przewracaj pod zasiew często grunt taki pługiem, bo go wywietrzysz, zrobisz nadto sypkim i będzie z niego nawet niby piasek lekki, co z wichrami uleci i odkryje korzonki zasiewu. Jeżeli nie możesz siać na jednej orce, to najwięcej zrobić można dwie orki. Co cztery lata zostaw twój grunt piaszczysty odłogiem, ale pamiętaj w ostatnim roku wraz z żytem zasiej białą koniczynę albo choćby okruchy i plewy z pod siana, to na takim odłogu będziesz miał dobre pastwisko dla owiec. Jeżeli jest blisko woda i cień drzew, to pomagają do zatrzymywania wilgoci w takim gruncie. Więc należy też w takich gruntach miedzy obsadzać drzewami; czereśnia i gruszka przyjmuje się i rośnie dobrze na tym gruncie a z lasowych drzewa szpilkowe także się przyjmują i rosną.

Trzeci główny gatunek gruntu jest wapienny. Ten gdy go orzesz nie lipnie ci do pługa ani do brony, ale odkrojona skiba jest biaława albo ma żyłki i grudki białawe i na wietrze rozsypuje się a także i po deszczu grunt ten ma w sobie najwięcej wapna. W latach posuchy nie udaje się na tym gruncie zboże gorzej jak na innych, ale też w zimne wiosny, w mokre lata ma on wiele ciepła, łatwo się rozgrzewa i dopomaga do urodzaju. Woda deszczowa prędko w niego wsiąka a rosną na nim wszelkie gatunki koniczyn bez zasiewu. Dobrze też się udają posiane na nim zboża strączkowe; zaś należycie uprawiony i wygnojony rodzi grunt taki piękne pszenice i jęczmiona. Mierzwa z pod bydła rogatego jest najlepszym dla niego pognojem. Gdyby grunt taki miał wiele wapna, poprawisz go nawożąc piaskiem albo surową gliną, trocinami i dobrze przegniłym gnojem.

Czwarty główny gatunek gruntu jest torfiasty. Bywa on koloru mniej albo więcej brunatnego, zaś wysuszony sypie się jak popiół. Rośnie na nim turzyca, sitowie i podobne rośliny. Taki grunt powstał z przegniłych roślin, które układały się

warstwami gdy ich wody zalewały, a potem albo grunt podniósł się albo woda co go zalewała zwrócona rowami w inne strony odkryła go. Ten grunt porasta albo trawami i bużanami i służy ci za łąkę, albo uprawiasz na nim prosa, owsy i sadzisz kapustę i buraki. Ale że na tym gruncie bywają najczęściej łąki, to już nie będę teraz pisał jak go tam uprawiać, aż gdy mi kiedyś przyjdzie mówić o uprawie łąki.

Nakoniec jest jeszcze piąty i ostatni gatunek gruntu pruchniczego. Pruchnica powstaje z przegniłych odchodów zwierzęcych i z odpadków roślinnych, zaś ma kolor czarno brunatny a gdy wyschnie na słońcu to jakby proch najmielszy. Na narzędziach rolniczych nie ostaje się ale się rozsypuje, a rozgrzany i roztarty w dłoni ma zapach tłustości.

Człowiekowi przemyślnemu, zamożnemu i pracowitemu łatwo użytkować z takiego gruntu, byle jeno często nawoził gnojem zwierzęcym i roślinnym, różnemi odpadkami, namuliskami z stawów, rzek, jezior a choćby z rowów. Pruchnica nie tylko jest dobrym gruntem, ale spulchnia także grunt gliniasty, rozgrzewa zimny a dostarcza wilgoci piaszczystemu. Rozgrzewa się grunt taki łatwo na słońcu bo bardzo jest czarny, a nabierając po deszczu w siebie wiele wilgoci strzymuje ją i karmi rośliny w czasie posuchy. Ale gdy twój grunt ma za nadto wiele pruchnicy, to zboże na nim rośnie nader obficie i bujno, zaś cieżkie nie może się utrzymać, więc upada i natenczas wyległe ani ziarno zdrowe nie wyda, ani mączne, ani też obfite.

Otóż macie moi mili pięć głównych gatunków ziemi, i sposób jak się z niemi obchodzić, aby jak najlepszy mieć pożytek. Zaś iż teraz idzie ku wiośnie, może się ta nauka niejednemu przyda, co daj Panie Boże, to natenczas spiszę wam jeszcze inne dobre rady do gospodarstwa.

Przysłowie.

Kiedy złodzieja okradną złodzieje,
Wówczas się zły duch i cieszy i śmieje;
A kiedy biedny biednego ratuje,
To się Bóg wielki w niebiesiech raduje.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 9.

21. Marca 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

HIOB.

W bardzo dawnych czasach żył w ziemi Uz mąż pobożny i bogobojny, wystrzegający się złego a pilnujący dobrego.

Bóg dał mu 7 synów i trzy córki, a miał Hiob ogromny dostatek; 7 tysięcy owiec i 3 tysiące wielbłądów i 2 tysiące wołów i czeladzi bardzo wiele tak, że był najbogatszym na cały kraj i naokół sławiono go jako zacnego i dostatniego męża.

Stało się pewnego razu, że szatan stanął przed Panem, a Pan mu rzekł: widziałeś sługę mojego Hioba, czy jest na całym świecie człowiek więcej sprawiedliwy i bojący się Boga? A szatan rzekł:

— Nic dziwnego, że Hiob boi się Boga, albożnie ma za co być sprawiedliwym, jestże od niego bogatszy człowiek na całej ziemi; ale ściągnij tylko na niego rękę Twoją, a ujrzysz czyli ci złorzeczyć nie będzie.

Tedy rzekł Pan do szatana: Oto wszystko co ma jest w ręku twoim, tylko jemu samemu nie czyń krzywdy.

I gdy raz Hiob siedział w domu swoim, przypadł jeden ze sług jego i rzekł: Sabejczycy zabrali woły twoje, a sługi w pień wycięli, ledwiem ja uszedł, aby ci oznajmić to nieszczęście.

Jeszcze ten nie skończył, wbiegł drugi sługa i rzekł:

Ogień Boży spadł z nieba i pożarł owce i sługi twe, ledwiem ja uszedł aby ci oznajmić.

W tem przybiegł trzeci i rzekł:

Chananejczycy wybili twe sługi i wielbłądy zabrali, ledwiem ja uszedł aby ci oznajmić.

A przypadł czwarty i rzekł:

Synowie i córki twoje biesiadowali u syna pierworodnego, i zerwał się straszny wicher i zwalił dom w którym biesiadowali, a pobici są wszyscy, ledwiem ja uszedł abym ci oznajmił.

Wtedy Hiob rozdarł szaty i upadłszy na ziemię uczynił pokłon Panu i zawołał: Nagim na ten świat przyszedł i nagi zeń pójdę! Pan dał, Pan wziął, niech będzie Imię Jego pochwalone.

I stanął znów szatan przed Panem, a Pan mu rzekł: Widziałżeś sługę mego Hioba jako trwa w miłości swej ku mnie, chociażeś pobudził mię przeciw niemu abym go zniszczył. A szatan rzekł:

Nie wytrwa on w tej miłości, jeżeli dotkniesz ciało i kości jego, ujrzysz jak Ci złorzeczyć będzie.

Tedy Pan rzekł: Oto ciało jego w ręku twoim, tylko życia mu nie bierz.

Wyszedł tedy szatan i osypał trądem ciało Hioba, tak że zdrowego miejsca na nim nie było.

Więc przyszła doń żona i rzekła: Czyż jeszcze trwasz w miłości twojej dla Boga? Złorzecz mu a nie umieraj.

A Hiob rzekł: Czyliż tylko dobre mamy przyjmować od Boga, a złego nie?

Wtedy przyszli doń trzej przyjaciele, a rozdarłszy płaszcze swoje i posypawszy głowy popiołem siedzieli wraz z nim nie mogąc przemówić słowa od wielkiej żałości.

A Hiob nie złorzeczył Bogu, ale prosił aby prędką śmiercią skończył jego cierpienia, a grzechy mu odpuścił.

Potem owi przyjaciele Hioba zamiast go pocieszać, poczęli mu wyrzucać, że zasłużył na większe jeszcze karanie przez grzechy swoje, i poczęli go obrzucać złorzeczeniem, a wymawiać nieprawość. I zamiast go pocieszać, a nieść mu pomoc w nieszczęściu, szydzili i naigrawali się z niego. A Hiob im mówił:

— Dokądże mię trapić będziecie. Oto Pan zabrał mi wszystko i porzucił samotnego na łup nieszczęścia i boleści; nikt się nademną nie użali, nikt mię nie pocieszy, nikt pomocy nie da, a wy zamiast mi ulżyć, trapicie mnie. Pamiętajcież, że i was miecz pomsty Bożej dosięgnąć może; wiedzcież o tem, że jest sąd Boży. Kiedy byłem szczęśliwy i bogaty, wszyscy biegli na wyścigi oznajmiać przyjaźń swą, a dziś naśmiewają się ze mnie tacy, których ojców jabym nie chciał położyć za psy trzody mojej; ale gdy mię Bóg dotknął, a odjął moc dawną, obrócili się wszyscy przeciw mnie, złorzeczą i potrącają nędzarza.

I począł zalewać się łzami, że go Pan opuścił. Wtedy dał się słyszyć głos z nieba:

„Któż jesteś ty, który narzekasz na opuszczenie? gdzieżeś był wtedy kiedym ja stwarzał ziemię i światło niebieskie rozporządzał, ażaliż odkryte są oczom twoim bramy śmierci? któż gotuje pokarm ptastwu niebieskiemu? kto okrył pawia pięknem pierzem? kto ma staranie o wszelkiem stworzeniu? Czyż mnie będziesz obwiniał abyś się sam usprawiedliwił?"

A Hiob padłszy na twarz rzekł: Panie winienem żem w mej nędzy i opuszczeniu śmiał zwątpić o twem miłosierdziu! Przetoż żałuję i pokutuję w popiele.

Tedy źli przyjaciele na rozkaz a przebłaganie Pana uczynili ofiarę, a Hiob się modlił gorąco.

I powrócił Pan Hiobowi zdrowie i pomnożył w dwoje tyle dawne dostatki i dał mu znów siedmiu synów i trzy córki, a nie znajdowali się na całym świecie tak dzielni synowie, ani tak piękne córki jako Hiobowe. I żył Hiob sto czterdzieści lat i oglądał syny swe i syny synów swoich aż do czwartego pokolenia.

Gwóźdź w czaszce.

Co się odwlecze, to nie uciecze. Grzech, chociażby skrycie i potajemnie popełniony, odkryty i ukarany być musi. Niech sobie tam zły człowiek co chce robi, niech zapobiega aby swoją potajemnie popełnioną zbrodnię przed ludźmi ukryć, to mądrość i sprawiedliwość Boska starania jego popsuje, zbrodnię wykryje i ukarze.

Posłuchajcie a ja wam opowiem taki jeden wypadek.

Nasza wioska leży sobie na obu brzegach malutkiego potoczka, który płynie od zachodu ku wschodowi. Od północnej strony tej wioski stoi kościół parafialny, do którego się pobożni parafianie na nabożeństwa ku chwale Pana Boga pilnie zgromadzają. Od zachodu przy końcu wsi jest smętarz. To święte miejsce, ta święta rola, na której to sam Pan Bóg zasiewa, a na końcu świata, w dzień ostateczny żąć i zbierać będzie, jest w wielkiem poszanowaniu u parafian; oni to za poradą swego xiędza Proboszcza ten smętarz wysokim wałem obsypali, lipami, osikami, topolami i żywym płotem z białego głogu gęsto obsadzili tak, że tam nic a nic, żadne bydle, żadna trzoda wcisnąć się nie może. Na środku tego smętarza stoi wysoki, dębowy krzyż z Panem Jezusem.

Na tym to smętarzu kopał grubarz grób dla umarłego. Ale muszę wam powiedzieć, że to ten grubarz człowiek jakiego szukać, pobożny, poważny, trzeźwy, siwiuteńki jak gołąbek; dźwiga kilkadziesiąt latek na swym grzbiecie, pogrzebał nie jednę warstwę ludzi. Owoż biorąc grób, śpiewał przy swej pracy piękną nabożną pieśń:

Kop mój rydlu, kop — W ziemi kilka stóp!
Grób szeroki, grób głęboki,
Tam zmarłego złożym zwłoki.
Kop mój rydlu, kop — W ziemi kilka stóp!

Wszystko co tu mam — Tobie ziemio dam
Bogu duszę, ziemi ciało,
By w dzień sądu zmartwychwstało.
Kop mój rydlu, kop — W ziemi kilka stóp!

Tam, gdzie grobu noc — Tam i Boska moc,
Na dniu sądu się pojawi,
Jednych zetrze, drugich zbawi.
Kop mój rydlu, kop — W ziemi kilka stóp!

A kto Boga zna — O umarłych dba,
Co się z Bogiem połączyli
Jeźli w łasce jego żyli.
Kop mój rydlu, kop — W ziemi kilka stóp! Amen.

Gdy grób już był gotowy, wylazł z niego po drabince, klęknął, pomodlił się jeszcze. Zamyślał iść już do domu, a kiedy jeszcze raz spojrzał w grób, widzi że się jedna ściana grobu usunęła, i że się kości trupa z przybocznego grobu wysypały. Zadumał się, i zabiera się wleźć do grobu, aby porządek zrobić. Aż oto widzi, że się czaszka między temi kościami rusza! drga! — Pogląda lepiej, dokładniej, rusza się! Przetarł sobie oczy i zagląda z drugiego końca grobu — rusza się — drga! Wszelki duch Pana Boga chwali! „Cóż to takiego?“ — zawołał głośno.

Ale! bądź jak bądź strach ma wielkie oczy. Nasz stary grubarz się przeląkł, w nogi mój drogi, i nie ostał się aż u xiędza Proboszcza. Xiądz Proboszcz widząc go zadyszanego, przestraszonego i zmieszanego, pyta:

— Cóż ci to grubarzu? żeś tak zasapany?

Grubarz: Ach! Dobrodzieju! cud! strach!

Xiądz: Cóż to takiego?

Grubarz: Głowa w grobie skacze — rusza się!

Xiądz: Co? co? głowa skacze?

Grubarz: Tak! tak Dobrodzieju! wybrałem grób dla umarłego Józefa, którego Dobrodziej jutro chować będzie, i tu się kości z drugiego grobu wysunęły, między temi kość z głowy się rusza.

Xiądz: Ale nie baj baju!!

Grubarz: Proszę Dobrodzieja widziałem! rusza się!

Xiądz: Ale nie pleć pleciugo!! może ci się przewidziało i gadasz nic do rzeczy!!

Grubarz: Na moje żywe oczy widziałem. Jestem przy dobrych zmysłach, nie pijany. Dobrodziej wie dobrze, że nic

nie piję, jakem się tej przeklętej wódki wyrzekł, tak do dziś dnia jej w ustach nie miałem i niech umrę, pić jej nie chcę. Proszę Dobrodzieja! niech się Dobrodziej pofatyguje i przekona.

Xiądz: Dobrze! chodźmy!

Przyszedłszy xiądz Proboszcz na smętarz, zagląda do grobu, i istotnie widzi, że czaszka czasem drgnie — ruszy się.

Xiądz: Grubarzu! wleźże do grobu i wyrzuć mi tę czaszkę!

Grubarz: Dobrodzieju! nie pójdę! boję się!

Xiądz: Nie bądźże tchórzem! ja tu jestem! przy mnie nie masz się czego bać! Kawałek kości trupa nie może ci nic złego zrobić! Idź! weźmij ją na rydel i podaj mi ją!

Grubarz nabrał ducha i śmiałości, posłuchał i zrobił jak mu xiądz Proboszcz kazał.

Pokazało się, że w czaszce siedziała żaba, ruszając się, ruszała czaszkę. Ale co więcej! xiądz Proboszcz zaglądając, zobaczył gwóźdź wbity w czaszkę, dorozumiał się co to może znaczyć, i zapytał się grubarza: Mój kochany grubarzu! nie mógłbyś mi ty powiedzieć, ktoby tó był w tym grobie pochowany? — Zaś trzeba wam wiedzieć, że xiądz ten dopiero drugi rok jak został proboszczem przy tym kościele, więc nie mógł wiedzieć o zdarzeniach tej parafii.

Grubarz: Zaraz Dobrodzieju! ja zaraz pomiarkuję. I zaczął rachować grób koło grobu, a doszedłszy do tego rzekł: Zdaje mi się, że tu leży kowal, który przed kilkunastu laty umarł.

Xiądz: Czy nie wiesz? czy nie pamiętasz na jaką on śmierć umarł?

Grubarz: On jakoś nagle umarł, bo nie chorował.

Xiądz: Zanieś tę czaszkę za mną na plebanią i zawołaj mi kowalkę, wójta i przysiężnego.

A gdy ci troje do xiędza przyszli, xiądz Proboszcz przywitawszy ich, zwrócił mowę do kowalki i zapytał się: Jak się macie? jak się wam tam powodzi? jak tam rzemiosło kowalskie mężowi idzie?

Kowalka: Nie koniecznie dobrze, proszę Dobrodzieja! różne nieszczęścia dokuczają — człowiek, ot strapiony!

Xiądz: A jakżeż to?

Kowalka: Po śmierci męża nieboszczyka okradli mię złodzieje dwa razy; bydło mi się nie darzy; mąż teraźniejszy często się upija i poniewiera mię; raz napił się dużo i zaronił ogień w kuźni, z tego kuźnia zgorzała i różne ludzkie rzeczy, które były do okucia; te musieliśmy zapłacić. Z tym mężem mam dwoje dziatek, oboje kaleki, jedno ma nogę jedną krótszą, a drugie niemowa.

Xiądz: Widać, że cię Pan Bóg bardzo dotyka, musi być jakaś przyczyna tego nieszczęścia. Jak dawno umarł ci mąż pierwszy?

Kowalka: Już dwanaście lat.

Xiądz: A jaką śmiercią?

Kowalka: Raz przy niedzieli poszedł do karczmy na muzykę, upił się, stańczył się, jak przyszedł w nocy z karczmy, położył się spać, ta i nie wstał więcej — umarł.

Xiądz Proboszcz odkrywając czaszkę, która na stoliku leżała i chustką nakryta była, pyta się Kowalki: A ten gwóźdź w głowie co znaczy?

Na to pytanie kowalka zaczerwieniła się, zsiniała jak burak, to zbladła jak szmata, to znowu zżółkła jak wosk, tchy jej mowę zatkały, słowa wymówić nie mogła, oczy jej w słup stanęły, przytomność traciła, o mało co nie zemdlała!

Xiądz: Nie lękaj się! powiedz i wytłómacz mi, jak tu ten gwóźdź wlazł w głowę?

Kowalka odzyskawszy przytomność, chwyta oburącz nogi xiędza proboszcza, z płaczem i z żałosnym głosem błaga: Dobrodziejaszku mój! ratuj mię! Ach ja nieszczęśliwa! ach ja nieszczęśliwa!

Xiądz: Poznaję, że jesteś bardzo nieszczęśliwa, teraz jeszcze twoje nieszczęście, twoje cierpienia się powiększają. Żałuję ja ciebie bardzo. Ale dotąd jeszcze nie wiem, co znaczy ten gwóźdź w czaszce?

Kowalka zadumana, zamyślona, kiwa głową, i tak mówi: Widać, że sam Pan Bóg odkrywa mój występek, a więc wyznam wszystko i opowiem Dobrodziejowi prawdę, jak się to stało:

— Mój nieboszczyk mąż — niech tam Pan Bóg świeci duszy jego, był dobrym, pracowitym, zręcznym majstrem, miał zawsze roboty dosyć, ale lubił się często napić. Przed kilku laty przyjął sobie parobczaka do pomocy w kuźni, a ten, chłopak zręczny, wnet nauczył się kowalstwa. Na nieszczęście, na zgubę moje, poznaliśmy się. Aby się pobrać, uradziliśmy, pozbyć się starego. Raz w niedzielę przyszedł mój mąż w nocy pijany, położył się i zasnął twardo. Mój kochanek za mojem przyzwoleniem rozpalił gwóźdź w ogniu, i wsadził go w głowę spiącego mego męża. Mąż tylko drgnął i umarł.

Xiądz: Ach! straszna! okropna zbrodnia!

Wójt i Przysiężny: Dla Boga! Dobrodzieju! włosy na głowie stają! Jak się mogli ci ludzie tak dalece zapomnieć i niewinnego człowieka z tego świata zgładzić?

Kowalka: Przyznaję się, Dobrodzieju! przyznaję, żem straszną zbrodnię popełniła, ale bo też i kara zaraz nastąpiła. Od tego momentu ani ja jeść, ani ja spać, ani ja się modlić, ani ja się komu w oczy śmiało popatrzyć nie mogła. Nic mię na świecie nie cieszy, zawszem smutna, strapiona, niespokojna. Sumienie mię gryzie, prześladuje, ściga, bom straszna grzesznica. Jakoś ludzie odemnie stronią, lękają się mnie jak zapowietrzonej. Jak kto co mówi, to myślę że o mnie, żem zbrodniarka. Jak gdzie idę to myślę, że mię wszyscy palcem wytykają jako zabójczynię. O tak poznaję, że mię cały świat potępia, wszyscy ludzie nienawidzą, Pan Bóg w niczem nie błogosławi, owszem ciężko karze, i dalej jeszcze karać będzie.

Xiądz: Tak jest, biedna kobieto! tak być musi, i to bardzo naturalnie. Kto grzeszy karanym być powinien. Wszystkie te nieszczęścia, wszystkie te cierpienia jakie na ciebie spadły, są karą twej zbrodni morderstwa, któreś na twoim własnym mężu popełniła. Sama przyznajesz, że to straszna zbrodnia, a ja dodaję: jest to grzech o zemstę do nieba wołający. Dla tego go sam Pan Bóg cudownym prawie sposobem, przez tę oto czaszkę odkrywa, abyś od ludzi tu na ziemi zasłużoną karę odniosła. Pan Bóg sam jest panem życia naszego i naszej śmierci; jemu samemu wolno je nam przedłużyć albo skrócić. Żaden człowiek nie może, nie powinien rzucać się na drugiego

i zabijać go. Umiesz przecie dziesięcioro przykazań Boga. Sam Pan Bóg tam woła: Nie zabijaj. Kto Pana Boga nie słucha, niech cierpi. Wójcie! Przysiężny! Wam oddaję tę kobietę. Jej męża macie zaraz aresztować, okuć i oboje do sądu odstawić.

Wójt: Bardzo ja żałuję, że się w mojej gromadzie takie zgorszenie stało. Ale lepiej że się wykryło, że winni karę odniosą. Będzie to nauką, aby się dziesiąty wystrzegał.

Proszę Dobrodzieja, do całej tej sprawy mam i ja co nieco docać. Znam ja dobrze męża teraźniejszego tej kobiety. Będąc parobczakiem, był to sobie chłopak walny, żwawy, krzepki i łepski; po ożenieniu się z tą wdową strasznie się odmienił. Stał się złośliwym, ani z tym dobrze, ani źle; czasem ze złości skacze po kuźni jak jędza piekielna, ponury, głowa zwieszona jakby co po ziemi szukał, oczy obłąkane słowa do nikogo mile nie powie, do kościoła rzadko chodzi, coś zawsze do siebie pod nosem mruczy, sam do siebie gada; dziwiłem się temu wszystkiemu, aż się tu pokazuje, że to zbójca.

Xiądz: Tak to każda zbrodnia zmienia naturę człowieka. Otóż Pan Bóg napiętnował temi znakami kowala.

Wójt obracając się do kowalki rzekł: Jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi. Dał wam Pan Bóg dobrego męża, mająteczek ładny, trzeba było żyć z nim do woli Pana Boga, a żeście go sprzątali z tego świata zbójeckim sposobem, będziecie teraz pokutować, cierpieć i karę ponosić. Chodźcież! chodźcie!

Oboje kowalowie oddani pod sąd, odnieśli karę śmierci na szubienicy.

Moi kochani czytelnicy! nie potrzebuję wam mówić, że w całem zdarzeniu odkrycia potajemnej zbrodni morderstwa jest widomy Palec Boży. Któż to bowiem zrządził, aby żaba wlazła do tej czaszki, w której był gwóźdź? aby się ściana grobu zsunęła? aby się kości wysypały? aby się między temi czaszka ruszała i grubarza przestraszyła?

Wszystko to zrządził Pan Bóg, aby zbrodnia morderstwa potajemnego była odkryta i ukarana. **X. M.**

Mikołaj Kowal,
lirnik z Ceblowa.

Bają to nieraz ludziska prości i nieprości, co to u nas chłopków już taka zabita głowa, że mądrego między nami to już chyba w dzień jasny szukaj ze świecą. Kto ma choćby troszkę oleju w głowie, to nie będzie nawet słuchać takiego gadania, bo jużci Pan Bóg łaskawy dał nam nie tylko ręce do pługa i cepa, ale i głowę na karku, a w tej więcej prostego rozumu, aniżeli niejednemu piśmiennemu. Jacy to zaś między nami bywali nieraz sprytni i zmyślni ludziska, to dosyć w pierwszej lepszej xiążczynie przeczytać, a jacy się mądrzy i teraz trafiają, to się dowiecie z tego, co wam teraz opowiem.

Łońskiego roku w lecie byłem ci ja w Sokalu. Wychodząc z kościoła OO. Bernardynów, gdzie to jest ten cudowny obraz Matki Boskiej, widziałem klęczącego na progu jakiegoś staruszka, co sobie po cichu szeptał pacierze. Widząc, że to nie żebrak, bo jak to mówią, poznać pana po cholewach, a dziada znowu jak mnie się zdaje po torbach; zapytałem się, coby to był za jeden ten staruszek, i powiedziano mi, że to jest Mikołaj Kowal, lirnik z Ceblowa. Tu już wzięła mnie chętka poznać się bliżej z tym lirnikiem, i skoro ten powstał ze swego miejsca i wyszedł z kościoła, zaszedłem sobie z nim na piękne w rozmowę, wypytując się niby jako nie tamtejszy o klasztorze Sokalskim, o Matce Boskiej cudownej, a nareszcie i o jego życiu, na co on mnie idąc ze mną do miasta, odpowiedział w ten sposób:

Jestem ci ja rodem z Ceblowa, która to wieś leży w połowie drogi między Sokalem a Bełzem. W dzieciństwie jeszcze odumarli mnie tatuś i matusia, i zdali opiekę nademną starszemu bratu, co w kilka niedziel po śmierci rodziców pojął sobie jakąś dziewuchę za żonę, i zaczął sam na ojcowiznie gospodarować. Wycierpiał też ja czyścowe męki przez dwa lata od mojej bratowej, która też niebawem i mego starszego brata przerobiła na swoje kopyto, i oboje zaczęli mną poszturkiwać i zdziwiać się nad sierotą co nie miara. Miałem ja wtedy już

lat czternaście, a widząc, że z bratem i bratową nieporadna była godzina, nająłem się za pastucha gromadzkiego, i od tego czasu miałem już kawałek chociaż gorzko zapracowanego ale swojego chleba. W wolnej chwili wyplatałem kapeluchy, robiłem piszczałki, i tak mi jakoś sześć latek uleciało, jakby trzasł z bicza. W dwudziestym roku mojego życia odprzysiągłem się od wódki, i od tego czasu nowy duch wstąpił we mnie, a było to tak:

W pewną niedzielę po południu zdrzemałem trochę przy mojej chudobie, a oto podczas tej drzemki objawiła mi się Matka Boska Sokalska, i rzecze do mnie:

— Pięknieś się spisał Mikołaju, żeś się starszemu twemu bratu z ócz ustąpił, i żeś mi wieczną ślubował trzeźwość. Od tego czasu nie będziesz już pasać trzody, jeno chodzić ode wsi do wsi, i śpiewać mnie na chwałę, a ludziom na pocieszenie.

Po tych słowach przebudziłem się, i czy uwierzycie mój kumie, że od tego czasu:

Tak się w mej duszy coś rozwidniło,
Jakby tam jakie słonko wstąpiło,
A serce tak mi gorąco biło,
Że wszystkich ludzi z całego świata,
Kochałem jako mojego brata.

Od tego czasu zaczęła się Mateńka Boska mną opiekować i kierowała moje kroki. Opuściłem wieś rodzinną i poszedłem najprzód do Sokala, gdziem wysłuchał Mszy św. leżąc krzyżem, a ztąd poszedłem dalej. Gdziem się tylko pojawił, przyjmowano mnie chętnie i w chatkach, i we dworach, bo od owego cudownego widzenia stałem się bardzo wymowny, a przeróżne śpiewki i historye do składu płynęły z ust moich jak woda. Po roku wróciłem do wsi, a mając trochę uzbieranego grosza, bo każdy co mnie słuchał wsunął mi coś do ręki, umyśliłem sobie w mojej rodzinnej wiosce wystawić kapliczkę. I oto znowu palec Boży wskazał mi jak mam sobie postąpić, bo gdym sobie stał zamyślony nad małym potoczkiem co płynął wedle drogi, zobaczyłem naraz, że woda nadniesła jakiś obraz malowany na płótnie, który się w szuwarze zaplątał i zatrzymał. Podniosłem ten obrazek i poznałem, że to był

św. Antoni Padewski. Postawiłem więc sobie na tem miejscu małą drewnianą kapliczkę, zawiesiłem w niej ten znaleziony obraz, a zamknąwszy wszystko na klucz, poszedłem znowu w świat między ludzi. Ta jedna bieda dokuczała mi tylko, żem nie był piśmienny; bo wszystko com wyśpiewał prosto z wiatrem, a chcąc sobie coś na dłużej zachować, musiałem dopiero prosić panienek i paniczów, aby to za mną spisywali. Takim sposobem nazbierawszy sobie spory plik papierów, wracałem znowu do mojej wioski, pomodliłem się w kapliczce, a zamknąwszy w niej wszystkie moje spisane pieśni, szedłem znowu w inną stronę. Zwiedziłem świata nie mało, bo byłem i w Leżajsku, i na Kalwaryi Pacławskiej i Zebrzydowskiej, i w samym Krakowie, i Bóg wie gdzie jeszcze, a wszędzie mnie ludzie chętnie słuchali i datkiem obdarzali. A teraz proszę Matki Boskiej tylko o jedną łaskę:

Ażebym jeszcze stare me kości,
Zawlókł do mojej rodzinnej włości,
I wedle mego ojca i matki
Został pochowan, a na mym grobie
Niechaj postawią krzyżyk dębowy,
I na nim dadzą napis takowy:
„Tutaj spoczywa lirnik wioskowy!“

Na tem skończył Mikołaj i pożegnał się zemną, bo kwapił się do państwa Małeckich, gdzie był na obiad zaproszony. Ja zaś dopytując się bliżej o tym lirniku, dowiedziałem się jeszcze tyle, że jego w tamtych stronach znają wszyscy od małego do wielkiego, i każdy wyrywa go sobie, bo nie można się nigdy dosyć nasłuchać jego cudnego opowiadania. Powiadali mi, że ten Mikołaj taki już w tem sprawny, że nieraz i cały dzień bez ustanku będzie mówić do składu, i do tego jeszcze jak kto chce, czy po polsku, czy po rusku. A że się do tego nigdy naprzód nie przygotowuje, to się każdy najlepiej przekonać może, jeżeli mu każe mówić, czy to o pijakach, czy o rozpustnikach, czyli nareszcie o Kalwaryi, Krakowie lub innem jakiem miejscu, to on bez wielkiego namysłu stanie o tem szeroko rozpowiadać, że człowiek aż języka w gębie zapomni. A pieśni do jakiejbądź okazyi są u niego na zawołanie, i do

każdej wynachodzi on sobie zaraz nutę, i śpiewa tak rzewnie, że człowieka aż za serce coś chwyta. Przytem ma on taką pamięć, że to co kiedyś ułożył, i co ludzie za nim spisali, to on za rok i za dwa powtórzy gładziutko, zamróżywszy nawet i oczy. Dla tego też i najpierwsi państwo we dworach przyjmują go z radością u siebie, sadowią razem do stołu, i spisują za nim co on przepowiada. Rodzinna zaś wieś jego Ceblów, to mało go na rękach nie nosi, skoro się jeno tam ukaże, ale nasz Mikołaj nie długo jakoś lubi tam zabawiać. Ot, pokaże się na parę dni, sypnie trochę uzbieranego grosza niewdzięcznemu bratu na gospodarstwo, i znowu idzie dalej w świat między ludzi.

Dowiedziawszy się jeszcze tyle o tym lirniku, chciałem jeszcze poznać jego wieś rodzinną, i przekonać się dokumentnie o tem wszystkiem co mi ludziska rozpowiadali. Gdy więc Mikołaj wyszedł od państwa Małeckich z obiadu, przyłączyłem się znowu do niego, i poszedłem z nim do Ceblowa, która to wieś leżała nie spełna milę od Sokala. Dowiedziawszy się odemnie Mikołaj, że jestem trochę piśmienny, prosił mnie abym za nim trochę pisał, co on mówić będzie. I powiadam wam moi ludzie, że choć tam człek nie chwalacy się nie źle macha piórem, toć przecie ledwie ścignąłem spisywać za nim cudne opowiadanie o Krakowie, zkąd właśnie Mikołaj powracał. Żałuję mocno, żem nie mógł dla siebie drugi raz przepisać tego opowiadania, ale to byłoby mi zabrało ze dwie godzin czasu, a ja chciałem tego samego dnia wieczorem stanąć jeszcze w Sokalu. Poszedłem więc jeszcze z Mikołajem do jego kapliczki, gdzie on szedł znowu złożyć sporą paczkę zapisanych papierów, i ażem się zdziwił, gdym tam zobaczył taki stos papierów, jakby nieprzymierzając w jakiej kancelaryi. Zacząłem ci ja na prędce przeglądać niektóre kawałki, a spamiętawszy sobie gdzie nieco z takowych, zapisałem to sobie za świeżej pamięci powróciwszy do Sokala, a teraz i wam to podaję, jeżeli nie co do słowa tak samo, to mało co inaczej.

Najprzód czytałem ostre powstawanie przeciw pijakom, które on w jakiejś wsi przemawiał, a na końcu było tak:

. . . . . Dopust Boży
Spadnie na was, boście czartu
Duszę waszą zaprzedali,
Śpiewać dla was już nie warto,
Idę dalej! idę dalej!

Raz znowu zaszedłszy do jakiejś szkółki wiejskiej miał bardzo piękną mowę do dzieci, a między innemi stało tam także i tak:

Dziatki moje, miłe dziatki!
Toć wy tak jako te kwiatki,
Co to człowiek je podlewa,
Bo zapachu się spodziewa.
I wam też rodzice dają
Wychowanie, bo się po was
Miłe tego spodziewają,
Że wy także kiedyś oto
Wyrośniecie z piękną cnotą
Ku pociesze ojca, matki,
Ku podporze waszej chatki,
Na pożytek — dziś znękanej
Naszej ziemi ukochanej,
Ta i wszystkich polskich braci! . .

Najbardziej zaś powstawał on na tę niezgodę, gdzie to Rusin na Polaka, chłop na pana użera, i z wielkim żalem tak prawie kończył:

Brak nam zgody, brak miłości,
Pełno u nas swaru, złości,
Chociaż gorzkie łzy człek leje,
Wróg się z naszej nędzy śmieje,
Źle mój kumie, źle się dzieje.
Bóg nie może błogosławić
Naszym trudom, naszej pracy,
Bo jak można Boga sławić,
Jeśli dzisiaj tu na ziemi
Brata kochać, brat nie umie?
Tak mój kumie, tak mój kumie!..

Szkoda, wielka szkoda, żem tak mało i to nie dobrze sobie zapamiętał, ale nie moja w tem wina, bo zapisać to sobie na miejscu nie było jak, a przez drogę to większa część z głowy mi wywietrzała, bo dyć tam człowiekowi niejedno leży na myśli.

Pisałem ci ja i teraz do jednego mego znajomego w tamte strony, aby mi gdzie nieco z papierów Mikołaja odpisał i przysłał, a ten ci mi donosi, że owego lirnika już od pół roku nie ma w domu, i nikt nie wie, w których stronach się obraca, a do kaplicy ani rusz się dobrać, bo na klucz zamknięta. Dodaje jednak na końcu mój znajomy, że skoro jeno Mikołaj pokaże się w Ceblowie, to on mi zaraz co lepszego wybierze i odpisze i tu nadeśle, a ja znowu nie zatrzymam tego sobie jeno wam zaraz do Dzwonka podam. Tymczasem zaś przyjmijcie i to życzliwie, a za resztę wybaczcie waszemu miłującemu was

Jacentemu z Magierowa.

RÓŻNOŚCI.

Okropne mrówki. Jest pewien kęs kraju na morzu, który się zwie wyspą świętej Heleny. Otóż są tam mrówki okropne, bo straszną robią szkodę. W jednem mieście na tej wyspie zjadły mrówki wszystko, co było drewnianego w budynkach, tak iż ludzie na nowo wszystko budować muszą. Zaś najgorsza rzecz, iż na to nie ma żadnego sposobu. Mrówki zjadają wszystko, bieliznę, rzeczy, xiążki, wszystko co nie jest kamienne albo z kruszcu jakiego. Otóż to dopiero nieszczęście, i aż żal pomyśleć o tamecznych biednych ludziskach, którzy się okrótnie turbują i lękają.

Pożary. W Chorostkowie w obwodzie Czortkowskim wybuchł pożar dnia 4 marca, i spaliły się dwie zagrody gospodarskie, zboża dosyć, troje koni i różne narzędzia także się spaliły. Niewiedzieć jakim sposobem powstał ogień.

W Hawłowicach dolnych w obwodzie Jarosławskim wybuchł ogień w nocy z siódmego na ósmy marca, i spaliły się dwie stajnie dworskie z bydłem, a tego było coś 60 sztuk.

Mówią że był ogień podłożony, ale daj Boże aby to nie było prawda, bo to rzecz bardzo nieuczciwa.

W Rozdole w obwodzie Stryjskim był ogień siódmego marca, i spalił budynki czterech gospodarzy. Tam znowu wybuchł pożar przez nieostrożność.

W Turce w obwodzie Samborskim spalił ogień siedemnastego marca zagrody czterech gospodarzy. Spaliła się także krowa i 200 reńskich w skrzyni. Ogień wybuchł także przez nieostrożność.

W Lutaczu w obwodzie Czortkowskim był ogień 6 marca i spalił stodołę dworską, gdzie było 300 kóp pszenicy, 100 kóp żyta, także 180 korcy pszenicy, 140 korcy owsa i 100 korcy kukurudzy. Wszystko spaliło się do ostatniego ziarnka, a także dużo koniczyny i siana. Pożar wybuchł przez nieostrożność.

W Łozinie, w obwodzie lwowskim wybuchł ogień 6 marca, niewiedzieć z jakiej przyczyny, i spalił całą jedną zagrodę gospodarską.

Nareszcie w Rudzie rożanieckiej w obwodzie żółkiewskim powstał ogień w nocy 10 marca w zabudowaniach dworskich. Spaliła się stajnia z 30 krowami, 13 wołami, 24 końmi i 20 sztukami jałownika. Spaliło się także dużo słomy i budynki, a szkoda wynosi więcej jak 12 tysięcy reńskich. Zdaje się iż temu była winna nieostrożność.

— Pisał do mnie Jacko Sadowy list, gdzie przy końcu tak powiada: Może wydrukujecie bajeczkę, co tu sobie dzieci powtarzają, a zda się i starszym wiedzieć, bo to się zawsze między ludźmi często trafia, że się biją, procesują, dalej ktoś się we wsi znajdzie, co to niby godzi a tymczasem jeszcze lepiej ludziska wywierzga. Otóż jeżeliście nie słyszeli, to posłuchajcie:

W niedalekiej stronie
Dwa konie
Tak się biły,
Kaleczyły,
Że aż oślisko co na boku stało
Ucho nadstawiało,
A w końcu na pomoc bieży,
I nibyto bój śmieży.
Obraca się ów wyrodek,
I nogami wierzga w środek.
Tak z łaski osła,
Walka jeszcze bardziej wzrosła.
Nadszedł człowiek, zawołał, osła kijem zmierzył,
I bitwę między końmi w momencie uśmierzył.
Najmilsi bracia w każdej przygodzie
Żyjcie w pokorze, miłości i zgodzie,
A jeśli zawiść spory między wami zrodzi,
Niechże was zły i głupi nie godzi.

Jacko z nad Wiszenki.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 10.
1. Kwietnia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bitwa Racławicka.

Nie wiem czy kto z was moiściewy słyszał o stareńkim bardzo wieśniaku, który się zwie Maciej Zbroja, a cała wieś i okolica nazywają go dziadek stareńki. No jużci stareńki to człek, i daj Boże każdemu takiego wieku, a jeszcze takiego zdrowia i żywości. Dziadek Maciej jak sam powiada, liczy już sobie dziewięćdziesiąt i pięć lat, bo urodził się jeszcze za polskiego króla Stanisława Augusta, i odbył wojaczkę pod panem Kościuszką, i bijał Moskali także pod cesarzem Napoleonem, a także bijał ich pod jenerałem Skrzyneckim. Miły Boże! nie wiem ja czy jest kto drugi na świecie, coby tak pięknie i dokumentnie umiał rozpowiadać o onych bitwach i o onych czasach jak dziadek Maciej. Jeno poprosić go, a wnet zacznie gadać, a kiedy mówi, to jeszcze ze dwa ucha zdałyby się człeku do słuchania, tyle tam różnych ciekawości.

Dziadek Maciej ma dwoch synów, już starych gospodarzy, i córkę jedną, także już babulę, a ci wszyscy doczekali się już wnuków. Więc kiedy nieraz w niedzielę albo święto jakie

zejdą się wszyscy do chałupy starszego syna Jaśka, gdzie mieszka także dziadek, to samej rodziny Maciejowej jest z dziećmi i wnukami ze trzydzieścioro ludzi. Nie bez tego aby insi także nie poprzychodzili, a natenczas tak ciasno w izbie wielkiej, jak nieprzymierzając w kościele Najświętszej Matki i królowej polskiej Częstochowskiej na nabożeństwie odpustowem. Zaś jak w kościele bywa cicho i skromnie, i wszyscy uważnie słuchają rozpowiadań dziadka Macieja, który niby xiądz gada do ludzi.

Otóżto w ostatnią niedzielę zeszli się taksamo ludzie do Macieja, i niebawem zaczęła się taka rozmowa, którą ja wam na naukę co do słowa wypisałem.

Z początku był dziadek jakoś bardzo zadumany, a nawet smutny. Tymczasem schodzili się ludziska, gadali po cichu o różnych sprawach, aż nadejdzie Jędrek, żwawy parobczak a wnuk Macieja, który go lubi bardzo, bo Jędrek chłopak dzielny i rozumny jak mało. Otóż Jędrek sunie wprost do dziadka, pocałował go w rękę jak należy, i zaraz pyta:

— Mój złoty dziadeńku, widzi mi się, że nam dziś bardzo piękną historyę opowiecie

— A czemu tak myślisz? — zapytał dziadek rozweselony.

— Bo widzita dziadku — powie Jędrek — idzie już do wiosny, a na wiosnę to człek zawsze weselszy i weselsze myśli przychodzą mu do głowy, więc i gadka piękniejsza bywa jak w zimie.

— Prawda i to — mówi dziadek — na wiosnę wszystko się najwięcej rusza, i ja sam najwięcej wojaczki odbyłem na wiosnę, więc prawie na każdy dzień inną sobie przypominam.

— Zaś jaką sobie dziś przypominacie dziadku? — pyta Jędrek.

— Ho! ho! — rzeknie Maciej — dziś przypominam ja sobie bardzo dawne czasy, i na świecie już prawie nie ma ludzi, coby je zapamiętali. Toć ja wtenczas byłem jeszcze młody parobczak, ot, niby ty Jędrku, i anim ja pomyślał wtenczas, że dożyję aż do dziś dnia, i że wam będę rozpowiadał o tych czasach. Miły Boże! toć już nie ma ani jednego ze znajomych, co razem ze mną wtenczas byli. Kupa lat temu, powiadam

wam, toć to już lat sześćdziesiąt i dziewięć akurat, jak sobie wyrachowałem. Ano Jędrku zgadnij, co to były za czasy?

Jędrek zamyślił się, począł rachować, a na końcu zawoła:

— Ehe! to pewnikiem chcecie dziadku mówić o panu Kościuszce!

— Ano tak — mówi dziadek — toć ja pierwszy raz chodziłem na wojaczkę za pana Kościuszki. No posłuchajcie, to wam już dokładnie o wszystkiem rozpowiem, bo dziś właśnie najlepiej przypomina mi się cała historya.

Otóż szło mi wówczas na dwudziesty i szósty rok, i jakoś chcieli mnie tatuś nieboszczyk ożenić z Zośką Czorbówną, i ja też nie byłem od tego. Już tatuś zmówili się ze starym Walentym Czorbą, i chodziliśmy z wódką, i już na zapowiedzi mieli dawać, aż tu naraz wszystko inaczej się stało.

Był jakoś dzień piękny, i na wiosnę miało się niby dziś, także święto jakieś było. Po nabożeństwie stary pan kazał nas zwołać do dworu, a kiedyśmy tam przyszli, rzeknie tak do całej gromady:

— Pamiętacie moi ludzie, co ja wam to mówił trzy lat temu?

— Pamiętamy — odpowie gromada.

Zaś pan mówił dalej:

— Otóż widzicie, że wtenczas najjaśniejszy nasz pan i król polski ze sejmem i z całym rządem dał nam nowe prawo, które się nazywa Konstytucya Trzeciego Maja. Zaś w tej konstytucyi były dla wszystkich bardzo dobre prawa, aby cały kraj był szczęśliwy, a najlepsze były dla was wieśniaków. Były tam dla was różne wolności wielkie, jakich jeszcze nie mieliście. Na te wszystkie prawa przysiągł nasz pan i król, i wszyscy panowie przysięgli i cały naród. I było czas jakiś bardzo dobrze. Ale cóż się stało? Oto widzicie bezbożny Moskal nie chciał naszego szczęścia, ale sprowadził dużo wojska i kraj zniszczył i konstytucyę także, aby się ludziom dobrze nie działo. I tak ciągle nas męczą Moskale okrutnie i uciskają naród cały, że już więcej wytrzymać nie można. Otóż wszyscy Polacy, panowie i wieśniacy i mieszczanie postanowili wygnać precz Moskala i nie dać mu dłużej uciskać naród. Więc pan

Kościuszko jest najstarszym jenerałem, i ten rozkazał wszystkim, co mają zdrowe ręce, aby szli do niego bić Moskali, a za to dał wszystkim Polakom wielkie wolności, i uczynił tak, że już każdy wieśniak i człek pospolity jest równy każdemu panu największemu, i takie same ma prawa i wolności. Więc wszyscy są braćmi i dlatego wszyscy jednakowo mają bronić kraju i swoich wolności. Otóż moi chłopcy, kto zuch i człek tęgi, niech bierze za broń i ze mną idzie do pana Kościuszki.

— Ano wszyscy pójdziemy — krzykną młodzi parobcy i młodzi gospodarze.

Potem zaczął się gwar wielki, bo każdy chciał iść. Dopiero pan sam i wójt, a także starsi zaczęli wybierać, i tak stanęło nas aż pięćdziesięciu na boku, i ja też między nimi, bom już cale zapomniał o żeniaczce i wszystkiem, a jeno pójść chciałem na Moskala.

Wyszli także dworscy ludzie już uzbrojeni, a było ich coś ze dwudziestu, bo i kilku obcych było. Naonczas patrzymy iż nie ma broni więcej, zaś my mieli tylko pięstuki. Więc Waśko Facuł, co to był chłop ogromny i strasznie zajadły na Moskala, pyta pana dziedzica:

— Proszę wielmożnego pana, zaś czy dadzą nam broń?

A pan powie:

— Moi chłopcy, każdy z was ma broń najlepszą, bo ma kosę, a tą umie on już machać jak się patrzy. Ze strzelbą nie każdy dałby sobie rady, i więcej byłoby niedogody jak pożytku. Ale z kosą insza rzecz. Więc niech każdy biegnie po kosę, i drzewce niech weźmie dobre, na sześć stóp wysokie a na dwa cale grube. Najlepsze jest jesionowe, także lipowe albo osikowe. Kto nie ma takiego, to ja mu dam. Zaś do kuźni zejdźcie się, i niech kowal ogień rozdmucha.

Zrobiliśmy tak, a kiedy pan przyszedł do kuźni, kazał ogonki przy kosach naprostować, i potem kosę dwoma prętami żelaznemi przymocować do drzewca. Piorunem szła robota, a na wieczór już był każdy uzbrojony i gotów do drogi.

Jak tylko słonko zaszło, poszli i my z panem i z dworakami w drogę. Szliśmy całą noc, a nad ranem przyszliśmy do jakiejś wsi, co jest kilka mil od naszej.

Ranek był piękny bardzo, jeszcze mgła trochę była, ale już słonko zeszło. Staniemy przedewsią na drodze i czekamy, bo tak pan nakazał. Aż tu niebawem z daleka coś błyszczy i łyszczy niby kosy, jakaś okrutna gromada ludzi idzie prosto do nas. Patrzymy aż tu wojsko, a najwięcej wieśniaków z kosami jak my. Zaś na samym przodku jedzie na koniu jakiś chłop, w sukmanie białej krakowskiej i także w krakusce, ale wnet zdało mi się, że to nie prosty człek. Kiedy już blisko nadejdą, nasz pan zdejmie czapkę i woła: „Niech żyje Kościuszko!“ — a my za nim co się aż rozligało. Naonczas ów człek na koniu zdejmie także czapkę i woła: „Jak się macie bracia!“

I tak dowiedzieli my się wnet, iż ten chłop na koniu w prostej sukmanie to pan Kościuszko najstarszy jenerał. Więc bardzo nas to cieszyło, bo już my dokumentnie widzieli, że to nie bajki, ale że na prawdę pan Kościuszko wszystkich Polaków uczynił braćmi i równymi, i sam po chłopsku się ubierał, aby pokazać że cały lud wiejski kocha jak braci.

Więc niebawem poszliśmy do szeregu, każdy do swoich, więc strzelcy do strzelców, a my do kosynierów. I wnet dalej poszliśmy.

Nie pamiętam ja dobrze całej drogi, tylko tyle, żeśmy się ze wszystkiego okrutnie cieszyli. Pamiętam także, iż kiedy mnie starszy kosynier postawił w szeregu, patrzę ja na prawo, aż tu obok mnie jeden parobek ze wsi sąsiedniej, a zaraz dalej także po chłopsku ubrany i z kosą panicz z tejże wsi, bardzo zacny człek, który sam z dobrej chęci został prostym kosynierem jak my, a nawet nie był starszym. Iż mnie znał dobrze, zawołał zaraz:

— Jak się masz kolego!

Na to chwycę ja za czapkę i chcę się paniczowi po staremu pokłonić, i rzeknę:

— Proszę wielmożnego panicza dobrze!

Zaś on powie mi:

— Maćku słuchaj! a toć my wszyscy równi żołnierze, i mów do mnie k o l e g o, bo inacz nie uchodzi w naszem wojsku

polskiem. Tylko do starszego inaczej trza mówić, choćby on był twój znajomy dobry.

Jakoś mi się to najpierw dziwnie zdało, ale wnet przywykłem, i pokazało się, że ów panicz dobrze mówił.

Tak my zaszli aż do Racławic, a to jest wioska o kilka mil od Krakowa. Przed wioską przyleciał do pana Kościuszki jakiś człek na koniu i coś długo rozpowiadał. Wnet też rzeknie do nas pan Kościuszko:

— Ano bracia! Moskal jest tu, ruszmy się a dzielnie!

Zaraz poszli strzelcy naprzód po jednemu, niby drogę dla nas robić. Dalej hułany jak pójdą, to jeno kurzawa po nich została. Wtedy wyszliśmy na pagórek i patrzymy, aż tu przed nami okrutna moc Moskali, tak iż trudno końca dopatrzyć. Po jednej stronie stoją armaty, a Moskaliska strzelają z nich na nas, że aż strach. Ogień okrutny a huk jakby w piekle. Więc niebawem pan Kościuszko mówi do nas:

— Ano zuchy, trza zabrać te armaty!

Jak nie skoczymy, miły Boże! dwa pacierze nie zmówiłeś za ten czas, a już armaty były nasze, zaś Moskali nakosiliśmy niby trawy kupę ogromną. Trzeba wam wiedzieć, że się Moskal niczego tak nie boi jak kosy i kosynierów. Boć to ze strzelby pukniesz raz, ta i koniec, a zanim nabijesz na nowo, możesz dobrze wziąć po skórze. Zaś kosy nabijać nie trzeba, tylko machać nią dobrze, więc o dobre półtora sążnia skosisz Moskala, który z bagnetem musi o dwa kroki przyjść do ciebie. Bywało Waśko, co był chłop ogromny, jak nie zawinie kosą w około, to i kilku naraz Moskali obłata, że rzucają broń i w nogi który może.

Tak też było pod Racławicami. Choć Moskali taka kupa była, że po kilku szło na jednego naszego, niebawem zmykali który jeno żyw, aż się kurzyło. Pan Kościuszko bardzo rad był wszystkim, a najbardziej kosynierom, bo taki my najwięcej pomogli do zwycięztwa.

Toć kiedyśmy poszli na armaty, był między nami wieśniak pewien Grzegorz, i drugi waleczny kosynier Głowacki. Ci dwaj szli naprzód, i każdy sam jeden zdobył armatę. Grzegorzowi jeszcze kula nogę urwała, więc dowlókł się i siadł na armatę.

Przybiegł do nich pan Kościuszko, i ucałował każdego, i mówił:

— To mi to zuchy!

Także każdego z nich starszym uczynił, choć to byli prości kmiecie jak ja, bo w polskiem wojsku każdy kmieć waleczny mógł zostać oficerem i panem.

Otóż moi kochani ta wojna była 4 kwietnia w roku pańskim 1794, więc za dni kilka będzie temu właśnie sześćdziesiąt i dziewięć lat. Zawsze dobrze przypomina mi się ten dzień, bo ja wtenczas pierwszy raz widziałem pana Kościuszkę i pierwszy raz biłem się z Moskalami za nasz kraj kochany i za naszą świętą ziemię!

Aż łzy stanęły dziadkowi w oczach na te słowa. Wszyscy słuchali uważnie, a już najbardziej Jędrek i insi parobcy, którym się bardzo podobało opowiadanie.

Dziadek rad był, że go ludzie pilnie słuchają, więc rozpowiadał im dalej o panu Kościuszce, o Grzegorzu z pod Racławic i o Głowackim. Żałuję bardzo, że już nie ma miejsca, bo chciałem wam to wszystko wypisać. Naostatek opowiadał dziadek różne stare piosnki o panu Kościuszce i Grzegorzu, a także o parobkach co szli na wojnę racławicką, a tę śpiewają jeszcze ludzie po wsiach w taki sens:

Stara śpiewka.

Śnieg na dworze, na łące
Traw niéma,
Ostrzy kosę dziad stary
Choć zima.
Chłopcy mówią do niego
Śmiejący:
— Zaś dziadulu wy straśnie
Gorący,
Bez kożucha mróz ziębi
Człowieka,
A wam trawę już słonko
Przypieka.
— Oj nie trawę dziś kosić —
Dziad powie,
Ale u was to ciemno,
Jest w głowie,
Ale u was to w sercu
Jest zima,
Więc też u was i kośby
Dziś niéma.
Chłopy silne jak dęby
A głupie,
Siedzą marnie za piecem
W chałupie,
A tam kośby i pracy
Bez miary,
Niema u was odwagi
Ni wiary.

Splunął dziadek i czapkę
Nacisnął,
Potem kosą ostrzoną
Zabłysnął,
Potem krzyknął: won tchórze
Za piece,
A ja jeden choć stary
Polecę.

Chłopcy długo ze sobą
Radzili,
Potem wszyscy wraz kosy
Ostrzyli,
Potem wszyscy na kośbę
Wraz wyszli,
Ale jeszcze do domu nie
Przyszli.

Stanisław Reszka.

W pewnej wsi, ale w której, tego już ludzie nie pamiętają, ani stare xięgi o tem nie piszą, dosyć że w naszej Polsce, i to w tej części, która dziś zostaje pod Prusakiem, mieszkał sobie niezamożny, ale poczciwy kmieć nazwiskiem Reszka ze swoją żoną, także potulną i pracowitą kobieciną. Nie mieli ci oni wprawdzie wielkiego majątku, ale zato pobłogosławił ich Pan Bóg jedynakiem synem Stanisławem, który dla obojga wielką był pociechą i jedyną nadzieją na starość. Zmyślny bo też to był i sprytny ten Stanisław jak rzadko, a wszyscy co go znali, dobrą i szczęśliwą wróżyli mu przyszłość. Maleńkim jeszcze będąc chłopcem rwał się tak do xiążki, jak inni nieprzymierzając do batożka lub konia, a że to na owe czasy nie było jeszcze tak szkółek po wsiach jak teraz, to mały Staszek dopóty męczył i nudził wiejskiego organistę, dopóki go tenże nie nauczył pisać i czytać, i od tego czasu nie było go już można i oderwać od xiążki. Niebawem też nauczył się pojętny chłopczyna służyć do Mszy świętej, i zaczął co dnia regularnie xiędzu dobrodziejowi w kościele usługiwać, za co go tenże bardzo polubił i miał od tego czasu na niego baczne oko i pozór, a gdy w małym chłopcu odkrył wielką zmyślność i chęć do nauki, umyślił bądź co bądź posyłać go do szkoły.

Na tronie polskim siedział wtedy Zygmunt August, wielce rozumny i dobry monarcha, który panując spokojnie, zachęcał i namawiał wszelkiemi sposobami swój naród do nauki, i nie-

bawem też cała Polska słynęła z mądrych i uczonych ludzi, a wiek ten nazywają i po dziś dzień *wiekiem złotym.*

Dlatego też przyuczył xiądz dobrodziej małego Stanisława Reszkę jeszcze trochę u siebie, a potem sam coś dopomógł, resztę zaś złożyła gromada, i wysłano małego chłopca do szkoły do Krakowa. Nie mając żadnego utrzymania, usługiwał Stanisław synom bogatszych rodziców, i tak się oszczędnie obchodził, że jeszcze co miesiąca biednym swym rodzicom małe posyłał wsparcie. Przytem uczył się tak pilnie, że mu nikt nie mógł wyrównać, a gdy parę lat minęło, pokończył Stanisław najwyższe szkoły, i został wyświęcony na xiędza.

Radość bo też to była radość, nie tylko dla rodziców ale i dla całej wsi, kiedy po kilku latach młody Reszka już jako xiądz powrócił do wsi rodzinnej i tam pierwszą swoją mszę odprawił. Ale radość ta nie trwała długo, bo młody Stanisław Reszka musiał w krótkim czasie powrócić nazad do Krakowa, gdzie też przy tej najwyższej szkole, którą dopiero sam niedawno ukończył, został nauczycielem. Sława o jego wielkiej mądrości rozniosła się po całej Polsce, i najwięksi panowie mieli już wtenczas dla niego wielki szacunek i poważanie.

Odbywał się pod owe czasy w mieście Trydencie we Włoszech *sobór* czyli zgromadzenie wszystkich biskupów z całego świata, na którym to soborze miano potępić nowo powstałą naukę Lutra i innych heretyków, których to namnożyło się podówczas we wszystkich krajach co niemiara, i ztąd też wielkie były wszędzie swary i niezgody, a nawet i krwi rozlewy. W Polsce tylko panowały pokój i zgoda, i z tej racyi miała Polska tyle świetności i potęgi, że papież rzymski zaprosił Polaka Stanisława Hozyusza biskupa Warmińskiego, ażeby na tym soborze był starszym, i miejsce samego Ojca świętego zastępował.

Słynny na świat cały ze swojej mądrości Stanisław Hozyusz przejeżdżając przez Kraków, prosił przełożonego najwyższych szkół, aby mu dał jakiego zdatnego i rozumnego xiędza na powiernika i sekretarza. Wtedy to przedstawiono mu Stanisława Reszkę jako najrozumniejszego człeka, i biskup Hozyusz wziął go ze sobą na sobór do Trydentu.

Kiedy się w r. 1563 ten sobór zakończył, powrócił i Reszka nazad do Polski, a biskup Hozyusz poznawszy w nim człeka rozgarnionego, zrobił go od razu kanonikiem Warmińskim. Na tym urzędzie zostawał Stanisław aż do śmierci Zygmunta Augusta, a kiedy naród polski obrał sobie na króla Henryka Walezego het aż z francuzkiej ziemi, wysłano z wieloma innymi panami także Stanisława Reszkę do Francyi, ażeby tego nowego króla do Polski sprowadzić. Król Henryk poznawszy go bliżej bardzo go polubił, a kiedy zjechał do Polski, zrobił go swoim sekretarzem i powiernikiem. Niebawem jednak, jakeście to musieli czytać w historyi polskiej, zrobiło się temu królowi żal za krajem francuzkim, i temu też umyślił sekretnie uciekać nazad do Francyi. Z tym swoim zamiarem zwierzył się król Henryk między innymi także i Reszce, i namawiał go aby opuścił swoją ojczyznę i z nim razem jechał do Francyi, gdzie go obiecywał zrobić biskupem, i obsypać go różnemi dostojeństwami. Ale Stanisław Reszka odrzekł na to, jak na prawdziwego dobrego Polaka przystało:

— Choćbyś mnie miłościwy Panie nawet i samym królem zrobił w twojej Francyi, tobym jeszcze mojej ojczyzny tak potajemnie nie opuszczał, a i ty królu wolałbyś zostać między nami, aniżeli nas porzucać.

Po wyjeździe króla Henryka z Polski, wybrali sobie Polacy na króla swego Stefana Batorego; tenże zrobił znowu Stanisława Reszkę swoim sekretarzem, a później gdy poznał wielkie jego zdolności, powierzył mu nawet wychowanie swojego synowca Andrzeja. Od tego czasu spadały na Reszkę jakby z deszczem coraz większe zaszczyty i honory. Bo kiedy wypadła pilna jakaś sprawa do Rzymu, wysłano znowu Stanisława do Ojca świętego Syxtusa V, a gdy się tam doskonale spisał, wyprawiono go znowu po raz drugi w innej sprawie do Ojca świętego Grzegorza XIII, i z tej racyi pozyskał sobie nawet w Rzymie dla swojej wielkiej mądrości i wymowy wielki szacunek i poważanie.

Umarł nareszcie i Stefan Batory, a Polacy powołali na swego króla Zygmunta III, a gdy tenże zjechał do Polski, objął znowu Stanisław u niego urząd sekretarza. Król Zygmunt

przekonawszy się sam o wielkiej jego zdatności, o której tyle już słyszał z opowiadania, a zważywszy przytem liczne jego zasługi, które on dla swojej ojczyzny położył, umyślił za to go wynagrodzić, i pokazać mu swoją i całego kraju wdzięczność.

Owóż woła on razu pewnego Stanisława Reszkę do siebie, i przy wielkiem zgromadzeniu xięży, panów i senatorów, tak się odezwie do niego:

— Kiedym jeszcze był w Szwecyi, w tym zamorskim kraju, słyszałem już wiele dobrego o tobie xięże Stanisławie, a dowiedziawszy się teraz, że pochodzisz z wieśniaczego stanu, poważam cię jeszcze bardziej za twoje przywiązanie i zasługi około rodzinnego kraju twego. Małać to wprawdzie różnica między chłopem a panem, jeżeli oba zarówno kochają swoją ziemię, i pracują około jej dobra, ale ponieważ słyszałem, że niektóre złe języki robią ci wymówki, że nie jesteś szlachcicem, dla tego też mówię ci, że Polska umie nagradzać wszelkie szlachetne czyny, i od dzisiejszego dnia jesteś sobie szlachcicem, i niech to będzie dla ciebie jeszcze większym zaszczytem, że ty przez swoje czyny szlachectwo sobie zasłużyłeś.

Po tych słowach skłonił się nisko Reszka na znak podziękowania królowi, poczem mu tenże ręce uścisnął, a za przykładem króla i reszta panów uściskali kolejno Reszkę jak brata.

Jednakże nie koniec na tem, bo w dodatku do szlachectwa zrobił go Zygmunt jeszcze dziekanem Warmińskim, i od tego czasu był Reszka w większem znaczeniu i poważaniu, aniżeli nie jeden z najbogatszych panów.

Pośród tych godności nie zapierał się jednak Reszka nigdy swojego niskiego stanu i pochodzenia, bo rodzicom swoim posyłał zawsze dostateczne wsparcie, że już nie potrzebowali ciężko na kawałek chleba pracować, a kiedy czasem do niego w odwidziny zjechali, sadzał ich zawsze pomiędzy innymi dostojnymi gośćmi do stołu na pierwszem miejscu, chociaż byli w siermięgach poubierani.

Niebawem jednak wypadła znowu pilna potrzeba do Rzymu, a to w sprawie kanonizacyi świętego Jacka, od którego to śmierci już czterysta lat upłynęło, a dopiero teraz po sprawdzeniu wszystkich cudów miano go uznać za świętego. Nie

było więc nikogo innego w całej Polsce sprawniejszego do tego poselstwa, jak Stanisław Reszka, który już dwa razy był w Rzymie, i dla tego to wysłano go znowu po raz trzeci do Ojca świętego Klemensa VIII, na którem to poselstwie nową sobie zjednał sławę i wziętość. Gdy Reszka powrócił do Polski i przywiózł wiadomość, że Jacek nasz rodak został już świętym, to mało go wszyscy na rękach nie nosili, ciesząc się wielce z tego, że ta sprawa została już raz ukończoną.

Jednakże nie długo odpoczywał Reszka po tem poselstwie, bo wnet znowu wysłał go król Zygmunt het aż do Włoch do Neapolu w sprawie *sum neapolitańskich.* Trzeba zaś pierwej wiedzieć, co to były te *sumy neapolitańskie.*

Owóż jak wiadomo, że kiedy owa królowa włoszka Bona, matka Zygmunta Augusta wyjechała z Polski, zabrała także ze sobą siła wozów obładowanych różnemi skarbami i wywiozła to wszystko gdzieś aż het do Neapolu. Wielka ztąd stała się Polsce szkoda, i dla tego też prawował się naród polski długo o te skarby, ale jak człowiek swego ucha nie widzi, tak też i Polska nie widziała już więcej tych skarbów, bo one przepadły na zawsze jakby kamień w wodę rzucił. Do dzisiejszego dnia nie została jeszcze ta sprawa ukończoną, i skarby te nazywają się sumy neapolitańskie. Dla tego weszło to już w taką gadkę, że jeśli kto się przechwala, że ma jakieś tam wielkie skarby albo spodziewa się jakiegoś spadku, o którym nikt nic nie wie, to mówią o nim, że ma sumy neapolitańskie.

Owóż i Stanisław Reszka wysłany został od króla Zygmunta do Neapolu, aby się tych skarbów dopominał, ale widać, że taka już była wola Boża, aby więcej do kraju rodzinnego nie wrócił, bo umarł tam w Neapolu w obcej ziemi dnia 3 kwietnia 1600 roku, a więc dzisiaj temu jakby uciął lat dwieście sześćdziesiąt i trzy.

Imię jego było głośne nie tylko w całej Polsce, ale nawet i tam we Włoszech, dla tego też kazał mu Ojciec święty własnym kosztem bardzo wspaniały postawić nadgrobek.

Takie to było życie i taki koniec Stanisława Reszki, który pod słomianą urodził się strzechą, ale za swoje nauki i miłość ku ojczyznie dosłużył się szlachectwa i innych wielkich za-

szczytów, którychby mu nie jeden rodowity pan pozazdrościł. Tak to Polska umiała cenić i nagradzać zasługi każdego bez różnicy stanu i pochodzenia, z czego możecie poznać moiściewy kochani, że nie tylko orężem ale i nauką można się przysłużyć swojej ojczyznie. Przykładajmyż się więc sami i napędzajmy nasze dziatki do nauki, do której aby was ten przykład zachęcił, na to go spisał

Jacenty z Magierowa.

Piękne przykłady.

Gromada w Haczowie.

W obwodzie Sanockim jest bardzo wielka i piękna wieś Haczów, zaś pan dziedzic tamtejszy jest człek bardzo zacny, a cała gromada taka uczciwa jakiej daleko poszukać. Posłuchajcie, jak się tam wszystko dzieje, bo warto sobie zawsze spamiętać dobry przykład.

Dwór tamtejszy jest właśnie jak szkoła. Codziennie zgromadzają się tam dziewczęta ze wsi na naukę, uczą się szyć i haftować. Teraz to już małe dzieci szyją koszule, bieliznę dla kościoła, a nawet haftują piękną komżę dla xiędza proboszcza. Tak codzień kilka godzin uczą się i pracują, a potem bawią się na dziedzińcu. We czwartki, niedziele i święta zgromadzają się chłopcy i dziewczęta z całej wsi do dworu, a bywa ich nieraz dwieście. Natenczas w największym pokoju, gdzie jest biblioteka pana dziedzica, ustawiają ławki, dzieci zasiadają, a pan dziedzic, pani dziedziczka, i zacna panienka ich córka, nauczają o religii, o uczciwem życiu, historyi naszego narodu i naszej świętej ziemi.

Oprócz tego jest także szkoła trywialna we wsi, gdzie chłopaków uczy pan nauczyciel. Piękny murowany budynek na tę szkołę darowali państwo, i pod ich opieką jest ciągle ta szkoła.

Zaś nie tylko dzieci uczą się tam rozumu i uczciwości. Pan dziedzic kupuje wszystkie gazety polskie i xiążki dobre nie tylko dla siebie, ale także dla gromady. Codziennie wieczorem po pracy i po dzwonieniu na Anioł Pański zgromadzają się w szkole gospodarze i dorostki, a tam czyta im pan nauczyciel gazety i xiążki, aby wiedzieli o wszystkiem co się dzieje na Bożym świecie, aby nie potrzebowali bałamucić się różnemi plotkami, jakie pijaczyny i obieżyświaty roznoszą między ludzi, namawiając ich do złego i do grzechów różnych.

Do niedawnego czasu był jeden xiądz proboszcz w Haczowie, bardzo zacny dobrodziej, który wszelkiemi siłami pracuje dla dobra ludu i dla jego zbawienia. Ale ponieważ parafia jest bardzo wielka, bo znacznie więcej jak dwa tysiące ludzi do niej należy, więc państwo dziedzice razem z gromadą złożyli się, i poprosili u konsystorza o drugiego jeszcze xiędza wikarego.

Ot, nie gadając długo powiem wam moiściewy, że takiej gromady i takiej wsi to daleko szukać. Taka tam pobożność, uczciwość i pracowitość, taka zacność, iż człowiek patrząc na to sam musi być lepszym i poczciwszym. Jest ona na prawdę pięknym przykładem, jaki wszystkie gromady powinny naśladować.

Zaś może chcecie wiedzieć, jakim sposobem stała się ta gromada taką zacną i przykładną, a także bogatą, bo każdy ma tam dość chleba i nędzy nie cierpi. Powiem wam na to tak. Od dawnych czasów bywały w Haczowie cztery karczmy, na których siedzieli żydzi i wódkę przedawali, a lud wiejski pił po staremu, choć w Haczowie mniej zawsze było pijaków jak indziej. Zaś pan dziedzic naradził się z xiędzem proboszczem i tak uczynił. Żydów oddalił ze wszystkich karczem, a arendę puścił trzem najpobożniejszym, najpoczciwszym i najtrzeźwiejszym gospodarzom. Ci gospodarze płacą panu 300 reńskich mniej, jak dawniej płacili żydzi, ale zato nie wolno im pozwalać żadnych pijatyk ludziom, ani także wesela żadnego nie wolno przyjmować do karczmy. Pan dziedzic stracił na tem, bo to co daje na szkołę i na kościół więcej wynosi jak wszystka arenda. Ale zato uchronił dusze ludzkie od grzechu

i potępienia, zrobił całą gromadę zacną i trzeźwą, która tym sposobem dorobiła się mienia dobrego i nabrała rozumu. Niechże mu Pan Bóg najwyższy i najświętsza Matka Boska Królowa Polska błogosławi, a także xiędzu proboszczowi i pani dziedziczce i zacnej panience ich.

Moi ludzie kochani, ja się tylko modlę do Pana Boga, aby was zachęcić raczył do naśladowania tak pięknego przykładu, aby u nas niebawem wszystkie gromady były takie zacne i pobożne. Wtenczas dopiero będzie szczęście i błogosławieństwo Boże na naszej świętej ziemi polskiej, wtenczas Bóg najwyższy ulituje się nad nami i nad naszą ukochaną Ojczyzną.

Rady gospodarskie.

Jak najlepiej wyhodować wielką cebulę?

Idzie już ku wiośnie, więc nie zawadzi gosposiom dobra rada na sadzenie cebuli. Jużci każden wie, że cebula nie mało znaczy w ogrodowiznie, a w niektórych okolicach to ci prawie jeno samą cebulę sadzą po ogrodach, i potem handel nią prowadzą. No wiem ja także, iż każda gosposia setnie lubi owe wianki ogromnej cebuli, co to nieraz uwierzyć i zmiarkować trudno jak ona taka wielka wyrosła. Każda też radaby mieć sposób na hodowanie takiej cebuli, bo po ogrodach zazwyczaj rodzi się znacznie mniejsza, nieraz jak orzechy mała, choć to i grunt piękny, i zgnojony należycie jak się patrzy. Otóż moje kobiety, ja wam zaraz ten sekret opowiem.

Małe cebulki, jakich już nie używacie przy gospodarstwie, trzeba poukładać w izbie blisko pieca, aby się prawie całkiem zeschły, ale żeby się nic nie popsuły. Otóż na wiosnę sadzić trzeba te cebulki na gruncie, który nie jest świeżo zgnojony. Cebule wyrosną śliczne, ogromne i silnego smaku, a naci całkiem nie będą miały, bo wszystko pójdzie w owoc.

Jak sól szkodzi mleku?

Czytałem niedawno w gazetach, iż pewien dobry gospodarz przekonał się, jako sól szkodzi mleku. Przekonał on się, iż dawać dużo soli nie można krowom, bo inaczaj mleko bywa bardzo wodne. Więc próbował na różne sposoby, i pokazało się, że krowom nigdy więcej nie trzeba dziennie dawać soli jak cztery łuty. Także jak dać raz więcej soli, to się nabiał zepsuje za kilka dni, i będzie mieć ciągle więcej wody jak dawniej.

RÓŻNOŚCI.

Poprawka. Pisał do mnie Mikołaj Roga taki list:

W numerku siódmym Dzwonka, gdzie jest opisanie poświęcenia kościoła w Żabińcach, zaszła pomyłka, a ta jest, że po obu stronach wielkich drzwi we framugach nie ma figury świętego Wojciecha, tylko świętego Stanisława i świętego Antoniego. A że w naszym Dzwonku same tylko prawdy dzwonią, przeto upraszam bardzo o przebaczenie pomyłki i o wydrukowanie tej poprawki.

Mikołaj Roga,
włościanin ze Żabiniec.

Dobry przykład. Warszawa, stołeczne miasto w Polsce, jestto miasto ogromne, znacznie większe od Krakowa i Lwowa. Ludzi tam także moc okrutna, bo coś sto kilkadziesiąt tysięcy. Otóż myślałby każdy, że tam hałajstry różnej dostatek, więc pijaków i innych. Tymczasem piszą z Warszawy, iż tam pijaków to już całkiem nie ma. Jeżeli się czasem i to bardzo rzadko jaki pijak pokaże na mieście, to ludzie przypatrują się jemu jakby dziwowisku. Tam już ludzie nie mogą zrozumieć, jak może człowiek robić ze siebie takie bydle, i tak Pana Boga obrażać. Tylko żołnierze moskiewscy, co tam są, upijają się jak zwierzęta, no, ale to rzecz dawna, a o Moskalach wie już świat cały jacy oni ohydni. Zaś Polacy cale inaczej robią, i pijaka nie znajdziesz tam na kilka tysięcy ludzi jednego. A co moi mili, czy to nie dobry przykład?

Pożar. Dnia **16** marca wieczorem wybuchł pożar w Czystohorbie, w obwodzie sanockim, i spalił gospodarkę tamecznego włościanina Iwana P. Biedaczyna stracił on wszystkie budynki, zboże wszystko i część bydła, a cała szkoda jest na **741** reńskich nowych. Także nie wiedzieć jeszcze z pewnością, jaka była przyczyna ognia.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII.

11. Kwietnia

Nr. 11.

1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wielki tydzień w Warszawie za czasów szewca Kilińskiego.

W ostatnim numerku Dzwonka opowiedziałem wam gadkę dziadka Macieja o bitwie Racławickiej. Otoż między ludźmi, którzy słuchali Macieja, był także pewien szewc Sylwester, człek uczciwy, który w niedalekiem miasteczku miał warstat i gospodarkę, a nieraz jeździł po dworach na robotę. Otoż był on właśnie naonczas u pana dziedzica, a iż się znał dobrze z Maciejem, zachodził do niego wieczorami na pogadankę.

Na wielkanoc przyszedł Sylwester także do Macieja, i pożywali święcone, a było dość ludzi różnych, bo u Macieja na święta zawsze dużo bywa gości. Kiedy już wszyscy posilili się i nagadali dosyć, a zadzwoniono na nieszpory, poszli wszyscy do kościoła, a ztamtąd znowu dosyć ludzi zeszło się do chaty gdzie mieszkał Maciej. Owoż zaczęła się znowu pogadanka, a Sylwester rzeknie:

— No miły dziadku, już ani słowa na to nie powiem rzeście nam ostatniej niedzieli dziwnie piękną rozpowiedzieli

historyę o bitwie racławickiej i o kosynierach. Jasna to rzecz jak słońce, że natenczas wieśniacy razem z panami trzymali, i wszyscy razem bili Moskala dzielnie jak się patrzy. Ale to wtenczas wszystko już było lepiej, i nie tylko wieśniacy z panami ale także i mieszczanie z nimi razem trzymali, i przeto lepiej im się działo.

— Jużci prawda to — rzeknie dziadek — bo już za konstytucyi Trzeciego Maja, którą król polski i panowie dali narodowi naszemu, postanowiono wyraźnie, że wszyscy Polacy są równi i bracia, więc panowie taksamo jak mieszczanie i lud wiejski. O mądre to bardzo prawo, bo jużci tam, gdzie jest zgoda i miłość, tam nie ma nigdy biedy, a kiedy ludzie są równi sobie i mają jednakie prawo, to też nie mają do swarów powodu, bo jeden drugiemu nie zazdrości, i jeden drugiego krzywdzić nie może. Tak to rozumnie pomyśleli panowie polscy i najjaśniejszy król polski, i dla tego dobrze im się działo i dobrze bili razem Moskali, chociaż pierwej nie mogli im dać rady, kiedy nie mieli takiej równości i jedności.

— Świętą prawdę powiadacie — mówił szewc Sylwester — i tak samo gadali zawsze nieboszczyk mój tatuś, który znał się dobrze z wami Macieju.

— Prawda, prawda — mówił dziadek — znaliśmy się dobrze, bo my obaj tośmy prawie w jednakowych byli latach, jeno ojciec wasz był młodszy odemnie nieco, i kiedy ja już służył wojskowo pod panem Kościuszką, to on dopiero terminował u majstra Kilińskiego w Warszawie.

— A tak — powie Sylwester — bo my z tamtych stron rodem, ino ja potem przywlókłem się z tatuniem tutaj, i tu już zostaliśmy. Zaś w młodości tatuś ciągle w Warszawie był, i tam długi czas po majstrach robił, a nakoniec własny warsztat otworzył, a potem tu się przeniósł. No, ale nigdy nie mogli tatuś odżałować się Warszawy i ludzi tamecznych, rzemieślników a najbardziej szewców, bo tam od czasów majstra Kilińskiego każdy szewc prawie człek bardzo dzielny i Polak jakiego poszukać.

Zda mi się — powie dziadek — że u nas także rzemieślnicy tacy dzielni ludzie i dobrzy Polacy jak tam, bo już

nic nie mówię o ludziach wiejskich. Alboż to nasi kosyniery nie tłukli Moskali jak wilków?

— Pewnie, że kosyniery dzielni ludzie — mówił majster — ale już ja nie wiem czy można lepiej bić Moskala jak Warszawiacy za majstra Kilińskiego. Nie raz i nie dziesięć razy opowiadali mi o tem tatuś nieboszczyk, bo sami także naonczas coś aże dwóch Moskali zatłukli kijami, a jednego taki pociąglem udusili. Zaś było to niebawem po bitwie Racławickiej, i w sam wielki tydzień.

— No — rzeknie dziadek — opowiadałem ja wam ostatniej niedzieli o Racławicach, więc powiedzcie nam dzisiaj majstruniu o wojnie pana Kilińskiego, tak jak wam tatuś opowiadał. Słyszałem ci ja nieraz od niego tę historyę, ale wy zawsze lepiej ją spamiętacie.

— Dobrze — powie majster — już ja nieraz ludziom opowiadałem, więc jeszcze raz opowiem.

Otóż kiedy pan Kościuszko zaczął wojować z Moskalami, było ich bardzo dużo w Warszawie. Uciskali oni lud warszawski jak wszystkich Polaków, a najbardziej ich jenerał Igelstrom, człek okrutny bardzo i nie uczciwy. Skoro ludzie posłyszeli o panu Kościuszce, zaczęli wnet przemyśliwać, jakby Moskali wygnać taksamo i pobić, jak to czynił pan Kościuszko. Zaś trudna była bardzo rada, najbardziej iż wojska moskiewskiego dużo było, i że jenerał Igelstrom każdego męczył i katował, kto chciał wygnać Moskali. Możeby się więc skończyło na niczem, żeby nie szewc Jan Kiliński, sławny bardzo człek na całą Polskę.

Ten Kiliński miał wielki warsztat w Warszawie, i był sobie szewc zwyczajny, jeno dziwnie zacny człek i rozumny Miał przeto wielkie zachowanie u ludzi, i wszyscy rzemieślnicy słuchali go jak starszego. Otóż przemyśliwał on ciągle nad tem, jakby ratować miasto i ojczyznę, a jenerał Igelstrom okrutnie go nie lubił, i nieraz chciał go wsadzić do aresztu. Jednakowoż nie uczynił tego, bo się bał aby rzemieślnicy nie poszli na pomoc Kilińskiemu.

Tak działo się aż do bitwy Racławickiej. Kiedy posłyszeli Warszawiacy że kosyniery pobili Moskali, strasznie się

tem ucieszyli, i już koniecznie chcieli bić także Moskali. Więc nadszedł wielki tydzień, a ten był później jak tego roku, bo wielkanoc miała być aż 20 kwietnia. Rano we wielki wtorek przyszedł do Kilińskiego Moskal jakiś uczciwy kupić trzewiki dla żony, i kiedy już utargował obuwie, rzeknie do majstra:

— Mój miły majsterku, abyście wiedzieli że ja was kocham i chcę wam dobrze poradzić, więc posłuchajcie mnie. Nasz jenerał rozkazał, aby w sobotę podczas rezurekcyi, kiedy wszystek lud będzie w kościołach, wytoczyć armaty i strzelać do ludzi i mordować ich, aby Moskali nie wygnali z Warszawy. Więc ja wam radzę, abyście zabrali żonę i dzieci, i wyjechali het z miasta, aby wam się nic złego nie stało.

— Ej — powie majster Kiliński — może wy zmyślacie, aby mnie przestraszyć?

— Gdzietam — mówi Moskal — toć pewnikiem tak się stanie jak ja wam powiadam, i zobaczycie że prawdę mówię. Ale proszę was, nie mówcie nic że to ja wam powiedział, boby mnie jenerał nasz kazał zastrzelić.

— No kiedy tak, to ja wam bardzo dziękuję i nikomu nie powiem — rzeknie Kiliński — a potem utraktował uczciwie Moskala dobrego, i rozeszli się.

Moskal poszedł do domu, a Kiliński czemprędzej zebrał się i pobiegł do przyjaciela swego, rzeźnika Sierakowskiego, który był człek także dzielny i bardzo dobry Polak. Temu rozpowiedział wszystko, a potem zwołali na radę rzemieślników różnych i panów.

Kiedy się wszyscy zeszli do Kilińskiego, zaczął on do nich mówić w taki sens:

Moi mili bracia, jest taka sprawa. Bezbożny Moskal chce nas w czasie rezurekcyi pozamykać w kościałach i pobić. Jużci nie ma inszej rady, jak wziąć się do niego zawczasu i wygnać z miasta. Za kilka dni wielkie święta, a na święta należy oporządzić mieszkanie jak się patrzy, więc wyczyścić, pozamiatać i śmiecie wymieść. Nasze miasto, to nasz dom, a śmiecie i plugastwo co je wala, to Moskale. Więc weźmy się i wymiećmy to śmiecie i wyrzućmy je precz.

Tak mówił majster Kiliński, a wszyscy zgodzili się chętnie na jego mowę, i przyrzekli wziąć się ostro do Moskala. Otóż uradzono, aby we wielki czwartek zacząć z nim bitwę, tak iżby na niedzielę i święto był już spokój i porządek. Zaś jak uradzili, tak się też stało wszystko.

Rano we wielki czwartek, zaraz o wschodzie słońca wybiegł Kiliński z domu, a z nim czeladzi dość i inszych rzemieślników. Zaczną więc na ulicy bić Moskali. Najpierw zabrali broń i rozdali między ludzi, a potem koszary zaczęli zdobywać, gdzie stało wojsko moskiewskie. Była okrutna bijatyka przez cały dzień, bo Moskali moc wielka była w mieście. Cały lud warszawski zaczął ich bić, i czem kto mógł, więc niejeden kijem tylko albo nożem. Naostatek wygnali precz Moskali z miasta, a nabili ich coś cztery tysiące.

Na drugi dzień jeszcze było trochę wojny, bo coś Moskalisków zostało w mieście, ale i tych wybito i wypędzono na cztery wiatry. Ów srogi jenerał Igelstrom uciekał okrótnie i w wielkim strachu, a wieczorem w piątek już ani znaku po Moskalach nie zostało w Warszawie.

Kiedy się o tem dowiedział pan Kościuszko, bardzo się ucieszył i szewca Kilińskiego zrobił półkownikiem. Od tego czasu jeszcze więcej ludzie szanowali i kochali Kilińskiego, o którym dziś jeszcze pamięta cała Polska, i dziś jeszcze ze szacunkiem wspominają szewca Kilińskiego. Także od tego czasu byli już zawsze warszawscy rzemieślnicy a najbardziej szewcy ludzie dzielni i zacni, bo każdy chciał być podobnym jak Kiliński.

Naostatek mówił majster Sylwester tak: Otóż moiściewy i ja także już koniecznie chciałem zostać szewcem, i tatuś mój tego chcieli, bo sam był w terminie u majstra Kilińskiego i razem z nim bijał Moskali w ów wielki czwartek. Więc i zostałem szewcem, i zawsze staram się być człowiekiem uczciwym aby nie zhańbić swojego rzemiosła.

Otóż macie moi kochani historyę o panu majstrze Janie Kilińskim, tak jak ją nieraz opowiadali mnie tatuś nieboszczyk.

Wszyscy dziękowali pięknie Sylwestrowi za historyę, a iż był już poźny wieczór, rozeszli się niebawem do domów.

Krótka śpiewka
o szewcu Kilińskim.

Szewc Kiliński oto pan!
I na całą Polskę znan,
Szył buciska doskonale
I wyzbijał też Moskale
Z całej siły,
Boże miły!
Oto zuch! oto pan!
Nasz Kiliński Jan!

Szewc Kiliński oto zuch!
I nie znajdziesz takich dwóch,
Bo niejeden Moskal zginął,
Jak kopytem się zawinął,
Z całej siły,
Boże miły!
Oto zuch! oto pan!
Nasz Kiliński Jan!

Szewc Kiliński oto pan!
Polski zbawcą słusznie zwan,
Bowiem ojczyznę obronił,
Kiedy Moskwę precz wygonił
Z całej siły,
Boże miły!
Oto zuch! oto pan!
Nasz Kiliński Jan!

Takich szewców Boże daj!
A szczęśliwy będzie kraj,
Będzie wolną Polska cała,
Raj na ziemi będzie miała!
Boże daj!
Taki raj!
Szewców takich Boże zdarz,
Jak Kiliński nasz!

Królowa Jadwiga.

We wsi Przyłęku siedzi sobie gazda Łukasz Srokaczek, bogaty i pobożny i zapobiegliwy, a mądry tak, że jak co powie to warta posłuchać, a nigdy nie gada nic głupiego a broń Boże! co złego i grzesznego, bo on sam powtarza każdemu:

— Jest to cnota nad cnotami, trzymaj język za zębami, a jak masz co komu powiedzieć, to sobie dobrze ułóż w głowie, aby z tego nie wypadło co komu szkodliwego, albo naprzeciwko Pana Boga.

Ale też i babina jego Zośka, to baba nie lada! czyta ci na xiążce bez myłki, spiewa z pamięci pieśni pobożne do każdej mszy świętej i do różańca i w domu co rano i wieczór, gdy pali ogień i gotuje jakie jedzenie, a dla dzieci które jej dał Pan Jezus, to już taka przykładna i dobra, że to poszukać

takiej matki. To też i dzieciska muszą z nią spiewać, koronkę odmawiać i do kościoła chodzić, a posłużyć chętnie i uczciwie bodaj i dziadowi na wsi. To też każdy tam powie ci o niej:

— Ho! ho! to mi dopiero baba rozumna i pobożna, żebyś takiej nie znalazł i sto mil za Krakowem.

To też z jej chałupy chodzi aż czworo dzieci do szkoły i to pół mili daleko, bo aż na koniec drugiej wsi i to biedactwo, jak zje rano w domu co gotowanego, to o tem jest aż do pożna wieczór o suchym kawałku chleba co im matka wrazi do kieszeni i trochę soli albo dwie trzy główeczki czosnku do tego. I radość tam w chałupie wieczór wielka, gdy ci szkolarze wrócą do dom, bo matka zaraz zagada i pyta:

— No! a cóż tam uczyliście się nowego dziś?

A dzieci opowiadają na wyścigi od początku do końca, co jeno im xiądz albo sam nauczyciel powiedział lub pokazał.

Otóż raz wróciły te dzieci dobre już pożno z wieczora ze szkoły, a matka wyzierała nieraz przez okienko za niemi, i jak zapukały do sieni, matka wylatuje i pyta:

— A to czemu tak pożno wracacie?

A dzieci na to pięknie gadają:

— Bo widzicie mamusiu! pokazał nam xiądz proboszcz ładny obrazek, na którym stała malowana królowa polska Jadwiga, i opowiadał nam strasznie długo z pamięci o tej pobożnej Pani, a my musiały potem to samo powtarzać, dopóki nie potrafiłyśmy bez myłki wszyściutko na jeden włosek dorazu tak samo mu opowiedzieć. A matka zamknęła sień, zaprowadziła dzieci do ciepłej izby, kazała im bucięta ściągnąć, dała na misce ciepłej strawy zjeść, poprawiła ogień na kominku i gada:

— No! to też opowiedzcie mnie i ojcu waszemu te ciekawości, co wam też nasz dobrodziej naopowiadał.

Na to najstarsza Kasia zerwała się zaraz, stanęła sobie koło ognia i tak gadała:

— Widzicie matusienko! że to było wtedy pierwej już jakie 22 królów polskich, nim nam dał Pan Jezus tę pobożną Jadwigę za królowę do Krakowa. I jakoś to się dziwnie porobiło z dopustu boskiego, że tacy pobożni i prawie święci królowie, jacy to bywali ci Piaści, że to wszystko do jednego

wymarło i nie zostałci ani jeden chłop po nich, jeno same dziewczęta.

A na to odezwał się Jaś braciszek:

— Bo to mamusienko! dobre 500 lat królowali u nas w Polsce ci królowie, co to nie pochodzili ani z cesarzów ani z panów wielkich, jeno tak z prostych chłopów jak my teraz nieprzymierzając. I stali też ci dobrzy królowie za chłopami aż strach, a ostatni z nich Kazimierz Wielki, to ni to w ubraniu król z koroną na głowie, ni to pan bogaty, ale sobie czysty chłopek i do gospodarki i do budynków przeróżnych, a mądry taki, że spisał jakieś prawa sprawiedliwe, o których nam obiecał nasz jegomość opowiedzieć, jak jeno będziemy słuchać i uczyć się.

Na to gadanie aż się rozpłakała matka z radości, pogłaskała dzieci po głowie, usiadła sobie z kądzielą koło ognia i mówi do Kasi:

— No! i cóż się stało z Jadwigą królową polską?

A Kasia zaczęła gadać jakby sroczka na płocie:

— Bo widzicie mamusiu! ta Jadwiga to miała ojca jakiegoś Węgra, jeno jej babka była królewną polską, a matka jej to także pono nie była z naszego kraju, jeno Polacy lubili strasznie Piastów i byliby pod ziemię poszli szukać ich dzieci, to też jak nie stało już żadnego chłopa z owych Piastów, to sobie Polacy z płaczem wspominali dawne czasy szczęśliwe i pobożne i sprowadzili do Krakowa koniecznie Jadwigę młodziutką i jej babkę, co to miała być bardzo mądrą i znał ją Ojciec święty i pono wszyscy cesarzowie i królowie z jej rozumu i nauki.

A matka na to odrzekła kiwając głową:

— O moje dziecko! jak to się tobie pomieści to wszystko w głowie twojej — ja to już nie mogę sobie spamiętać tego, bo moja głowa sturbowana i sfrasowana nie jedną rzeczą, ale gadajno dalej.

Na to Jaś się odezwał:

— Bo to widzicie mamusiu! jeden król polski, co to się zwał Łokietek Władysław, miał pobożną żonę, także Jadwigę, a ta była córką matki jednej, co została świętą — i ten Ło-

kietek miał dwoje dzieci: owego Kazia, co to był tak mocny i dobry król i znowu córkę Elżbietę, co to była babką naszej Jadwigi i co to przed Jadwigą królową długo siedziała w Krakowie. Otóż mądry Łokietek jako ojciec tak pożenił swoje dzieci: córkę Elżbietę wydał do Węgier za bardzo mądrego i bogatego króla, a to na to, aby mu Węgry pomagali na Turka, a zaś syna Kazia ożenił aż na Litwie, gdzie to byli jeszcze poganie i nieraz dokuczali Polsce, a to zrobił na to, aby pomału te kraje nawrócić do Pana Jezusa, aby mu poganie oddali tych ludzi, których na wojnie pozabierali, a potem aby mieć pomoc na Krzyżaków, co to niby nawracali pogan. Ale gdzie ta myśleli oni o Panu Jezusie i czyjem zbawieniu, to byli ludzie podobni do czarta, nosili płaszcze czarne jak węgiel i szkoda tego świętego krzyża, co go mieli na tej sukni, a brzydko nawet wspominać, bo do tego nazywali się zakonnikami, a to byli rabusie i szkodnicy, okpiwali Boga, Ojca świętego i cały świat, aż ich raz pokarał Pan Jezus.

Na to gadanie tak się zadumała stara matka, że jej wypadło wrzeciono z palców, a ojciec siedzac za stołem przemówił do dzieci:

— Co to za czasy takie, że teraz jajo więcej wie od starej kury! ta gdzie nas kiedy uczono takich rzeczy za młodu? a przecie to dobrze, kiedy człek wie dawne czasy i rozumie, jak to bywało przed laty na świecie i gdzie się to wszystko podziało.

A matka na to tak rzecze:

— A widzicie stary, że ja dobrze chcę, kiedy te dziecięta łażą do tej szkoły! ot macie znak, że to nie nadarmo! toć to pytluje każde z nich językiem, jakby tam do głowiny wory xiążek nasypał, a to bez zająknienia. No! i cóż dalej było z tą Jadwigą?

Na to znowu gadała Kasia:

— Otóż widzicie zalecał się tej Jadwisi nie jeden, ale ona wybrała sobie takiego, aby było nie jej samej dobrze, ale całemu krajowi i wszystkim ludziom, aby się pocieszył z takiego ślubu i Ojciec święty i Pan Jezus na wysokiem niebie. I wydała się za takiego pana, co to nie był ani chrzczony, ani pa-

cierza świętego nie umiał, ani się żegnać nie potrafił i nic nie znał o Bogu, co się zowie — a zrobiła to na to, aby się ten pan sam ochrzcił, a potem jako król prawdziwy aby kazał stawiać kościoły i wszystkich nawrócił do Pana Jezusa. I tak się też stało.

A Jaś na to rzecze w ten sens:

— To ten pan, co się zwał pierwej Jagiełło, a na chrzcie dał mu biskup krakowski imię Władysław — i chrzcił się ten król w dzień św. Walentego w Krakowie, a zaś Jadwiga koronowała się dwa lat pierwej w sam dzień świętej Jadwigi, bo sobie tak życzyła, i obrała sobie tę świętą za patronkę i opiekunkę.

A znowu brała Jadwiga ślub na samą Wielkanoc w wielki poniedziałek w Krakowie w r. 1386.

A Kasia niecierpliwa na to:

— No! dajże mi skończyć, to sobie potem gadaj i gadaj i gadaj, bo ty znasz to lepiej odemnie, ty siedzisz codzień u jegomości pod piecem i czytasz i uczysz się, a ja muszę w domu pomagać mamusi.

— Otóż rok po ślubie wybrał się Jagiełło na Litwę, bo tak się nazywały jego kraje, i przyjechał tam na samą Wielkanoc w sam wielki tydzień — ale gdzie tam znali ci ludzie mękę pańską i jakie święcone, gdzie oni ta wiedzieli co o naszych świętach! To też w rocznicę ślubu rozpoczęli xięża chrzcić ludzi tamtych, a król Jagiełło nazwoził różnego okrycia i sukień z bielutkiego płótna i różne podarunki i rozdawał sam każdemu, kto jeno się ochrzcił. I mówił nam jegomość w szkole że sam król pomagał xiężom calutki dzień boży, ani jadł, ani pił i nie skosztował święconego, aż się chrzest święty odbył na całych wsiach i miastach. Po tem dopiero dzielił się święconem jajem z każdym, kto jeno był ochrzczony — i miało się w to święto ochrzcić tysiące ludzi, a pobożny król cieszył się z tego, że tyle dobrego mógł zrobić na samą Wielkanoc, że tyle dusz ludzkich pozyskał dla Pana Jezusa i pomógł im do zbawienia.

Ale Jaś zaraz poderwał:

— Otóż widzicie! że u nas koło Krakowa byli Polacy pierwej ochrzczeni na jakie 500 lat, bo to było jeszcze za Piasta pono roku 863, a za króla Mieczysława I to już pono nie znalazł nikt poganina i ze świecą w całej Polsce, bo to het! wychrzcił ten król co do jednego, a Litwa wychrzciła się dopiero za pomocą Jadwigi — chrzest Litwy to wiano ślubne naszej Jadwigi. I widzicie! że tego roku obchodzą Polacy tę pamiątkę, jakto 1000 lat temu król Piast przyjmował w domu swoim świętych apostołów, co mu się zdawali być aniołami niebieskimi, i mówił nam jegomość, że będzie nabożeństwo w całej Polsce na podziękowanie Panu Bogu za przysłanie św. apostołów do Polski i że mają wystawić w każdej parafii jaką pamiątkę pobożną na to, do czego też pobożni ludzie powinni się przyczynić.

A matka na to rozpłakała się i mówiła:

— O moje dzieci! wy będziecie pobożniejszemi od nas bo się na to uczycie — jak będzie trza co dać na składkę, to damy zaraz, boć to na chwałę bożą i na dobrą rzecz, aby też każdy wiedział, co to robił Pan Jezus dobrego dla tej ziemi i jakich on też miał tu i królów i xięży i ludzi.

A Kasia jeszcze miała coś powiedzieć i zapytała:

— No! Jasiu! a pamiętasz sobie, co to jegomość na samym końcu ciekawego powiedzieli?

A Jaś podumał i odpowiedział:

— O! co powiedzieli? tać mówili, że od dobrego uczynku tej Jadwigi, jakto na Wielkanoc w sam wielki poniedziałek tyle się ludzi ochrzciło, pozostała nam Polakom ta pamiątka, że się ludziska w ten dzień zlewają wodą, albo się wtrącają w wodę i nieraz się zmoczą aż do nitki i weselą się i radują przy tem a to ma być na pamiątkę, jakto xięża wtedy klęczących gromadami naraz polewali wodą, albo z kropidła albo z jakiego naczynia a król pobożny pomagał im do tego.

A matka stara odrzekła na to:

— To by nasz Śmigus, owe figle z wodą, był tak dawny i na taką pamiątkę?

A Kasia na to zaraz:

— A jeno moja mamusienko! to piękna pamiątka, już ma jakie 500 lat, jeno to ludziska zamienili w figle, a najwięcej dokazują parobcy z dziewkami i dziewki ich nie żałują. Niechby się i cieszyli, jeno żeby też rozumieli, na co to jest to polewanie? bo nam jegomość powiedzieli, że za to nie ma żadnego grzechu i że Polacy powinni takie starodawne pamiątki wszędzie co rok obchodzić, jeno bez grzechu i zbytków, bez szkody dla drugich i bez obrazy Boga.

Ale matka stara wstała, położyła kądziel w kąciku izby i mówiła:

— No! moje dzieci! poklękajcie teraz, zmówcie paciorek i spać za piec, a jutro rano do roboty w domu, a koło południa do szkoły, bo to trza robić i uczyć się, a wtedy będzie błogosławieństwo boże!

I stało się, jak matka kazała!

— Uczcież się i wy dziatki, jak owa Kasia i Jasio a będziecie tak samo opowiadać różności wszystkim w domu.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Opowiadanie starego wojaka,

czyli

jak Maciej Rembicz okpił Moskalów.

Skoro tylko nadeszła niedziela lub święto jakie uroczyste, to do chaty starego Macieja Rembicza zbiegało się mnóstwo ludzi z gromady gruszowskiej, jakby do cudownego jakiego obrazu. Bo też trzeba wiedzieć, że stary Maciej zwykle w dnie świąteczne opowiadał rozmaite przygody z swego życia, a że był bywalec, za młodu służył w polskiem wojsku i nie z jednej rzeki napił się wody, a nie z jednego pieca najadł się chleba — toć miał o czem tak składnie i pięknie opowiadać, żeś słuchał i słuchał i taki nasłuchać się nie mogłeś.

Otóż było to właśnie w niedzielę po nieszporach — słonko miało się ku zachodowi, a koło chaty starego Macieja zgroma-

dziła się prawie cała gruszowska gromada: kmiecie, niewiasty i dzieci nawet, by posłuchać, co opowie Maciej.

Stary Maciej usiadł sobie na ławeczce pod wielką gruszą i począł opowiadać:

— Kiedyście już tacy łaskawi, i ciekawiście posłuchać opowiadek starego, to wam rozpowiem jeden mały przytrafunek z mojego wojackiego życia.

— Dobrze, dobrze Macieju — zawołali gospodarze — bośmy na wszystko okrutnie ciekawi, co wy nam opowiadacie.

— Otóż jak wiecie — począł prawić stary Maciej — służyłem za młodu w polskiem wojsku, pod jenerałem Dwernickim. Byłoto w roku 1831, kiedy to Polacy zaczęli tłuc okrutnie Moskala, bo okropnie począł broić i gwałty wyrabiać w naszej ojczyźnie.

My pod jenerałem Dwernickim uwijaliśmy się gdyby strzała po kraju, a wszędzie, gdzieśmy tylko natrafili na Moskala, pędziliśmy go co się zowie na cztery wiatry. W tej wojaczce dziwne nieraz przygody zdarzały się człowiekowi, a niektóre z nich tak śmieszne, że się jeno za brzuch trzymać i śmiać się tak, żeby aż żebra trzeszczały.

Raz, pamiętam podeszliśmy pod wioskę, której nazwiska już sobie nie przypominam, bo to, jak zwyczajnie, na starość głowa się psuje człowiekowi. Wieś tę obsadzili byli gęsto Moskale, tak, że co chata, to kilkadziesiąt tych heretyków do dziur powłaziło, gdyby jakie wierutne plugastwo.

Moskale mieli huk ludu i armat co niemiara, więc też nie można było wziąć ich odrazu w krypy, tylko trzeba było osaczyć ich do koła i wywlec z dziury, jak nieprzymierzając psa za uszy.

To też jenerał Dwernicki, co to, panie świeć nad jego waleczną duszą, był taki chwat siarczysty, że ci go się Moskaliska bali, jak diabeł święconej wody — porozstawiał nas dokoła na jakie kilka tysięcy sążni ode wsi, aby Moskała złapać żywcem, jak szczura w łapkę. Jak już nas tak rozstawili, porobiono namioty i wiara nasza rozłożyła się na spoczynek. Aby zaś Moskal nie naszedł nas niespodziewanie, kazał jenerał

Dwernicki na wszystkie strony porozstawiać po kilkanaście żołnierzy na wartę.

Skoro nas Moskale zobaczyli, poczęli się okrutnie ruszać we wsi i myśleli, jakby to się wydobyć ze zdrową skórą z pod rąk polskich. Lecz trudna rada; musieli zostać i czekać, co się z nimi stanie. Zaś aby się jako tako zabezpieczyć, postawili także na około wsi swoje warty.

Otóż przytrafiło się tak, że naszej kompanii kazał był jenerał Dwernicki stać koło polskiego obozu na straży i pilnować dobrze, co Moskale będą robić. Staliśmy tedy, i patrzaliśmy pilnie na Moskali, a Moskale zaś na nas wywalili ślipie jak wilcy.

Gdy tak sobie stoimy, wyjeżdża naraz jakiś starszy moskiewski na ślicznym, białym koniu. Wyjechał on ze wsi, aby zobaczyć, czy moskiewskie sałdaty akuratnie stoją na warcie, jak im przykazano. Świerzbiała widać skóra tego starszego moskiewskiego i wyjechał sobie naprzód ku nam, aby się dowiedzieć, ile też nas być może, i jak sobie stoimy.

Ja stałem akuratnie naprzeciw tego starszego i trzymałem go wciąż na oku. Jak się już na swym białym koniu podsunął bliżej, rzekłem sam do siebie:

— Aha, heretyku, chcesz nas wyszpiegować!... A niedoczekanie twoje!...

I jak palnę do niego z karabina, tak ci mu zaraz kula przejechała przez piersi i padł odrazu z konia.

Koń zaś, co to był piękny jak cacko, a biały jak mleko, nastraszył się mocno strzału i począł biegać po błoniu, ale tak, że ani do nas, ani do Moskali się nie zbliżał, tylko ciągle między nami a nimi latał i skakał.

Moskalom śmierć starszego okrutnie poszła po nosie, ale więcej niż jego, żal im było pięknego konia i bali się, aby go Polacy nie zajęli. A koń jak gdyby na złość, nie zbiegł ani do nas ani do nich, tylko trzymał się po środku i uspokoiwszy trochę, począł sobie wolno spacerować.

I nam strasznie łakomo było na tego konia, bo ci był ładny, że aż dziw. To też my sobie myślimy, a Moskale sobie, jakby tu tego konia dostać? Moskale zaczęli się podsuwać naprzód,

aby go dostać; ale co który tylko pokaże się na przodzie, to ci mu zaraz kulka polska tak płatnie po łbie, że padnie jak kluska na ziemię i tylko drgnie na chwilę.

Zaś jak który z nas pobiegnie naprzód, aby złapać konia, toć zaraz na niego wypuszczą Moskale huk kul, jakby gradu. Tak już i z naszej i z ich strony poległo kilku, a koń sobie spokojnie chodził po samym środku i ani do nas, ani do Moskali na krok się nie zbliżył.

Już się nasi wiarusy polscy wyrzekli i przeklinali go do stu djabłów, gdy mnie naraz wpadła składna sztuczka do głowy i pomyślałem sobie:

— Żeby tu Moskale i ziemię gryźli, to koń musi być nasz!

I powiedziałem do polskich żołnierzy, co zemną razem byli w kompanii:

— Słuchajcie, ja będę udawał, że niby chcę przystać do Moskali i uciekną́ć z polskiego obozu. Zaś wy strzelajcie niby za mną, jakbyście mnie chcieli za to zabić, ale rychtujcie tak karabiny, aby kule sobie na wiatr leciały! Jak tylko tak zrobimy, to z pewnością weźmiemy Moskalom konia.

Wszyscy się na to zgodzili, a ja rzuciłem naraz karabin na ziemię i począłem co siły pędzić do Moskali. Moskale myśleli zrazu, że ja biegnę po konia; ale gdy ja wyciągnąłem z kieszeni białą chustkę i począłem nią machać i wołać: *Pardon! Pardon!* zdawało im się, że ja chcę do nich uciekać. Zaś jeszcze więcej uwierzyli temu Moskale, gdy Polacy poczęli niby to na mnie, a poprawdzie na wiatr strzelać.

— *Pardon! Pardon!* — krzyczałem ciągle i biegłem naprzód, że aż paznogcie skrzypiały.

A z obozu polskiego za mną słychać było:

— Pif! paf! Zdrajca, zdrajca! łapajcie! strzelajcie!

Moskale okrutnie się tem ucieszyli i poczęli wołać na mnie, kiwając rękami:

— *Chodi, stupaj, stupaj skorieje, brat'ie, a woźmiet' z soboju łosze!* co znaczy po polsku: Chodź, chodź bracie, a weź po drodze konia!

A ja na to:

— *Da, da!* (dobrze! dobrze!) wezmę konia!

Moskale uwierzyli i nie strzelali na mnie, a ja przybiegłszy do konia, wskoczyłem na niego co żywo, i zamiast do Moskali, jak utnę drapaka do polskiego obozu, aż się za mną zakurzyło.

Moskale zgłupieli do szczętu, rozdziawili gęby na pół łokcia i zanim-ci przyszli do rozumu i poczęli strzelać do mnie, ja już byłem między swoimi.

Wielki ztąd śmiech i uciecha w obozie polskim, a jak się nasz jenerał Dwernicki o tem dowiedział, to poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

— Dobrze bratku! Chwat z ciebie, co się zowie!

Tak to okpiłem Moskali i przyprowadziłem naszym pięknego konia, którego darowałem naszemu jenerałowi Dwernickiemu, aby na nim przewodził nam w bitwie i bił Moskali po swojemu Zaś na drugi dzień skoro świt, jak nie wpadliśmy na kark Moskalom, to wytłukliśmy ich prawie do łaby.

Stary Maciej skończył, a wszyscy się śmieli z głupich Moskali i z tej okrutnej frycówki, jaką im Maciej Rembicz wypłatał. *Wojtek ze Smolnicy.*

RÓŻNOŚCI.

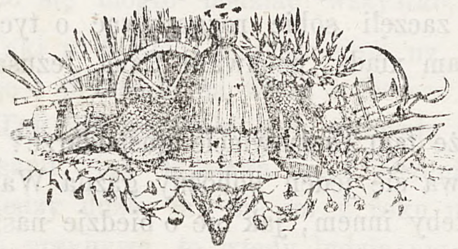
Cyganie. Wie każdy dobrze jaki to strasznie złodziejski naród Cyganie, i jak nie można ustrzedz się przed nimi, ale już o podobnem złodziejstwie dawno nie słyszałem. Stało się to niedawno we wsi Izaje w powiecie buskim. Przyszła tam banda Cyganów, i poszli wprost do xiędza proboszcza, który jest obrządku ruskiego. Otóż proszą go Cyganie, aby ochrzcił im dziecko. Xiądz uczynił to chętnie, a iż do kościoła nie meżna ich było puścić a izby były małe, kazał wyprzątnąć kuchnię i tam ochrzcił dziecko. Zeszło się dużo ludzi i wszyscy patrzyli na Cyganów jak na dziwowisko. Zaraz po chrzcie świętym poszli Cyganie dalej. Wraca xiądz proboszcz do izby, i wnet czegoś potrzebował pójść do kuferka. Patrzy się, aż tam niema pieniędzy, których było z tysiąc reńskich nowych. Jużci nikt inny nie ukradł tylko Cyganie, więc wysłano w pogoń za nimi. Zatrzymano na drodze Cyganów, i pokazało się, że w czasie chrztu świętego dwóch Cyganów zakradło się do izby i ukradli pieniądze, a potem razem z pieniądzmi przepadli jakby w wodę rzucił. I tak nie znaleziono dotąd ani ich ani pieniędzy.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 12.

21. Kwietnia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skały Odrzykońskie.

Niedaleko naszego miasta Krosna ku północy są góry i lasy, a na tych górach widać kilka mil zdala jakieś kamienie straszne, nito stare dwory, nito mury z jakiegoś miasta dawnego — a stoją tam i wielkie kamienie nito dzwonice wysokie. Koło tych gór i kamieni są do koła wioski, to Korczyna, to Odrzykoń, to Krościeńko, to Kombornia, a lud tam prawdziwy polski z dziada pradziada, pobożny, pracowity, trzeźwy i odziewa się zawsze czysto i pięknie, osobliwie w każde święto. Mają też ci ludzie rozum i dbają o swoje drobne dziatki, bo fundowali sobie szkoły to w Korczynie, to w Odrzykoniu, to w Krościenku, a i xięża tam stoją o chwałę Bożą i dobro ludu swego. Nie ma też tam nikogo takiego, coby nie wiedział coś opowiedzieć o tych kamieniach; jedni gadają to to, to owo, drudzy gadają o jakichś strachach, studniach i piwnicach, inni o strasznie wielkich pieniądzach, na których ma siedzieć sam lucyper i wartuje dobrze, aby tam nic nie zginęło. Ale kto zaś ma rozum dobry, to nie wierzy w takie gadanie, jeno so-

bie uważa i miarkuje, że to i te kamienie stworzył Pan Jezus kiedyś i to nie nadarmo.

Otóż raz w niedzielę zeszli się gazdowie koło kościółka w Krościenku i zaczęli sobie rozgadywać o tych kamieniach. Nato nadszedł sam xiądz, pochwalił Pana Jezusa, powitał ich pięknie i pyta:

— O czemże tam rozmawiacie gospodarze?

Na to odzywa się jeden pobożny gazda Wawrzyniec:

— O czemżeby innem, jak nie o biedzie naszej. Ale teraz patrzamy na te kamienie, co się jakoś czernieją, i pono to na słotę — i dziwnato rzecz mój Jegomość te kamienie.

Xiądz: Wszystko to dla nas dziwne, mój gazdo, co jeno sam Pan Jezus zrobił kiedy, a to wszystko jest dla naszego dobra. I te kamienie są dla naszej nauki i przestrogi.

A zaraz odzywa się znowu gazda Michał i gada:

Tać ta Jegomość pewnie muszą wiedzieć prawdę o tych kamieniach, boć pono są i pisma o nich, a nasz pan ma pono wielkie xiążki spisane o tem.

Xiądz: Otoż ja wam opowiem prawdę o wszystkiem, boć ja czytałem te pisma dawne, jeno posłuchajcie a potem też i drugim rozgadujcie, jak się to stało.

— Widzicie, że dawno bardzo miała stać tam wieś i to dobra wieś, gdzie teraz stoją te straszne kamienie. Nie było tu wtedy ani Odrzykonia, ani Korczyny, ani Krościenka, ani Komborni, jeno jedna wielka gromada, gdzie było gęsto chałup, luda dużo i pracy podostatkiem. Ta rzeka nasza Wisłok, to sobie płynął wtedy nie tędy, jak dziś, ale on sobie był aż tam pod temi kamieniami, a wieś też tamta stała sobie na brzegach jego — a musicie też i to wiedzieć, że nie było wtedy ani góry ani lasu, jak to dziś, jeno równina i łąki i pastwiska, a na tej równinie stała ta wieś wielka, a rzeka szła przez sam środek wsi. I jak widzicie sami, że musiało być bardzo dobrze tamtym ludziom, bo co to woda blisko dla chudoby i drobiu i dla ludzi — a znowu równina taka, to święta ziemia dla chleba i dla wszystkiego. — Oj moi kochani! była to szczęśliwa gromada, bo gdzie dziś stoi jakie 6 wsi, to wtedy była jedna i te wszystkie grunta do niej należały.

Na to odezwał się gazda Michał, co to sam pisał i czytał i rozumiał, jakto bywało dawno:

I gdzież to się mogło podziać wszystko, mój Jegomość.

Xiądz: Taki to koniec wszystkiemu na ziemi, jeno co złe, to marnieje i przepada na wieki i jeszcze po nas zostanie dla drugich. Tak się też stało z tą gromadą wielką i bogatą. Bo to wiecie sami, jak ludziska mają jedzenia aż po gardło, jak mają pieniędzy dużo, jak się im z roku na rok rodzi dobrze i chudoba przybywa, to wtedy ludzie nie mogą sobie dać rady, jeno hulają, jedzą, piją, zapominają na duszę i na karę Bożą — a jacy są rodzice, takie też bywają i dzieci, jacy starsi gospodarze, tacy i parobcy, jakie matki i gospodynie, takie i córki i inne dziewki — z jednej chałupy złej idą grzechy do drugiej i tak pomału za kilka lat staje się gromada grzeszną. Otoż i ludzie tamtej gromady stali się bardzo grzesznymi. Bóg to cierpiał długie lata, ale jak się i u Boga przebrało, to jużci trudno, aby źli ludzie wygrali, a Bóg przegrał, bo kto z Bogiem zacznie wojować, to musi w końcu przegrać. Otoż widzicie, raz w nocy zaczęło bardzo grzmieć, aż się ziemia trzęsła — naraz było słychać, że coś pod ziemią zahuczało, zaczęły się dachy na budynkach kiwać i naraz rozstąpiła się ziemia święta tak szeroko, że cała ta gromada grzeszna zapadła się na wieki, a na miejscu tem, wyszły do góry te kamienie i zostały aż po dziś na tem samem miejscu i to nam na przestrogę!

Na to opowiadanie aż potruchleli gospodarze i długo dumali sobie, a Michał znowu zapytał:

Ba! a czemuto są jedne kamienie małe, a drugie stoją jak dzwonice jakie?

Xiądz: Bo widzicie! te trzy kamienie wielkie to mają stać na tem miejscu, gdzie były trzy chałupy największych bezbożników, to też zostawił Bóg te wielkie kamienie na to, aby z daleka patrzali na nie ludzie i widząc je miarkowali sobie dobrze, że to nie trza nigdy iść na udry z Bogiem, jeno trza Go słuchać i robić jak się patrzy.

Na to odezwał się znowu gazda Wawrzyniec:

— A cożto się porobiło z tą wodą, co to teraz idzie przez inne wsie, a wtedy szła środkiem tamtej gromady, co to się z kretesem zapadła?

Xiądz: Ta woda moi kochani! odeszła het daleko z tego przeklętego miejsca, bo jej tak Bóg kazał, aby ona służyła innym gromadom, co to chwalą Boga i nie robią tyle grzechów — ale jeżli i ci ludzie będą tak robić, jak tamta nieszczęśliwa gromada robiła, to i ta woda odejdzie od ich gruntów i chałup i pójdzie znowu dalej, a ta ziemia zamieni się w pustynię i nie da pożywienia, albo też może Bóg tak samo zrobić i dziś ludziom grzesznym, jakto zrobił i tym nieborakom nierozumnym.

Na to odzywa się Michał:

— Toć my tam byli nie raz z Wawrzyńcem przy tych kamieniach, ale tam strach wielki bierze i znowu leżą tam w dole kamienie daleko po jednemu.

Xiądz: Toć widzicie! powiem wam znowu to, że święci Anieli płaczą nad grzesznikami, a radują się nad pobożnymi, a płaczą najbardziej wtedy, jeżli nie mogą przebłagać Boga, aby odwrócił karę od ludzi. To też mieli ci Anieli strasznie prosić Boga za tamtą gromadą grzeszną, ale to nie pomogło, bo byli ludzie bez upamiętania. A jak też Bóg spuścił ogień z Nieba na nich i oni zaczęli wtedy dopiero płakać, to też i Anieli święci mieli tak bardzo płakać nad tymi biedakami, że ich łzy leciały na ziemię tak wielkie, jak te kamienie, i pozostawił je Bóg dotąd na miejscu, aby ludzie inni patrzali się na to i swojem złem życiem nie robili utrapienia Bogu i świętym Aniołom, ale żyli pobożnie i robili Bogu i Aniołom pociechę, a sobie radość.

Na to odezwał się z płaczem pobożny Wawrzyniec:

— Toćby to już trza człeka nie wiem jakiego, żeby też robił na udry Bogu, Aniołom i ludziom dobrym, i żeby się nie upamiętał zaraz po jakim grzechu, ale sam sobie szukał zguby i biedy na wieki.

A Michał pytał się dalej:

— Czemuto te kamienie raz białe, raz czarne, to niby na pogodę to na słotę znaczą?

Xiądz: Wszak do dziś widzicie na tych kamieniach palec Boży. Bo jużci, kiedy się Pan Jezus nie gniewa na nas, to i gwiazdeczki świecą ładnie po nocach i miesiączek jasny i pogoda przyświeca aż miło, i wtedy aż miło na dworcu być; otoż uważacie wtedy też i te kamienie choć przeklęte są także wesołe i bieleją się, bo nie czują gniewu Bożego i słusznie gadacie, że wtedy pogoda bo się i kamienie bieleją. A znowu, gdy się na nas gniewa Pan Jezus za nasze nieprawości, to wtedy i Niebo smutne i chmury lecą czarne i gwiazdeczki i słoneczko zakryte i smutno wszędzie; to też i te kamienie są czarne ni to smutne, bo wtedy bliska kara Boża na ludzi i słusznie też gadacie, że będzie kara Boża, że będzie słota, bo i kamienie są czarne.

Na to odezwał się zadumany Wawrzyniec:

— Mój Boże! toćto pono i prawda, że tam pokutuje nie jedna dusza może do dziś — toćto w takiem przeklętem miejscu są tylko gady i sowy, ani tam drogi ani kwiatków, ani tam ludzie dotąd, ani tam bydle nie idzie, toteż pono na tem miejscu nikt się tam nie dorobi niczego i wioski tam biedne i dotąd jakieś przekleństwo Boże, bo tam jeno sami złodzieje się chowają, a iść tam popod te kamienie, to aż strach bierze.

A Michał na to odezwie się:

— A widzicie! że przecie tam byli ludzie i nie bali się, boć jaki tam zamek stoi na tych kamieniach, jakie tam piwnice, studnie.

Xiądz: Toćto prawda! bo kto dobry, to się nie ma czego bać! To też pobożny i dobry król jeden polski, kazał ten zamek wyfundować, na zamku była kaplica a xiądz odprawiał codzień nabożeństwo i byli tam potem dobrzy i pobożni ludzie, co powychodzili na biskupów, na wielkich panów i stał ten zamek długo, ale widać, co raz Bóg potępił, to już takie pozostanie, to też i ten zamek podupadł.

A ciekawy Michał zapytał się:

— A któryto król polski fundował ten zamek?

Xiądz: Oj był tu był taki król gospodarz, Kazimierz Wielki — on przez 40 lat królował w Krakowie, a ta Galicya

nasza należała do niego i nasi pradziadkowie byli jego dziećmi i brali od niego co się wlazło. — Onto wyfundował w Polsce 46 zamków takich, jak i ten Odrzykoński, do 50 samych kościołów murowanych a co znowu drewnianych, bóto i kościołek nasz w Krościenku i w Haczowie ma być jego ofiarą, boć to on miał dać z swoich lasów drzewo takie na te kościoły, jakie dziś nie rośnie po lasach. On był sam raz w Krośnie, kazał obmurować do okoła murem wielkim całe miasto i te stare mury można jeszcze dziś widzieć. Spodobała mu się ta góra i te kamienie i tam kazał wyfundować zamek z kaplicą i osadził tam jednego Polaka i xiędza, aby była obrona przed złymi ludźmi i nauka i chwała Boża. Byli wtedy w Krośnie Franciszkanie już od dawna i byli tam zakonnicy pobożni i rozumni; to też wybrał ten król jednego na biskupa do Przemyśla, i był ten zakonnik pierwszym biskupem w Przemyślu ale aż po śmierci króla tego. Potem kazał fundować zamek w Dukli, Sanoku, Przemyślu, we Lwowie aż dwa zamki, a koło Krosna znowu zamek w Ojcowie, Lanckoronie tam gdzie dziś nasza staropolska Kalwarya, potem w Łobzowie, Niepołomicach, Wiśniczu a i Rzeszów ma dziś kryminał, a to był dawniej zamek tego króla; tak samo i w Łańcucie zamek kazał zmurować.

A Michał słuchając tego z ciekawością gadał:

— I nacoż to tyle zamków fundował ten król polski?

Xiądz: Moi kochani! wtedyta nie było tak, jak dziś — nie było jeszcze tyle wsi i luda, co dziś, dopiero szli ludzie zewsząd do Polski, jak muchy do miodu a król miłosierny rozdawał każdemu grunta, dawał z lasów swoich drzewa na budynki, uwalniał nowych gazdów na jakie 40 lub 50 lat od podatków i od wszystkiego, aby się chłopi mogli zapomódz, i za tego to króla lazło do Polski, co jeno było biedne, nawet Niemcy, Żydzi, Węgry i wie to Bóg co tam już za ludzie. I nasze też wsie w Galicyi powstały wtedy, a nasi pradziadkowie nazywali się też rozmaicie. Otoż dla obrony takich nowych gazdów fundował król te zamki, aby w czasie jakiej biedy mogli się oni schronić do zamku to z dziećmi to z chudobą, bo to wtedy gadali po całym świecie, że Polacy, mieli tyle duka-

tów, żeby byli mogli zakupić świat cały, i dla tego też leźli do kraju różni rabusie to Tatary, to Węgry, to Moskale, aby rabować ludzi. Jak się biedni ludziska skryli do takiego zamku albo za mury do miasta, to coż im tam kto mógł zrobić.

A stary i pobożny Wawrzyniec podparł sobie ręką głowę i dumał i dumał na to gadanie i tak się odezwał:

— No! i patrzcieno moi dobrzy ludzie, że my też to o takich dobrych królach dawnych mało co wiemy, a toć to ojcowie dopiero, toćto fundatorowie tacy, i co to oni porobili dla ludu, to jeszcze dziś stoi i to mają ludzie i ich dzieci i będą miały na wieczne czasy. Toć my to nierozumne chłopy, nie będziemy pono mieli już nigdy takich ojców! toć my z dziećmi powinni wstając i legając modlić się za takich ojców i prosić jeszcze gorąco Pana Jezusa, aby nam dawał takich dobrodziejów. I proszę też Jegomości, czy teżto dawni ludzie tak byli ciemni i nierozumni jak my dziś?

Xiądz: Mój Wawrzyńcze stary! A gdzieby tam król taki był przystał na to, aby gazda który był bez nauki? To też ten król Kazimierz fundował za swoje dukaty szkołę wielką w Krakowie, co jeszcze dziś stoi, jeno na innem miejscu — on fundował biskupów w Przemyślu także ze swego, to samo zrobił we Lwowie i Haliczu — on fundował po miastach szkoły polskie, przy klasztorach były wszędzie szkoły, w takich zamkach były także szkoły — on napisał prawa polskie dla chłopów i panów i xięży, on był ojcem chłopów, to też jak on pomarł, to chłopi płakali 3 roki za nim, nie sprawiali wesel żadnych, jakby w poście, składali się na nabożeństwo za jego duszę, a potem chodzili jakie 100 lat do grobu jego i tam płakali za swoim polskim królem Kazimierzem.

A Wawrzyniec spytał się:

— A gdzieżto leży ten król nasz dobry?

Xiądz: W Krakowie! ot teraz chcą grób jego odnowić i naprawić, boć to już blisko 500 lat, jak on tam pochowany, a byłoby dobrze, żeby się chłopi do tego przyczynili, żeby złożyli na co ich serce polskie stać i dali swym panom albo xiężom, a ci odesłaliby to do Krakowa — boć warta się pomodlić za takich Ojców i warta dać bodaj kilka krajcarów

na krzyż grobowy dla takiego króla, a może też dusza takiego Ojca uprosi nam w Niebie coś lepszego.

Na to Michał i Wawrzyniec gazdowie i Antoni kościelny i inni odpowiedzieli:

— To dobrze! Jegomość! to my na drugą Niedzielę przyniesiemy tu do Jegomości nasze składki, a Jegomość je odeśle do Krakowa, aby też ludzie wiedzieli o tem, że i my też ani ostatni ani najgorsi.

Xiądz: No teraz chodźcież na nabożeństwo ze mną, a pamietajcież sobie dobrze to gadanie i abyście też wiedzieli, że pradziadkowie wasi tu z tego kraju należeli do Krakowa do królów polskich. *Xiądz Wojciech z Medyki.*

Przygoda skrzypka.

Tęgi był mróz i zawierucha okrótna, kiedy Antoni Bujak przyszedł do chaty Wojciecha Mrzyka.

— Szczęść Boże! — przemówił do pracującego Wojciecha. Jak się macie mój kumotrze, zdrowiście?

— Bóg zapłać! zdrowiśmy z łaski Pana Jezusa wszyscy — odrzekł Wojciech i zaraz prosił Antoniego do siedzenia koło ciepłego piecyka.

— I cóż tam słychać nowego, mój kumie? powie Wojciechowa — boście jakoś dawno już u nas nie byli, nie wiem co to ma znaczyć?

— Aj moiściewy — rzeknie ze śmiechem Antoni — albo ja chcę, żeby mię wilcy zjedli, co jak słyszę bardzo się kręcą koło naszych zagród. O przygodę nie trudno.

A Wojciech na to:

— Może się takiej przygody boicie jaka spotkała niedawno temu Mikołaja Brzydaka, co?

— Alboż ja wiem o czem — odpowie Antoni — kiedy nigdzie nie chodzę, chyba do kościoła na nabożeństwo albo tylko czasem do swoich znajomych na pogadankę...

— A przecież to głośno o tym wypadku po całej wsi — zagada Wojciech. Do poźnej nocy pił Mikołaj w karczmie, a potem idąc pijany, przewrócił się do śniegu i ledwie nad ranem znaleźli go ludzie na pół żywego. Jeszcze do dziś dnia choruje on na odmrożenie.

— A to ładna historya! — zawoła Antoni — tak to bywa: kto wódeczkę pije, lada kędy gnije; — a przecież się ludzie od niej odzwyczaić nie chcą. Wolą być chyrlakami niż zdrowymi i do wszystkiego zdolnymi ludźmi!

A Wojciech doda:

— Dobrze, że mu się nie tak wydarzyło jak owemu skrzypkowi, o którym mi jeszcze mój nieboszczyk ojciec opowiadali.

— A powiedzże nam, mój Wojciechu — przerwie żona — o przygodzie owego skrzypka.

— Ha! jużcić opowiem wam, bo to było zdarzenie nie lada. Wie o tem nie jeden bardzo dobrze jakby się to dzisiaj wydarzyło, chociaż mu może dziadek jeszcze opowiadał. Pierwej jednak potrzeba wiedzieć, że dawniej nasza ziemia była bardzo lesista, a więc nie mało się w owych lasach zwierza chowało, a w zimie wilki jakby nieprzymierzając nasze kury po polach sobie chodziły.

Owoż jednego dnia zimową porą poszedł jeden skrzypek na kiermasz do sąsiedniej wsi. Po kiermaszu zaszedł do karczmy i aż do poźnej nocy rzempolił ludziom, co zamiast na chwałę Bożą, na hulanki z daleka się poschodzili. Dopiero gdzieś koło północy szedł on do domu. Mróz był siarczysty, ciemno było jak w piwnicy, to też nasz skrzypek pobłądził w drodze, i zamiast do swojej zagrody przyszedł do lasu. Idzie tedy po omacku szukając drogi i w tem wpada do głębokiej jamy, którą leśniczy dla łowienia wilków wykopał. Przestraszył się ogromnie co się z nim dzieje, aż po chwili wszystkie nań wystąpiły poty, bo coś żyjącego na spodzie przy nogach namacał. O Chryste Panie! patrzy się lepiej, a tu ogromny wilk wytrzeszcza na niego oczy jakby go miał w tej chwili potargać na drobne kawałki.

Nie miał ci on nic w swoim ręku prócz swoich skrzypeczek, począł więc w wielkim strachu przed rozwartą paszczą wilka wszystkie kawałki, które tylko umiał wygrywać, co mu tą razą bardzo było nie na rękę. Wilkowi widać podobało się ono granie, ponieważ jął wyć okrutnym sposobem, a inne wilki w lesie za każdem jego wyciem odzywały się bez przestanku. Niekiedy tak blisko jamy było słychać wycie, że biedny skrzypek trząsł się jak w największej febrze i ciągle mu się zdawało, że coraz więcej tych okrutnych gości schodzi się nad jamę dla zrobienia sobie dobrej potrawy z jego chudego ciała, któreby dla jednego wilka nie wystarczyło.

I w samej rzeczy słysząc inne wilki wycie swojego towarzysza w jamie, schodzili się jeden za drugim niby na jego ratunek. Skrzypek zaś w wielkiej obawie poglądał raz na wilka, drugi raz do góry rychło już zadnieje, bo mu się jeszcze nigdy w całem życiu granie tak nie sprzykrzyło jak w owej nocy. Wiem, żeby był wolał dwadzieścia lat codzień drzewo rąbać, aniżeli przed rozżartym wilkiem godzinę w dziurze wygrywać. Co się wilk ruszył, skrzypkowi włosy na głowie stawały i grał bez pamięci aby go tylko uspokoić, ale nim zadniało na dworze pękły mu już dwie strony, a gdy się zrobił dzień jasny przerwała mu się i trzecia strona, i tak grał tylko jeszcze na czwartej i ostatniej, a gdyby mu się była i ta przedarła byłby go natychmiast wilk rozszarpał, który przez ustawiczne wycie daleko był głodniejszy niż koło północy.

W tem na szczęście przychodzi, a było już dobrze w dzień, stary leśniczy którego zwykle Łowisarkiem nazywano, albowiem daleko będąc usłyszał ogromne wycie wilka, a bliżej zaś niezwykłe granie. Owoż z niemałym kłopotem i trudem wyciągnął on z wilczej jamy do śmierci podobnego skrzypka, gdy wprzódy zgłodniałego wilka dwoma kulami ugodził.

Przelękniony a przytem jakby na nowo odrodzony skrzypek nie mógł się nadziękować dobremu leśniczemu za wybawienie od niechybnej śmierci. I poszedł sobie swoją drogą, a przyszedłszy do domu zaprzysiągł nie chodzić nocami, jeno postanowił we dnie prostą drogą powracać do domu. Zaś granie w karczmie tak mu od onej przygody obrzydło, że często powtarzał do swoich znajomych:

— Już moi kochani, jak mi Bóg miły nie pójdę grać do karczmy, wolę sobie moją igiełką, boć jestem krawcem a nie żadnym skrzypkiem, na codzienny chleb zarabiać, i lepiej zrobię gdy mojej profesyi dopilnuję, aniżeli mam dwie sroki za ogon łapać, albowiem tak człowiek do niczego przyjść nie może. Jeżeli mię napadnie ochota kiedy na moich skrzypkach zagrać, pójdę do kościoła, tam zagram na chwałę Boską, a ztamtąd pewnie nie zbłądzę, ale prostą drogą przyjdę do domu.

— I nie wiecie czy poprawił się od tego czasu? — zapytał Antoni.

— Mówili mi nieboszczyk ojciec — rzeknie Wojciech — że najlepszym stał się człowiekiem, a kiedy przestał chodzić do karczmy przyszedł do majątku, i żył potem bardzo po chrześciańsku.

— I cóż wy na to, mój Antoni — zagada Wojciechowa.

— At co, bardzo mi się podoba ta przygoda — odpowie Antoni — wszakże ona powinna nie jednego odstraszyć od chodzenia nocami. Jeno pójdę opowiem to wszystkim na przestrogę, żeby się już raz upamiętali a nie zaglądali do karczmy, gdzie trzeba tracić pieniądze, a częstokroć narazić się na rozmaite okazye. Zaś gospodarstwo bez gospodarza upada, niedostatek po trochu wkradać się zaczyna, a żona i dzieci marnieją. Otóż to taki pożytek z chodzenia na przeklęte gorzałczysko.

— Na to powie Wojciech: Brzydak jeno wyzdrowieje, pewnie więcej nie zaglądnie do arendarza, bo ma porządną naukę. I ja już nigdy nie chodzę na pijatykę, siedzę sobie w domu spokojnie, czytam po robocie piękne xiążeczki, które od xiędza dobrodzieja pożyczam i ani wspomnę kiedy o nudocie.

— A cóż teraz czytacie — pyta Antoni.

— Bardzo ładną, można powiedzieć przecudną xiążeczkę ze Lwowa, co jest na niej Złota xięga wypisano. Co zaś w niej nie rozumiem, pytam się xiędza dobrodzieja albo pana nauczyciela, który niedaleko odemnie mieszka.

— Pożyczcież mi jej jak przeczytacie, a teraz już czas do domu. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli Wojciechowie — a pamiętajcie nas częściej odwiedzać.

I na tem skończyła się nauczająca rozmowa między nimi. A iż ona jest piękna, weźcie ją sobie mili gospodarze do serca, poprawcie się jeżeli trwacie w nałogu pijaństwa, abyście potem nie żałowali — po szkodzie! *Józef z Bochni.*

Historya o Kaśce co w kominie siadywała i o leniwej torbie.

Była jedna wdowa, a ta miała córkę jedynaczkę, którą bardzo kochała. Ale bo też to była przecudnie ładna dziewczyna, jeno że była nygus do roboty. Ale temu nie ona była winna, jeno matka, bo ją od młodości pieściła i nie dała jej nic robić, ani się tykać niczego. Córka też nic nie robiła, jeno siedziała w kominie, piekła sobie ziemniaki i grzebała w popiele. Tak przeszło lat 17. W tym wieku wszystkie dziewczęta we wsi, swojaczki i nie swojaczki, miały jak każda swego kochanka; ale do Kaśki, bo tak było na imię owej ładnej córce, nikt jeszcze nie zajrzał, ani nawet żaden biedny parobek; ale bo też już wszyscy wiedzieli jaki z Kaśki nygus, i każdy mówił: „Ady to z tego nic dobrego nie będzie, wszakże będziecie widzieli na żywe oczy.“ To słyszała nieraz i matka, a więc ją to okrutnie kłopociło. Matka zaczęła tedy naganiać córkę do roboty; ale cóż? ta nie wiedziała nawet jak co wziąć do ręki, bo nie była przyzwyczajona do roboty, a więc też i nie dziw, że jej się wszystko srodze ciężkie wydawało. Wnet jej się wszystko sprzykrzyło i przestała robić, a nanowo w kominie siadać zaczęła.

I tak uszedł znowu rok jeden, a kawalera jak nie było tak nie masz, jak nie widać, tak nie widać.

Ale w drugiej wsi jeszcze ludzie o tem nie wiedzieli, że Kaśka jest do niczego; ale widzieli przecie jaka jest ładna, bo też czasem poszła do kościoła. W tej tam tedy wsi był jeden parobek, któremu na imię było Kuba. Ten więc kiedy obaczył Kaśkę, zaraz mu się okrutnie spodobała i nie zadługo

potem przyszedł i prosił o nią jej matki. Matka bardzo się uradowała i zaraz mu obiecała dać córkę, ale mu mówiła, żeby przynamniej jeszcze jeden rok poczekał, bo jej córka jeszcze bardzo młoda i nie wiedziałaby jeszcze jak sobie począć we własnym domu. Obiecała mu też dać z córką jedno gospodarstwo, bo miała aż dwa. Tymczasem zaś myślała nauczyć córkę jakiej roboty, a może też i myślała, że przyjdzie po Kaśkę jaki kmieć; bo co prawda to i nie grzech, byłaby wolała kmiecia, niż parobka. Ale rok wneciutko przeminął, a Kaśka ani się niczego nie nauczyła, ani też nie przyszedł nikt po nią, jeno Kuba, który zaraz przyprowadził ze sobą dwóch swatów, i przyniósł też wódki, aby zrobić zmówiny.

Kiedy więc weszli do chałupy i pochwalili Boga, więc zaraz zaczęli swatowie prosić matkę o córkę dla Kuby, a Kuba też zaraz matce do nóg. Na co matka: „Jeżelić taka wola Boża; niechże się stanie i niechże im Bóg błogosławi!“ Znowu się skłonił Kuba matce do nóg, a ona wzięła go na stronę i mówiła do niego: „Dam ci córkę moją na żonę i jedno gospodarstwo, ale mi musisz przyrzec wprzód, że jej dasz wszystko na wolą, iż będzie mogła robić, co tylko sama będzie chciała, bo widzisz, że to jeszcze dziewcze młode, to nie będzie wiedziało jak co wziąć w rękę.“

Kuba przyrzekł matce, czego po nim wymagała, a potem dobył wódki i pił za jej zdrowie, a ona piła za zdrowie dzieci do swatów, a swatowie do Kaśki za zdrowie Kuby. Kaśka siedziała koło komina i zawstydziła się na to, ale w duszy rada była, bo Kuba raźny był chłopak, i spodobał jej się także od razu.

Po zmówinach zaraz też dali na zapowiedzi, a po zapowiedziach było też zaraz wesele. Kuba kupił sądek wódki i beczkę piwa, a matka zabiła kilkanaście gęsi, parę skopów, tucznego wieprza i wołu karmnego. I nie na próżno też mówili drużbowie, spraszając gości na wesele:

I zabili też tam wieprza nie małego,
W korycie oparzonego;
I będą też tam skrzypki i bas,
A kto się naje i napije, pójdzie do domu wczas!

Ale bo też to matka Kaśki miała się dobrze i była zawołana gospodyni. Po weselu były zaraz i przenosiny na gospodarstwo, które matka dała Kubie, a które się znajdowało na drugim końcu wsi onej. Do tego gospodarstwa dała także matka zięciowi wszystek inwentarz, wszystkie porządki i co jeno było potrzebne w gospodarstwie; a Kaśce wypakowała komorę wszelkiemi leguminami, aby jej na niczem nie zbywało. Miała więc Kaśka pełną śpiżarnię mąki, kaszy, jagieł, grochu, suchego owocu i t. d., miała podostatkiem okrasy, masła, sera, jaj, soli i t. p., i mogła sobie żyć jak pączek w maśle, byle się była umiała tem rządzić. Ale Kaśka nic nie umiała, nawet nie umiała sobie jeść ugotować.

Na drugi dzień tedy po przenosinach wstał Kuba rano i poszedł do swoj roboty na podwórze, a niewrócił się prędzej do chałupy, aż myślał, że przecie ma Kaśka gotowe śniadanie. Ale kiedy był przyszedł, a tu w kominie jeszcze ciemno, a Kaśka jeszcze w łóżku. Nic nie mówi, jeno robi ogień, zastawia garnki i gotuje śniadanie, bo myślał sobie, że to pierwszy dzień po weselu, to się Kaśka nie wyspała. Kiedy już wszystko było gotowe, budzi Kaśkę i jedzą śniadanie. Po śniadaniu odchodzi Kuba do swojej roboty, zaprzęga woły do pługa i wyjeżdża w pole, a Kaśka zaledwie Kuba przełożył nogi za próg, hyc w komin! Nadchodzi południe, a Kaśka ani myśli o obiedzie; ale bo też w domu nigdy nie robiła. Kuba przyjeżdża z pola, a tu Kaśka w kominie, a w kominie ciemno, statki od śniadania nie umyte, izba nie zamieciona i łóżko nie posłane. Znowu nic nie mówi, jeno robi ogień, pościela łóżko, zamiata izbę, myje statki i gotuje obiad. A gdy już ugotował zawołał parobka, zjedli i poszedł Kuba znowu do swojej roboty, znowu z tą myślą, że to tylko pierwszy dzień tak będzie. Ale przychodzi na wieczór, a tu znowu wszystko tak zastaje jak przed obiadem, i znowu nic nie mówi, jeno znowu wszystko sam robi. Po wieczerzy poszli spać: a tak przeszedł pierwszy dzień, a Kuba myślał że to przecie na drugi dzień wszystko inaczej pójdzie. A do kata! jak minął dzień pierwszy, tak też przeszedł zupełnie i dzień drugi, trzeci, czwarty, piąty i szósty; Kaśka jak nic nie robiła, tak nic nie robi, jeno tylko Kuba sam. Ani też nie widzi żeby się choć trochę do czego

poczuwała; ale gdzie tam ani krzty, a mówić jej darmo, bo przecie przyrzekł matce, że jej da wszystko na wolą, i że będzie mogła robić jak jeno sama będzie chciała.

Dopiero to Kuba w kłopot! Nie wiedział jak tu co robić i jak co zacząć; robił więc jak mógł sam wszystko w domu i w polu. Ale nareszcie już mu się też i odechciało wszystkiego i stracił zupełnie głowę. Kiedy więc jednego dnia wyjechał po południu w pole, zupełnie mu się już robota nie chciała szykować. Wyprzągł więc woły i puścił je samopas na łąkę, a sam zaś zaczął chodzić na około jak głupi. I chodzi i chodzi, i myśli i myśli, aż nareszcie stawa w jednem miejscu i mówi sam do siebie: „Przecież nie podobna aby człowiek miał ogłupieć; trzeba się koniecznie jako z nią spróbować.“ Tymczasem i słonko miało się już ku zachodowi; zawrócił więc woły i pędzi je do domu. Przychodzi do chałupy, ale tu jak było dawniej tak i teraz, to jest Kaśka w kominie, a wszystko porozrzucane i nie posprzątane, nie mówi nic, jeno jak zawsze tak i dziś robi ogień i gotuje wieczerzę, a jak się najedli zabierają się do spania, i ledwie się Kuba obejrzał, już Kaśka jednym susem była w łóżku. Ale Kuba nim się położył, bierze swoją skórzaną torbę, która zawsze wisiała kole okna, a potem tęgi pręt laskowy w rękę, i tak odzywa się do torby: „Moja torbo! to tak być nie może! Ja robię jak wół, a ty wisisz i wisisz; ja gotuję jeść, a ty na to patrzysz. A wszakże ja cię mam abyś ty przynajmniej w domu co zrobiła, abyś mi nagotowała jeść i zrobiła porządek w chałupie! A ty nic a nic nie robisz! To tak przecie być nie może; co nie, to nie! Widzisz oto ten kij? Jak mi od dziś dnia nie ugotujesz regularnie śniadania, obiadu i wieczerzy; jak mi nie pościelesz łóżka i nie poumywasz czysto statków, jak mi nie zamieciesz porządnie izby, komory i sieni: to ten kij oto, będzie cię miał w robocie, tak jak jestem Kuba.“ Potem powiesił torbę na swoje miejsce i położył się spać. A Kaśka śmiała się w duchu i myślała sobie: Jaki też to głupi ten Kuba, albo to torba będzie mogła co robić? przecież ona nie żywa, ale nie mówiła jednak nic do Kuby, jeno była ciekawa końca. Zaś o tym końcu historyi będzie napisano w przyszłym Dzwonku.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Zazwyczaj tak bywa, że najczęściej zdarzają się pożary w jesieni, gdzie to pełno słomy i w stodołach i w gumnach a gospodynie koło lnu robią w chatach. Zaś tego roku to i pod wiosnę ognie straszne czynią szkody i niejednego już bogatego kmiecia zamieniły w żebraka. Co dzień prawie gdzieś się spali kilka budynków. I tak w nocy z dnia 27 na 28go przeszłego miesiąca zgorzało w *Staremsiole*, w obwodzie żółkiewskim cztery chaty — a ogień zniszczył i zboże i chudobę do szczętu. W *Ihnaszu*, także w obwodzie żółkiewskim spaliło się pięć domów i co tylko w nich było, to zgorzało na popiół. W *Zaszkowcach*, około Lwowa, pogorzało dnia 26. przeszłego miesiąca sześciu gospodarzy i stracili biedacy całe swe mienie, tak że teraz tylko na bożem i ludzkiem miłosierdziu żyć muszą. W *Strutyni wyżnej* w obwodzie stryjskim powstał ogień u gospodarza Stanisława F. Był to kmieć bogaty i miał wiele chudoby i zboża. Ale cóż, Bóg dał, Bóg wziął. Ogień spalił wszystko na popiół i ni mniej ni więcej tylko 13 sztuk bydła zgorzało na węgiel temu nieszczęśliwemu wieśniakowi. Piszemy o tem wszystkiem dla was w „*Dzwonku*", abyście się mieli na opatrzności i dobrze się wartowali przed tem pokaraniem bożem — bo jak to mówią ludzie, z ogniem i wodą niema co żartować.

Nieszczęśliwy przypadek. Nieraz to tak bywa, że ludzie wracający z targu zasypiają na wozie i puszczają konie ot tak na bożą opatrzność. Zaś z tego bywa często nieszczęście. Konie mogą kogo rozjechać, zbłądzić albo wywrócić, a zły człowiek jaki może nieraz co ukraść z woza. Nieraz zaś jeszcze daleko większy może się stać przypadek jakto wam zaraz opowiem. Jeden kmieć nazwiskiem Jan B. powracał sobie z Doliny z jarmarku, a że trochę był sobie podchmielił na litkup, więc też zdrzemał się na wozie i konie puścił samopas Droga prowadziła przez rzekę Stryj — konie chciały przejść przez nią, ale na nieszczęście natrafiły na bardzo głębokie i bystre miejsce, i cały wóz wraz z człowiekiem i końmi utonął. Na drugi dzień dopiero wyciągnęli ludzie z wody nieżywego wieśniaka i potopione konie.

Przysłowia.

1. Sen mara, Pan Bóg wiara.
2. Każdy kraj, ma swój obyczaj.
3. Każdy dudek, ma swój czubek.
4. Jedna jaskółka nie przyniesie wiosny.
5. Za panią matką, idzie pacierz gładko.
6. Mądry głupiemu ustąpi.

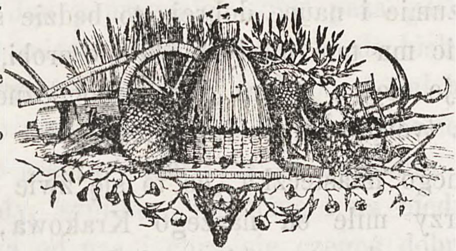
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 13.

1. Maja. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony xiądz Świętosław.

Szkoły Krakowskie, założone przez króla Kazimierza Wielkiego a ufundowane całkiem przez królowę Jadwigę i jej małżonka Władysława Jagiełłę, wydały nam nietylko piśmiennych, ale i świętych bardzo dużo ludzi. Do tej szkoły garnęli się Polacy tak królewice, jak pany i kmiecie z mieszczanami, i było tam nie raz jeden i drugi tyle szkolarzy, że ich trudno było pomieścić w całem mieście. Z pobliskich miasteczek i wiosek odprowadzali tam mieszczanie i kmiecie swoje dzieci, wieźli ich na wozach, a gdy ich kto ciekawy spytał: Gdzie wy to ludzie wieziecie te niebożęta, czy na służbę czy poco? To oni odpowiadali: A gdzieżby ta na służbę, toć nasze dzieci miałyby co porabiać i w domu koło roli albo na warsztacie i zdałyby nam się koniecznie na co w chałupie, ale my ich odwozimy do szkoły, aby się przecie za młodu czegoś dobrego nauczyły i to nie kęs, i aby też wyszły na ludzi dobrych, a potem były, czem im tam pan Jezus naznaczył.

To też odpowiadali im znowu na to drudzy:

Ej! macie wy rozum nie lada, bo to czy pan czy chłop, przy dobrym rozumie i nauce dobrej, to będzie sobie wszędzie człowiekiem i nic mu tam nigdy bieda nie zrobi, ani też dusza jego nie zmarnuje się, a mądra głowa i pobożność stanie i za sto głupich i za tysiąc rąk do roboty.

Otóż z jednego miasteczka, co to się zwie do dziś Sławkowem, jakie trzy mile od naszego Krakowa, jechał sobie także jeden mieszczanin na wozie, a koło niego siedział mały chłopczyna, zakopany w słomie, że mu ledwo głowę było widać. Ojciec sam był w kapocie z jasnego sukna, wyszywanej białemi sznurkami do okolusieńka, na głowie czapka siwa barania z prześliczną wstążką u góry, a z denkiem jakby od samego złota, opasany pasem aż się w oczach mieniło, a koło niego na boku stała laska długa, u góry okuta, a na wozie przeróżne drobiazgi i worki. A na przodzie wozu siedział znowu jakiś kmieć w białej sukmanie, czapce krakowskiej, z długiemi włosami na głowie i popędzał swoje koniki jakby gałeczki tłuste i okrągłe. Otóż kmieć odwrócił się i pytał: Kumie Janie! to wy widać naprawdę odwozicie tego chłopaka waszego do Krakowa — ale czy was to stać na to, aby to dziecko w takiem mieście wyżywić i ogarnąć jak się patrzy?

A mieszczanin Jan pali do razu:

Ej! co wy ta gadacie — dobry pan Jezus ma więcej od nas wszystkich, on dopomoże każdemu, jeno sobie zasłużyć na to. Toć wiecie przecie, że królowie nasi polscy, jak wyfundowali szkoły, to też pomyśleli i o chudakach — jak kto biedny a chce się koniecznie uczyć, to niech jeno pójdzie do króla albo jeszcze lepiej do samej królowej, albo i do którego urzędnika, a oni go tam zaraz zapiszą i dadzą mu jeść i okrycie i stancyę dobrą za darmo, boć wiecie przecie, że są w Krakowie takie domy dla biednych szkolarzy, a król i miasto łożą na to, co jeno potrzeba.

Na to odezwał się kmieć Antoni:

Toć ja to miarkuję sobie, że wy tam musicie mieć kogoś ku pomocy — bo gdzieby was stać było jakie pięć razy na-

pakować co rok taki wóz i dowozić to dla chłopaka, a to pono i u was nie przelewa się praca.

A znowu Jan poprawiając sobie pasa gada:

Toć nasze miasto Sławków należy do biskupa w Krakowie i nie raz też przesiadują u nas biskupi; a dał im też pan Jezus takie bogactwo u nas, bo wiecie to dokumentnie, ile to wykopią co rok samego srebra z ziemi, a to wszystko nie idzie marnie, jeno na kościoły, szpitale, jałmużnę i na biednych chłopaków, co to wychodzą od nas i chcą się czegoś dobrego wyuczyć na bożym dalekim świecie.

A kmieć Antoni śmignął na konie i znowu gadał:

A jakże mój kumeczku! czy też ten chłopak wasz nauczył się już conieco na xiążkach?

Nato ojciec Jan odrzecze:

Ot! coby się nauczył! matka wyuczyła pacierza i boskie przykazania, zaprowadziła go kilka razy do św. spowiedzi, codzień leciało to z matką jak woda do kościoła, chodziło to na chór i pomagało naszemu staremu organiście śpiewać pobożne pieśni, a znowu w niedzielę to śpiewało ze mną koronkę, lub też rożaniec i litanię, i jakoś to takie ciekawe i pobożne, że temu ani rady, jeno kościół i kościół i śpiew pobożny na myśli — a widzicie że nie raz to trza było kijem naganiać do jedzenia, bo by było i trzy dni przesiedziało w kościele, a zawsze przy ołtarzu św. Stanisława, bo to u nas u fary to jest w ołtarzu prześliczny św. Stanisław, nasz polski patron.

Ho! ho! odpowie kmieć Antoni, to może co i będzie z tego chłopca — ale wam też dużo ubędzie w domu do roboty, bo to pono najstarszy wasz chłopak i już pomagał niejedno w domu, a wy też macie jeszcze i inne dziatki, i trza i robić dużo i chleba nie mało.

To prawda, mój kumie, odrzeknie ojciec Jan, juźci miałem niezłą pomoc z niego, bo mi już pomagał na warsztacie, uszył mi każdy but doskonale i poleciał do Krakowa kupić to skórę to inne drobiazgi, a jak trza było to wygnał i bydlątko na pole i poprzątał koło domu i w żarnach zmełł na chleb i zrobił wszystko, aż miło mówić, bo to straszecznie potulne i posłuszne dziecko, ani mu gadaj, ani na niego wołaj, a ono od

świtu do wieczora na nogach i kręci się i robi sobie, a broń cię Boże! aby to kogo zarwało albo przezwało, albo komu co złego zrobiło, nawet nie pastwi się to nigdy ani nad bydlęciem, ani nad psiątkiem w domu, ani nawet nie zdepce robaczka marnego niepotrzebnie, bo też mówię wam kumie, że wszystko u nas za niem przepada, a jaki to był płacz, jak wsiadało ze mną na ten wóz, toście się sami nasłuchali dosyć.

I zrobiło się żal setnie ojcu Janowi za synem, a ojciec Antoni otarł sobie rękawem oczy, śmignął na konie i znowu zagadał:

A gdzieżto biedactwo będzie na stancyi? bobym też go odwidził kiedy, jak pojadę znowu do Krakowa, da Bóg doczekać.

Co do stancyi, mój kumie, odezwie się ojciec Jan, to go prosto zaprowadzę do kościoła Panny Maryi; bo to widzicie, jakiś dziwny sen czy też objawienie jakie z nieba miało to dziecko, ot jakośto dwie niedziel temu. Spało ono ci w stodole i pono się pierwej modliło aż ku północy na kolanach, i tak upadło na słomę i usnęło jak kurczątko małe. Wtem się zerwało na proste nogi i leci z płaczem do izby do mnie, i drzało to jak liść osikowy i patrzało ciągle na niebo. Co ci to takiego, pytam go? A ono zapłakane gada: Widziałem tego samego św. Stanisława, co to jest na obrazie u fary — stanął on nademną, przeżegnał mię i powiedział:

Idż mój chłopaczku pobożny od ojca i matki do Krakowa, do kościoła Panny Maryi, tam jest jeden świątobliwy xiądz staruszek, xiądz Wincenty, co to był także pierwej takim biednym, jak ty teraz, a dziś jest on prawie świętym, i znają go na całą Polskę z pobożności i nauki. Idź do niego do św. spowiedzi, a on ci powie, co masz dalej robić.

Na to gadanie zadumał się ojciec Antoni, popatrzył się na chłopaczka siedzącego w słomie, pokiwał głową i znowu zapytał:

No! i cóż się stało potem? czyście byli u tego xiędza świątobliwego?

A ojciec Jan ozwał się na to tak:

A jużci go wieziemy teraz, bo cóż robić, mój kumie? choćby i nie taki sen dziwny, to wypada dziecku dopomódz do dobrego. Ja z moją babiną ułożyliśmy sobie tak, aby posłać to dziecko tam, gdzie go pan Jezus powołuje, i zrobić mu to, do czego ono ma chęć; bo widzicie w domu, toby się mogło i zmarnować, a zresztą cóżby było z niego? oto taki ubogi majster, jak i ja, a choćby mu pan Jezus dał i pracy dosyć, to zawsze lepsza nauka nad wszystko — boć kto wie, możeby mię kiedyś osądził za to pan Jezus, że ja nie dopomagał dziecku ku dobremu, a możeby to dziecko płakało kiedyś na mnie? Otóż trza mu pomagać, co jeno można, a resztę zrobi sam pan Jezus, jeśli jego taka święta wola.

I ucichli obaj ojcowie, dumali sobie w głowie różności, a ojciec Antoni podcinał koniki, aż stanęli nad wieczorem na rynku Krakowskim koło kościoła Panny Maryi. I stało się wszystko, jak sobie gadali przez drogę. Ojciec Jan i jego syn byli u św. spowiedzi, a drugiego dnia został chłopak przy kościele, a ojciec odjeżdżając gadał mu: O moje dziecko! bądź zawsze pobożne, a słuchaj starszych i ucz się, z lampartami się nie wdawaj, a napisz też do matki, bo ona płacze za tobą, a Bóg ci dopomoże, że to wszystko przezwyciężysz, a potem może ty komu rękę podasz — a jeźli będziesz kiedy bogatym, to się nie wstydaj swego rodu, ani nie gardź nikim, ale dopomagaj tak drugim, jak my tobie pomagamy do dobrego; niech cię tu pan Jezus błogosławi i św. Stanisław nasz patron!

I pożegnał ojciec Jan swego syna Świętosława — a za kilkanaście lat odprawiał ten syn pierwszą mszę u fary w Sławkowie, a ludzie gadali z płaczem:

Patrzajcieno moi dobrzy ludzie! co to się porobiło z tym naszym Świętosławem! ta to takie było biedne i niepokaźne, i ojcowie jego ubodzy, a dziś to wyrosło takie ładne i wyszło aż na xiędza!

Ale ci ludzie nie wiedzieli wtedy, że ten sam xiądz ich rodak przyniesie im największą sławę i chwałę przez swoje świątobliwe życie, nie myśleli nawet, że ten sam będzie poźniej patronem świętym dla nich u samego Boga w niebie, do którego się modlił za nich przed ołtarzem przy mszy świętej.

I stało się tak, bo u Boga wszystko możebne, a ludzie z pomocą bożą wszystkiego dokonać potrafią. Otóż xiądz Świętosław był przy kościele Panny Maryi — modlił się zawsze pod ukrzyżowanym Panem Jezusem, który do dziś jest tam w Krakowie w kościele Panny Maryi — śpiewał zawsze psalmy na chwałę Bogu i zaprowadził śpiewaków, psałtyrzystów, co to do dziś śpiewają tam w tym kościele codzień psalmy ku chwale bożej, i dał z swej pracy fundusz na to bractwo święte. Pamiętał on o swej rodzinie, dopomógł niejednemu do pobożności, był ojcem dla ubogich w Krakowie, posprawiał różności do fary w Sławkowie, bo sobie mówił: Gdziem się urodził ubogi, tam niech zostanie po mnie taki majątek, aby byli moi krajanie pobożni, Bogu i ludziom mili, tam niech będzie po mnie dobry przykład i dobra nauka dla każdego!

Urodził on się za króla Jagiełły i za tego króla przywiózł go ojciec do szkoły do Krakowa. Przeżył też króla Jagiełłę i Władysława Warneńczyka, i był wtedy xiędzem u Panny Maryi, kiedy królował w Krakowie Kazimierz Jagiellończyk i żona jego pobożna królowa Elżbieta. A gdy przychodzili do niego jego pobożni krajanie to po zapomogę, to do św. spowiedzi, to im mówił:

Nie patrzcie zazdrośnem okiem na niczyją pracę, ale pracujcie i Bogu wiernie służcie, posyłajcie dziatki do kościoła, a gdy mają chęć, to dajcie ich do szkoły i dopomagajcie, co jeno można, a będą z nich ludzie, jak to i że mną uczynił pan Jezus miłosierny i dobrzy ludzie.

I byłci tak pobożnym ten xiądz Świętosław, że królowa swoje dziatki za rękę prowadziła na jego mszę do Panny Maryi i mówiła królewiczom:

Patrzcie! wy macie wszystko, a ten pobożny xiądz był ubogim, a dziś uczcie się od niego pracy, pobożności, sprawiedliwości i bojaźni bożej.

I lubił go też setnie sam królewic młodzieńki Kazio, co to potem został Świętym, i brał sobie niejedną naukę od niego. I lubił go także jeden xiądz Kanty, co to był wtedy profesorem w Krakowie, a potem został także Świętym. I lubił go także inny xiądz zakonnik Szymon z Lipnicy, co to był z rodu

chłopskiego, a potem został Świętym. I cieszył się cały Kraków, cieszyła się cała Polska, że na jeden raz było kilku Świętych w samym Krakowie: jeden królewic, a reszta same mieszczańskie albo kmiece dzieci. I cieszmy się także wszyscy dziś, starajmy się podobnie robić, i prośmy naszego świętego Świętosława:

Święty Patronie! daj nam dobrą chęć do nauki, abyśmy znali Boga i miłowali go razem z ludźmi! Uproś nam w niebie, aby dziś miała Polska tyle pobożnych miast i wsi, ile było za twoich czasów. Amen.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Czego nam potrzeba?

Daleko, daleko
Te wody już cieką,
Przy których widziałem,
Przy których słyszałem,
Co tu wyśpiewałem.

I dęby spruchniały
Co przy chacie stały,
Pod których konary
Siadał Dudarz stary,
Co się po wsiach włóczył
I piosneczek uczył.
Ale w myśli mojej,
Wszystko żywo stoi.

Sosna rozsochata
A na łące rzeczka,
Kędy jaskółeczka
Latała skrzydlata,
A białe gołębie
Siadały na dębie,
A w oknie siadała
Panieneczka biała,
Co pieśni śpiewała.

Ach! w niebie kraj taki
Jak polskie równiny,
A jakie chłopaki,
A jakie dziewczyny,
Ach Boże jedyny!

A Wisła ta rzeka
Co w morze ucieka,
Co siwa u brzegu
A modra z daleka.

Gdzie płynąc na dratwie
Flis przygrywa dziatwie,
I wiezie za morze
Mazowieckie zboże,
Ach Boże mój Boże!

A każdziuchne pole
Równe jak po stole,
To jak z ciepłą wiosną
Pszenice porosną,
A zboże kłosieje,
A wiater powieje —
To zda się w tem zbożu
Że płyniesz po morzu,

Tak wietrzyk kłosami
Buja jak falami.

Ach kraj nasz tak błogi,
Że widząc te niwy,
Choć człowiek ubogi
A jednak szczęśliwy,
I takiej natury
Że się nie oddali,
Choćby mu dawali
Nawet złote góry.

Zielona dąbrowa,
Stado koni biega,
A jak się wierzbowa
Fujarka rozlega!
A jak się tam bawią,
Jakie bajki prawią!

To też dawniej było,
Wszystko się bawiło
Tak w tym kraju miło.

Teraz tam inaczej,
Teraz nie zobaczy
Tych wszystkich radości,
Same tam żałości.

To po dawnych dworach
Srebro stało w worach,
Na srebrze jadali,
W jedwabiach chadzali,
Teraz jedzą z gliny,
Mój Boże jedyny!

Lecz choć niema wiela
Bogactwa, wesela,
Chociaż więcej biedy
Niźli było kiedy,
Wspomnij jeno komu,
Że ma odejść z domu,
I z domu i z kraju —
Łzami się zaleje,
Na śmierć zatęsknieje
Po ojczystym raju.

Nicby nie potrzeba
Do naszego nieba,
Jak tylko swobody,
Równości i zgody.

O dajże to Panie,
Niechaj się tak stanie,
Dla polskiej krainy,
Mój Boże jedyny!

Teofil Lenartowicz.

Historya o Kaśce co w kominie siadywała i o leniwej torbie.

(Dokończenie.)

Na drugi dzień potem znowu Kuba wstaje i robi wszystko jak potąd, i to przez cały Boży dzień; bo Kaśka wcale nie domyślała się żeby to Kuba do niej stósował, jeno myślała: a widzisz ty głupi, wszak ci się na nic nie przydało, cożeś mówił do swojej torby. Ale Kuba inaczej myślał; i kiedy już było po wieczerzy poszedł znowu spać jak zwyczajnie. Dopiero kiedy już było po północy, wstaje, robi ogień i mówi do Kaśki, którą

obudził: „Kasiu wszakżeś sama słyszała, com wczoraj rano mówił do torby i widziałaś też sama, że z tego wszystkiego nic nie zrobiła, com jej był powiedział.“ A Kaśka na to: A no! prawdać! — A nu więc, mówi Kuba dalej; — toć jej trzeba dać pamiętne, bo Kuba żartować nie lubi. Wstań jeno Kasiu, wstań! a pomożesz mi też koło tej niegodziwej torby.“ Kaśka więcej ciekawa, co to z tego będzie, aniżeli posłuszna, wyskakuje czemprędzéj i nawet się nie obłóczy jeno wstaje w koszuli. A Kuba bierze kij w jednę a torbę w drugą rękę i zawiesza ją Kaśce na plecach, a potem i bije i bije, a mówi: „A słuchaj torbo! a słuchaj torbo!“ — Kaśka w krzyk; ale Kuba jak bije, tak bije, jak wali tak wali: i nie uważa na krzyk i wrzask Kaśki; lecz dopiero przestaje, kiedy miarkował, że tego już będzie naraz dosyć. Dopiero wtedy zdejmuje torbę z Kaśki i wiesza ją znowu na swojem miejscu i znowu mówi jak wczoraj, i grozi jej, że jak go na jutro nie usłucha, to znowu dostanie takie smarowanie. Potem podziękował Kaśce za to, że mu trzymała torbę i położyli się spać w jak najlepszej zgodzie, choć Kaśka aż się spociła po tem smarowidle. A kiedy usnęła i to tak spała po owej łaźni, jakby ją na wpół zarznął i nie prędzej się obudziła aż był dzień biały. Ale Kuba wstał jak zwykle, ugotował śniadanie, wyjechał w pole, a Kaśkę zostawił w łóżku i znowu jej nic nie mówił, ani jej nawet nie obudził do śniadania, jeno sam zjadł z parobkiem.

Kiedy już było kawał na dzień, obudza się Kaśka i widzi, że to już blisko południe, a tu Kuby już w domu niemasz. Patrzy na torbę; ale torba do niczego się nie zabiera, jeno wisi jak zawsze; myśli więc sobie: „Pewnieć mnie to samej wszystko trzeba zrobić, bo przy torbie i mnieby się znowu oberwało.“ Kiedy więc nie wstanie, a nie zacznie najpierw uprzątać po izbie, zamiatać, pościelać łóżka i umywać statków; kiedy nie napali ognia, a potem kiedy nie zagnie rękawów, a nie zacznie gnieść klusek i gotować? że to wszystko w okamgnieniu, już-ci to było po całej robocie, i Kaśka miała wprzód jeszcze gotowy obiad, nim Kuba przyjechał był z pola. A jak tylko wjechał na podwórze, wybiegła natychmiast Kaśka naprzeciwko niemu, (czego przedtem nigdy nie robiła) i woła go jeść. Zdziwiło to

Kubę, ale razem ucieszyło, że mu się tak od razu Kaśka naprawiła; kochał ją więc tem bardziej.

Od tego czasu Kaśka wszystko robiła sama i nie mogła się wydziwić, jak jej zawsze dnie prędko schodzą. Nieraz byłaby rada, żeby dzień trwał dłużej. A przedtem dzień każdy rokiem się jej być zdawał. Przekonała się, że miał Kuba prawdę kiedy mawiał: „Przy robocie, uchodzi czas jak na kołowrocie.“

Kiedy zaś już wiedział że mu się Kaśka coraz lepiej zasługuje, przyjął jej też dwie dziewki i mówił: Nie potrzebujesz ty wszystkiego robić sama, byleś tylko rządziła domem, a Pan Bóg nam da na to, że będziem sobie mogli chować i czeladkę. I tak też Kaśka robiła jak jej mówił Kuba, i wnet była z niej najlepsza gospodyni, bo kiedy przypadła jaka nagła robota, to się Kaśka bynajmniej nie leniła, jeno dalej do roboty z drugimi, czy to było w podwórzu, czy w ogrodzie, albo też czy to było w polu.

Tak jednego razu pomagała Kaśka dziewkom nakładać gnoju, który Kuba wywoził pod pszenicę. W tym samym czasie przyszła też i jej matka do niej, aby ją odwidzić i obaczyć jak się też rządzi; myślała bowiem, że już może będzie miała pustki w komorze. Przychodzi więc do izby, a tu wszystko jeno się tak świeci, ale w izbie niemasz żywej duszy, zagląda do komory, a tu pełno wszystkiego. Dziwuje się i wychodzi na podwórze, a tu spotyka Kaśkę z widłami przy gnoju. — A to co? ty przy gnoju? — zawołała matka. A córka na to jej odpowiada: A toć widzicie matusiu! alboż-to co złego? A matka na to: Nie, bynajmniej moja Kasiu, aleś ty tego u mnie nigdy.... i chciała jeszcze mówić coś więcej, kiedy jej przerywa córka i mówi: „Żebyście lepiej nie gadali matusiu, a pomogli nam, tobyście lepiej zrobili; bo oto już Kuba nadjeżdża,“ i zaraz podaje matce widły. Zdziwiła się matka, a oraz i zawstydziła; nie mówiła więc nic więcej, jeno wzięła widły i pomagała nałożyć te fury. Tymczasem przyjechał i Kuba, a matka wzięła go na bok i pyta go się: Zkądże się to wzięło, mój zięciu! że Kaśka się zmieniła jakby ręką przewrócił? A Kuba szczerze wszystko opowiedział matce co uczynił. Ale matka wcale się

o to nie gniewała na niego, jeno mówiła dalej do niego: „Kiedyście sobie tak mądrze poradzili w małem, dam ci i to drugie gospodarstwo jeszcze, a ty mnie dasz tylko utrzymanie do śmierci i będę z wami społem mieszkała.“

Jak mówiła, tak też i zrobiła, a pokazało się, że Kuba był najlepszym gospodarzem, a Kaśka najlepszą gospodynią na całą wieś.

Dał im też Pan Bóg i dzieci, i mieli kilku synów i parę córek, a wszystko to było pracowite jak mrówki, a zdrowe jak rybki w wodzie. Ale bo też Kuba chłopców, a Kaśka córki zaraz od małości przyzwyczajali do pracy. I słyszano ich też często, jak sobie spiewały tę powszechnie znaną piosnkę:

Dalej, dalej! do roboty, do xiążek lub ręcznej pracy,
Bo ciągłe w życiu kłopoty, mają leniwcy, próżniacy!
Prędko, słodko przy robocie godzina każda upływa,
Podczas gdy próżniak w tęsknocie, dręczy się i z nudów ziewa.
Czas jest klejnot bardzo drogi, kto na niczem go przepędza,
Czyli to pan, czy ubogi, tego pewno czeka nędza!
Dlatego rączo do pracy! korzystajcie z każdej chwili,
A będą nam szczęścia, swobód, wszyscy gnuśni zazdrościli!

Km.

Stanisław Trepka.

Zygmunt I siedział sobie na tronie, a w Polsce było jakoś weselej i lepiej niż teraz. Wichrzył tam potrosze na Litwie niecny zdrajca Gliński, o którym jużeście czytali w Dzwonku, że przeszedł nawet całkowicie do Moskali, i z nimi razem napadał na Polskę; lecz kiedy im sam król tęgo kurtę skroił pod *Orszą*, to i Glińskiemu zrobiło się jakoś kuczno za swoją ojczyzną, i radby był z duszy i z serca nazad do niej powrócić. Chodziło tylko o to, jakby tu się wkręcić nazad do łaski rozgniewanego króla, a na to nie było innej rady, jeno zrzucić pychę z serca, i prosić go pokorniutko o przebaczenie.

Zaczął więc Gliński jak niepyszny pisywać do króla pokorne listy, i prosić go, aby mu było wolno powrócić nazad do swojej rodzimej ziemi, i złożyć w niej wyrodne kości swoje.

Skoro ci jeno król Zygmunt takowy list odebrał, zwołał ci zaraz co najdostojniejszych panów do siebie, i zaczął się z nimi naradzać, jakby to sobie postąpić w tej sprawie; a że to Polacy nie byli nigdy kamiennego serca, to też stanęło w końcu na tem, ażeby Glińskiemu jego winę darować i pozwolić mu napowrót do ojczyzny przyjechać.

Kiedy się już wszyscy na to zgodzili, zaczęto teraz nad tem przemyśliwać, kogo by to wysłać z tą nowiną do Glińskiego, bo nie każdy chciał się odważyć jechać do tej okrutnej Rosyi, gdyż każdy Moskalowi jak buremu psu nie dowierzał.

Po długiem szukaniu znalazł się wreszcie człek jeden, nazwiskiem Stanisław Trepka, co to już nie jedną odbył wojaczkę, a i teraz odważył się pójść het aż do Moskwy, i tam Glińskiego ustnie o łasce królewskiej uwiadomić. Puścił się więc Trepka w podróż, a iż to tęgi kawał jest drogi z Krakowa het aż do owego wielkiego miasta, co się nazywa Moskwa, kędy Gliński przebywał, więc się i nie mało nabiedził, zanim stanął na miejscu.

Chociaż to sobie Stanisław Trepka był człek odważny, jakiego poszukać, toć przecie ogarnął go lęk nie mały, kiedy już zobaczył tych prawosławnych Moskali, takie to wszystko straszne, kosmate i brodate, a dzikie nieprzymierzając jak wilki z lasu. To też kiedy naszego Trepkę, co to był sobie w pięknym polskim stroju, zobaczyli Moskale, zaraz obstąpili ci go jak psy kota na wszystkie strony, i zaczęli się wypytywać, coby on był za jeden, i za czem by szukał w ich prawosławnem mieście. Ale Trepka wiedział dobrze, że Glińskiego czekała śmierć nieochybna, gdyby się Moskale o tem dowiedzieli, że on chciał wracać do ojczyzny, dlatego też uwodził on natrętnych jak tylko mógł, a nawet nie śmiał się zapytać nikogo, kędy ów Gliński mieszkał, ażeby nie wzbudzić żadnego podejrzenia.

Nie długo jednak udawało się Trepce zbywać tak czem bądź głupich Moskali, bo choć on tam przed nimi mówił, że przybył tutaj niby na odpust, aby się cudownym obrazom w ich prawosławnych monasterach pokłonić, toć przecie pochwycili go niebawem Moskale, i odstawili do najstarszego sędziego.

Ten ci go zaczął także badać różnemi sposobami, ale kiedy nie mógł nic z niego wydusić, kazał go wtrącić do więzienia, a na Glińskiego, który od jakiegoś czasu zaczął już w Moskwie coś majaczyć, kazał mieć baczne oko i pozór.

Po niejakim czasie stawiono znowu Trepkę przed sędziego, który się tak odezwie do niego:

— Słuchaj no ty *buntowszczyk*, *laszok*, *sukin syn*, jeżeli mi się zaraz nie przyznasz, po coś tu przyszedł do naszego miasta, to cię każę wziąść na męki, a wtedy mi wszystko wyśpiewasz co do słówka.

Nie zastraszyła ta pogróżka naszego Trepkę, bo on sobie miarkuje w ten sposób: czy tak, czy owak, to ja się z tej matni nie wywinę, bo jeżli się przyznam, żem tu przyjechał po Glińskiego, to jemu głowę skręcą, a mnie to także nie ujdzie na sucho, żem się podjął takiego poselstwa, a jeżeli się do niczego nie przyznam, to przynajmniej Glińskiemu dochowam sekretu, i jemu nic się złego nie stanie.

Po takiem postanowieniu oświadczył Trepka najwyższemu sędziemu, że wolno mu robić z nim co mu się podoba, bo on się do niczego nie przyzna.

Wtedy to oddał ów sędzia naszego Trepkę oprawcom, ażeby go różnemi mękami do wyznania prawdy zmusili; a trzeba zaś wiedzieć, że to od dawna panował i teraz jeszcze panuje u Moskali ten dziki sposób, że się lubią okrutecznie zdziwiać i pastwić nad bezbronnymi i więżniami, iż się człek z duszą i sercem na samą tylko myśl o tem wzdrygnąć musi.

Wkopano więc na samym rynku do ziemi gruby słup i do tego słupa przywiązano naszego Trepkę, a do koła naznoszono suchego chrustu, gałęzi i łomu, i to wszystko naraz podpalono, ażeby tak Trepkę we środku żywcem przy wolnym ogniu upiec.

Kiedy już spory kęs czasu przeminął, pytają się Trepkę, czyli powie teraz, w jakiej to sprawie przybył do ich miasta, ale Trepka jak milczał, tak milczał. Widząc więc moskale, że nie mogą nic z niego wyciągnąć, skruszyło im się nakoniec serce, zaprzestali więc dalszych mąk i puścili Trepkę ledwie żywego wolno, ale kazali mu zaraz napowrót do Polski odjeż-

dżać. Kiedy się Trepka zjawił w Krakowie, to mało go najwięksi panowie na rękach nie nosili za tę jego odwagę i zaciętość, że wolał raczej sam zginąć, aniżeli drugiego popchnąć w biedę, i z tej też racyi słynęło i słynąć będzie imię Trepki po długie wieki.

Nie skończyła się jednak na tem cała historya.

W Moskwie zaczęto od tego czasu na każdy krok Glińskiego bacznie uważać, a razu pewnego przysłano mu zawezwanie, aby się stawił przed sądem, a kiedy on nie przeczuwając nic złego, tam się pojawił, odezwie się do niego najstarszy sędzia:

— Wyśledzili tu moi ludzie, że ty od jakiegoś czasu miewasz z Polakami różne konszachty, dlatego też przyznaj się od razu do wszystkiego, bo inaczej źle z tobą będzie.

Zaczął się Gliński uniewinniać i na wszystko w świecie zaklinać, że to nie prawda, ale sędzia moskiewski rzecze do niego:

— Czy tak, czy siak, to zawsze ty się nam już teraz na nic tutaj nie przydasz, a jeżeliś ty własną twoją ojczyznę potrafił zdradzić, to możesz i nam kiedyś takiego figla wypłatać...

Po tych słowach kazał Glińskiemu oczy wyłupić, i wsadzić go do więzienia, kędy też Gliński nędznie haniebnego żywota dokonał.

Widzicie więc ztąd moiściewy kochani, że wszelako cnotę i szlachetność nawet i wróg sam poszanować umie, jak to się Trepce przydarzyło; a chociaż zdradę niektórzy lubią, toć zdrajcę samego każdy nienawidzi, każdy się go lęka, każdy się nim brzydzi, i człeka takiego, co się splamił tym występkiem, prędzej czy później, zawsze smutny czeka koniec.

Jacenty z Magierowa.

Nowiny dla ogrodników.

Chodowanie sałaty.

Jest taki dobry sposób na chodowanie sałaty. Skoro ziemia na wiosnę obeschnie, należy pod ścianą budynku skopać ka-

wałek ziemi i namierzwić, a na niej posiać kilkanaście gatunków co najlepszej sałaty. Po posianiu należy wszystko przesypać pruchnicą przesianą, to jest taką ziemią, którą znajdziesz w ogrodzie zmięszaną z przegniłem zielskiem, liściami, starym gnojem i tam dalej.

Otóż nasienie takie poschodzi prędko i wyrośnie bardzo piękne. Natenczas w maju sadzą się flance na ziemi dobrze umierzwionej i skopanej, polewają się często i pielęgnują, a wyrośnie z nich śliczna sałata głowiasta.

Z takiej sałaty głowiastej będziesz miał miły człeku nasienie doskonałe i możesz każdemu sprzedać z czystem sumieniem, bo nie zawiedzie nigdy. A dobre nasienie każdy chętnie kupi i zapłaci dobrze, więc zarobek bywa także niezły.

Zaś pomiarkuj sobie jeszcze to, że sałata nasienna daleko lepiej udaje się na wolnem powietrzu jak pod szkłem, bo silniej wyrasta, i kiedy ją przesadzisz, to łatwo zniesie zimno. Zaś chodowana pod szkłem, najczęściej po przesadzeniu zmarnieje i ledwie dziesiątą zimno wytrzyma.

Jak ratować rośliny odmrożone?

Rośliny zmrożone można zawsze uratować tym sposobem. Najpierw trza je zachować w miejscu chłodnem i ciemnem, a także uważać aby wiatr nie przewiewał tamtędy. Tam niech będą przez 24 godzin, to jest przez całą dobę, a tymczasem należy je ciągle skrapiać zimną wodą. Roślina tym sposobem odżyje i nie pójdzie marnie. Daj Boże aby wam się te rady dobrze nadały.

RÓŻNOŚCI.

Napaść od wilka. Stało się to jeszcze w miesiącu marcu we wsi Orowie w powiecie Drohobyckim. Pewien wieśniak Mikołaj Iwanyk usłyszał nadedniem okrutne ujadanie swego psa, więc wyszedł zobaczyć, cobyto było. Otóż zobaczył wilka, który zabierał z psiej budy szczenięta jedno po drugiem, i pożerał, a nareszcie wziął się do psa. Mikołaj uchwycił kij, i pocznie z całej siły okładać wilka, a krzyczeć przytem na głos.

Na ten krzyk nadbiegł brat Mikołaja Michał i sąsiad ich Mikołaj Naum, więc wszyscy też razem biją wilka co się jeno wlizie. Ale bestyja wilczysko nic na to nie uważa, jeno zagryzł psa, a potem rzucił się na Michała i skaleczył go w bok, zaś dalej skoczył na Mikołaja Nauma, i zranił go w twarz, a nakoniec Mikołaja Iwanyka pokąsał okrótnie w rękę. Naostatek zmogli go przecie kijami, że upadł na ziemię, ale wnet podniósł się i uciekł do lasu. Biedni trzej gospodarze zostali odwiezieni do szpitalu do Drohobyczy, bo myśleli ludzie, że wilk był wściekły. Niewiedzieć jeszcze dotąd, co się tam stało, ale daj Boże, aby nic złego.

Ratunek na uderzenie piorunu. Jeszcze w jesieni roku zeszłego w czasie wielkiej burzy, stał się taki wypadek: We wsi Zdanowie pod Zamościem uderzył piorun w jeden dom, i ugodził w piersi kilkoletniego dziecka, które padło i natychmiast zczerniało. Szczęściem matka przytomna zamiast zawodzić i rozpaczać, chwyciła rydeł, i wykopała znaczny dół w ziemi, a włożyła weń dziecko. Niebawem przyszło dziecko do siebie, i jest całkiem zdrowe, i pokazało się, iż miało na sobie chustkę, spiętą długą szpilką stalową, w którą właśnie piorun uderzył.

Straszny wypadek. We wsi Lipiu w powiecie Boryńskim wybuchł niedawno pożar w stajni tamecznego żyda arendarza. Arendarz chciał ratować woły, i wbiegł do stajni, aż tu właśnie runął dach i powała, i wszystko przygniotły. Spalił się biedny żyd na proch razem z wołami i stajnią. Boże łaskawy, miej miłosierdzie nad jego duszą.

Przysłowia.

1.

Kto buduje, ma wiórki,
Kto się procesuje, ma papierki.

2.

Złe ziele najlepiej się krzewi.

3.

Choć się rana zagoi, blizna zostanie.

4.

Tłustego połcia nigdy nie smaruj.

5.

Cztery nogi białe, piąta łysina,
Jeżeli koń dobry, wielka nowina.

6.

Papieru do wody, płótna do ognia a żony do swywoli nie dopuszczaj.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 14.

11. Maja. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Komorek,

zacny kmieć, który został kapitanem polskim.

Najpierw trzeba wam wiedzieć, że mój miły tatuś sługiwali za młodu wojskowo, zaś temu już kupa lat będzie, bo to jeszcze za czasów Napoleona, kiedy tenże przyszedł ratować Polaków a bić Moskali. Otóż byli mój tatuś wtedy w polskiem wojsku i znali pewnego wojaka Komorka, o którym tak zawsze rozpowiadali nam dla dobrego przykładu.

— Pamiętajcie zawsze moje dziatki, że u Polaków i w polskiem wojsku była zawsze równość, i że dla wszystkich były jednakie prawa. Człek zacny choć najuboższy i najpośledniejszego rodu mógł zostać największym panem, byle jeno dobrze służył krajowi i ogniście kochał ojczyznę polską. Dlategoto jest bardzo wiele przykładów, iż ludzie biedni, prości kmiecie wychodzili w Polsce na Panów za czasów dawniejszych, a rząd polski i królowie jeno dopomagali im do tego. Inszych przykładów ja wam nie będę opowiadał, jeno o takim, który na własne oczy widziałem, zaś tak wszystko było.

Kiedyto w Polsce była z Moskalami okrótna wojna za cesarza Napoleona, służył w jednej kompanii polskiego wojska pewien młody żołnierz Komorek, syn kmiecia prostego, ale chłop silny i już taki odważny, że drugiego poszukać było w całym batalionie. Otóż była raz znaczna bitwa z Moskalami koło jednego miasta przez cały dzień, a po bitwie rozesłano żołnierzy po furaże na okolicę, więc także i Komorka posłano. Idzie on sobie wprost drogą w las sosnowy, który był niedaleko, a w tym lesie znachodzi polankę, na której stoi jakaś znaczniejsza zagroda, bo i chata wielka i obora i stajnie, a dalej gumno ze stodołą i brogami. Zaś wszystko byłoto opuszczone, i widać ludziska pochowali się gdzieindziej, i zagroda została na łasce Bożej, bo jeno pies stary leżał przed wrotami, i więcej ani żywej duszy widać nie było.

Już wieczorem nadchodzi do tej zagrody Komorek, rad bardzo iż nasi dzisiaj bitwę wygrali, więc śpiewał sobie wesoło i szedł rażno. Kiedy już był blisko chaty, usłyszał tentent koni z drugiej strony, więc zaraz pomiarkował, że to będą Moskale. Kusa rada — myśli sobie Komorek, ale iż był chłop odważny, nie zaczął uciekać jak tchórz, jeno postanowił bronić się do ostatniego. Skoczył więc do podwórza, zamknął wrota, zatoczył pod nie parę popsutych wozów z pod szopy, nabił ostro karabin, a potem przyczaił się z bagnetem pod parkan.

Zeszedł już był xiężyc, a Komorek ujrzał przy jego świetle, że nadjeżdża ze dwudziestu Moskali na koniach. Kiedy byli blisko chaty, wysłał starszy dwóch ludzi, aby ją obejrzeli. Podjadą oni pod wrota, zlizą z koni, i już chcieli wejść na podwórze, kiedy Komorek zapyta z za parkanu: *kto idzie?* Obaj Moskale chwycą za pistolety, i *hrym* w ono miejsce, gdzie stał Komorek. Kule przeleciały nad głową, a Komorek nachyli się z za parkanu i jakci kolnie jednego a potem drugiego Moskalucha bagnetem, tak obaj jak barany upadną na ziemię zabici. Skoczył wnet Komorek z parkanu nazad w podwórze i patrzy, aż tu cały oddział Moskali wali na niego. Stanął więc pod jabłonią, przymierzył karabin i prościuteńko do Moskala *hrym*, a ten już także leży na ziemi.

Tak zabił już trzech Moskali, a w tej chwili ściemniło się na dworze choć oko wykol. Tego chciał Komorek, bo Moskale zlękli się okrótnie, i myśleli że na podwórzu Bóg wie ilu jest Polaków. Ani im się nie śniło, iż tam tylko jeden żołnierz tak się broni walecznie. Otóż zastanowią się trochę, a potem znowu zakomenderował starszy do ataku. Tymczasem Komorek na czworakach przysunął się między wozy pod bramę, i palnął z karabina znowu jednego Moskala, który się podsunął pod wrota aby je wywalić. Starszy moskiewski huknie na to: ognia! i kilkanaście strzałów poleciało w podwórze, a żaden Komorkowi ani włosa z głowy nie utrącił. Czekają Moskale co z tego będzie, a Komorek siedzi sobie między wozami cichutko i ani mruknie. Wtedy Moskale pozłazili z koni, i krzycząc: *hurra!* zaczną szturmować do wrót. Komorek znowu palnął z karabina i piąty Moskal upadł na ziemię. Ale Moskale już się rozjedli, i z całych sił szturmują do bramy. Komorek opędza się im jeno bagnetem, i choć ranił niejednego, to i sam także dostał po skórze, bo tam szło na niego kilkunastu ludzi. Takci całą godzinę bili się ze sobą, i biedny Komorek aż upadał ze zmęczenia i z ran, które go okrótnie bolały. Myśli on sobie: no już mi tu pewnie zginąć przyjdzie, ale im się nie dam za życia, niech co chce będzie.

Kiedy tak Komorek pomyślał i dalej chciał się bronić Moskalom, patrzy aż ci skaczą czemprędzej na konie i poczną uciekać okrótnie. Chciał więc zobaczyć Komorek co się stało, i wybiegł z pod wrót, ale jeno stanął pod drzewem i aż omdlał trochę ze zmęczenia i bólu, a ruszyć się nie mógł. Tymczasem nadjechało mnóstwo oficerów polskich i francuskich żołnierzy, a na samym przodzie sławny jeden jenerał polski. Patrzą się, leży pięć trupów, i kilku rannych Moskali tarza się po piasku, a pod drzewem stoi jeden żołnierz polski, pyta więc jenerał Komorka:

— Kolego! a toście się dzielnie bronili; wieluż was tu jest i gdzie twoi towarzysze?

Usłyszawszy to wyprostował się Komorek, przyłożył rękę do kaszkietu i odpowiedział:

— Ja sam tylko jestem, szedłem za furażem, napadło mnie ze dwudziestu konnicy, toć się rad nierad musiałem i bronić.

— A jak się nazywasz? — spytał znowu jenerał.

— Komorek — odpowiedział nasz zuch.

Wszyscy nie mogli się nadziwować jego odwadze i męztwu, a jenerał podał mu rękę, uścisnął go i rzekł:

— Będę pamiętał o tobie, ale widzę żeś mocno ranny i osłabiony, więc spocznij sobie.

Potem kazał jednemu oficerowi, aby wziął silną straż i miał staranie o Komorku i rannych Moskalach, sam zaś z resztą pojechał nazad.

Odwieziono Komorka do obozu, wyleczyli go doktorowie, a skoro wyzdrowiał, uczynił go jenerał podporucznikiem, to jest takim starszym jak kapral u Niemców.

Od tego czasu Komorek ciągle był takim walecznym, więc coraz starszym go robili. Został był oficerem, a potem nawet kapitanem, bo wyuczył się czytać i pisać, a został zawsze człekiem zacnym, uczciwym i odważnym. Otóż tak było przez kilka lat, a w tym czasie utworzono w Polsce królestwo, więc wojsko polskie sprowadzono do Warszawy na wielką paradę, a także Komorka z jego kompanią. Otóż na jednej wielkiej mustrze rzeknie najstarszy jenerał do Komorka:

— Panie kapitanie, całe wojsko ciebie szanuje i kocha, bo jesteś bardzo walecznym i dzielnym żołnierzem. Otóż w nagrodę jeszcze jedną rzecz radbym uczynić dla ciebie, to jest abyś został szlachcicem i nie nazywał się Komorkiem ale panem Komorowskim.

Na to powie kapitan Komorek:

— Dziękuję panu jenerałowi, ale już ja chcę na zawsze zostać Komorkiem, a to dla przykładu drugim, iż w Polsce każden człek choćby najbiedniejszy może zostać panem i starszym. Ja zarobiłem na to, więc nie wstydzę się mojego imienia, a także nie chcę, aby się tem szczycił Komorowski, na co sobie zasłużył Komorek.

Wszyscy chwalili bardzo taką mowę pana kapitana Komorka, i szanowali go od tego czasu jeszcze więcej. Żył więc także Komorek długo i Bóg mu błogosławił, bo Bóg zawsze błogosławi ludzi uczciwych, którzy się nie wstydzą swojego rodu i swoich rodziców. Najwięksi panowie bratali się z nim,

i każdy miał to sobie za wielki honor, jeżeli Komorek był dla niego przyjacielem.

— Pamiętajcie więc dziatki moje — kończył tatuś opowiadanie — iż w Polsce ludzie zawsze szanować umieli zacnych i zasłużonych, że tam każdy miał sposób zostać i największym nawet panem, jeżeli miał po temu rozum i zdatność. A gdzie takie prawa są, tam widać że jest w narodzie dobra zgoda i miłość, że bogatszy ubogim nie pogardzi, i że nikomu krzywda się nie dzieje. Gdyby tak nie było, toby żaden biedaczyna nie mógł wyjść na lepszego. Tymczasem widzicie, że każden mógł zostać najznaczniejszym, jak tylko na to sobie zasłużył. Opowiedziałem wam dziś jeden taki przykład, a opowiem wam jeszcze więcej inną razą, abyście już dokumentnie przekonali się o prawdzie.

Śpiewka dziewczyny na wiosnę.

Jużeś przyszła zielona wiosenko,
Witajże nam kochana panienko,
Witajże nam dąbrowo zielona
I ty witaj ptaszyno spłoszona!

Słońce pali gorące jak w żniwa,
A toć rzadko na wiosnę tak bywa,
Hej słoneczko! co stało się tobie,
Czemu przypiekasz jak w letniej dobie?

A słoneczko odpowie: Bóg kazał
Aby chłopców szron zimny nie zmrażał,
Co to wyszli na kośbę do lasu
I nie mają ogrzewać się czasu.

Hej dąbrowo zielona, kochana!
A coś dzisiaj ty taka stroskana,
Czy ci drwale gałązki wnet utną,
Żeś listeczki zwiesiła tak smutno?

A dąbrowa: dziś szumieć nie można,
Trza chłopakom uważać z ostrożna,

Bo poganin im zdradę nasadza,
A szumienie słuchaniu przeszkadza.

Hej słowiczku kochanie! cóż tobie?
Takiś smutny jak brzózka na grobie,
A dyć dzióbek nie gniotą obroże,
Więc i czemu nie śpiewasz nieboże?

Cicho dziewcze — zaszepcze ptaszyna —
A któż dzisiaj śpiewanie zaczyna,
Kiedy nasze chłopaki zgłodniałe,
Bo nie jedli już doby trzy całe.

O mój Boże! o toć ja polecę
I wnet ognia w kominie naniecę,
Straw nawarzę, przyniosę im sama,
Czy tak dobrze ptaszyno kochana?

Ano dobrze dziewczyno, a żywo,
Bo już kosy ostrzyli na żniwo,
A jak dosyć nakoszą M.....
Będziem sobie wesoło śpiewali.

Czary.

O niczem innem nie słychać było w Taszanowie, jeno o chrzcinach u wójta, boć i jakże niema być o nich głośno, kiedy to chrzciny jakich mało na świecie! Dwanaście par kumów trzymało dziecię wójtowe do chrztu; na samym przedzie w pierwszej parze był pan z panią, a potem rzędem następywali włościanie.

Toć po chrzcie takim wielce był uradowany wójt taszanowiecki i dlatego chciał wesoło obchodzić dzień cały.

Nawet sprowadził z miasteczka Jankiela — a trzeba wam wiedzieć, że to muzyk nielada, jakci pociągnie smyczkiem po strónie, toć nogi same rwą się do tańca; a do tego sprosił do siebie dużo gospodarzy i huk młodzieży.

Jakci tylko Jankiel począł ciąć swoją sztukę, jęli się młodzi ochoczo do tańca — zaczęto krakowiakiem, a każdy chłopak przyśpiewywał swojej dziewczynie. Rażno brzęczały podkóweczki,

że aż w całej dudniło izbie, i najpoważniejszemu zrobiło się wesoło, kiedy spojrzał na ten taniec ochoczy.

Starsi gospodarze obsiedli sobie znowu w drugiej izbie ławy i wiedli poważną gawędę o przeróżnych rzeczach, a od czasu do czasu wymykał się z nich niejeden, i z ubocza przypatrywał się ochocie tańczącej młodzieży.

Właśnie co tylko zakończył Jankiel krakowiaka i muzykanci zaczęli przygotowywać się do nowej gry, kiedy raptem otworzyły się drzwi i do chaty weszedł pan Michał.

Nie myślcie wcale, żeby to był pan jaki. Gdzietam, był on sobie tylko uczciwym pisarzem przy dworze, a że ludzie zwali go panem Michałem, toć dlatego i ja go tak nazywam. Pan Michał był sobie człek bardzo dobrego serca, nikim z niższego stanu nie gardził, ani też nad nikogo się nie wywyższał, owszem miłował on poczciwych kmieci i w wielkiej żył z nimi zgodzie. Do tego wszystkiego byłci on młody i przystojny, więc nie dziw że dziewczęta mile nań spoglądały. Ale on jednej oddał tylko serce swoje, jedną tylko kochał Marynkę, która była przy dworze w służbie u pani.

Kiedy pan Michał wszedł do chaty, jęli go wszyscy witać radośnie, a nawet wójt wyszedł naprzeciw niemu dla przywitania.

— Rozgośćcie się panie Michale — mówił on do pisarza — czem chata bogata tem rada.

— Dziękuję wam serdecznie — odrzekł Michał wójtowi — nie frasujcie się o mnie wcale, już ja się tu dobrze zabawię.

— Hej panie Jankiel — wołał Jonek syn Bartosza — zagrajcież znowu skocznego krakowiaka.

Wkrótce odezwała się muzyka, a Jonek ująwszy Michała za rękę przeprowadził go na drugą stronę izby, gdzie na ławie odpoczywały dziewczęta. Była tutaj także czarnobrewka Marynka, której pani pozwoliła dzisiaj się uczciwie zabawić u wójta.

— Tu jest wasza! — rzecze Jonek do pisarza. Pan Michał nie czekał długo, jeno ujął prędzej do tańca Marynkę i w pierwszej parze wiódł z nią krakowiaka.

Kiedy parę razy w koło przetańczono, zaśpiewał pan Michał do Marynki:

Czegóż ciągle patrzysz w ziemię — na dół spuszczasz oczy,
Kiedy do cię serce moje mało nie wyskoczy —
Śpiewa sobie na gałęzi słowik w ciemnym borze,
A me serce strasznie puka — biedne pęknąć może.

Marynka zarumieniła się jeszcze bardziej, i wciąż na dół patrzała, aleć pisarz nie ustawał, jeno ciągle tańcząc przyśpiewywał jej dalej.

Kiedy się już wszyscy dobrze nahasali, zaczęto się pomału rozchodzić do domu, i nikt nie mógł zapomnąć tej zabawy, tak wszyśtkim przypadła do serca, luboć w całej chacie ani kieliszka wódki nie było. Długie też czasy rozpowiadali sobie ludzie o tych chrzcinach u wójta.

Na drugi dzień rano, kiedy pani wysłała Marynkę do jakiejś roboty do oficyn, które opodal dworu stały, na podwórzu zszedł się z nią tutaj p. Michał znowu; dziewcze było czegoś smutne i zamyślone, snać coś musiało trapić jej serce.

— Czemuż ty taka smutna? — zapytał ją kochanek.

— I wy jeszcze pytacie panie Michale — odrzekła dziewczyna — wzięliście mi serce, toć i nie dziw teraz, iż się smucę.

— Po cóż się smucić, kiedy jutro pójdę do państwa prosić o pozwolenie, a jak Bóg da doczekać niedzieli, dam xiędzu proboszczowi na zapowiedzi.

— Ej panie Michale — mówiła Marynka smutnym głosem — kto tam wie czy państwo pozwolą, ja zwyczajnie jestem sobie prostą dziewczyną, może to oni wyszukają dla was jaką inną.

— Co ci też znowu do głowy wlazło?! A dlaczegóżby miał nam kto wzbraniać miłości, i zkądże przyszłoby państwu do głowy swatać mnie z kimsić tu inszym.

— Taki ja nie mam wiele nadziei — rzekła ona wzdychając.

— Bądź dobrej myśli i czekaj cierpliwie do jutra, a ja ci ręczę, że wszystko dobrze pójdzie.

Po tych słowach odszedł pisarz w swoją stronę, a Marynka wciąż się smuciła. Myślała ona ciągle o Michale — boć szczerze go kochała i zdawało jej się, że kiedy pani dowie się o tej miłości, nietylko że nie da jej pozwolenia, ale jeszcze z góry nabierze, iż śmie sobie z pisarzem zaczynać.

Toć kiedy ona sobie tak myśli i rozważa przy swojej robocie, przychodzi nagle do niej stara Kowałycha.

Stara Kowałycha, jak ją wszyscy zwali — złemi trudniła się rzeczami, niby to wydawała się za lekarkę, aleć żadnych leków nie używała przy chorych, jeno odmawianiem, rzucaniem węgli na wodę i innemi guślarskiemi sposobami tumaniła ludzi; przytem trudniła się jeszcze wróżbiarstwem i innem *wyczynianiem*. Jużci, że nie wszyscy w te czary wierzyli, i dużo było takich, którzy dobrze byli przekonani, iż ona tylko ludzi tumani, toć znowu z drugiej strony było i takich głupich wiele, którzy w to wszystko wierzyli. Rzadko bardzo pokazywała się we dworze stara Kowałycha, boć pani nie mogła zcierpieć podobnych banciarek i brzydziła się wielce jej oszustwem. Dziś także przyszła ona potajemnie, przywołana do jednego dworskiego parobka, który się trochę rozniemógł. Owóż, kiedy ci tak niespodzianie naszła na Marynkę, zapytała ją zaraz:

— A czego ty taka smutna?

— To wy! — odrzekła z wstrętem dziewczyna — a wy tu co robicie?

— Co ja tu robię?... Mam potrzebę do dworu, ale co tam komu na tem; powiedz ty mi czegoś taka zasmucona?

— Wam się tylko tak zdaje — odrzekła dziewczyna chcąc się jej pozbyć.

— Ej Marynko przyznaj się — ty kochasz pisarza.

— A wy zkąd wiecie? — odrzekła znowu dziewczyna i zarumieniła się cała jak burak, dziwno jej było zkąd ona to wie, luboć wcale nic dziwnego w tem nie było, boć wszyscy o tem gadali.

— No... no... nie masz się czego rumienić — ciągnęła dalej Kowałycha — niema w tem nic złego, jeno przyznaj mi się, co ci tak jak młyński kamień leży na sercu.

— Ej nie!

— Zkąd nie! myślisz, że ja nic nie wiem hę? a może kto wam w drodze stoi — i rzekłszy to wpatrzyła się w Marynkę i potem tak dalej mówiła domyślawszy się nieco:

— Co?... czy może nie państwo?

— A wy to zkąd wiecie? — wykrzyknęła rozciekawiona dziewczyna.

— Ten paluszek — rzekła manciarka wskazując na mały palec lewej ręki — ten paluszek wszystko mi mówi.

— A więc wiecie także, że p. Michał chce państwa prosić jutro o pozwolenie.

— Jużci, że wiem.

— Aleć ja się smucę, bo mało mam nadziei, może nie dostaniem pozwolenia.

— Ja ci ręczę, że nic z tego nie będzie!

— Nic z tego nie będzie! — z wielkim zawołała żalem.

— Jeżeli mojej rady posłuchasz, toć wszystko dobrze być musi, lecz inaczej nic z tego nie będzie.

— A czemuż bym nie miała was posłuchać.

— Otóż ja ci dam jedną rzecz — mówiła Kowałycha i w tej chwili wyjęła z za pazuchy coś w chuście zawiniętego i tak rzecze do Marynki:

— Widzisz to ziele? otóż kiedy będziesz ścielić państwu łóżka, włóż połowę pani a drugą połowę panu pod poduszkę na noc. Ziele to zowie się „Lubczyk", a skoro się kto na niem prześpi, toć pewno go tak otumani, że tobie w drodze nie stanie, jeno owszem, kiedy się państwo na niem prześpią, polubią ciebie jak córkę i wszystko dobrze pójdzie.

— Kiedyż ja się boję — mówiła dziewczyna.

— Kiedy tak to i ja ci nic nie poradzę. Lecz w tej chwili szepnął Marynce do ucha duch zły: Weź ziele! i obałamucona dziewczyna wzięła je i uczyniła wedle rady Kowałychy.

Nazajutrz, kiedy się pani zebrała, dziwiła się mocno, że jakaś woń silna nie dawała jej spać przez noc całą — toż samo było i u pana. Zaczęto więc szukać i znaleziono pod poduszką ohydne zielsko. Luboć państwo nie wierzyło w żadne czary, toć przecie chcieli odkryć zbłąkaną owcę, ażeby ją na dobrą nawrócić drogę. Największe podejrzenie padło oczywiście na Marynkę, która wczoraj ścieliła łóżka — przywołała ją więc pani do siebie i poczęła wypytywać. Marynka jak nie żywa wyznała przed panią wszystko i przyznała się do winy, a potem zalana łzami błagała o przebaczenie.

— Ostatni to raz Wielmożna Pani — lecz płacz nie dał jej skończyć.

Pani poruszona szczerym żalem przebaczyła jej tę płochość i tak w końcu jej rzecze:

— Czyż i teraz jeszcze wierżysz w czary, które, jeśliby w rzeczy samej jakąś moc utajoną posiadały, nie byłyby mi jak wróbel do klatki do rąk padły. Niechaj ci to będzie nauką na całe życie, a teraz nie masz czego płakać, bo jabym i bez tych czarów nie była tobie w drodze stała, bo jużci nikomu szczęścia nie zagradzałam.

I długo jeszcze nauczała pani Marynkę, która przez cały czas rzewnie z żalu płakała.

Kiedy się o tem wszystkiem Michał dowiedział, nie chodził on już prosić państwa o pozwolenie, jeno wyrzekł się Marynki, boć jak z jednej strony miłował on szczerą prostotę, tak znowu z drugiej brzydził się strasznie ohydnym przesądem.

Płakałaż teraz biedna dziewczyna całemi tygodniami i oczy jej od wielkiego płaczu zczerwieniały jak buraki. Dopiero w kilka miesięcy, kiedy się Michał przekonał że się Marynka na prawdę poprawiła, poprosił o nią państwa i ożenił się. Wesele było bardzo sute, i państwo nie żałowali wydatku dla młodych, bo uczciwością i pracowitością zasłużyli sobie na to. Marynka jest dziś najrozsądniejszą kobietą w całej wsi i najlepszą żoną, a ze swojej dawnej zabobonności wyśmiewa się i opowiada ludziom a najbardziej młodym dziewczętom na przykład i na naukę.

Grzela z Waszkowiec.

Piękne przykłady.

TOMASZ SZLOMCZUK.

W obwodzie kołomyjskim jest wieś Potoczyska, a w niej mieszkał niedawno jeszcze wieśniak pewien zacny, Tomasz Szlomczuk, którego taka jest historya.

Tomasz jest już dziś setnie stary człek, bo urodził się jeszcze za polskich czasów, więc jest temu bez mała ośmdziesiąt

lat. Rodzice jego byli ludzie zacni ale ubodzy, więc wychowywał się Tomasz więcej przy xiędzu plebanie jak przy rodzicach. Kiedy miał lat dziewiętnaście, ożenił się z córką gospodarską, i zaczął na własnem pracować. I tak prawie z niczego zacząwszy, dorobili się Szlomczukowie niebawem znacznego majątku. Pan Bóg błogosławił ich pilności i oszczędności, a naostatek zesłał na nich największe błogosławieństwo, bo czworo ładnych dziatek.

Jużci był teraz Szlomczuk człek szczęśliwy jak rzadko. Kto ma czyste sumienie, kto własną pracą dochował się majątku pięknego i kogo Bóg pobłogosławił dziećmi, to już z pewnością człek szczęśliwy.

Ale szczęście ludzkie nigdy nie jest pewne i trwałe. Pan Bóg nieraz najpoczciwszych ludzi zasmuca, aby się przekonać, czy też oni nie porzucą swojej cnoty, i czy z jednaką wdzięcznością przyjmą od Boga nieszczęście jak przyjmowali błogosławieństwo.

Tak było ze Szlomczukiem. Dziesięć lat żył on szczęśliwy pośród dobrej żony i dzieci, aż tu nagle spada jedno nieszczęście za drugiem. Pan Bóg zabrał mu najpierw dzieci, a z wielkiego żalu i rozpaczy za niemi umarła w tym samym roku także żona Szlomczuka.

Biedny Tomasz, popłakawszy na świeżych grobach, pomyślał sobie, że to pewnie gniew Pana Boga za grzech jakiś ciężki, którego on sobie nie przypominał nawet. Otóż na przebłaganie tego gniewu czynił różne pokuty, i część majątku swojego rozdał między ubogich. Przez kilka lat wszystką młodzież swojego bydełka darowywał podupadłym wieśniakom w Potoczyskach i sąsiedztwie, a tym sposobem rozdał więcej jak pięćdziesiąt sztuk. Ofiara ta pomogła, bo wnet uczuł się Szlomczuk spokojniejszym i weselszym na duszy, a także uspokoił się jego ciężki żal za dziećmi i żoną.

Wiecie dobrze moi mili ludzie, jak to ciężko człekowi koło gospodarstwa bez żony, jak to sobie samemu w żaden sposób rady dać nie można. Chcąc niechcąc trzeba szukać żony, choćby człek wcale nie miał ochoty do żeniaczki. Tak się stało Szlomczukowi, i w kilka lat po śmierci pierwszej żony ożenił się znowu. Jednakowoż nie doczekał się już nigdy dziatek.

I znowu sobie myślał Tomasz, że kiedy mu Bóg nie dał własnych dzieci, to on powinien starać się o cudze. Dawniej zawsze on sobie myślał, że jak jego dzieci podrosną, to da je uczyć na chwałę Bożą i na pożytek ludzki — więc i teraz postanowił sobie dopomódz cudzym dziatkom do nauki. Na ten koniec ofiarował na wyfundowanie szkółki w Potoczyskach 8 morgów ornego pola, 1 morg owocowego ogrodu, 3 pnie pszczół i 20 próżnych ulów, 10 matek owiec, krowę z cielęciem i 21 reńskich nowych na kupienie xiążek dla biednych dzieci. Także wybudował przy ogrodzie owocowym chatkę dla stróża, aby nauczyciel szkody nie miał.

Widzicie jaki to musiał być człek bogaty, kiedy taki znaczny majątek mógł darować na szkołę. Zaś na tem nie koniec, bo od tego czasu przez całe pobożne życie czynił ciągle Tomasz Szlomczuk różne ofiary, a te wszystkie wypisuję ja wam tutaj na dobry przykład i na wieczną pamiątkę jego zacności.

Tak do cerkwi potoczyskiej uczynił Tomasz Szlomczuk te ofiary:

1) Kupił dzwon duży za 735 reńskich nowych.
2) Na pobicie dachu ofiarował 12,000 gont i potrzebne gontale.
3) Na około dachu cerkwi sprawił blaszane rynny.
4) Na odnowienie wielkiego ołtarza dał 441 reńskich.
5) Kupił 12 jarzących pochodni i 12 grubych kilkafuntowych świec za 157 reńskich.
6) Pająk metalowy posrebrzany kupił za 126 reńskich.
7) Sprawił 3 ornaty do cerkwi za 60 reńskich.
8) Wystawił własnym kosztem figurę przed cerkwią, wartości 100 reńskich.
9) wystawił 13 kamiennych krzyżów około dróg pola potoczyskiego, co go kosztowało 130 reńskich.
10) posprawiał piękne malowidła do cerkwi.
11) Obydwa cmentarze opasał murem, płacąc murarzom po reńskiemu i 5 centów od sążnia z własnych pieniędzy.
12) Kupił piękny pozłacany krzyż metalowy na wielki ołtarz.
13) Za mszał zapłacił 12 reńskich.

Zaś do kapliczki w Gropanach na Bukowinie darował: metalowy kielich z patyną pozłacane, kadzielnicę, parę lichtarzów metalowych razem ze świecami, dzwonek do ołtarza, ornat, albę, i inną bieliznę kościelną.

A do cerkiewki Chmielowskiej w parafii Czernilickiej sprawił: dzwon za 100 reńskich, sygnaturkę, metalowy kielich z patyną pozłacane, ornat, albę, światło i kilka obrazów.

Co zaś jałmużny wydał w życiu i zapomóg różnym biedakom, toby można o tem całe xięgi spisywać. Niechże mu Pan Bóg wynagrodzi tę zacność i pobożność.

Pobożny kmieć Słowik.

Muszę wam tu opowiedzieć o pobożnym chłopku, abyście uważali, że człek pobożny to w każdem miejscu znajdzie sposobność rozszerzenia chwały Boskiej.

Otóż tu jest niedaleko Myślenic we wsi Stróża jeden pobożny gospodarz, zowie się Jakób Słowik. Tak ci ten pobożny Słowik chodząc często do naszych ślicznych kościołów do Krakowa, dowiedział się, że w kościele śgo Piotra jest odnowione bardzo starodawne bractwo Śtej Trójcy, do którego się pobożni ludzie wpisują, a które to bractwo ma wielkie odpusty od samego Rzymu nadane.

Wpisał on się do razu do tego bractwa, ale dla jego pobożnego serca było to za mało, że tylko on się sam wpisał. Jął ci więc przemyśliwać, jakby tu to bractwo rozszerzyć a osobliwie jakoby do swojej wsi sprowadzić?

No, i jak począł za tem chodzić, i ludzi namawiać, i jak się więcej do tego przyłączyło, tak doprowadził do tego, że mu z kościoła śgo Piotra wydali za to taką urzędową xiążkę, i zrobili go w tej wsi, w *Stróży*, Promotorem tego bractwa, i już wpisał do niego 280 ludzi, którzy co Niedzielę w parafijalnym kościele śpiewają koronkę Śtej Trójcy, i inne nabożeństwa tego bractwa odbywają.

A że ten Słowik lubi także bardzo różne pożyteczne xiążki czytać, jako że już jest człek ciekawy do wszystkiego, to mówię

czesto gęsto do mnie po xiążki przychodzi, tak że mnie jednego dnia prosił, abym się do tego bractwa Stej Trójcy wpisała, co ja też z wielką radością i ochotą uczyniła, bo cóż może być milszego dla człowieka, jak wszelkiemi sposobami Pana Boga chwalić.

Ale wpisawszy się do tego bractwa, tak sobie zaraz w swojej duszy postanowiłam, że wam wszystkim o tym pobożnym Słowiku opiszę, aby was drodzy ludkowie zachęcić, abyście i po swoich wsiach to bractwo Stej Trójcy rozszerzali, a przyniesie ono wam wielkie łaski z nieba.

Bo, jeżeli kiedy, to dziś modlić wam się gorąco o łaskę Boga trzeba, aby Pan Jezus i nas pocieszył, i tamtych biednych braci naszych wspierał, i swoją potęgą ratował.

A najwięcej uprosimy sobie, modląc się wspólnie, i prosząc o wszystko w Imie Trójcy Świętej.

Ten Słowik, to taki pobożny i taki żądny chwały Boga, a oraz przywiązany do ojczystych rzeczy, że jak jeno przeczytał w tegoczesnej kolędzie o tysiącletniej pamiątce i rocznicy zaprowadzenia u nas wiary ś. chrześciańskiej, to do razu chciał ze swojem bractwem na uczczenie tej rocznicy najprzód tu w Myślenicach to nabożeństwo zrobić; ale że na to nie ma jeszcze rozporządzenia od Biskupa, a tak ci tu w parafij, nie mogli takiego nabożeństwa odprawiać — aż przyjdzie czas ku temu.

Bądźcież więc łaskawi panie Redaktorze, tę rzecz o tym pobożnym gospodarzu w waszym Dzwonku wydrukować, o co was pięknie proszę.

Ludka z Myślenic.

RÓŻNOŚCI.

Cudowny ratunek. Jest tu u nas we Lwowie klasztór Sióstr Miłosierdzia, a przy nim studnia okrótnie głęboka, bo aż na 18 sążni. Otóż niedawno popsuła się ona, i trza było naprawić ją. Pewien cieśla z pomocnikiem zaczęli ją naprawiać, a to było jeszcze przy końcu kwietnia. W poniedziałek 27 kwietnia, kiedy obaj pracowali w studni, usunęły się źle ocembrowane

ściany, i ziemia zasypała obudwóch. Dano znać o tem nieszczęściu do urzędu miejskiego, i zaraz jęli się do roboty aby ich ratować. Kopią i kopią, a tu ani rusz doszukać się czego. Widzi pan przełożony że trudna rada, więc sprowadza z Kałusza jednego hutmana i dwóch górników, którzy dopiero wieczorem we czwartek do Lwowa przyjechali. Otóż na drugi dzień zrana biorą się do roboty, i znowu przez cały dzień szukają nadaremnie, więc i w sobotę cały dzień kopią, także nadaremnie. Dopiero w sobotę wieczorem już o zmierzchu znajdują obudwu zasypanych cieśli, i to obu żywych. No patrzcież moi mili, czy też to nie dziwny i cudowny prawie ratunek! Kiedy się studnia zawaliła, belki cembrzyny usunęły się tak, że nad ich głowami dach uczyniły, na którym się ziemia oparła. Siedzieli oni pod tym dachem na rusztowaniu, a pod nimi na 10 sążni głęboko była woda. W tym także czasie podniosła się woda i doszła aż pod samo rusztowanie, więc obaj nieszczęśliwi myli się nią i nacierali sobie skronie, jak ich tylko mdleć zaczynało. Siedzieli oni tak 6 dni i 6 nocy, prawie bez posiłku, bo nie mieli ze sobą jeno nieco chleba i trochę wódki. Więc jak już im strasznie głód dokuczył, to jedli po kawałeczku chleba i pili po kilka kropel wódki. Jeden z nich człek starszy, miał tyle przytomności, że kiedy ich odgrzebano, pomógł wyciągnąć swego towarzysza, a potem dopiero sam się ratował. Oddano ich do szpitalu, bo bardzo byli pomęczeni, ale już zda mi się wyszli obaj całkiem zdrowi.

Smutny wypadek. W Samborze na przedmieściu u gospodarza Jędrzeja Paluchy stał się 14 kwietnia taki smutny wypadek. W chałupie Jędrzeja pali się zawsze wieczorem lampka naftowa, i jużci to dobrze, bo takie światło dobre a bardzo tanie, i może je mieć lada chudzina. Jeno trzeba z tą naftą bardzo uważać i bardzo ostrożnie się obchodzić. Otóż i owego dnia paliła się tam lampka, a iż było w niej mało nafty, chciała Paluchowa więcej dolać, i uczyniła to nieostrożnie. Wyjęła z lampy knot palący i kazała trzymać go swemu synowi Jakóbowi, zaś sama leje naftę do lampki. Nieszczęściem zajęła się nafta i wnet pękła flaszka, a nafta oblała Jakóba, na którym zaczęła się palić odzież okrótnie. Paluchowa leje na niego wodę, a tym sposobem jeszcze bardziej pali się ogień, bo najgorzej i najniebezpieczniej gasić naftę wodą. Zaczną więc krzyczeć oboje, a na to nadbiegł Paluch sam, okrył Jakóba kożuchem, i tym sposobem ogień przytłumił. Biedny Jakób poparzył się okrótnie, a choć zaraz sprowadzili doktora, umarł on na drugi dzień z popalenia. Pamiętajcież więc mieć ostrożność z naftą a gdyby się broń Boże zdarzył komu taki wypadek, to ogień gasić trzeba nie wodą ale przytłumieniem, narzucaniem różnej odzieży, bo tak tylko ugaśnie prędko.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 15.

21. Maja. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zamek w Ojcowie.

We wsi Krajowcach stoi już od lat 8 domostwo, jakby tam siedział jaki sołtys bogaty, a to nie chałupa sołtysa, jeno szkoła, gdzie pod jednym dachem uczą się dzieci i razem siedzi tam pan nauczyciel. Rozumni to i dobrzy ludzie w tej wsi, bo z każdej chałupy suną ci tam dzieci przed południem do szkoły jakby w niedzielę do kościoła, a to maleństwo uczesane, umyte, w bucikach i czapeczkach rozmaitych aż miło popatrzyć na to. Otóż raz przyszła tam do tej szkoły sama pani z synkiem swoim małym Bolciem, a ten Bolcio dawał szkolarzom to obrazki, to xiążeczki, to medaliki z Najświętszą Panną — i dostał się jednemu obrazek z napisem: Zamek w Ojcowie. Podziękował za ten obrazek ładny chłopczyk samej pani, a zwał się Sobuś Trznadel i zaczął mu się przypatrywać na wszystkie strony, i czytał sobie dorazu wszystkie napisy na obrazku, kiwał głową, boć nie mógł zgadnąć czy to kościół jaki, czy dwór jaki, czy jaka kaplica — więc wyszedł na środek szkoły, pocałował samą panię w rękę i tak się odezwał do niej:

— Proszę pani dziedziczki opowiedzieć mi, co to stoi wymalowane na tym obrazku, i co to za dziwny napis na nim?

— *Pani:* To widzisz mój Sobuś jest taki murowany i wielki dwór na wysokiej górze i to niedaleko od naszego Krakowa.

Sobuś: A któżto tam siedzi w tym dworze?

Pani: Dziś tam siedzą tacy ludzie, jak i my tu w naszym dworze, jeno tamten dwór jest starodawny i można o nim wielkie ciekawości opowiadać.

Na to krzyknęły wszystkie dzieci w szkole:

— O prosimy też naszej dobrej pani, aby nam też opowiedziała co pięknego o tym dawnym dworze, bo o Krakowie to już wiemy dużo — i zaraz Sobuś wziął stołeczek i postawił pani, aby sobie siadła, a sam stanął sobie blisko, aby mógł wszystko dobrze wysłuchać i wymiarkować sobie i spamiętać.

Otóż dobra dziedziczka tak opowiadała:

— Widzicie kochane dziatki, że tego dworu nie było od początku, jakto polscy królowie siedzieli sobie w Krakowie — tam gdzie teraz stoi ten dwór wysoki na górze, to były jeno wielkie kamienie i lasy, a na dole była wioska, gdzie gazdowali tacy kmiecie jakto są dziś wasi ojcowie — i byli ci kmiecie bardzo pracowici, pobożni, trzeźwi i tak samo nazywali się Polakami, jakto i my zowiemy się tak samo. Otóż w dawnych czasach, bo jużto temu dobrze 500 roczków, był królem polskim niejaki Przemysław; był to mądry i dobry król, bo się ujmował za biedakami Pomorzanami, ale go za to zabili Niemcy i chcieli oni koniecznie zrobić polskim królem jakiego Niemca — i udało im się to, bo został w Krakowie królem niejaki Wacław Czech, co lubił niezmiernie szwargotać po nijakiemu, i nawet zarzucił swój ubiór po ojcach a przebrał się po niemiecku. Ba! alećto była krzywda wielka dla jednego królewica polskiego, co się jemu należał i Kraków i kraj polski, bo się to wtedy tak porobiło, jakby dziś obcy człowiek wlazł na wasz grunt i do waszej chałupy, i zabierał to dla siebie, a sieroty po ojcu powyganiałby na żebraninę.

Otóż widzicie było i wtedy niesprawiedliwie i źle w Krakowie, bo w Krakowie siedział sobie Czech, po kraju polskim

darli lud polski jego urzędniki i wydziwiali sobie, a królewic polski Władysław Łokietek poniewierał się po świecie jak ta sierotka wygnana z domu ojca od jakiego niedobrego opiekuna.

Jak tylko Sobuś posłyszał to słowo Władysław Łokietek, zaraz się odezwał do pani:

— Toć ja znam historyę o tym królu polskim, toć on był maleńki tak jak ja, a może trochę większy, i przezwali go Polacy dla tego Łokietkiem niby mało co dłuższy nad łokieć — o wiem ja wiem, jak go niesprawiedliwie wyścigał z Krakowa jeden wójt, jakośto zwał się on pono Albert po niemiecku, jak tego biednego Łokietka schowali do klasztoru swego zakonnicy, boby go byli zabili Niemcy i Czechy, jak on potem poszedł aż do Ojca świętego na skargę, aby się ujął za nim jako za sierotą, a ojciec też święty napisał za nim i znowu dobry król węgierski dał mu trochę wojska swego, a znowa dopomagali mu polscy chłopi i on też powrócił znowu sobie po takiej biedzie do domu swego i osiadł w Krakowie.

Gdy pani usłyszała jak Sobuś opowiadał, aż się uradowała, pogłaskała Sobusia, dała mu z woreczka kilka krajcarów na papiery i atrament, a potem zapytała dalej:

— Ale nie znasz mój Sobusiu historyi o tym dworze w Ojcowie, a widzisz, że właśnie w tej samej wsi był także ten sam król i tam go poczciwi kmiecie pilnowali i żywili.

Sobuś zadumał się trochę i nic nie powiedział, to też sama pani tak dalej gadała:

— Widzisz Sobusiu, jak ten królewic Łokietek wrócił z pisaniem od samego Ojca świętego, dowiedzieli się o tem Czesi i Niemcy, i chcieli go znowu albo zabić albo złapać, nawet obiecali wielkie sumy dać temu, ktoby go złapał i do Krakowa przystawił. A przecie to był grzech wielki, bo jakże można zabierać sierotom ojcowiznę, albo ich wygubić, wytracić do jednego, a potem sobie zabrać i używać? To też i ten królewic krył się po lasach i górach, i poczciwy lud polski na górach nocował go nieraz i żywił, boć każe Pan Jezus robić: Niechta będzie sierota czy po królu, czy po panie, czy po chłopie, to wszystko jedno, trza ją bronić i ratować, bo to sierota! Ale raz dostał się ten królewic aż pod Kraków i zaszedł sobie do

wsi tam między kamienie i lasy, gdzie to dziś stoi ten dwór, i jak tu na twoim obrazku Sobusiu jest wymalowany! Ale doskwierał mu głód wielki — zrazu to zbierał poziomki i jadł, to zrywał dzikie gruszki i pożywiał się, ale nie jeść długo ani chleba ani gotowanego co, to choroba, a znowu nie być opranym długo, to cię robactwo zje i pokaleczy. To też i biedny królewic cierpiał głód i biedował, ale raz tak sobie pomyślał:

— Toć tu jest wieś na dole, tu lud polski i katolicki, toć znają naukę Pana Jezusa, toć przecie przyjmą i poratują sierotę — i poszedł z góry do wsi, a jużto było daleko w nocy.

Przyszedłci pod jedną chałupę i puka, a gospodarz się odzywa:

— Kto tam puka tak w pożną noc?

A królewic mówi:

— Wstańcie! wstańcie człeku boski! otwórzcie drzwi, bo to puka sierota opuszczona i biedna i ścigana od złych ludzi, i podajcie jej wody i chleba i nocleg w domu waszym!

Na te słowa wyrozumiał chłop, że to jakaś dobra dusza potrzebuje przytułku, zerwał się, zlazł z góry, gdzie leżał, i otworzył pomału drzwi i wpuścił do sieni królewica. Ale to była noc ciemna, to też ani chłop nie widział królewica, ani królewic chłopa. Dopiero zaświecił chłop szczypę i zdumiał się i trochę się przestraszył, gdy zamiast odartego dziada lub sierotki jakiej, zobaczył z pańska i po żołniersku trochę ubranego człowieka.

Ale królewic zaraz mu powiada:

— Otóż mój gazduniu, ja jestem syn króla nieboszczyka Kazimierza, a brat rodny zmarłego króla Leszka Czarnego — mam tu pisanie od Ojca świętego do was chłopów, abyście mi pomogli dostać się na ojcowiznę moją. Obiecali wam dać wielkie sumy za to, jeżli mię złapiecie i do Krakowa odstawicie albo żywego albo zabitego — ale ja wiem, że wy katoliki i także jak ja Polacy, to wy mi krzywdy sami nie zrobicie i nie dacie zrobić, boby was pokarał za to Pan Jezus i ta Najświętsza Panna.

Kmieć się zczerwienił i skłoniwszy się mówił:

— Ach! Boże mój święty! czyżbym ja mógł być drugim Judaszem i mego krajana i katolika, ba! naszego królewica wydać Niemcom za pieniądze na zabicie lub zatracenie? toćby mię Pan Jezus zagubił za to i potępił na wieki moją duszę jak zatracił i duszę Judasza — nie bój się panie nasz, siadaj sobie u mnie prostaka, napij się mleka wieczornego od mej krowiny, przekąś i chleba grubego żarnowego, a ja pójdę zwołać moich sąsiadów, abyśmy cię mogli bronić, gdyby broń Boże! miało cię co złego spotkać.

Królewic Łokietek usiadł za stołem, napił się mleka, przekąsił chleba, a chłop poleciał do sąsiadów i przyprowadził ich sześciu naraz. Wtedy znowu odezwał się królewic do chłopów:

— Przyszedłem do was, jako sierota po sprawiedliwość — oddaję się wam, jeżliście dobrzy katolicy i boicie się Boga, to mi pomożecie, a jeżliście źli ludzie, to możecie zrobić ze mną, co wam się podoba.

A chłopi pokiwali głowami i rzekli:

— Ach! Panie! choć cię nie znamy i nie wiemy jeszcze czy jesteś obcy jaki, czy też brat króla nieboszczyka, to nie myśl tak źle o nas — między nami żyj sobie jak u Boga za drzwiami, a jeżli to prawda że jesteś synem królewskim, to ci między nami ani włos z głowy nie spadnie i pierwej nas wszystkich wybiją do jednego, nim ciebie z naszej wsi potrafią zabrać do Krakowa. Abyś był pewny życia to cię zaprowadzimy do jednej skały, tam jest taka izba, damy ci posłanie, nakrycie i pożywienie, i tam sobie będziesz siedział jak ptaszek na wysokim dębie między liściami.

I zapalili ci dobrzy ludzie garść słomy i tak zaprowadzili królewica sierotę do tej kamiennej izby, pożegnali go z Bogiem, a odchodząc mówili:

— No! teraz tu sobie siedź biedna sieroto, Bóg tu popamięta o tobie, a my da Bóg! zaniesiemy cię kiedyś na rękach do Krakowa, i ty będziesz nam królował, o! bo teraz bieda koło nas, jakieś przywłoki drą nas ze skóry i nawet nie dadzą się ostać biednym sierotom na świecie Bożym.

Na to rozpłakał się królewic i pożegnał chłopów, potem ukląkł i modlił się długo, długo w nocy, a gwiazdeczki świe-

ciły na niebie, zdjął z piersi krzyżyk, co mu dał Ojciec święty, pocałował go a potem zmówił: Kto się w opiekę i usnął.

Na to wszystko uważał sobie Sobuś tak, że ani oka z pani nie spuścił, a gdy pani przestała mówić, to Sobuś zaraz zapytał:

— No! i to może ci chłopi zrobili królem w Krakowie tego malutkiego Łokietka, ale jakoś mi się to nie zdaje.

A pani mu odpowiedziała:

— Oj tak! tak! mój Sobusiu — Pan Jezus dopomógł ukrzywdzonej sierocie, co się poniewierała po cudzych progach jakie z 10 lat i zeszła tyle świata nadarmo — a chłopi od Krakowa zaprowadzili jakby czerniawa jaka, tego biedaka do Krakowa i zrobili go swoim polskim królem, a to się stało roku 1306 i wielkato pamiątka od tych chłopów na cały świat, i dziś gadają o tych dobrych ludziach i będą gadać do końca świata, ale też i Pan Jezus zapłacił im w niebie za tę sierotę.

A dzieci się potem zapytały:

— A cóż się stało z tym obcym królem, pono Wacławem, co to chciał jak Herod zabić Łokietka?

A pani im powiedziała:

— Oj moje dzieci! kto zamyśla kogo zabijać, to tego zabija sam Pan Jezus, a kto krzywdzi sierotki i chce ich wygubić, to idzie marnie z tego świata i zagubia duszę na wieki — tak też stało się i z tym Wacławem, bo choć to król i taki bogacz, to jeno 5 lat pozwolił mu Bóg dokazywać w Krakowie, a jego dziecko znowu tak się rozłajdaczyło i rozpiło, że to Bóg zabrał nagle z tego świata i po tych Wacławach nie zostało ani śladu.

A Sobuś znowu rozgadał się tak:

— O! ten Łokietek był dobrym królem, on poodbierał swoje polskie kraje, Ojciec święty koronował go na króla w Krakowie, a miałci on tak lubić chłopów i tak przepadał za nimi, że porobił chłopów panami i...

A pani poderwała go i mówiła:

— A tym chłopom co go ratowali, podawał sołtystwa, kumował im, sprawiał wesela, dawał wiano ich dzieciom, posyłał do szkoły i pamiętał im to do śmierci. A syn jego, ten Kazimierz Wielki, co to się zwał królem Chłopów, pamiętał to chłopom, co to oni zrobili dla jego ojca, a na tem miejscu gdzie

jego ojca schowali chłopi tam w tej kamiennej izbie, to postawił dwór murowany, ten sam co jeszcze do dziś stoi i ty Sobusiu masz go na obrazku.

A Sobuś zaraz z radości zawołał:

— Aha! toto ten dwór taki, toto taki zamek, i toto wymurował król Kazimierz na pamiątkę że tam między lasami i kamieniami przesiadywał biedny jego ojciec, a potem był królem tak dobrym i sprawiedliwym, aha!

A pani zapytała Sobusia:

— A wiesz moje dziecko, dla czegoto nazywa się ten zamek: Zamek w Ojcowie?

A Sobuś zadumał się na to. To też pani mówiła:

— To widzisz dla tego nazywa się tak pięknie ta wieś i ten zamek, że król Kazimierz kazał tak nazywać na pamiątkę wieczną, bo chłopi ci dobrzy byli jakby ojcami dla sieroty biednej, a znowu i dla tego zamek zwie się tak, bo tu na tem miejscu uchował Bóg ojca jego od zaguby. Otóż weź sobie ten obrazek do domu, a historyę o tym zamku opowiadaj wszystkim, aby wiedzieli ludzie, co to dobrego i pobożnego było dawnej w polskim kraju.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Królowa Wanda.

W błogosławionej polskiej krainie
Wanda zasiadła na Lachów tronie,
Anioł dziewica z wdzięków swych słynie,
I jakby gwiazdka na niebie płonie.

Wieczne panieństwo Bogu ślubiła,
I wierna swojej przysiędze była,
A Bóg policzył ten kwiat na ziemi
W niebie pomiędzy anioły swemi.

Jak wonne kwiecie wabi motyle,
Tak Wanda nęci roje rycerzy —
Jak ziarnek w maku przyszło ich tyle,
Lecz Wanda gardzi kwiatem młodzieży.

Był xiążę sławny pomiędzy niemi,
Zwał się Rytygier z niemieckiej ziemi,
I ten najbardziej ważył się na to,
Żeby królową pojął bogatą.

Wanda się Niemcem wielce brzydziła,
I z wzgardą ręki swej odmówiła —
A xiążę wobec zamkowych gości
Aże się pienił od wielkiej złości.

I prędzej ruszył do swego kraju,
Ażeby zemstę nieść polskiej ziemi,
I po dawnemu Niemców zwyczaju
Chytrze wszedł w zmowę także z obcemi.

I tyle przywiódł z sobą żołnierzy
Iż niezliczona tłuszcza ich była;
Wanda zwalczyła nędznych szermierzy
I za granicę precz wyrzuciła.

A kiedy wrócił xiążę do domu
To aż się wściekał, pienił ze sromu,
I zebrał znowu pachołków chmury
I szedł brać szturmem krakowskie mury.

Jako szarańcza słoneczko Boże
Chmurą zakryje przed ludzkiem okiem,
I gdy upadnie na pola zmrokiem,
To wszystką trawę zeżre i zboże;

Taka też z xięciem tłuszcza żołnierza
Przez lasy, góry do Polski zmierza,
A xiążę w drodze zachodzi w głowę,
Jakby najlepiej porwać królowę.

A gdy już było głośno w Krakowie,
Że taka zgraja do Polski dąży,
I że ją wiedzie niemiecki xiążę —
Wanda te słowa do ludu powie:

„O mnie to idzie narodzie drogi —
Na mnie się sierdzą, wściekają wrogi —
I całej wojny we mnie jest zaród,
Więc wolę zginąć ja, niż mój naród!“

I z płaczem Wandę błagał lud cały,
Lecz płacze, prośby nie pomagały,

Bo w swym zamiarze królowa stała
Jako najtwardsza na ziemi skała.

Bogu w ofierze siebie oddaje —
Nad brzegiem Wisły dziewica staje
I w nurtach tonie — a Bogu miłą
Królowę naród uczcił mogiłą.

Gdy wieść ta doszła do Rytygiera,
Z drogi do domu wojska zabiera.
Oj dobrze nasza Wanda zrobiła,
Że się przed Niemcem w nurt Wisły skryła.

Grzela z Waszkowiec.

Jak Michał Kopystko wyszedł na handlowaniu końmi?

— A gdzieto Bóg znowu prowadzi Michale? — pytał sąsiad Walek Dzieża, widząc iż Kopystko zaprzęga dwie liche szkapy do woza i ładuje się w podróż.

— A do Krzeszowic — powiada Michał — bo dziś dzień jarmarczny, więc dla mnie huk interesów.

Walek Dzieża, co to był gospodarz dobry i pracowity, oparł się o płot, i zapyta znowu Michała:

— Mój Michale a dyć trawa doszła już, a na waszej łączce koło dębowego jaru i wedle czerwonego krzyża aż się prosi, aby ją kosić. Dzień ładny, to szkoda go.

— Owa! — huknie Michał — co mi tam trawsko nędzne, to ja dla niego nie mogę opuszczać jarmarku. Wy to ani rusz nie rozumicie Walku co to handel. Toć ja za jeden dzień mogę na nim więcej zarobić jak przez dwa miesiące koszeniem. Ot patrzcie ten łysy konik to skarb, wiem z pewnością że się na jarmarku będą kupcy o niego dobijali, i zapłacą co jeno zechcę. Albo bułanka co? hę?

— Daj Boże! — powie Walek — ale bo po prawdzie oba te koniki nie wiele warte. Łysy ledwie łazi, toć patrzcie jak stoi przedniemi nogami niby na śpilkach; a bułanka dychawiczna. Nie zda mi się, abyście na nich zarobili.

— O to mi znawca — krzyknie Michał w złości i weźmie się po pod boki — o widzicie go, on się będzie zdziwiał nad moimi końmi! Już ja widzę Walku że ty będziesz całe życie chodzić za wołami. Ale wara tobie od moich koni, abyś mi jeszcze kupców nie poodstraszał.

Wykrzyczawszy się siadł Michał na wóz, zaciął konie i powoli powlókł się do miasteczka. Walek nic już nie gadał, jeno smutnie jakoś popatrzał za Michałem i rzekł do siebie.

— Szkoda człeka i gospodarki, bo już ja widzę że to wszystko marnie pójdzie.

I mówił Walek prawdę. Zagroda Michała, chociaż jedna z największych w całej wsi, wyglądała teraz strasznie nędznie i opuszczona. Widać że gospodarz mało w domu siadywał i mało się o nią troszczył. Chałupisko wielkie, poodzierane z wierzchu, z przegniłą strzechą, podpierali z jednej strony drągami jakby się już walić miało; po stodole i chlewach okrótne pustki a nieporządek, wszystko otwarte na ścież, wszystko odrapane i walące się. O podwórku niema już co mówić. Niechlujstwa tam było więcej niż u arendarza w karczmie, a komu wypadło przechodzić przez nie, to i nogi mógł połamać, i kark skręcić, i unurzać się w błocie jak nieboskie stworzenie. Ot tak jednem słowem byłato okrótna rudera aż patrzeć niemiło.

Zaś całkiem inaczej wyglądała ona za dawniejszych czasów. Ojciec Michała był zamożny i pracowity gospodarz, miał kilkanaście morgów pięknego pola, chodził pilnie koło gospodarki i miał wszystko w największym porządku. Za jego życia bywała zawsze chałupa bieluśka i czysta aż miło, podwórko w porządku jak we dworze, stajnie porządne a w nich woły, krówki i owce jak nalane takie piękne i tłuste, zaś gumno jego i stodoła sławne były na całą wieś, tak tam bywało zboża pełniutko, że czasem sześć i siedem brogów stawiali koło stodoły. No i patrzcież na co to wszystko zeszło teraz.

Za młodu był Michał także pracowity i dzielny parobczak, bo jużby ojciec stary inszego syna nie ścierpiał. Aż tu razu jednego przyszła branka, i wzięli Michała w rekruty. Poszedłci chłopczysko w świat daleki, i osiem lat ani słychać o nim nie było we wsi. Stary ojciec pracował tymczasem ciągle, aby dla jedy-

naka zachować piękne gospodarstwo, kiedy wróci z wojska do domu. No i wrócił on nakoniec, a ojczysko jakby tego jeno czekał, oddał mu gospodarstwo, i coś już na drugą niedzielę zmarł biedaczyna.

Zaś Michał wrócił całkiem inny niż poszedł. Do wojska poszedł chłopak dobry i pracowity, a wrócił leń i pijaczyna, który się żadnej roboty imać nie chciał. Laził jeno po karczmach, upijał się i próżnował aż żal brało patrzyć. Gospodarstwo zaczęło upadać, wszystko się rujnowało. Gospodarze sąsiedni gadali mu na rozum, xiądz proboszcz i pan dziedzic upominali, ale to wszystko było na darmo. Niebawem przehulał cały dobytek, a jak zobaczył iż niebawem przyjdzie i grunt sprzedać, więc zaczął niby przemyśliwać o pracy i poprawie.

Ale próżniakowi i pijakowi nie łatwo o poprawę. I Michał także nie pomyślał o tem, iżby wziąć się na dobre do pracy, jeno szukał sposobu łatwego na zarobek. Włócząc się po jarmarkach widział jak koniarze na handlu zarabiają, i choć nic a nic nie rozumiał się na koniach, postanowił sobie zostać koniarzem. Nie słuchał więc dobrej rady drugich gospodarzów, ale na pierwszym jarmarku kupił jakieś hetki na borg, i upiwszy się okrótnie, wrócił po nocy do domu. Od tego czasu włóczył się po wszystkich jarmarkach jak najęty, i coraz gorsze handle robił.

Starsi koniarze, okpiświaty i wydrwigrosze, zawsze mu wściubili jaką habetę o trzech nogach i jednem oku albo też i całkiem ślepą, nieraz i z odpadłym ogonem, a Michałowi zdawało się, że już wielki kupiec, kiedy przywlókł się w nocy do domu na trzech albo czterech zdechlakach. Włócząc się tak po jarmarkach, poduczył się już Michał nieco handlu, a poprawdzie powiedziawszy cygaństwa i szachrajstwa, ale go zawsze starsi koniarze oszukiwali dosyć, i Michalisko rujnował się już do ostatka.

Tak było aż do onego dnia, kiedyto rano rozmawiał Michał z Walkiem Dzieżą. Ofuknąwszy poczciwego Walka za dobrą radę, zaciął dwie nędzne szkapy i ruszył do Krzeszowic na jarmarek. Dowlókł się dość na czas, bo mu było niedaleko, i wnet go tam przydybał sławny koniarz a jeszcze sławniejszy

cygan i hultaj Mortko Rudy, z którym Michał ciągłe miał handle. Krzyknie on wnet do Michała:

— Hej Michale, a masz ty pieniądzów moich, bo ja już nie będę ani na chwilę dłużej czekał.

— No, no Mortku — powie Michał — będą pieniądze, nie bój się, albo ty nie znasz moją poczciwość.

— Idź ty sobie do licha z twoją poczciwością — powie mu Mortko — mnie potrzeba pieniędzy. Albo to ja już mało czekam? Albo ty mało już odemnie nabrał koni na borg, albo ty nie wziął srokatego i parę gniadych, i tego fajne ogierka, co jeno na jedno oko był ślepy i troszkę na jedną nogę pokuliwał, albo ty nie wziął odemnie i tę bułankę, hę? A gdzie moje pieniądze, hę? A to ja zaraz idę do sądu, i twój grunt sprzedam i te oba konie zabiorę.

— Ej Mortku — woła Michał — a co tobie? Toć ja wiem dobrze com wziął od ciebie, i wiem także że to poprawdzie same straszne gałgaństwo ty mnie dawałeś, no ale już ja zapłacę tylko czekaj, bo i mnie zgubisz i swego nie odbierzesz.

— Jak zapłacisz? co zapłacisz? zkąd zapłacisz? — wołał Mortko.

Wtedy Michał zaczął się Mortkowi okrótnie przeklinać i przysięgać po kupiecku, że mu wnet z pewnością odda pieniądze, i jął mu coś po cichu rozpowiadać a rozpowiadać tak, że na końcu Mortko pofolgował, i zawoławszy jeszcze dwoch handlarzy szachrajów, którym Michał także był winien za konie, coś się długo naradzali. Nareszcie zgodzili się tak, że zaczekają jeszcze Michałowi i dadzą mu nawet trzeciego konia. Dali mu też jakieś okrótnie mizerne szkapsko, co ledwo nogi włóczyło za sobą, i podpiwszy sobie dobrze na traktamencie Michała, puścili go w drogę.

Powrócił Michał w nocy do domu, a na drugi dzień rano jął ładzić wóz. Że to zaś był grat stary i do niczego, więc zaczął po gospodarzach pożyczać to koła, to wasążka, to luśnice, to chomątek, i jakoś to pozbierał łataninę i wyrychtował. Potem zaprzągł swoje chabety i ruszył aż do Krakowa. W Krakowie ugodził się z gospodarzem, co to most budował pod drogę

żelazną, o dowóz kamieni, i wziąwszy zadatku 50 reńskich nowych, wrócił do domu.

No i cóż myślicie, że mu poszedł interes dobrze?

Gdzie tam, jak mu mogło pójść dobrze, kiej się wziął nie do swego rzemiosła, bo z maleńkości aż do tego czasu nie umiał i nie nauczył się chodzić dobrze koło koni, nie znał całkiem co to furmanka, bo to już całkiem nie jego rzeczą było. Michałowi zachciało się lekkim sposobem przyjść do pieniędzy, więc wziął się do handlowania końmi, a kiedy się to nie udało, jął się furmanki. Myślał on sobie, że jak pójdzie spacerem przy furze z kamieniami, to już cała rzecz, i wszystko się uda doskonale a zarobek będzie dobry.

Otóż kiedy wziął pieniądze, zamiast wozić kamienie, zaczął chodzić po wszystkich jarmarkach, częstując znajomych i nieznajomych wódką i piwem, zjadając przekupkom różne specyały, gdzie mu najlepiej smakowały ucha świńskie. Kiedy już przehulał pieniądze, wybrał się nareszcie z kamieniami do Krakowa. Zaś do pomocy najął sobie parobka jednego Jakóba, który był taki leń jak on sam, i tak samo nic nie umiał jak Michał.

Otóż póki jechali gościńcem, to szkapska jeszcze jako tako ciągły, tembardziej że co karczma odpoczywali i pili; ale skoro zjechali na drogę poboczną, i przyszło pod górę, szkapska ani ruszyć nie mogły. Michał bije, tłucze, klnie co niemiara, ale szkapy nawet wozu z ciężarem utrzymać nie mogły, a cóż dopiero z miejsca ruszyć. W końcu nie było inszej rady, jak pozrzucać kamienie do przekopy i nawrócić do domu. Tak też zrobił Michał, i razem z Jakóbem przyjechali nazad do chałupy.

Aliści wnet go nowa bieda spotkała. Skoro bowiem przywlekli się przed chałupę, aż tu obie szkapy dyszlowe padły, a lejcowy dostał myszy. Z nieżywemi trudno poradzić, ale chorego konia trza ratować — pomyślał sobie Michał, i wziął się do kuracyi.

Otóż przypomniał on sobie, iż jakiś koniarz cyganisko nauczył go sposobu na myszy u konia, a ten był taki, aby choremu koniowi dać ogon z tchórza drobno pokrajany z maślanką. Na przypadek miał już kawałek takiego ogona w schowaniu, więc posłał zaraz Jakóba po maślankę do żyda arendarza, z któ-

rym bardzo się był poprzyjaźnił. Przyrządziwszy lekarstwo zadał je koniowi, a potem mówi do Jakóba:

— Weź konia za uzdę i oprowadzaj do siódmego razu koło chałupy.

— A to na co? — pyta Jakób nie tyle z ciekawości jak z lenistwa, bo mu się nawet konia oprowadzać nie chciało, jeno myślał aby przewrócić się do góry brzuchem taj spać.

— Zobaczysz zaraz, to jeszcze jedno lekarstwo i najlepsze.

Pocznie Jakób oprowadzać konia, a Michał tymczasem stanie z workiem przy węgle domu. Ile razy przywlokło parobczysko konia pod ten węgieł, tyle razy palnął Michał konia workiem po krzyżach, myśląc sobie, że takiem czarowaniem z pewnością go uratuje.

Nie prawdaż moi mili że to rzecz śmieszna! Każdy człek rozsądny, kiedy mu koń albo inne bydle zachoruje, idzie po radę do takiego, co się na tem dobrze zna; na myszy u konia łatwy sposób, bo jeno upuścić mu trzeba nieco krwi z pod obu uszów i będzie zdrów. Żeby Michał miał więcej rozumu, pewnieby nie czarował konia workiem i ogonem tchórza, boć to każdy pozna, że takie głupstwa uleczyć nie mogą. Jakoż do rana nawet nie doczekał konisko i zdechł jak oba drugie.

Michał zgryzł się okrótnie, boć to i konie nie były popłacone, i z dawna winien był handlarzom, a znowu zadatek od koniarza także nie odrobiony, zaś gospodarstwo okrótnie zapuszczone i do niczego. Jak to sobie wszystko pomiarkował, więc z wielkiego zmartwienia rozniemógł się bardzo, i leżał w takiej nędzy w chałupie bez żadnej pomocy, bo urwis Jakób poszedł światami, skoro zobaczył że tu niema już co robić.

Byłby tak Michał pewnikiem zmarł bez pomocy, bo we wsi nie lubili go i w końcu nie wszyscy nawet wiedzieli co się z nim dzieje, bo wszyscy po całych dniach pracowali w polu. Na jego szczęście poczciwy Walek Dzieża doniósł o wszystkiem do dworu, a państwo dziedzice zaczęli się opiekować Michałem, choć na to nie zasłużył, bo dobrej rady pańskiej nigdy nie słuchał. Otóż sprowadzili doktora, kupili lekarstwa, przysyłali ze swego stołu jedzenie i bieliznę, i tak iż przy tej opiece wyzdrowiał niebawem Michał zupełnie.

Ale ta choroba i nieszczęście posłużyły mu na dobre. Przekonał się że jest leń i próżniaczysko, że tym sposobem tylko na ostatnią nędzę przyjść może. Przekonał on się że dobrze mówili pan dziedzic, xiądz proboszcz i starsi gospodarze, kiedy mu odradzali handel i napominali aby się wziął do pracy uczciwej. Otóż skoro wyzdrowiał, poszedł najpierw do kościoła, wyspowiadał się i podziękował Panu Bogu za miłosierdzie, potem szedł do dworu, i dziękował państwu za opiekę. Spyta go pan dziedzic:

— No i cóż myślisz robić Michale, czy jeszcze ci pachnie handel?

— Gdzie zaś – mówił Michał — już mi wstyd za to wszystko, że na ludzi patrzeć nie mogę.

— Więc staraj się naprawić dawne błędy pracą i uczciwością — mówił pan — a zobaczysz że ci to na dobre wyjdzie, bo pamiętaj sobie że tylko praca ludzi zbogaca.

Usłuchał Michał, jął się szczerze do pracy, ożenił się niebawem z poczciwą i pracowitą dziewczyną, i wyszedł na całkiem porządnego gospodarza. Do dziś dnia popłacili już długi wszystkie, poprawili gospodarstwo, a niebawem będzie Michał tak samo zamożnym gospodarzem jak był jego ojciec. Pan Bóg dał mu dzieci, które on dobrze wychowuje, i zawsze im przypomina, że tylko praca ludzi zbogaca.

RÓŻNOŚCI.

Wiejska lekarka. Dziwna to rzecz a przecież tak bywa między ludźmi wiejskimi, iż w chorobie nie słuchają mądrych doktorów ale głupie baby, które się udają za lekarki, tumanią ludzi i najczęściej swojemi lekami zabijają. Takito nierozum bywa między ludźmi, i trudno ich przywieść do dobrego. Na naukę i przykład opowiem wam jedno zdarzenie, które się stało w Królestwie Polskiem niedaleko Lublina.

Otóż w jednej wsi zachorowała pewnego razu kobieta, matka pięciorga dzieci. Ani ona ani mąż nie dali znać do dworu, jeno radzili się znachorki wiejskiej. Dopiero kiedy już bardzo źle było z kobietą, poszedł mąż do dworu i opowiedział pani dziedziczce o chorobie swojej

żony. Dobra pani posłała zaraz po doktora, i przyszła z nim razem do chałupy Marcinów. Patrzy pan doktor, aż tu biedna Marcinowa okrótnie chora, i już bliska śmierci. Dziatki płaczą koło łóżka, a Marcin z wielkiej żałości jakby skamieniał przy kominie. Koło chorej uwija się jakaś baba, znachorka.

Pan doktór przystąpił do chorej, oglądnął ją, pokiwał głową i pyta:

— Co cię najwięcej boli kobieto?

— Aj! boleści okropne we środku — powiada chora z płaczem.

— Czy ci dawano wódkę? — pyta dalej pan doktor.

— Nie — odpowie Marcinowa.

— Ale powiedz kobieto — mówi pan doktor — ja się gniewać nie będę; wódka dobra na niektóre słabości, i chcę tylko wiedzieć, czyś piła wódkę czystą, czy zaprawną, zimną czy grzaną.

— Odrobinkę grzanej — odpowie chora.

— Jakąż to odrobinkę? — pyta pan doktor.

— A półkwaterek cały — mówi Marcinowa.

— A z czem? — pyta znowu pan doktor.

— Stara Maćkowa mówiła, aby wrzucić trzy razy dziewięci ziarnek pieprzu — odpowie Marcinowa.

Na to mówi pan doktor:

— Okropna rzecz, aby na zapalenie kiszek dawać wódkę z pieprzem. Potem pyta chorej:

— A cóżeś jadła kobieto?

— Nic — odpowie ona.

— Jakto nic? od kiedy?

— Od wczoraj — mówi chora.

— A wczoraj cóżeś jadła?

— Wczoraj — powie Marcinowa — zapachniała mi jajecznica z kiełbasą, i Maćkowa mówiła, że można jeść, więc jadłam.

— A dużoś jadła? — pyta jeszcze pan doktor.

— Zaś nie, jeno pełną rynkę.

Na to znowu odwrócił się pan doktor do pani dziedziczki i mówi:

— Będzie cud pana Boga, jeżeli ona wyzdrowieje. Toż wódka i jajecznica tak jej pogorszyły chorobę którą można było łatwo wyleczyć. — Potem odwróci się do Maćkowej i pyta:

— Jak ty śmiałaś zabijać matkę pięciorga dzieci?

— Cóż to jegomość gada — krzyknie Maćkowa — a któż ją zabijał?

— Ty — odpowie pan doktor — wódką z pieprzem i jajecznicą z kiełbasą. Ale poczekaj, nie ujdziesz kary.

Otóż najpierw Maćkowę wsadzono do kozy, a potem pan doktor zaczął leczyć Marcinową, która do dwoch tygodni za pomocą i łaską Pana Boga całkiem wyzdrowiała. Gdyby pan doktor tylko w godzinę poźniej przyjechał, jużby nie było ratunku, a wszystkiemu winnaby była stara Maćkowa.

Takto moi mili trzeba szanować zdrowie i życie, a więc nigdy nie należy słuchać różnych znachorek, i wydrwigroszów, lecz radzić się doktorów, bo ci na to są i na to się uczą, aby ludzi leczyli. Pamiętajcie o tem, bo życie to skarb największy, a zdrowie to największy majątek.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 16.

1. Czerwca. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JONEK ŁOPUCHA.

I.

Nie zmyśloną bajkę, jeno najszczerszą prawdę chcę wam moi mili opowiedzieć; całą historyę o Jonku Łopusze wyczytałem w starych xiążkach, a ponieważ podobała mi się bardzo, więc spisałem ją wam do Dzwonka. A jużci ciekawa to i bardzo pożyteczna rzecz wiedzieć o dzielnym Jonku, który urodzony w chacie wieśniączej, dla wielkiej swojej cnoty tak się wsławił, że na wieczne czasy za przykład służyć drugim powinien. Otóż posłuchajcie moi mili.

Działo się to bardzo dawno, bo jeszcze naówczas panował w Polsce król Kazimierz Jagiellończyk, o którym już pewno nieraz musieliście słyszeć. Panował on przez lat czterdzieści z górą, a przez ten czas przysporzył Polsce mnogie ziemie i wielką potęgę. Sąsiedni monarchowie nie znając zrazu króla Kazimierza, zaczepiali Polskę, ale kiedy on im się dobrze dał we znaki, toć potem siedzieli wszyscy cicho jak myszy w dziurze. Niekoniec na tem, że król zwyciężywszy wrogów przy-

sparzał coraz nowe ziemie swojej koronie, ale kiedy obce narody poznały lepiej sławnego króla, same poczęły go prosić, ażeby im królował. Tak uczynili Czesi i Węgrzy wysyłając do króla posłów z prośbą, ażeby się nimi opiekował. Jednem słowem był to król wielki i sławny, to też i wielki porządek panował w całej Polsce.

Był zaś ten król Kazimierz dla kmieci osobliwie łaskawy i dobry „choć go do rany przyłóż“, jak to powiadają. Toć za jego panowania nie śmiał nikt krzywdę czynić włościanom, bo surowo byłby król każdego ukarał, choćby to i najpierwszego pana; dlatego dobrze się działo ludowi, a wszyscy szczerze miłowali dobrego króla i przypominali sobie czasy „króla chłopków“.

Lubo tedy król w to bardzo wglądał, ażeby biednym włościanom nikt krzywdy nie czynił, to znowu trudno było dojrzeć wszędy królewskiemu oku, boć jak wiecie spore on miał królestwo, „od morza do morza“ jak piszą w xiążkach.

Owóż zdarzyło się, że we wsi Sosnowicach nad Wisłą położonej, która i dziś jeszcze tak samo się zowie, pewien Starosta nie po ludzku obchodził się z kmieciami. Starosta był sobie wielkim panem i z sławnego pochodził rodu, dlatego też wzbił się w pychę i za nic uważał biednego człowieka, a że do tego złe miał serce, to i nie dziw, że uciskał swoich poddanych.

Ale też znowu nie myślcie mili ludkowie, że takich złych panów było dużo w Polsce. Broń Boże! Jak wszędzie zły się człowiek znajdzie, jak wszędzie są wyrodne wyjątki, taksamo było i w Polsce ze starostą.

Otóż wszyscy sąsiedzi, także zamożni panowie, a może nawet i więksi od niego, karcili go za to surowo i straszyli, że jak król się o tem dowie, upomni się o biednych włościan; aleć twardego był on bardzo serca i wszelkie napomnienia nic nie pomagały, bo zawsze po staremu był srogim panem.

To też i nie dziw wcale, że lud także nie lubił złego pana, bo jakże miłować złego człowieka; i dużo było narzekania i płaczu na Starostę i wszyscy się go bali, a nikt nie kochał.

W tejże wsi Sosnowicach, gdzie także na wzgórku był wielki zamek Starosty, żyła sobie uboga wdowa po nieboszczyku Marcinie Łopusze. Była to już stara, zgrzybiała kobiecina, która prócz ubogiej małej chatki o jednej izbinie, maleńkiego ogródka za chatą i jednej chudej krowiny nic więcej nie miała. Ale jak Marcinowa była ubogą, tak znowu dał jej Pan Bóg na pocieszenie jedynaka, tęgiego Jonka.

Byłżeż bo to chłopak jakich mało. Miłował on starą matkę i był jej prawdziwą podporą, gdyż staruszka bez niego nie dała by sobie rady. To też caluteńki tydzień codziennie od wschodu słońca aż do zachodu pracował Jonek, a pracował tak, że ludzie powiadali, iż jak ogniem wszystko pali, gdzie tylko rękę przyłoży. Starsi gospodarze lubili go powszechnie i swoim dzieciom za przykład wskazywali, a lubo był jeszcze młody, to pomimo tego miał znaczenie u wszystkich i rej wodził między młodzieżą. Biedna matka słysząc ciągłe chwalenie Jonka, nie posiadała się z radości i ze łzą w oku przyciskała go do serca mówiąc:

— Niech cię Bóg błogosławi!

Jonek zaś nie pysznił się z tego, jakby to niejeden uczynił, jeno zawsze odpowiadał ze skromnością:

— Moi mili gospodarze, dziękuję wam za pochwały, na które nie zasłużyłem; czynię tylko to, co każdy czynić powinien.

Poczem zwykle jeszcze bardziej go wszyscy chwalili dla jego skromności.

Kiedy zaś przyszła niedziela albo święto, to zawsze chodził on do kościoła, modlił się gorąco do Boga o lepszą dolę, słuchał pobożnie mszy świętej, i zawsze kiedy do domu powracał, lżej mu było na sercu, i wcale nie czuł całotygodniowej pracy.

Aleć jak z jednej strony był pracowity i pobożny, tak też znowu lubił się w wolnych chwilach jak Bóg przykazał zabawić; w tańcu rej zawsze wodził — a że do tego był ładnym chłopcem, smukłym jak sosna, z czarnemi oczyma, toć też i dziewczęta go bardzo lubiły i niejedna miłem nań okiem spoglądała. Jonek nie gardził żadną i z każdą żartował, ale jedną

tylko kochał, biedną sierotę Hankę. Hanka choć bardzo była ubogą, jednak najpoczciwsze dziewczę w świecie; pracowita, skromna, przytem też ładna; nie dziw więc, że przypadła Jonkowi do serca. Kiedy w tańcu szli oboje w pierwszej parze, to wszyscy szeptali sobie:

— Jaka to dobra para! jakby Bóg ich stworzył jedno dla drugiego!

Od roku już kochali się oboje, i dawno chciał się z nią Jonek ożenić, ale cóż z tego, kiedy twardy pan Starosta w żaden sposób nie chciał pozwolić. Toć smucili się oboje, ale przecie mieli nadzieję w Bogu, że Starosta poźniej pozwoli, ludzie zaś pocieszali ich, mówiąc żartobliwie:

Co się przewlecze,
To nie uciecze.

Mijały dnie, tygodnie, a nawet miesiące, a Starosta pozwolenia nie dawał, choć Jonek już kilka razy był we dworze i mocno prosił pana. Hanka smuciła się bardzo i czem raz więcej, a tak sobie wzięła to do głowy, że już jej ani robota nie szła jak dawniej, ani też do ust co wziąć mogła; schła więc z dnia na dzień. Jonek zaś smucił się tem okrótnie, a ludzie żałowali ich oboje.

— Pójdź Jonku — mówił razu jednego Gaweł, chrzestny ojciec Jonka — jeszcze raz do Starosty, przedstaw mu całą sprawę, a może da się nakłonić i udzieli wam pozwolenie.

— Twardy on jak skała — mówił zasmucony Jonek — u której trudno się wody doprosić, choćby tu człowiek ginął z pragnienia.

— Nic tobie innego nie pozostaje — mówił Gaweł — musisz mu się jeszcze raz pokłonić, kto wie, może go Bóg nawrócił.

— On nie wart tego, ażebym ja go prosił, chociem ja ubogi a on pan — mówił rozżalony do żywego Jonek.

— Pomnij na Hankę... biedna może ciężko zaniemódz — i dziś już zmieniła się do niepoznania.

Na wspomnienie Hanki jeszcze większy żal ścisnął serce Jonkowe, i przez chwilę słowa wyrzec nie mógł; w końcu zaś tak się odezwał:

— Ha pójdę, dla niej to uczynię!

— Szczęść ci Boże! — mówił Gaweł.

Nie czekał Jonek długo, jeno zaraz udał się do dworu.

Przyszedłszy na miejsce długo czekać musiał, zanim Staroście podobało się przypuścić go do siebie, a kiedy Jonek wszedł do komnaty pańskiej, ofuknął go Starosta temi słowami na przywitanie:

— Czyś się zawziął na mnie chamie, że spokoju mi nie dajesz — czego chcesz?

— Jaśnie wielmożny Starosto — mówił niezrażony Jonek — lubo ciężko ubodły słowa te serce jego — przyszedłem prosić powtornie o pozwolenie.

— Przecież słyszałeś — ciągnął dalej zaburmuszony Starosta — moją odpowiedź.

— Słyszałem wielmożny panie, i gdyby to o mnie tylko chodziło, nie ponawiałbym mojej prośby, ale dziewczyna strasznie się tem turbuje i tak już ze zgryzoty zmarniała, że ją ludzie nie poznają.

— Co mnie do tego, raz już mówiłem, że pozwolenia nie dam.

Po tych słowach nie czekał Jonek dłużej ani chwili, jeno skłoniwszy się wyszedł z komnaty.

— Niech ci to Bóg zapłaci — myślał on sobie wracając z niczem do domu. I nie pierwszy to raz poszło do Boga takie westchnienie na złego Starostę, boć i niejeden tylko Jonek miał żal słuszny do niego.

A kiedy wrócił do domu zastał w chacie sierotę Hankę; stara matka zaczęła pytać syna, jak mu się w dworze powiodło, bo Gaweł uprzedził ją o wszystkiem. Jonek milczał, bo z żalu słowa nie mógł przemówić. Hanka zrozumiała dobrze to milczenie i poczęła rzewnie płakać; Jonek ją nie pocieszał wcale, jak to przedtem bywało, boć i sam zgryziony był okrutnie. Jedna tylko Marcinowa tuliła sierotę i syna pocieszała, ale pomimo tego i jej w oku łza stanęła.

II.

Spory kawał czasu przeminął już od owej chwili, a Jonek nie ponawiał więcej swojej prośby, boć raz, że był za dumny ukorzyć się tyle razy przed tym, kto tego nie wart, a potem, że wiedział dobrze, iż zarówno nicby z tego nie było, choćby ta i codzień na klęczkach błagał Starostę. Hanka zaś nieutulona była wciąż w żalu, i aż serce bolało spojrzyć na nią; rumiane lica wybladły i zapadły się, a oczy od płaczu poczerwieniały, a choć pocieszali ją dobrzy ludziska, nie wiele to pomagało.

Razu jednego zdarzyło się, że przez nieostrożność Starosty wszczął się ogień we dworze. W jednej chwili objął płomień wszystko, a przez okna i drzwi buchał dym ogromnemi kłębami. Kiedy tylko pożar ujrzano, zaczęto bić w dzwony i cała gromada Sosnowiecka zbiegła się w okamgnieniu, ale gdy zobaczyli dwór w płomieniach, nie chcieli ludzie zrazu iść na pomoc, bo nie kochali swego rządcy; wtedy zrywa się pomiędzy nimi Jonek i tak pocznie mówić do gromady:

— Bracia, pomścijmy się teraz krzywd naszych!

Wszyscy obecni natężyli uwagę i słuchali, co Jonek powie, a każdy myślał, że on jaką myśl bezbożną ma w sercu; ale jakież było wszystkich zdziwienie, kiedy Jonek tak dalej mówił:

— Pomścijmy się krzywd naszych i spieszmy złemu panu na ratunek, niech pozna żeśmy Krakowiacy!

Słowa te ujęły tak wszystkich od razu, że nikt ani chwili się nie wahał, jeno wszyscy na ratunek pospieszyli i zapomnieli, jak katolikom przystoi, o wszystkich dawnych krzywdach. Płomień już był ogarnął dwór cały, dach dogorywał, a palące się belki waliły na ziemię; na dziedzińcu stał Starosta i z rozpaczy rwał sobie włosy, bo w zamku została żona i córka, które nie miały czasu się ratować.

Jonek nie zważał na nic i rzucił się do wnętrza, a za jego przykładem poszli wszyscy; w krótkim czasie wyniósł na pół omdlałą Starościnę i pannę, które pomału przychodziły do siebie, inni uratowali dużo kosztownych rzeczy, a kiedy już wszystko powynoszono, jęto się, ażeby ogień ugasić. I tu był

także Jonek pierwszym, a wszyscy dziwowali się jego odwadze i przytomności. Nie trwało dwóch godzin, a już ani płomyka widać nie było; cały budynek mało był uszkodzony, jeno tylko dach zgorzał ze szczętem, a w wnętrzu podłogi i futryny od okien i drzwi.

Nazajutrz kazał Starosta przywołać Jonka do siebie, a kiedy na rozkaz przyszedł, wyjął pan spory woreczek z pieniędzmi i rzecze do Jonka:

— Weź Jonku te pieniądze, a resztę niech ci Bóg zapłaci, żeś mi wyratował żonę i córkę.

Jonek lubo był ubogi i pewnie pieniądz byłby mu nie zawadził, nie chciał jednak przyjąć żadnego datku, jeno uśmiechnąwszy się tak się odezwał:

— Cóż to panie? czyli poczciwość ludu krakowskiego chcecie za ten grosz marny kupić? uczyniliśmy tylko tyle, co nam religia i sumienie nakazuje. Schowajcie pieniądze nazad do kalety; poznaliście co bieda, umiejcie się nad nią litować, bądźcie nam łaskawym panem! U nas Krakowiaków dobrem słowem wskóracie więcej, aniżeli przymusem i uciskiem.

A skłoniwszy się staroście odszedł sobie.

Starosta osłupiał i nie mógł się nadziwować wielkiej szlachetności i cnocie prostego wieśniaka, a zajrzawszy do swego serca i przypomniawszy sobie dawne czasy, ujrzał się obok niego jakby w zwierciedle, i aż się ze wstydu zarumienił, że szlachetnością odpłacono mu wielką nieszlachetność. To też tak żywo wziął sobie do serca cały ten postępek Jonka, że od tej chwili zmienił się do niepoznania i był nadal jak najlepszym panem dla swoich kmieci.

Sumienie zaś nie pozwalało Staroście, ażeby on Jonka nie wynagrodził, choć on nie chciał przyjąć żadnej zapłaty; więc myślał Starosta nad tem, w jaki by to sposób uczynić. W końcu przypomniał sobie o Hance i prośbie dawnej Jonka; to też natychmiast dał mu pozwolenie, a kiedy tylko odbyły się zapowiedzi, to zaraz wyprawiono weselisko. A było to wesele, jakiego nikt nie zapamiętał w Sosnowicach. Starosta sam był za ojca weselnego i wszystkiego podostatkiem dostar-

czył, a kiedy już było po weselu, przywołał państwa młodych do siebie i tak do nich przemówił:

— Dzieci moje, przyjmcie odemnie w upominku dziesięć morgów pola i dwie krowy na nowe gospodarstwo, a Bóg świadkiem duszy mojej, że z szczerego serca wam daję. Nie było już też co robić. Jonek musiał przyjąć, co mu Starosta z dobrego serca ofiarował, a nie była to zapłata za uczciwość, jeno datek dobrego pana.

I odtąd zupełna zgoda była między dworem a gromadą; włościanie zapomnieli dawne dzieje i dziękowali Bogu za jego łaskę.

Aleć nie koniec na tem.

Król Kazimierz dowiedział się o wszystkiem i serdecznie się ucieszył, że ma taki poczciwy lud; więc że umiał on ocenić prawdziwą cnotę, nadał całej wsi sołtysowstwo.

To też nie posiadali się wszyscy z uciechy, i prosili Boga za dobrego króla, a chcąc podziękować dobrodziejowi jak przynależało, wysłano Jonka i jeszcze jednego gospodarza aż do Krakowa, ażeby w imieniu całej gromady złożyli samemu królowi podziękowanie. Król przyjął wysłanników jak braci i kazał im pozdrowić, kiedy do dom wrócą, całą gromadę od króla.

Jonek osiadłszy na nowem gospodarstwie żył sobie szczęśliwie, a wszyscy go bardzo szanowali; toć później, kiedy nowego wójta obierali, obrano jego — a był to wójt, jakiego i wam daj Boże, mili ludkowie.

Grzela z Waszkowiec.

ZABAWA W KARCZMIE.

W karczmie na zabawie,
Pod oknem na ławie
Ludzie zasiadali,
Smutki zapijali.
Stary Wojciech z kwartą,
Łza mu w oczach stoi,
A mówi do swojej,
Że płakać nie warto.

A kowal z kowalem
Co młotami biją,
Siedzą przy kwaterce,
Jeno klną a piją.
A szewcy na boku
W kąt się przyczaili,
I siedzą w natłoku
Jakby buty szyli.

Z odpustu wracali,
I tak się zebrali,
Stare baby miejskie
I dziewczęta wiejskie.

A żyd przed chłopami
Uwija się żywo,
Z swemi córeczkami
Szynkujący piwo.
Aż tu ze skrzypkami,
Kobziarze z kobzami,
Przychodzą wieśniacy
I ze wsi kozacy
Przyszli z torbanami.
Świeczki zaświecili,
Grajków usadzili
I dalej do rzeczy.
Jużci kobza beczy,
Już torbany brzęczą,
I skrzypią skrzypeczki,
A młode dzieweczki,
Do chłopców się wdzięczą,
A żyd nadskakiwa,
Gdzie próżno, dolewa.
Widzita, widzita,
Już się Mazur chwyta,
Zawinął sukmanem,
A czapka z baranem,
A przy nim dziewczyna,
Wysmukła jak trzcina,
A oczka się śmieją,
Lica rumienieją,
A warkocz przez szyję
Z wstążkami się wije.
Spojrzała za siebie,
A bodajże ciebie.
Parobeczek huka,
Obcasami stuka,
A znowu za nimi,
Swoi ze swoimi.
Kasieńka tańcuje,
Bartek przyśpiewuje:

Kochajże mię dziewcze moje,
Będziem sobie żyli dwoje,
Będziesz miała, miły Boże,
Siła w polu i w komorze,
Krówki dojne, w skrzynce pełno,
I owieczki z białą wełną,
Będzie ciepło w chacie twojej,
Bo wioseczka w boru stoi,
Bór sosnowy, a żywicą
Z daleka się chojny świecą.
Jest i wozik szybowany,
W nowe szyny okowany,
Złote żyto pod Warszawą,
Będziemy je zwozić żwawo.
Nadewszystko dziewczę moje,
Ucieszy się serce twoje,
Bo ludziska, poczciwości,
Szczerej serca życzliwości,
I powietrze jak najzdrowsze,
Nie ma ziemi, jak Mazowsze!
Aż Krakowiak krzyczy
Cichojta muzycy,
Teraz dla Polacka,
Grajta Krakowiacka,
I przychodzi do niej,
I grzecznie się skłoni,
Brzęcze kółeczkami,
Krzesze podkówkami.
I czapeczką z pawiem piorem,
Wytrząsa się nad Mazurem:
Alboswa to jacy tacy,
Chłopcy Krakowiacy,
A cóż to nam wadzi,
Wiedzieć by my radzi,
Czy w taneczku nie ruchawi,
Czy nie sprawni, czy nie żwawi,
Czy z cepami nad snopkami,
Czy z kosami nad łąkami,
Czy na koniu czy piechotą,
Powiedzże mi moje złoto,
Cóż mi też brakuje,
Niech się dowiaduję?

Może ziemia nie wesoła,
Może piascyska do koła,
Może co Warsowa,
Lepsza od Krakowa?
Gdybyś ujrzała dzieweczko,
Ten nasz Kraków, to miasteczko,
Duże góry kieś daleko,
A on siedzi se nad rzeką,
Nasz Kraków rodzony,
Wisłą otoczony.
Jakie to tam chłopy hoże,
Jakie żwawe, mocny Boże.
Pasik z kółeczkami,
Kaleta z groszami,
I w tańcu nie zgrzeszą,
Podkówkami krzeszą,
Wąsa pokręcają,
Ogniście kochają.
Niechże teraz powie która,
Cym nie lepsy od Mazura,
Co się w boru rodzi,
I po piaskach chodzi?..
Ciszej, ciszej, krakowiaczka,
Torbanisto graj kozaczka,
Hej, hu, dzieweczki,
Pójdźcie z nami z taneczki!
I pokręca kozak wąsa,
Drobniusieńko ku niej pląsa,
Brzęczy torban, beczą dudy,
Hej w trepaka, hej w prysiudy,
I pod boki się ujmuje,
I wdzięczy się, nadskakuje.
O ja kozak z Ukrainy,
Czym nie miły dla dziewczyny,
Niech powiedzą wieczornice,
Nasze krasne mołodyce,
Hej hu dzieweczki,
Pójdźcie ze mną w taneczki,
W Ukrainie tłuste woły,
Zboża brogi i stodoły,
A kawony a melony,
A pszenica nad zagony,
Jakie w barciach stoją miody,
Jakie ryby z jasnej wody,
Jaka miłość, przywiązanie,
A na stepach to hulanie,
A przed karczmą jakie tany,
Tańczą dziewki, brzmią torbany,
Hej hu dzieweczki,
Pójdźcie z nami z taneczki.
Pokochajcie sławy syna,
Nie ma jako Ukraina,
Cała Polska nie taka,
Pokochajcie kozaka.
A na to dziewczyna,
Znów swoje zaczyna,
Bierze się pod boki,
Nóżką ziemię tupie,
Aż się wszystkie serca
Radują w chałupie,
I torban i liry,
Głos wydają szczery,
I kobza i skrzypki,
Dla tej złotej rybki.
Warkocz odrzuciła
Za ramię niechcący
I śpiewką chłopakom
Odpowie śmiejący.
Nie taka ja moi,
Żebym za mąż chciała,
Gdybym chciała męża,
Dawnobym go miała.
Nie chcę ja kozaka,
Który wozi skóry,
Ani Krakowiaka,
Co skacze do góry.
Ale wezmę sobie
Za męża i pana
Jakiego młodego,
Grackiego hułana.
Konia mu napoję,
I siana nakładę,
Gdy pójdzie na boje,
I ja z nim pojadę.

Będę markietanką,
Wódkę przedawała,
I dzieciątko śliczne,
Będę piastowała,
W obozie to życie,
Tam się to kochają,
Radują się, cieszą,
Gdy bitwę wygrają.
A kiedy przegrana,
A konik zabity,
To któż prócz kobiety,
Pocieszy hułana?
I śpiewkę skończyła,
Wzrokiem potoczyła,
A któżby dla tego
Dziecka niebieskiego,
Nie wyrzekł się z chęcią
Życia doczesnego?
— „A cóż mi powiecie?
— A cóż ci powiemy,
Jutro do żołnierzy
Wszyscy przystaniemy.
— „Oj, nie dosyć na tem,
Kto największym chwatem,
Takiemu Kasieńka
Otworzy wroteńka,
Otworzy, otworzy,
Szczerze umiłuje,
Do serca przyciśnie,
Oczki wycałuje.
I białem ramieniem
Otoczy kochanie,
I na całe życie
Z onym pozostanie,
Byście tylko mili,
Do domu wrócili.

— Nie bój się dziewczyno,
Polaki nie zginą.
Moskwą pobijemy
Do dom się wrócimy,
Krzykniem — Bogu chwała,
Polska nasza cała.
— Oj moi panowie,
Daj wam Boże zdrowie.
Żyd piwa dolewa,
I karczma szczęśliwa,
I cieszą się starzy,
I cieszą się młodzi,
Niech im Pan Bóg darzy,
Bo się im tak godzi.
Muzyka od ucha
Zagrała kochana,
Oj dana, oj dana,
Tańcują ej! hu! ha!
Kasińku! Kasińku!
Wesoło zawodzą,
Szczęśliwa ta ziemia
Gdzie się takie rodzą
Miluchne dziewuchy
I chłopaki zuchy.
Oj z naszej doliny
Dziewki jak maliny,
Chyba to sam pan Bóg
Rozplenia te kwiaty,
Nie uboga ziemia,
Pochylone chaty,
Co to pod borami
Otoczone w płoty,
Siedzą nad piaskami
Jak dzieci sieroty...

Teofil Lenartowicz

Miłosierdzie biednego Jasia.

Przyjechałem raz koło południa do Lwowa. Wytrzeszczyłem oczy, boć to tam tyle cudownych rzeczy do widzenia, i ani nie wiedziałem, kiedy i na czem mi czas zeszedł. Aż idąc

jedną ulicą samym wieczorem, usłyszałem na raz głośną rozmowę. Poglądam za siebie i patrzę, aż tu wedle jednego domu zeszła się gromada ludzi i rozmawiała głośno.

I ciągle schodzili się ludzie, a każdy zaraz jakoś posmutniał, załamywał ręce i wzdychał:

— Mój Boże! co sobie teraz pocznie sam jeden — w domu tyle dzieci, i któż to koło wszystkiego robić będzie porządek. Zatrapi się chudzina!...

— Ej, to wszystko nic — powie siwiutki staruszek — ale za co pochowa dobrą żonę, kiedy taki miał wielki wydatek, bo dwoje dzieci chorowało, a lekarstwa dla żony nie mało kosztowały.

— A była to prawda dobra żona — rzeknie dziadek kościelny — pracowita i nabożna jak rzadko. Ale któż zbada wyroki Boskie! Trzy lata temu spalił się im dom, biedna kobiecina z wielkiej pracy i turbacyi zapadła w chorobę, i po długiem kawęczeniu ledwie ją Bóg wziął do chwały swojej.

— I dawno umarła? — zapytał jeden ze słuchających.

— A dopiero tej nocy — powiada dziaduś — zaraz jak tylko odszedł xiądz dobrodziej.

— A czy jeszcze przyjęła przenajświętszy sakrament? — zagadał znowu jakiś pan w rogatej czapce.

— Wyspowiadała się i przyjęła ostatnie pomazanie — odpowie dziaduś — a nawet chwilę przed śmiercią pobłogosławiła dzieci i męża, a potem biedaczka z uśmiechem spojrzała na obraz pana Jezusa i zawoławszy: Boże! przyjmij mię do siebie! — zeszła z tego świata.

— A to piękne miała skonanie — odezwał się siwy staruszek i zaraz potem poszedł do domu, w którym zmarła kobieta leżała, a za nim wszyscy ludzie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powiedzieli ludzie.

— Na wieki wieków! — odpowiedział stolarz, który był mężem zmarłej kobiety.

Owóż poszedłem i ja odwidzić umarłą, która leżała na łóżku bez trumny i bez niczego. Niebogą chociaż miała twarz okrutnie wychudłą, oczy zapadłe, ale powiadam wam moi lud-

kowie, tak wyglądała pięknie, iż zdawało się, że ona spi tylko. Ręce miała złożone, w których trzymała obrazek święty, zaś w głowach paliły się dwie świece po bokach krzyżyka stojące. Przy łóżku stał mąż nieboszczki, i rzewnemi łzami opłakiwał dobrą żonę co chwila poglądając na dzieci, które przy piecu w obdartych sukienkach stały i ocierały łzy w oczach.

Ludzie klęczeli i modlili się za duszę zmarłej, ale żaden z nich nie pomyślał, żeby poratować biednego stolarza, który nie miał za co pochować poczciwej żony.

Zaś przy mnie klęczał jakiś chłopiec niewielkiego wzrostu, w dosyć lichym surducie i płacząc szeptał po cichu:

— Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków.

Nagle powstał on z miejsca i wyszedł z izby. I niedługo przychodzi nazad ten sam chłopiec i przybliżywszy się do męża zmarłej, tak powiada do niego:

— Złożyłem sobie kilka reńskich na letnie odzienie, ale widząc was w wielkiej potrzebie panie majstrze, daję wam co mogę. Przyjmijcie je więc z dobrem sercem, bo ja wam szczerze ofiaruję. Krajan krajana ratować powinien, bo tak nam nakazuje wiara nasza. Zaś pan Jezus mi poszczęści, że sobie złożę jeszcze więcej, a więc nie zabraknie mi na odzienie.

To powiedziawszy dał stolarzowi zawinięte sześć reńskich i ukląkł na ziemi i modlił się za duszę stolarzowej.

Wszyscy obecni posłupieli na ten widok i tak się wszyscy wzruszyli pięknym uczynkiem owego chłopca, że każdy wyjął mieszek z pieniądzmi z kieszeni i dał stolarzowi, na co którego stać było — inni znowu przyrzekali przysłać co nieco dla dzieci.

— Dziękuję ci serdecznie mój chłopcze za dobre serce — powiedział pełen wdzięczności stolarz — niech ci się za to jak najlepiej powodzi — a potem dodał jeszcze: a wam moi panowie niechaj Bóg stokrotnie nagrodzi, żeście mię wsparli biednego człowieka.

Niebawem chłopiec wymknął się pokryjomu, ale ja zobaczywszy to, wybiegłem natychmiast z izby, i krok w krok

szedłem za nim. Zaledwie uszliśmy kawałek drogi, gdy w tem chłopiec wchodzi do jednego domu.

Stanąłem więc przed tym domem i uważnie podsłuchiwałem, co to dalej będzie Najprzód dosłyszałem te słowa:

— O Jezu! któryś wisiał między niebem, ojczyzną Twoją, a ziemią, grobem Twoim, zlituj się nad ojczyzną naszą i nad grobami braci naszych!.. Ratuj! bo Ty jeden możesz; przebacz, bo względem Ciebie tylko jesteśmy wszyscy winnymi! Jeżeli męka Twoja sprawiedliwości Boga Ojca zadosyć uczyniła, czemu krew okupionych toczą bezbożni?... O nie dopuszczaj tego Panie! Panie, obróć na korzyść oswobodzenia naszego jedną kroplę krwi Twojej, jedną łzę Matki Twojej wylaną nad Tobą, a stanie się wedle życzeń całego narodu!...

Po ukończeniu tej modlitwy znowu słychać było:

— A gdzieś ty tak długo siedział — pytał zapewnie pan majster — tak to robią pilni chłopcy?

— Ja... ja... byłem proszę pana w mie....

— Gadaj prędko! — zawołał pan majster.

— Byłem w mieście, proszę pana — odpowiedział zmieszany chłopiec.

— A coś tak długo robił w mieście? — pytał dalej pan majster.

— Ja byłem u stolarza.

— U stolarza!... a to po co?! — krzyknął znowu pan majster.

— E bo... proszę pana... pan nie uwierzy...

— Bo co?

— A to się rzecz ma tak — powiada chłopiec. Mojemu znajomemu stolarzowi umarła tej nocy żona. Wiadomo panu, że on teraz tak bardzo podupadł, że nawet nie ma za co pochować żony. Miałem sześć reńskich złożonych na letnie ubranie, a więc dałem mu je na potrzeby, bo myślę, że bliźniego ratować się należy.

— Czemużeś zaraz o tem nie powiedział? — odpowie pan majster. Postąpiłeś sobie bardzo pięknie mój Jasiu. Pan Bóg o twoim uczynku nie zapomni i zapisze sobie do złotej xięgi. Uczyniłeś bardzo ładnie. Otóż odtąd kocham cię więcej, bądź

tylko pilnym i staraj się być i nadal takim i wspomagaj biednych, gdy będziesz miał na to — a ja cię już niedługo zrobię czeladnikiem. Zaś teraz za twoje dobre serce daruję ci mój własny surdut. Chodź! na masz!

Nagle zniknęło światło — i już nic więcej nie słyszałem. A że to i czas był iść w moją stronę, owoż poszedłem ztamtąd i tylko w duchu chwaliłem dobrego Jasia, którego piękny uczynek spisałem teraz, panie pisarzu, z tej racyi, że niejeden go naśladować będzie i dopomoże bliźniemu swojemu.

Teraz zaś zostańcie mi z panem Bogiem.

Józef z Bochni.

Sposoby gospodarskie.

Jak wytępić móle?

W niedzielę szła Maciejowa w nowym kożuchu do kościoła. Kożuch śliczny, włos długi i świecący, a taki gęsty, jak nieprzymierzając czupryna Jacusia. Był niedawno Maciej na jarmarku, i mając pieniądze w zapasie, kupił kożuch dla żony, choć to było lato. Maciejowa ani rusz dłużej wytrzymać, i już musiała go koniecznie pokazać kumoszkom w całej paradzie. Choć gorąco było takie okrótne, jak się zdarza ledwie w lipcu, Maciejowa wzięła kożuch do kościoła.

Chwalą kumoszki kożuch językami, a w duszy zazdroszczą Maciejowej, jak to zazwyczaj bywa między ludźmi. Maciejowa rada się także nagadać o swoim kożuchu, więc rozpowiada jak go mąż targował, jak zapłacił i Bóg nie wie co jeszcze. Naostatek powie do Jackowej:

— Już ja wam powiadam kumeczko, że to i bieda na mnie z tym kożuchem. Maciej się pospieszył, taj na same lato kupił. A toć mi mówiła Antkowa, że w lecie robactwo zje kożuch, jeżeli kto nie ma dobrego sposobu na to.

Józefowa dobra kobieta mówi jej:

— Mojaśty miła, nie wielka sztuka na dobry sposób. Ot, powiadam ci, weź za kilka groszy kamfory i napuść ją spirytusem, a jak skruszeje, to rozetrzyj na proszek. Kiedy takim

proszkiem posypiesz futro, nie imie się go żaden robak. Jużci trzeba futro owinąć prześcieradłem i zamknąć szczelnie. Więc widzisz moja miła, że kamfora pachnie tak mocno, iż od tego zapachu wyginą móle i inne wszelkie robactwo.

— Ba, ba moja kumeczko — powie na to Maciejowa — gdzie tam stać człowieka na kupowanie kamfory i jeszcze czego, ot żeby mi się nadarzył jaki tańszy sposób, to co innego.

— Mojaśty miła — powie Józefowa — toć pamiętaj, że za liche pieniądze i psy mięsa nie jedzą, a durniczką człek świata nie przejdzie. Wszystko musi kosztować, to darmo, aleć nie takito okrótny wydatek, aby go sobie pozwolić nie można. Kto pożałuje kilku groszy na kamforę, ten łatwo może stracić kożuch, co kilkadziesiąt reńskich kosztuje. Jak się go raz czepi robactwo, to i kijem nie opędzisz, a jak pożałujesz kilka groszy, to za kożuchem możesz dobrze zapłakać. Wreszcie rób jak chcesz, bo masz swój rozum.

— No, już widzę — mówi Maciejowa — że wy macie rację, i zaraz jutro kupię kamforę.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Zdarzyło się temi czasy znowu mnóstwo pożarów i tak:

Dnia **14** maja powstał pożar w Ponikwie wielkiej w obwodzie złoczowskim, który spalił stajnię dworską i **102** wołów.

Dnia **12** maja wieczorem wybuchł ogień w miasteczku Komarnie w obwodzie samborskim, na przedmieściu Lipie. Wiatr był okrótny, więc ogień szerzył się bardzo i spalił **12** domów z budynkami gospodarskiemi. Szkody jest na sześć tysięcy nowych reńskich, a przyczyną tego nieszczęścia było dziecko małe, które się bawiło zapałkami. Otóż macie skutki nieostrożności.

Znowu **15** maja spaliła się w Borowem w obwodzie żółkiewskim fabryka papieru z młynem, jest tam aż na **20** tysięcy reńskich szkody.

Naostatek pogorzało dwóch gospodarzy, jeden Antoni w Krotoszynie w obwodzie lwowskim, a drugi Hnat w Rypianach w obwodzie samborskim. Spaliły im się całe gospodarstwa z dobytkiem i wszystkiem co mieli. Biedacy zeszli na wielką biedę.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 17.

11. Czerwca. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ogród Eliasza.

W świętej ziemi, gdzie to żyło tyle patryarchów i proroków i kędy to chodził i nauczał najsłodszy Pan Jezus, jest wielka góra, nazywana dotąd górą Karmel. Na tej górze stoi murowany klasztor, gdzie mieszkają zakonnicy nazwani Karmelitami. Jak wiecie, że dużo pobożnych królów i panów i xięży i rolników chodziło co rok w tamte kraje, gdzie to umarł za nas grzesznych najświętszy nasz Pan Jezus, aby zwiedzić grób święty i ucałować tę ziemię świętą. Otóż i z polskich krajów chodzili tam i króle i pany i xięża i chłopi pobożni i widzieli na swoje oczy wszystko. Niedawno była tam kompania pobożnych ludzi z Polski, która zwiedziła grób Pański, a potem poszła i na górę Karmel, aby zobaczyć dawny klasztor. I po odbytej tam świętej spowiedzi i komunii miała ta kompania odchodzić już do dom, poszła też prosić jednego zakonnika, aby pobłogosławił na daleką drogę. A zakonnik pomodlił się i pokropił święconą wodą lud polski i jeszcze odprowadził spory kawałek drogi. Aż naraz przyszła kompania na jedno miejsce, co się zowie ogrodem Eliasza — ale w tym

ogrodzie nie ma nic tylko okrągłe kamienie i ziemia jakby ją tłuczonemi kamieniami posypał. Stanęła kompania polska i jeden się pyta:

— Mój Jegomość! cóż to mi za ogród taki, gdzie nie ma ani krzaka, ani drzewa, ani trawy, jeno kamienie i nic więcej?

Zakonnik: Zaczekajcież chwilkę, to ja wam opowiem historyę o tym ogrodzie, abyście w polskich krajach opowiedzieli waszym braciom, co to się stało na tem miejscu. Prawda, że to już bardzo dawno, bo to jeszcze przed narodzeniem Pana Jezusa, to jeszcze wtedy, kiedy tu na tem miejscu żył i mieszkał święty prorok Eliasz.

I cała kompania stanęła, każdy obrócił oczy na xiędza i nadstawił ciekawie uszy, aby dobrze wyrozumiał, co to xiądz miał opowiedzieć o tym dziwnym ogrodzie.

Zakonnik: Otoż tu mieszkał jakby na pustyni bardzo dawno święty Eliasz prorok, ale on tu nie próżnował, tylko się modlił i nauczał małych chłopców o Bogu, o dobrem życiu i o tych królach i ludziach, co to na tej świętej ziemi żyli, a żył tylko wodą i sadowiną i korzonkami, a czasem chlebem, jeźli mu go jaka miłosierna ręka podała.

A jeden ciekawy chłop polski mówi:

— To to dla tego nazywa się to miejsce ogrodem Eliasza, że tu żył ten święty prorok.

Zakonnik: A to mówicie prawdę. Ale nie wiecie jeszcze, zkąd tu te kamienie rozmaite się wzięły. Otóż słuchajcie dalej.

— Na tej górze mieszkali tu i inni ludzie, co to mieli tu swoje grunta, swoje budynki i gospodarstwo całe. A był tu osobliwie jeden taki gazda, co się miał nieostatnio, miałci on zabudowania ładne, bo dbał o to, miał bydełko, bo chodził pilnie koło niego, miał studnię w kamieniu wykutą; miał ogród i sad aż miło powiedzieć i całe gospodarstwo co się zowie. Było u niego pracy nie mało! Ale wiecie, bo to i u was w Polsce tak się przytrafia, że kto ma dużo to jeszcze więcej łaknie i drze i zazdrości, a trzyma wszystko w rękach aż piszczy i nikomu by nie dał ani okruszki suchej.

A na to chłop jeden polski mówi:

— Oj to prawda święta mój Jegomość! że też to na ca-

łym świecie muszą być tacy łakomcy, a toć przecież nic nie warta taki człek, co to ma od Boga dosyć, a drugim zazdrości i wydarłby im nawet z gardła — a toć śmierć dmuchnie albo i Pan Jezus chuchnie i już cię nie ma grzeszna duszo na ziemi i twych skarbów!

Zakonnik: Otóż widzicie święty Eliasz prorok, co tam nie miał nic przy sobie, ani siał ani orał jak te ptaszki niebieskie, a przecież trza było się czemś koniecznie pożywić, aby żyć i Bogu i ludziom uczciwie służyć, otoż ten święty mąż był nieraz zaproszony od gospodarzy do domu i był tam mile przyjmowany i uraczony od nich. I nie raz dostał od nich na drogę to bocheneczek chleba, to suszonę rybką, to sadowinę w worku lub w chusteczce, albo też znowu inny jaki miłosierny zaniósł mu z dobrej chęci co do pożywienia tam do tej pustyni, gdzie on miał izbinę bez okna i drzwi i bez pościeli, i to izbinę wykutą w skale, aż strach o tem wspominać.

Zaś ów jeden gazda, o którym wam mówiłem już pierwej, co to się miał nieostatnio, był jakiś hardy, nieprzystępny, łakomy; dość że ludzie tak o nim mówili; czy to sprawiedliwie, to wie sam Bóg! Dowiedział się o tem i święty Eliasz, a że ten święty chciał każdego poprawić, boć on tam i samemu królowi nie pobłażał i nie pofolgował, jak król co złego lub krzywdę komu zrobił, więc raz poszedł on do domu tego gazdy, aby się przekonać, czy to prawdę ludzie mówili. Więc idzie sobie ten święty ścieżką do domu tego gazdy, ubrany ubogo z laseczką w ręku, a gazda zły krzyknie:

— Huzia! huzia psy dziada! po co on tu przychodzi, aby co wypatrzyć i porwać! Ale psy przybiegły, powąchały i odeszły spokojnie,

A kompania na to zdziwiona mówi:

— O to był niedobry gazda! bo gdyby był szczuł psami i dziada, to grzech za to wielki, ale on szczuł świętego męża, który szedł go poprawić i na dobre mu poradzić i przyczynić się do jego szczęścia i zbawienia, o to strasznie zły człowiek!

Zakonnik: Otoż święty prorok idzie dalej do tego gazdy, a tu budynki aż miło popatrzyć i pełno tam chleba, coby i na długie lata wystarczyło; idzie dalej, a tu śliczny sadek i ogród,

na sadzie owoców różnych aż konary na ziemi końcami leżą, aż liścia mało co widać z pomiędzy jabłek i gruszek, na grządkach leżały ogórki jak kukiełki, dynie jak konwie, melony i arbuzy jak cebrzyki, a w około trawnik aż miło.

I pyta święty prorok gazdy:

— Musicie mieć podostatkiem chleba w stodole, bo jużci to widać po budynku?

A gazda mu gada nieprawdę:

— Ej gdzie tam jest chleb jaki, ja nie pamiętam, kiedym kosztował chleba w domu.

A święty prorok rzecze dalej:

— No! może być, że nie macie chleba, ja was też o niego nie proszę, ależ macie sadowiny i ogrodowiny podostatkiem, boć to widać, a ja strudzony drogą i pić mi się bardzo chce, podarujcie mi też choć te jabłka i gruszki, które obleciały od wiatru, albo urwijcie mi też choć jeden ogórek, bom spragniony a tu strasznie gorąco dziś.

Na to gazda odpowiada:

— Te jabłka i gruszki są bardzo kwaśne i niedobre, aż język trętwieje, ktoby je skosztował a o jedzeniu ani mowy nie ma. A ogórki i melony to jedne są zgniłe i niesmaczne a drugie jeszcze zielone; ja sam jeszcze nie kosztował ich.

A święty mąż odpowie mu:

— No! chodźmy do ogrodu i sprobójmy choćby jedną gruszkę, choćby jeden ogórek, a ja strasznie spragniony, aż mi stare i dychawiczne piersi wyschły, albo przynajmniej dajcie choć łyżkę wody do picia.

A gazda niedobry odpowiedział:

— Woda daleko od domu mego, a ja sam w domu to nie mogę odejść.

Na to święty mąż rozżalony mówi:

— Toć macie studnię w kamieniu wykutą i musi tam być woda czysta i zimna.

A gazda już trochę gniewny gada:

— Studnia głęboka, a ja zasłaby i nie wyciągnę wody sam.

A święty prorok radzi mu:

— No! pójdźmy do studni, to ja sam starą ręką moją będę ciągnął wodę.

I poszli do studni, a ledwo się tknął ręką naczynia mąż Boży, naczynie ledziutko spuściło się do studni i wyszło z wodą, wtedy napił się wody prorok i odpoczywał jeszcze. I nuż z tym gazdą w rozmowę, aby go poprawić, aby mu serce kamienne skruszyć i mówi słodko:

— Przecież nie ma tu u nas biedy! ot jak te owoce dojrzeją, jak te dynie i melony dojdą, to będziecie mieli na jesień czem żyć a może się też z tego i drugiemu biednemu co okroi.

A gazda w gniewie odpowiada:

— Co by tu mogło być dobrego na tych kamieniach, toć to grunt skalisty, tu nic nie może być, chyba kamienie na kamieniach.

Na te słowa puściły się łzy z oczu świętego męża, jakby drobne kamyki białe i poleciały mu po sukni aż na ziemię, a mąż Boży wstał i żegnając gazdę złego powiedział:

— Ha! kiedy mówisz że tu tylko kamienie mogą róść, kiedy nikomu nic nie udzielisz i jeszcze dziada psami szczujesz i kiedy nawet wody żałujesz podróżnemu i niechcesz dać nawet nadgniłego jabłka i ogórka mnie staremu za to żem tu szedł do ciebie, aby cię poprawić i na dobrą drogę prowadzić i kiedy się jeszcze za to na mię gniewasz i fukasz, to niech ci tu Bóg daje same kamienie! I odszedł mąż Boży.

I patrzcie co się stało!

Oto drugiego dnia, ledwo dzionek się zrobił, wychodzi gazda pod sad zbierać obleciałe owoce, a tu stoją drzewa bez liści suche jakby ich ogień spalił, a cały ogród to kupa kamyków okrągłych i podługowatych, boć wszystko to zmienił Bóg wszechmocny i sprawiedliwy w kamień na słowo i na łzy tego męża Bożego. I do dziś jest ten ogród kamienny taki sam jaki był wtedy.

I rozpłakał się zakonnik pokazując ten ogród kamienny kompanii polskiej i nie było tam w całej kompanii ani jednego oka suchego i pożegnał kompanią mówiąc:

— Idźcie z Bogiem do waszego kraju, opowiedźcie tę historję waszym braciom i pamiętajcie abyście nie byli takimi

jak ten gazda niemiłosierny, ale abyście byli dobrymi i miłosiernymi dla biedaków i nędzarzy, dla kościoła i dla ludzi wszystkich, a osobliwie dla wszystkich polskich braci waszych!

I wróciła kompanja do dom szczęśliwie a ja też usłyszawszy tę historję od tych ludzi, wam moi kochani opowiadam ku zbawieniu i szczęściu waszemu.

X. Wojciech z Medyki.

MŁYNARZ.

— Pojadę ja parobeczek, pojadę,
Do starego młynarza po radę,
Zaprzęgę ja dwa koniki wrone,
Pojadę ja przez łąki zielone.
I zajechał prosto do podwórza,
Do starego młynarza, do wróża.
— A witajże Bartoszu chłopaku,
Pewnieć trzeba stępy do rzepaku,
Albo żyto zwiozłeś do mielenia,
Lub na krupy nowego jęczmienia?
Odpocznijże sobie mało wiele,
Aż się zboże nałożone zmiele.
— Oj nie po to przyjechałem ja tu,
A to radźcie mnie i memu bratu,
Bo nas straśnie obie garście swędzą,
Pewnie nam się pieniądze napędzą.
— Ale, ale, rzecze młynarz stary,
Prędzej się z kim weźmiecie za bary,
Bo jużeście chłopcy moi mili,
Od dawnego czasu się nie bili.
— Zaś tatulu chociem się nie kłucił,
Alem wczora w karczmie Florka rzucił,
Kiej się człowiek gorzałki napije,
To się ano tak z pustoty bije.
— To źle bratku, czy ci Bóg dał pięście,
Żebyś swoim wyrządzał nieszczęście?
Jest ci inne na świecie plugactwo.
— A! rozumiem, pewnie co kozactwo.
No, to jedno; a wedle drugiego,
Powiedzcie mi tatulu dla czego

Nasze konie trawy mało szczypią,
Jeno parszczą a nogami rypią?
— A to widzisz radeby leciały,
Żeby dobrych gospodarzy miały;
Ale wy to siedzicie jak żaby,
Albo jako przy kądzieli baby.
— Zaś tatulu odwoziłem wczora
O trzy mile kwestarza z klasztora.
— Widzę bratku żeś ty Mazur ślepy,
Całe życie będziesz nosił cepy,
Koń mądrzejszy radby leciał dalej.
— Eh! rozumiem, pewnie na Moskali!
— A czy nie wiesz, że się nasi biją
Z Moskalami! — O Jezus Maryo!
Krzyknął Bartek, widzita, widzita,
Dosiadł wozu i ruszył z kopyta:
Nie rychło nas tatulu ujrzeta,
Bądźcie zdrowi ojcze, heta, heta!

Teofil Lenartowicz.

Rzetelny kmieć Michał Wabik.

Jakoś jeszcze w lecie przeszłego roku wypadło mi jechać do Brzeźnicy, wioski o trzy ćwierci mili od Bochni położonej. W połowie drogi ciągnie się tam las Przysieki, przy którym kilka chat jest rozrzuconych, a tuż przy gościńcu stoi krzyż z ukrzyżowanym Zbawicielem, w około sztachetami obwiedziony.

Owóż jadąc tamtędy krzyż ten bardzo mię zastanowił. Więc napotkawszy tamecznego jakiegoś gazdę rozpytałem się zaraz o tym krzyżu i kto go przy gościńcu postawił?

Wtedy gazda ów tak mi jął opowiadać:

— Będzie temu sporo czasu, kiedy w czwartej odemnie chałupie mieszkał zamożny kmieć Stanisław Wabik, który już kilka lat jak nie żyje. Był ci sobie z niego człowiek niezmiernie zacny, zgodliwy i pracowity. Co niedzielę widziałeś go w kościele w Brzeźnicy, a czasem jeździł do Bochni na nabożeństwo. Zawsze nosił ze sobą xiążkę do modlenia, a w czasie mszy świętej śpiewał on z organistą nabożne pieśni, zaś w Boże Narodzenie jak zanucił kolędę, to aż odsłuchać się nie można

było, i niech się schowa przed nim każdy organista a nawet i miejski.

To też Pan Bóg miał go w szczęśliwej opiece u siebie. Szczęścił mu we wszystkiem, bo i chudobę miał piękną, domek okazały, ogródek piękny a i grosika nie mało w drewnianej skrzyni. Jednego tylko mu brakło i tego nie mógł się odżałować, a to iż nie miał więcej dzieci tylko jedynaka Michałka.

Jednakowoż nie gryzł się tem, bo wiedział doskonałe, że to już taka wola Boża, a za to wziął na własne wychowanie dwoje dziewcząt sierotek po swoim ciotecznym bracie, które potem powydawał za uczciwych chłopców.

Stanisław nikogo nie skrzywdził w całem życiu, każdemu oddał co się mu należało, a szczególnie sumiennie płacił robotnika, bo znał dobrze, jakto każdy ciężko musi pracować, aby wyżywić żonę i dzieci. Słowem był to człowiek jakiego we dnie ze świecą poszukać.

Kiedy właśnie Michałek ożenił się na drugiej wsi z ubogą ale pracowitą dziewczyną, umarł Stanisław, a cały dobytek spadł na Michałka.

Płakał on dnie i noce za dobrym ojcem, bo miał bardzo czułe serce. Zaś ze swoją Marysią żył spokojnie w ojcowskiej chacie, aż jednego razu, a było to prawie w zaduszny dzień wieczorem zasnął, a we śnie zdało mu się, że widzi siedzącego ojca na jego łóżku. Osłupiał niby na to widzenie, ale gdy się lepiej przypatrzył, naprawdę, jak sam opowiadał, zobaczył swego ojca, który się tak do niego odezwał:

— Przychodzę tu do siebie mój kochany synu aże z tamtego świata, abyś mię poratował w mojem nieszczęściu. Wiadomo ci że za życia mojego nikt na mnie nie narzekał, bom sprawował z każdym jak się patrzy; każdemu wypłacałem zarobione pieniądze; jakoż raz tylko przez zapomnienie nie dałem zapłaty młynarzowi Walentemu za mlewo, a za to pokutuję tu już trzeci rok a pokuta moja jeszcze się nie skończyła. Pan Bóg krzywdzicieli i gnębicieli tutaj okropnie karze i wielkie ponosić muszą męki i katusze. Osobliwie zaś ci, którzy swoim służącym zapłatę zatrzymują. Otóż idź do tego młynarza, zapłać

mu należytość, daj na mszę świętą, a będzie ci się dobrze powodziło na świecie, a mnie przysporzysz niebieskiej radości!

I w tem znikł Michałkowi ojciec przed oczyma.

Owóż gdy się obudził nad ranem, zebrał się czemprędzej, poszedł do Walentego młynarza i tak doń prawi:

— Popatrzcie też mój Walenty w waszej xiążce, czy mój nieboszczyk ojciec nie został wam kiedy dłużnym za mlewo?

Młynarz wypatrzył się na niego, aż po chwili zaglądnął do xiążki i patrzy, a tu rzeczywiście Stanisław za jedno mlewo nie zapłacił.

Michałek zaraz wyliczył co się należało, a potem pobiegł do xiędza proboszcza i dał na mszę świętą za duszę swojego ojca.

Jakoż na drugą noc przychodzi znowu we śnie do niego nieboszczyk ojciec z jaśniejszą już twarzą i zawoławszy tylko:

— Dziękuję ci, dziękuję kochane dziecko! teraz już jestem wolny od mąk i zaczynam zażywać szczęścia wiecznego! zaraz znikł i już się nigdy nie pokazał Michałkowi.

Na tę pamiątkę postawił on krzyż przy drodze, na którym oprócz Pana Jezusa, kazał wyrznąć figurę św. Stanisława, a pod nią te słowa:

Święty Stanisławie
Tyś i u Boga w sławie;
Biskupie krakowski —
Módl się za lud polski!

Michałek tak samo jak i ojciec jest bardzo poczciwym i rzetelnym człowiekiem, wszyscy go kochają, ale teraz nie mieszka w chacie ojca, jeno w drugiej wsi, gdzie pojął sobie Marysię za żonę.

I na tem kończył ów gazda swoje opowiadanie.

— Mój Jezusie! — rzeknę ja do niego — a wieleż to ludzi teraz ma w krzywdzie bliźniego upodobanie; wieleż to czyha, aby tylko drugiego złe spotkało; sąsiad sąsiada procesuje, a potem się cieszy i raduje jakby tysiące miał z tego, a o miłości ani o rzetelności nie pomyśli....

— Oj miły człeku! — przerwie on — źle teraz na świecie ale pamiętajcie, że dobytek na krzywdzie ludzkiej zbudowany na nic się obróci, bo czy pierwej czy później sprawiedliwy Bóg

do szczętu go wyniszczy. Dawniej inaczej bywało na ziemi naszej. Każdy dla bliźniego byłby serce swoje wyjął z piersi, to też złote pierwej były czasy. Pan Jezus dawał śliczne urodzaje, bogactwa było co nie miara, dla tego też fundowali ludzie przewielkie kościoły, a teraz — kiedy krzywdę i łakomstwo rozsiali złe duchy po świecie, bieda i złe czasy. Bóg by dał, żeby się ludzie już raz poprawili, żeby słuchali świętego kościoła, a byli przytem rzetelni i poczciwi jak Michałek i jego ojciec, to pewnie inaczej działoby się na świecie. Bóg jest nieodmienny, jak dla przodków był miłosierny, tak i nam nie odmówiłby miłosierdzia swojego!....

— Bóg zapłać za dobre słowo, które oby się przyjęło w sercach ludzi! — powiedziałem, a potem poszedłem pod krzyż, oglądnąłem go do koła, zmówiłem pacierz i wieczne odpoczywanie za duszę Stanisława i pojechałem swoją drogą. A teraz podaję o tem wszystkiem dla was kochani bracia do Dzwonka na przykład i naukę.

Józef z Bochni.

Pogadanka starego rolnika.

Żebyście wiedzieli moi kochani, co to niedawno temu był za rejwach pomiędzy ludźmi w Marusicach, to ażbyście się za głowy pobrali. Otóżto z lichej przyczyny taka się stała sprawa.

Pan w Marusicach co prawda, nie jest święty, troszkę może impetyk, czasem fuknie, pogrozi, kiedyniekiedy i stuknie, ale zawdy poczciwy szlachcic; nikogo nie skrzywdzi, ubogiego poratuje, sieroty przytuli, i nad chłopami prawie nie panem, jeno jakby prawdziwym ojcem, bo choćby w ogień to pójdzie, a krzywdy żadnemu nie da zrobić. Ale ludowina w Marusicach, zwyczajnie jak prosty ludowina, niby to wszystko uznaje w swoim panu, jednak czasem bąknie takie słówko, coby nie wypadało i przez to więcej sobie niż panu szkody przynosi. Tak się i teraz stało.

Kiedy na Nowy rok był we dworze obrachunek z gromadą, i co wypadło z zarobku, każdemu co do grosiczka wypłacone zostało, a innym dług zapisano na odrobek, pan zawołał je-

dnego gospodarza Mateusza Puślika do swojej kancelaryi, i rzekł mu:

— Słuchaj Matus, wiem żeś poczciwy człowiek, kochasz i boisz się Boga, do pracy się nie lenisz, z gorzałką się nie lubisz wdawać, krzywdy ani ludziom ani dworowi nie robisz; więc żeby wynagrodzić twoję poczciwość i pokazać ci, że ja takich ludzi choć są biedni, kocham i szanuję jakby swoich braci, to dług, co mam u ciebie wynoszący ośmdziesiąt dwa złote i groszy piętnaście daruję ci, i od dziś dnia wszelki zarobek wypłacać ci będę bez żadnego potrącania.

To wyrzekłszy pan, otworzył xiążkę, co w niej zapisywał wszystkie obrachunki z gospodarzami, przemazał dług i dopisał, że takowy przez Puślika w dniu dzisiejszym zapłacony został.

Mateusz jak to zobaczył, z wdzięczności i rozczulenia aż się rozpłakał i całując w kolana poczciwego pana, rzekł:

— Prawda wielmożny panie, co mnie Bóg nawiedził gradem i od tego czasu rady sobie dać nie mogę, aleć ja taki grzeszny człek jak i drudzy, tom może i nie wart tam takiego nad sobą miłosierdzia.

Kiedy się wiadomość o tem rozeszła po wsi, ludziska jedni pokręcili głowami, drudzy pochwalili, inni znowu trocha w sobie poczuli zazdrości, a inni nareszcie poszli po rozum do głowy i dalejże penetrować, jakby z tego jaką korzyść dla siebie wyprowadzić. Krętu więc wętu, dwóch gospodarzy, co także dłużni byli dworowi, uradzili, żeby pójść do pana i prosić go, aby im tak samo darował jak Mateuszowi Puślikowi. Kiedy rzecz całą i pokornie i grzecznie przełożyli, pan troszkę się zdumiał, boć przecię o darowiznę czego, samemu przymawiać się nie wypada, i wysłuchawszy wszystkiego, rzekł:

— Moi ludzie, Puślikowi dług darowałem, bo biedny i do tego nie z własnej winy, ale z dopustu Bożego; to takiego ratować sam Jezus Chrystus w ewangielii nakazuje. Wy zaś, że jesteście biedni, toście sami temu krzywi; bo tobie mój Józefie gorzałka to najlepsza przyjaciołka, a tobie Urbanie ręce strasznie od roboty uciekają. A że ani gorzałka, ani próżniactwo chleba nie dają, tylko go z chałupy wypędzają, więc cóż

dziwnego, że u was bieda, grosz grosza goni i wiecznie siedzicie w długach po uszy?

— A wielmożny panie, odezwali się na to oba gospodarze z niskim ukłonem, to my już najgorsi we wsi czy co, przecieć nie kradniemy, nie...

— Jacy wy jesteście, przerwał pan, to was moje dzieci Bóg najlepiej kiedyś osądzi. Ja wam tylko powiem, że Puślik oprócz poczciwości, której mu nikt nie zaprze, ma przytem przychylność dla dworu, nie zrobi mi ani w łąkach ani w zbożu szkody, dług odrobi jak wypada, co dworskie to uszanuje i zawsze okazuje, że ma życzliwość w sercu. Wy zaś nie tacy; dla tego co zrobiłem Puślikowi, tego wam zrobić nie mogę — darowałem mu, to swoje, to wolno mi, wreszcie takich darowizn każdemu robić nie mogę, bo niedługo wyszedłbym z Marusic o kiju. I ja moi kochani mam swoje różne kłopoty, wyście winni mnie, i po troszku bez prowizyi wypłacacie się robocizną, ja także ludziom winienem, ale płacę co rok różne prowizye i po troszku wypłacać się nie mogę. Wam ja poczekam i poratuję w potrzebie czy zbożem czy pieniędzmi, mnie nikt czekać nie będzie, nie doda i jeszcze ze wsi wypędzi, jak w terminie zapłaty nie dopełnię...

— A jużcić, prawda wielmożny panie, prawda, przerwali gospodarze, kłaniając się, a pan mówił dalej:

— Wy płacicie podatki i ja płacę większy, niż wy wszyscy razem we wsi. Wy potrzebujecie pieniędzy na życie, na ubranie, na gospodarstwo, i mnie darmo nikt nic nie da, a jak porachujecie, co tu ludzi żyje przy dworze, to najlepiej się przekonacie, co to na to trzeba wydatku. Wypadnie się gdzie za was nadstawić, osłonić, poratować, to czyja wtedy trzeszczy kieszeń? jużcić moja, nie wasza. Więc i ja widzicie darowiznami szastać nie mogę, bo i moja rola nie rodzi pieniędzy, tylko zboże jak i wam — dlatego idźcie z Bogiem i nie naprzykrzajcie się o to, czego wam nie mogę i nie powinienem zrobić, bo co innego wy, a co innego Puślik.

Mowa ta pańska strasznie poszła chłopiskom po nosie, podrapali się po głowie, a gdy zaszli do karczmy dla pocieszenia się, jak powiadali, w ciężkim swym frasunku, wypiwszy

do jednym i po drugim kieliszku, Józef spluwając, rzekł do Urbana:

— Mój Urbanie, tu cosić w tem jest.

— Bogać ta inaczej, odrzekł Urban, przyciskając żarzący się węgiel na fajce.

— Bo ino zważcie, ośmdziesiąt i dwa złote darować niewiadku dla czego, to nic po próżnicy.

— Pewnikiem, nie po próżnicy.

— Bo dla czegóż dla nas dziedzic taki twardy, kiedy dla Puślika tyle miał w sercu miękkości.

— Ha! a któż go ta wie.

— Wy nie wiecie, ale ja wiem mój Urbanie, odrzekł na to Józef, stawiając nogę na obcasie i zakładając z jankurem ręce za pas, ja wam powiem: niezawodnie przysłano mu pieniędzy i kazano między nas rozdać na zapomogę biedniejszych. W mieście to się wszystkiego dowiemy; więc jak dziedzic odebrał, tak naprzód sobie potrącił dług Puślika, a co nam wypada, to schował i nie chce dać teraz, ale się wymawia i wymawia.

— Co, nie chce dać — co, schował dziedzic? zapytała stojąca na boku kobieta co przyszła do karczmy za solą, rada wszystko wiedzieć, podsłuchać i potem z plotką oblecieć wieś całą.

— Ej! co tam się kobieta ma wtrącać w chłopskie interesa, odrzekł Urban nie bardzo lubiący trajkotkę wiejską — to chłopska, a nie babska sprawa.

Walkowa, bo takie jej było imie, na te słowa bardzo się rozgorgoliła, tupnęła więc nogą, fuknęła i na Józefa i na Urbana i rzekłszy, że się obejdzie bez nich i że wszystko i tak wie dobrze, trzasnąwszy drzwiami, wyszła z izby karczemnej.

Niedługo po całej wsi już chodziła wiadomość, że do dworu na zapomogę dla włościan przyszły znaczne pieniądze, że widziano jak je przywieziono, że dziedzic tylko za Puślika dług sobie potrącił, resztę schował dla siebie, i że ino upomnieć się dworowi, to pewnikiem wszystko wyda, bo się dziedzic będzie bał kary. Rada więc w radę, jak poczęto penetrować, naradzać się i przemyśliwać, tak uchwalono, żeby pójś do dworu i prosić dziedzica o wydanie tego, co przynależy. Dziedzic ma się

rozumieć, zdumiał się niepomału, że to, co pochodziło z jego poczciwości, przez całą gromadę uznane zostało za nakaz, za powinność, i przełożywszy wszystko jak wypada, dodał wreszcie:

— Moi ludzie, jeżeli mnie nie wierzycie, chociaż nigdy w niczem, nawet w najmniejszej rzeczy was nie oszukałem, to popytajcie się kogo innego. A teraz idźcie z Bogiem, z podobnemi interesami nigdy do mnie nie przychodźcie, bo wierzcie mi, że każdy może wam obiecać złote góry, ale tylko jeden dwór, co na prawdę was wesprze i poratuje.

Zrazu słowa te dosyć przekonały gromadę, jaki taki zaczął folgować w swem podejrzeniu, ale gdy wyszli z podwórza dworskiego, i na nowo rozpoczęli o tem gadkę, tak podzielono się na dwie partye, i jedni utrzymywali, że dziedzicowi należy wierzyć, bo wszystko przełożył i mądrze i poczciwie, drudzy zaś, że należy tę rzecz lepiej jeszcze wypenetrować. Od gadki do gadki, od przymówki do przymówki, pomału przyszło do kłótni, a gdy wtłoczono się do karczmy, i kieliszek jeden i drugi zakręcił w czuprynie, zaczęto sobie przypominać to i owo, mieszać, łączyć jedno z drugiem, odgrażać się, przezywać, wyciągać pięście, wrzeszczeć, krzyczeć, przeklinać, że szum i wrzawa daleko rozchodziły się po wsi całej, jakby od kół młyńskich, kiedy na nie woda spada i obraca. Na nieszczęście wpośród największego krzyku drzwi się otworzyły, i wszedł niemi Mateusz Puślik. Połowa większa, co była w zazdrości o przyjaźń dworu dla niego, zyzem spojrzało na poczciwego gospodarza i poczęła między sobą szeptać:

— Lizuś dworski, pochlebca...

Puślik usłyszawszy to, zmarszczył brwi, ale się wnet uspokoił, uśmiechnął trochę smutno i rzekł:

— Że dworowi życzę dobrze, że przestrzegę go o każdej krzywdzie, to się tego nie zapieram, i robię to w oczach ludzkich nie tylko ja sam, ale takim jest Janek Goździak, co pojechał do bratanków, Modras i inni, bo na poczciwych ludziach Bogu dzięki w naszej wsi nie zbywa. O przezywanie więc wasze nie stoję, bo mi nie o was idzie, ino o moje sumienie, i gadajta, co się wam podoba.

Mowa ta kilku chłopów dotknęła, palnęli więc jeszcze po kieliszku, i jak wzięli na języki Puślika, tak nim zaczęli obracać, że aż chłopisko się zniecierpliwił, i fuknął na nich, aby go zostawili w spokojności. Wrzaśnięto więc gwarnie na biednego Mateusza, nazwano go hardziochem, a gdy dwóch przyskoczyło i ująwszy silnie za ożydle, zawołało:

— A co ty se myślisz?

Syn Mateusza ujmując się za ojcem, nie namyślając się, tak potężnie kijem palnął przez twarze, że obadwa napastnicy odskoczyli, łapiąc się rękoma za nosy. Z takiego ma się rozumieć poczęstunku przyszło do ogromnej bójki i jak się zaczęli jedni za drugimi ujmować, tak w końcu nikt nie wiedział, kto za kim trzyma — i niezawodnie bez wypadku jakiego nie byłoby się obeszło, ale kilku poczciwszych i przytomniejszych porwało za konewki i zaczęło chlustać na bijących się wodą, która pomału tak ich ochłodziła, że przecieć upamiętali się.

Mateusz Puślik, co przeciw niemu najwięcej się do bicia porywano, wyszedł z karczmy nawet nietknięty, a ci właśnie, którzy pierwsi bójkę rozpoczęli, tak zostali poturbowani, że jeden tydzień odleżał w domu, a drugi ze dwa tygodnie chodził zapuchnięty jak nieboskie stworzenie. Wszystko się jednak kończy na świecie, jedna tylko chciwość ludzka nie ma granic; i dla tego choć o bijatyce pomału zapomniano, nie zapomniano jednak o plotce najprzód rozniesionej przez Walkową. Po troszku więc, po malutku zaczęto ją sobie przypominać, dodawać ten troszkę, ów troszkę, aż znowu takiego stworzono cudaka, że już i bajka, co baby przy kądzieli opowiadają, nie będzie lepszą i ciekawszą. Z tego ma się rozumieć, szło coraz większe rozdwojenie między dworem i gromadą, i byłoby Bóg wie do jakiej wzajemnej przyszło niechęci, ale na szczęście powrócił do wsi Janek Goździak i jednej niedzieli, kiedy się ludziska zgromadzili do niego, wysłuchawszy wszystkich żalów i podejrzeń, rzekł:

— Moi ludzie, z takiej waszej podejrzliwości do dworu, smutno mi się bardzo robi na sercu. Długoby wam trzeba gadać, żeby was przekonać, że dwór to jest dla was jak ojciec albo matka, że czego od ojców swych nie dostaniecie, to pewno

u cudzych ludzi tego nie znajdziecie. Bo i kajże idzie dziecko, jeżeli nie do swych ojców? A kajże tacy rodzice, coby swym dzieciom nie radzi byli choćby nieba przychylić? Moi sąsiedzi wierzcie mi, wierzcie mojej siwej głowie, dopóty nie będzie dobrze dla was, dopóki nie będziecie dziedziców mieć za swych ojców, bo i oni was za swe dzieci uznają. Wreszcie moi kochani choćby i który dziedzic był taki niesumienny, coby chciał przed gromadą pieniądze utaić, toby nie mógł, bo wiecie dobrze, że to żartu nie ma, to ciężka za to odpowiedzialność.

Jeszcze tam więcej gwarzono, jeszcze i to i owo wywodzono, ale Janek tak im wszystko dokumentnie przekładał, że chłopiska na końcu przecie uwierzyli, iż co robią panowie dla chłopów, to wszystko z dobrej woli, i że należy im wierzyć we wszystkiem, boć oni i rozumniejsi i lepiej jak chłopi każdą rzecz znają. Poczciwe i mądre słowo kiedy trafi do rozumu, to wnet dochodzi i do serca, a jak w sercu się pomieści, to już dobrze, to pewno człek stał się lepszym, i za wszystko złe co mógł zrobić żałuje. Wszystko to stało się z tymi w gromadzie, co najwięcej narobili o owe pieniądze harmideru, bo gdy poznali, że się w sądzie swym pomylili, naprzód zawstydzili się tak, że z nikim ze dworu nie śmieli się spotkać, a przed dziedzicem oczy w dół spuszczali; potem taka im żałość serce ogarnęła, że póty nurkowali, póty zachodzili, aż przydybali dziedzica na ganku i tam całując go po kolanach, mówili:

— Wielmożny panie! przebacz, bo my to wszystko robili nie ze złości, jeno z głupoty. Przebacz, przebacz wielmożny panie!

Dziedzic popodnosił ich i rzekł z dobrocią:

— Moje dzieci, ja się też na was nie gniewałem, tylko prosiłem Boga, żeby was oświecił. Ażeby wasze dzieci ustrzeżone zostały od podobnych wypadków, to nauczajcie ich, żeby nas kochali, szanowali i uważali za swych przyjaciół. Gdy to w nich wpoicie, Bóg wam to jeszcze na tym świecie wynagrodzi, bo będziecie ludzi z sobą łączyć a nie rozdzielać, więc po świecie siać będziecie zgodę i miłość, a nie rozłąkę i nieprzyjaźń. Postępowanie zaś takie Bóg błogosławi, bo im więcej miłości na ziemi między ludźmi, tem więcej szczęścia, boć przecie sam Bóg jest samą mądrością i najczystszą miłością.

— Oj! prawda, oj prawda, odezwali się włościanie z niskiemi ukłonami, święte słowa wielmożnego pana, gdyby to wszyscy ludzie chcieli tak postępować, toby inaczej było na świecie.

Km.

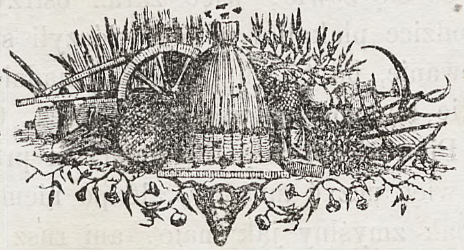
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.

Tom VIII. Nr. 18.

21. Czerwca. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

L. 7916.

Z c. k. sądu krajowego Lwowskiego w sprawach karnych do Redakcyi pisma „Dzwonek", na ręce p. E. Winiarza.

C. k. sąd krajowy Lwowski w sprawach karnych zważywszy, że Redakcya pisma dla ludu „Dzwonek", w numerze 17 zamieściła artykuł „Pan Kościuszko i chłopek", z treści swojej poszlakowany o zbrodnię zaburzenia spokoju publicznego w myśl §. 66. kod. karn. i rozporządzenia min. spraw. z dnia 19. października 1860, postanowił śledztwo karne wytoczyć.

Pohlberg.

Z c. k. sądu krajowego w sprawach karnych.
Lwów dnia 18. czerwca 1863.

Dobrowolski.

Kmieć Piotr Sędek,

major wojska polskiego.

Kupa lat już temu, bo najmniej ze sześćdziesiąt, kiedy w Polsce w Poznańskiem i Mazowieckiem rządzili Prusacy, jużci niby gęsi szare. Otóż żył podówczas w ekonomii uniejowskiej pewien kmieć uczciwy, kopiarz, który miał dwóch synów a zwał się Sędek. Niebogaty był to człowieczyna, i najwięcej z zarobku swego i dzieci żywił się z całym domem.

Aż tu nadchodzi branka i stary Sędek musiał postawić do popisu syna starszego Piotra. Jak go Prusacy ujrzą, iż był chłop silny a dzielny co się zowie, więc zaraz ostrzygli go w żołnierze. Biedni rodzice płakali i u nóg włóczyli się Landratowi, prosząc o zmiłowanie, bo to ich podpora i nadzieja cała — ale gdzie tam ludzkie łzy pomogą u takiego serca. Ot i skończyło się na tem, że Piotr Sędek został żołnierzem pruskim.

Zaczną go więc uczyć musztry, ale po niemiecku. Biedny Piotr choć chłopak zmyślny jak mało, ani rusz nie mógł wyuczyć się gadania niemieckiego, i ztąd okrótną miał biedę. Prusacy nie mogąc się rozmówić z rekrutami polskimi, tak sobie z nimi radzili. Wiązali im do nogi jednej wiecheć siana a do drugiej słomy, i potem kazali im maszerować a wołali: *Ajnc! cwaj! śloma, siano* — i tak ciągle niby na kpiny. Zaś kijów i różnego bicia dawali do tej nauki bez miary i ludzkości.

Takto było czas jakiś. Nareszcie wyszedł rozkaz, aby wszyscy żołnierze Polacy szli pod osobne dowództwo. Niebawem stanęło wojsko polskie. Cieszyli się wszyscy, a Sędek najbardziej. Jakoż niebawem został sierżantem, to jest niby kapralem i uczył drugich żołnierzy musztry po polsku, jakiej się doskonale sam wyuczył. I starsi i żołnierze kochali go bardzo, pierwsi za pilność a drudzy za ludzkość i dobroć.

Znowu niebawem zaczęła się wojna z Prusakami. Była bitwa wielka, a w tej pobili Polacy Prusaków na głowę. Wszyscy Polacy bili się dzielnie, a Sędek także się nie lenił i ręki nie żałował. Naraz ujrzał on kilkanaście wozów pruskich, jak uciekały szybko. Wziął więc na ochotnika kilku żołnierzy, skoczył z nimi odważnie i niebawem złapał one wozy i przywiódł przed pana dowódzcę. Ten ucieszył się bardzo takiem męztwem Sędka, i rzekł mu:

— Jesteś oficerem.

Na to powie Sędek:

— Ale panie dowódzco, kiedy ja jestem tylko chłopem.

— I cóż to wadzi — rzeknie pan dowódzca — kiedy jesteś mężnym i dzielnym człekiem. My nie Prusacy, więc u nas każdy człek, choćby najpośledniejszego rodu, może zostać znacznym panem, kiedy na to zasłuży. Oto masz przykład na

sobie, a jeszcze daję ci order, to jest krzyż legii honorowej, na nagrodę twego męztwa i zasługi.

Został Piotr Sędek dzielnym oficerem, a za zasługi znaczne zrobili go jeszcze starszym, najpierw kapitanem a potem aż majorem. Wszyscy żołnierze i starsi szanowali go i kochali bardzo za uczciwość a także za to, iż był dzielnym żołnierzem i rozumu miał nie skapo. Do poźnych lat został Sędek w takiem poszanowaniu i w takiej miłości u ludzi, a do dziś dnia opowiadają sobie różne piękne o nim przykłady.

Tak razu jednego pan major Sędek stał ze swojem wojskiem w Radomiu, i była właśnie parada wojskowa. Pan major komenderuje wojsko jakby jaki jenerał i pan rodowity a nikomu ani na myśl nie przyszło, żeby on nie był panem i szlachcicem jeno chłopem. Przy końcu parady, kiedy jeszcze wszyscy stoją i patrzą, dali znać panu majorowi, iż jacyś biedni kmiecie chcą się z nim widzieć. Idzie on do tych ludzi, a poznawszy w nich ojca i matkę, rzuca się im do nóg i cieszy nimi jak najlepsze dziecko. Wszyscy aż się popłakali z radości i z szacunku dla majora, który choć sam już pan, nie wstydził się swoich biednych rodziców. Oficerowie zaraz zaprosili rodziców Sędka na piękny obiad i posadzili ich na pierwszem miejscu, choć się biedacy wypraszali od tego. Staruszkowie musieli jeść razem z panami, a wszyscy pili ich zdrowie najlepszem winem, i wszyscy nachwalić się nie mogli Sędka za jego serce uczciwe, iż się nie powstydził swojego stanu i swoich biednych rodziców.

Lecz nie koniec na tem. Zacny Sędek pamiętał o swoich rodzicach i o inszych kmieciach ekonomii uniejowskiej, pomagał im zawsze, radził dobrze w każdej potrzebie. Wiele już lat od jego śmierci, a przecież pamiętają o nim ludzie tameczni, jakby dzisiaj jeszcze żył i na dobrą naukę a na piękny przykład opowiadają o nim każdemu.

Otoż i ja wam na ten koniec opowiedziałem historyę Sędka i proszę was jeszcze, spamiętajcie sobie dobrze tę prawdę:

Najpierw, iż pilność i rozum do wszystkiego mogą doprowadzić człowieka, więc i najmizerniejszego mogą uczynić zna-

cznym i bogatym. Praca, pilność i uczciwość, to są sposoby, jakiemi człowiek przyjść może do majątku i znaczenia.

Dalej i ta piękna jest nauka, aby się nikt nie wstydził swojego stanu i swoich rodziców. Bo i cóż to za dziwna rzecz taki wstyd. Toć największy honor dla człowieka, jeżeli on za swoją pracę i za swoją uczciwość został znaczniejszym niż się urodził, i jeżeli to każdemu może dokumentnie pokazać. Znowu też jaki to grzech ciężki sromać się rodziców, którzy człekowi życie dali, i których Bóg kazał miłować i szanować po wszystkie czasy. Jużci gdyby Sędek był się powstydził rodziców biednych i swojego urodzenia, mogło się to łatwo wydać między ludźmi, a naonczas zamiast pochwały i kochania byłby u nich znalazł złe słowo za zły uczynek.

Otóż macie moi mili dobrą naukę z pięknej historyi, która niech wam wyjdzie na pożytek.

STARA ŚPIEWKA WOJACKA
o bitwie Racławickiej.

Danaż moja dana,
Polsko ukochana,
Kraju najmilejszy,
Świecie najpiękniejszy,
Ojczyzno kochana,
Danaż moja dana.

Po rosie, po lesie
Echo piosnkę niesie,
Z boru kosy dzwonią
I słychać strzelanie,
Już się biją o nią,
O Polskę kochanie.

Kosyniery nasi
Idą do ataku,
Słonko kosy krasi
A Moskwy jak maku.
Poczekaj bestyjo,
Już cię wnet ubiją.

Pan naczelnik woła:
Naprzód! naprzód wiara,
Wszakcito rzecz stara;
A chłopcy do koła
Jak Moskwę ujęli,
Tak i w pień wycięli.

Nażci poganinie,
Nażci rozbójniku,
A widzisz nie minie
Kara, gwałtowniku,
Za mordy, rabunki,
Masz teraz rachunki!

Danaż moja dana,
Już bitwa wygrana,
I śpiewka wesoła
Rozlega do koła,
Ojczyzno kochana
Danaż moja dana.

Dobry sposób na wypędzenie biedy,

czyli:

Historya o Wojciechu, który z chudziny stał się bogaczem.

Wojciech Skorupa zeszedł na wielką biedę. Nie byłto ani pijaczyna ani hulaka żaden, jeno jakoś mu nie szło, czyli jak sam powiadał, szczęście go porzuciło całkiem, a bieda chwyciła się rękami i nogami. Dlatego opuścił Wojciech ręce i zamiast pracować, lamentował a narzekał na swoją biedę, aż strach. Tak pole stało pustkami, a kiedy co zasiał, to najgorzej mu się pewnikiem urodziło; obora próżna stała, bo niech jeno bydle jakie kupił, już z pewnością zdechło niebawem; chałupa sama brudna, obdarta, nieprzymierzając jakby kucza na bezrogi, a zaradzić temu niesposób, powiadał Wojciech, bo bieda poniszczy pracę i przeszkodzi.

Ot nie gadając wiele, całe gospodarstwo Wojciechowe pokazywało największą nędzę; on sam, żona i dzieci, obszarpane i wychudłe, istne były żebraki.

Działo się tak aż do wiosny łońskiego roku. Był właśnie koniec marca, kiedy pewnego dnia siedzi Wojciech w chałupie zafrasowany, bo to przednowek a już ani odrobiny ziarna ani grosika nie ma. Głodny on, głodne dzieci, zimno jeszcze i bieda okrutna. Otóż medytuje Wojciech nad tą biedą, kiedy się drzwi od chałupy otwierają i wchodzi stary druciarz, który już niemało lat chodził po okolicy i ludziom garnki drutował, a uczciwą pracą na chleb zarabiał.

— Garki drutować! — woła on z progu.

— Bogać tam drutowanie, kiedy nie ma w nich co uwarzyć, a i zapłacić wam nie ma czem. Bieda u mnie tylko, a biedy nie zdrutujecie — powie Wojciech.

— Jużci — mowi druciarz — biedę zdrutować trudno, ale za to doskonały mam ja sposób na biedę.

— Ba sposób, a jakiż to? — pyta Wojciech zaciekawiony.

— Poczekajta — mówi druciarz, i siadłszy koło Wojciecha na ławie, zapyta:

— Powiedzcie miły gazdo, gdzie też ta bieda u was siedzi.

— Ba! żebym to ja wiedział — huknie Wojciech — tobym już ja jej dał radę i taką pamiątkę, coby pewnikiem nie wróciła do mojej chałupy.

— Ha! kiedy nie wiecie, gdzie ta bestyja u was przesiaduje, to trza poszukać — powie druciarz. — Ta bestyja lubi się chować po różnych kątach, to na polu, to w dziurawej strzesze, to w stodole walącej się, nieraz i w śmiecisku na podwórzu albo i w kałuży. Otóż trza ją koniecznie wynaleźć, a potem rozumnie z nią zrobić, aby już nie wróciła, więc zakląć ją dobrym sposobem.

— A jakimto? — pyta Wojciech coraz ciekawszy.

— No jakim — mówi druciarz — to właśnie sekret największy, ale ja wam opowiem go także. Oto widzicie, kiedy już biedę masz w garści, więc ją najpierw pokropić wodą święconą, więc się skurczy i będzie maleńka. Potem wepchać ją trza do buteleczki czystej, zatkać korkiem dobrze, oblepić smołą i puścić na dół potoka.

— O miły Boże! — krzyknie Wojciech — żebym to ją dostał w ręce!

— A czemubyście nie mieli dostać, kiedy ja was nauczę wyszukać — powie druciarz.

— Miły człeku — powie Wojciech — to już nauczcie, a będę wam wdzięczny do śmierci, i nagrodzę dobrze.

— No, no! — mówi druciarz — ja tam o nagrodę nie stoję, a nauczę was. Oto najpierw trza szukać w polu, bo tam najlepiej lubi ona siadywać. Chodźmy oglądnąć.

I poszli na pole. Aż tu ugór prawdziwy, zapuszczony okrutnie, tylko łodygi zeschłe z chwastów sterczą, a kamieni jakby nasiał. Rzeknie więc druciarz:

— Ho, ho, jużci tu doskonały schowek dla biedy, i tu ją zda się znajdziecie. Więc mój Wojciechu weźcie się raźno, a najpierw kamienie z pola uprzątnijcie, a zwieźcie je aż na podwórze, bo tu gotowa bieda chować się pod niemi. Potem zorajcie ziemię pięknie co się zowie, głęboko, równo i gładko, a wybronujcie też i grudy porozbijajcie, bo to bieda wlezie nieraz i skryje się pod maleńką nawet grudkę. Zaś naostatek posiejcie tu jarą pszenicę i jęczmień i owies, bo tych bieda nie

lubi i ucieka od nich. Zaś ja tu przyjdę znowu niebawem, i dowiem się, jak się wam udało.

Poszedł druciarz dalej, a Wojciech jął się pracy szczerze, oporządził pole ślicznie, poorał i zabronował, a biedy nie ma i nie ma. Potem wziął u pana dziedzica na odrobek nasienia, poobsiewał pola, a naostatek kamienie wyzbierane zwiózł na dziedziniec chałupy.

W niejaki czas przychodzi znowu druciarz dowiedzieć się, czy Wojciech nie znalazł biedy.

— Gdzie zaś — powie mu tenże — ani śladu jej niema po polach.

— No, nic nie wadzi — rzeknie druciarz, i oglądnąwszy jak Wojciech pięknie poobsiewał pola, rzeknie:

— Teraz trzeba jej szukać w oborze i na gumnie, a to tym sposobem. Musicie Wojciechu doskonale oglądnąć każden kącik, każdą szparę. Gdzie jeno dziura, zalepić ją i zatkać, gdzie się wali podeprzeć, załatać na czysto, to już przepędzicie ztamtąd biedę. A uważać też trzeba, aby się nie psuło i nie rujnowało, bo natychmiast gnieździ się tam bieda. No pracujcie z panem Bogiem, a ja was niebawem znowu nawiedzę.

Weźmie się znowu Wojciech do pracy, i oporządza wszystko jak się patrzy. Niebawem naprawił ślicznie stodołę, i oborę, aż miło popatrzyć było na to. Zaś biedy jeszcze nie ma.

Przychodzi znowu druciarz stary, i oglądnąwszy z uciechą porządki Wojciechowe, rzeknie mu:

— No teraz miły gazdo trzeba jeszcze w samej chałupie poszukać biedy, jużci ona pewnikiem skryła się gdzieś tutaj. Więc najpierw dach poszyjcie, aby w nim dziur nie było, potem wylepić chałupę i pobielić jak się patrzy, dobudujcie komin i okna sprawcie porządne, a we środku niech będzie czyściutko. Tego okrótnie bieda nie lubi. Każden kącik oglądnijcie, aby się gdzie nie ukryła, a całe podwórze trzeba uprzątnąć należycie. Kamieniami wybrukujcie sobie podwórz, a na gnój urządźcie osobną gnojownię. Uważajcie też abyście sami i dzieci nie chodziły obdarto albo brudno, bo i przy człeku ukryje się bieda. No oddaję was Panu Bogu. Nadchodzą żniwa,

a ja gdzieś ledwo na święty Marcin przyjdę. Niech wam Bóg pomaga.

— Daj Boże, dziękuje wam miły człeku — odrzekł Wojciech i do swej zabrał się pracy.

Za dwa tygodnie niktby nie poznał zagrody Wojciechowej. Chałupa niby dworek pański śliczna i biała, podwórze jak izba czyste i umiecione, zaś sam Wojciech z żoną i dziećmi czysto i pięknie poubierani, aż miło na nich patrzyć. Przyszły żniwa, Wojciechowie pracują, pole dobrze uprawione zrodziło ślicznie, niebawem stodołę i brogi wypchali zbożem, część sprzedali, zakupili dwie krowy i kilka bezrogów, a na święty Marcin sprawił sobie Wojciech nową sukmanę i buty juchtowe, aż się oczy do nich śmiały.

Zaś na święty Marcin przychodzi stary druciarz. Wojciech powitał go serdecznie, oprowadził po całem gospodarstwie, a druciarz jeno się uśmiechał z radości, i rzekł nakoniec:

— No miły Wojciechu, toć już widocznie nie ma tutaj nigdzie biedy, i czyście ją złapali a zczarowali?

— Gdzietam — powie Wojciech ze smutkiem — com się jej naszukał, com się naszperał, ani rusz znaleźć bestyję. Prawda, że odkąd ją szukam, jakoś mi się lepiej wiedzie, bo widać że się bieda boi mego szukania i ucieka, ale kiedym ją nie schwytał, gotowa kiedyś nagle wrócić, ta i po dawnemu przywieść mnie do nieszczęścia.

— Nie turbujcie się — rzecze z uśmiechem druciarz — nie wróci ona pewnikiem, jeżeli ją nigdy szukać nie przestaniecie i skoro jej będziecie zawsze przeszkadzać. Pamiętajcie jeno, aby co rok uprawić doskonale wasze pola, aby strzechy chałupy były całe, aby chata obielona a stodoły i stajnie były wylepione, nakoniec żebyście wraz z żoną i dziećmi zawsze tak czysto i schludnie ubierali się, jak teraz. Tego wszystkiego nie cierpi bieda i znieść nie może, więc będzie od was uciekać zawsze z daleka.

Właśnie kiedy druciarz przestał mówić, zawołała obu Wojciechowa do jedzenia. Wchodzą do chaty, a izby ani poznać od dawniejszej. Biało wybielona jakby ją śniegiem oblepił, Najświętsza Matka boska, Królowa polska w ramkach na ścianie,

a przed nią lampka kościelna, którą Wojciechowie co sobotę zapalali na chwałę Bożej rodzicielki. Stoły i zydle czysto wyszurowane, a nawet łużko z piękną i czystą pościelą. Jeszcze raz uśmiechnął się radośnie druciarz, a w tem rzeknie Wojciechowa:

— Siadajcie moi mili taj jedzcie co Pan Bóg dał.

Wnet postawi misę z barszczem i to zaprawianym, potem drugą z kluskami ze sérem, aż nakoniec i gęś caluteńką pieczoną.

— Ho! ho! — rzeknie druciarz — a to u was jedzenie pańskie.

— Widzita, gęś jeno na dziś i to z tej przyczyny, bośmy się spodziewali, że nas dziś nawiedzicie — rzeknie Wojciech i przynosi wnet z komory okrótny dzban piwa, a powie do druciarza znowu:

— Wasze zdrowie miły druciarzu, za wasze dobre rady, a iż wam na zdrowie wyjść powinno, to już wedle przypowiastki:

Na świętego Marcina
Dobre piwko i gęsina.

Zaśmiał się druciarz, wypili i jedzą, a potem znów pociągnęli piwka, bo jakieś dziwnie było dobre. Więc jużci zaczną rozmawiać i tak gadu gadu, powie nakoniec druciarz:

— No miły Wojciechu, i jak się wam też zdaje cała ta sprawa z biedą.

— Co się ma zdać — odpowie Wojciech skrobiąc się w głowę — kiedy sobie dokumentnie rozważam, to mi się widzi i prawda i nieprawda, i sam już nie wiem jak.

Druciarz zaśmiał się serdecznie i powie:

— Macie racyę Wojciechu, jest tu i prawda i nieprawda. Jest prawda, żeście ją wygonili i że ona już nie wróci, jeżeli ją zawsze tak wyganiać będziecie; zaś tego tylko nie potraficie, aby ją uchwycić w garść i zaszpuntować we flaszce.

— A to czemu? — spyta Wojciech.

— Temu — rzeknie druciarz — bo jej nie ma całkiem. Wiecie wy co to jest bieda? Oto jeżeli kto chwyci się próżniactwa, nic nie robi jeno hultai się albo z założonemi rękami wyrzeka na nieszczęście. Taki człek nie zrobi nic porządnie

jak się patrzy. Pola nie uprawi dobrze, więc mu się na nim nie urodzi; chudoby nie dojrzy jak należy, więc mu wyzdycha; chałupę i budynki nie opatrzy należycie, więc mu się walą i niszczeją. Inaczej całkiem dzieje się, jeżeli chodzi koło gospodarstwa tak szczerze i dobrze jak wy tego roku.

— A niechże was ojcze Pan Bóg kocha — zawołał uradowany Wojciech — a toście mi dali nauczkę doskonałą. Co też ja się nadziwował, iż kiedy mi dawniej pola rodzić nie chciały, to w tym roku zboża wyrosły jak lasy. Myślę sobie, to pewnikiem zczarował druciarz, a to widać jeno dobra uprawa zrobiła.

— Pewnie że tak — rzeknie druciarz — i wszystko wam się powiodło dobrze dla uczciwej pracy a dla pilności i porządku. Otóż miły gazdo pamiętajcie sobie, iż tylko praca wypędza biedę choćby największą, praca tylko daje bogactwo i nią tylko można zczarować wszelakie nieszczęście.

— Oj będę pamiętał — rzeknie Wojciech — i jeszcze raz dziękuję wam za dobrą naukę a poradę. Zaś powiedzcie mi jeszcze, dlaczegoście mi po prostu tak z początku nie powiedzieli?

— Ba — odrzekł druciarz — jużci dla tego, iż wtedy bylibyście mi nie uwierzyli i wszystko poszłoby na nic. Teraz wiecie, boście się przekonali na własne oczy, że tak jest a nie inaczej, boście teraz człek inszy, już rozumniejszy. Zaś naonczas bylibyście się śmieli z nauki, jak dziś z onego zmyślenia o biedzie.

— Prawda — rzeknie Wojciech — już ja widzę że wy bardzo zmyślny człek, i daj Boże każdemu tyle rozumu co wy go macie.

— Nauczyłem się tego sposobu u nas w górach — powie druciarz — a chodząc po świecie już niejednego tym sposobem wyprowadziłem na porządnego człeka. Więc i teraz muszę spieszyć. Dziękuję wam ze częstunek i zostawiam Panu Bogu.

— Dziękujema wam, dziękujema — wołali Wojciechowie, i pożegnali się serdecznie z druciarzem.

Niema temu jeszcze dwóch tygodni, kiedy mi wypadła droga przez oną wieś, gdzie mieszkają Wojciechowie. Trafunkiem zaszedłem do ich chałupy, aby sobie kupić mleka; Wojciechowa ujrzawszy podróżnego, dała mi doskonałego mleka i chleba, a kiedy nadszedł mąż jej, rozgadaliśmy się, i tak pomało opowiedzieli mi całą tę historyę. Bardzo mi się ona podobała, a kiedym już dalej szedł w drogę, pytam co się należy za mleko.

— Nic miły człeku — powiadają Wojciechowie — mamy dostatek i dla siebie i dla drugich, więc niech wam będzie na zdrowie. I to nauka starego druciarza, a już przekonaliśmy się, że jego nauki dobre.

Podziękowałem im serdecznie, a kiedyśmy jeszcze nieco gadali, i Wojciech dowiedział się, że to ja piszę Dzwonek, który im dobrodziej czyta co niedzielę, pocznie mnie prosić:

— Mój miły bracie, a czybyście tam nie wydrukowali na naukę i ten sposób starego druciarza na wypędzenie biedy.

— Jużci że wydrukuję — powiem mu — bo to doskonała nauka, więc niech ją czytają ludziska na pożytek.

Tak też uczyniłem jak widzicie, i daj Boże, aby wam się to pisanie przydało.

Pogadanka gospodarska o koniach.

Grzela Jeździec miał zawsze doskonałe konie, i umiał się z niemi dziwnie dobrze obchodzić. Znano go z tego w całej okolicy, i każdy rad był nauczyć się od niego sposobu chowania koni. Otóż razu jednego w niedzielę przyszedł do Grzeli Jonek, i gawędząc to o tem to o owem, zaczęli w końcu o koniach. Powie Jonek:

— Jużto miły Grzelo poszukać daleko takiego koniarza jak wy, i takich pięknych koników jak wasze.

— Ba! — mówi Grzela — to nie wielka sztuka, bo jeno trochę zachodu i uwagi, a każdy może mieć podobne konie. Pewnikiem każdy gospodarz radby widzieć w swojej stajni piękne, tłuste i zdrowe konie, z połyskującym włosem i we-

sołym wzrokiem. Zaś nie każdy umie się z końmi obchodzić, drugiemu to nie chce się mieć tego zachodu, choć to rzecz nie taka bardzo trudna.

Jonek: Bogać tam nie trudna, a najbardziej z tem kłopot, że trudno wyuczyć się gdzie sposobu obchodzenia z końmi.

Grzela: Nie gadaj Jonku, a toć za chwilę powiem ci najlepsze sposoby, i wnet zobaczysz, iż to rzecz nie taka trudna, jak się zdaje.

Oto widzisz, najważniejsza rzecz jest, aby stajnię zawsze czysto i porządnie utrzymywać. Dalej i to ważna rzecz, aby konie co ranka czysto zgrzebłem albo i wiechciem słomianym wytrzeć, najbardziej w tych miejscach, gdzie się sierść od gnoju pozlepiała. Dalej szczotką już wychędożyć konia całego od głowy do nóg i ogona, a ciągle proch ze szczotki na zgrzebło należy ścierać. Wszystko to zda się rzecz mała, a przecież takie czyszczenie więcej tuczy konia, jak dobry obrok. Koń zaniedbany, nieczyszczony, będzie przy najlepszej karmie nędznie wyglądał, a przeciwnie koń czysto utrzymywany, czyszczony bodaj raz na dzień, i karmiony regularnie choćby lichszą karmą, nabiera ciała, dostaje wzrok wesoły, włos gładki, połyskujący, słowem staje się pięknym i dzielnym koniem.

Jonek: No patrzajta, ktoby się spodział, że taka mała rzecz tyle znaczy i tak pomaga koniowi.

Grzela: Pewnikiem mój Jonku tak jest, i przypatrz się jeno różnym koniom, a wnet to zmiarkujesz. U tych, co się umieją obchodzić z końmi, co je czyszczą i utrzymują porządnie, wyglądają one doskonale, choć karmy nie dostają tak dobrej jak u inszych. Zaś u naszych gospodarzy karmią najczęściej konie doskonale, ale iż je nigdy nie czyszczą a w stajniach brudnych i zagnojonych trzymają, więc koniska wyglądają jak nieboskie stworzenia. Zaś do tego nie trza żadnych wydatków, jeno trochę pracy i uwagi, trochę pilności. Bodaj to leniwstwo przepadło.

Jonek: Jużci bodaj przepadło, to by się zdało u naszych ludzi bardzo.

Grzela: No tak. A teraz powiem ci jeszcze, iż należy także po każdem czyszczeniu wytrzeć koniowi wilgotną szmatą

oczy, nozdrza i podogonie, bo to także rzecz ważna. Dalej uważać należy, aby nie czyścić konia nigdy, kiedy on je obrok lub owies, ponieważ łaskotliwe konie rzucają głową i rozsypują sobie karmę. Najlepiej czyścić konia przy sianie, słomie lub trawie, bo tego nie rozsypie.

Jonek: No patrzajta, i to także rzecz mała, a przecież ważna. Jakżeż to należy zastanowić się i zmiarkować każdą rzecz, aby uchować szkody.

Grzela: Teraz powiem ci sposób jak się konia poi. Widzisz, należy go poić zaraz po nakarmieniu, i to po sianie, bo mu wtenczas woda najlepiej smakuje. W zimie, kiedy koń najczęściej w domu zostaje, dość jest poić go trzy razy na dzień; lecz za to w lecie należy go poić jak najgęściej. Zaś nie poić nigdy konia zgrzanego i spoconego, lecz niech się pierwej ochłodzi nieco, i niech przegryzie odrobinkę siana, to mu woda nie zaszkodzi ale owszem wzmocni go.

Jonek: Ba! kiedybo w podróży nieraz nie ma czasu na takie czekanie, a wody dać koniowi koniecznie trzeba.

Grzela: Wtedy rzecz insza. W podróży można i zgrzanemu koniowi dać wody, ale zaraz potem należy jechać szybko. Zaś broń Boże dać koniowi stać długo po takiem napojeniu, bo to ochwat pewny i bieda.

Zaś co do czystości powiem ci, iż koniowi należy poobcinać włosy rosnące na pęcinach, i to obcinać po każdem odrośnięciu. Inaczej zgromadza się tam proch, błoto i gnój, a przez to rani się koniowi noga w samem zgięciu i dolega mu okrótnie a przeszkadza w pracy. Otóż dla tego trza mu tam włosy powycinać czysto nożyczkami, i wytrzeć słomą, aby się paskuda nie miała czego czepić.

Jonek: Ano, warta i o tem spamiętać.

Grzela: Pamiętaj także o tem, iż kiedy koń z roboty wróci do domu, trzeba mu nogi czystą wodą obmyć i błoto z pod kopyt powyskrobywać, bo inaczej gnije róg koniowi. Zaś najbardziej tam, gdzie grunta i drogi twarde i kamieniste, trzeba zawsze podkuwać konie, bo natenczas koń bez podków jest nieprzymierzając jakby człowiek bez butów. Zresztą każdy łatwo przekona się, jaka to nieraz bieda z koniem niekutym.

Koń kuty jest także silniejszy, bo pewniej stąpa, i czy to w błocie czy pod górę, zawsze sobie prędzej da radę, aniżeli kiedy nie ma podkowy.

Jonek: No jużci, to rzecz oczywista. Ale powiedzcie mi Grzelo, co z takim koniem robić, który na żaden sposób nie da sobie włosy w pęcinach powycinać. Widziałem ja niedawno co się Jędrek Stawowy namęczył ze swoim siwkiem, co się nakrzyczał i natłukł go, i taki ani sposób. Koń wierzgał jak najęty, i włosy zostały na pęcinach, a Jędrek mało po mordzie nie dostał kopytem i małoco nie pozbył kilka zębów.

Grzela: Oto miły Janku właśnie dla tego, że chciał konia zmusić gwałtem. Biciem i krzykiem nic nie zrobisz nigdy, pamiętaj o tem. Nawet i do konia, jak do każdego zwierzęcia trza nieco łagodności i dobroci. Zamiast bić i krzyczeć, głaskaj go ręką, przemawiaj doń łagodnie, a głaszcząc coraz rękę posuwaj do nogi, a kiej ją już chwycisz, podnieś pomału. Włos wytniesz łatwo, jeno uważaj, aby nożyce nie skrzypiały ani szeleściały, bo płochliwe konie boją się tego. Zaś podobnie całkiem czyń z koniem, który się kuć nie daje, a okujesz go łatwo i bez turbacyi.

Nakoniec powiem ci jeszcze, że najlepszy sposób na wszystkie nawet złośliwe konie jest łagodność i cierpliwość. Biciem nigdy konia nie naprawisz, a znarowisz łatwo jeszcze gorzej; zaś ułaskawić go można prędko głaskaniem i łagodnością. Dobry koniarz nigdy nie wejdzie do stajni, aby koniowi coś nie podał, trochę siana, trawy albo i chleba kawałek, co konie nadzwyczaj lubią i tym sposobem ułaskawiają się prędko.

Jużci trafia się nieraz, iż koń własnego gospodarza albo parobka, który koło niego chodzi, uderzy nagle albo ukąsi. I cóż zwykle na to robią? Oto człowieczysko bierze widły albo łopatę, albo też co mu innego wpadnie na dorędzie, i okłada tem konia biednego, a potem jeszcze w zaprzęgu daje mu okrótne smarowanie batogiem. No uważaj mój miły, czy to się godzi? Wszakże koń to zwierze bezrozumne, więc nawet nie wie, za co go bijesz, a myśląc, że go tak zawsze będziesz okładał, broni się kąsaniem i wierzganiem za każdą razą, kiedy się do niego zbliżasz. I ot masz gotowe znarowienie.

Także i na to uważać trzeba, iż kiedy się ciągle na konia huka i krzyczy, ciągle się go bije i katuje, to koń taki traci wesołość, leniwieje i nędznieje w końcu. Więc powiadam ci Jonku, że najlepszy sposób jest łagodność, dobry dozór i pamiętanie o koniu, a wtedy on będzie wesół, żwawy i dzielny. Jużci miło to jechać dzielnemi konikami, ale na to trzeba także zasłużyć. Wychędoż regularnie konia, nakarm go dobrze i napój, a będziesz miał wygodę z niego jak się patrzy i usługę doskonałą.

Oto masz mój kochany cały sekret chowania i obchodzenia się z końmi. Ja sam tak postępuję i przeto mam koniki, jakich mi zazdrościcie. Próbujcie i wy, a przekonacie się, że to nie wielka sztuka, bo trochę jeno zachodu i baczenia, a już i wszystko.

Alexander de Lévay.

RÓŻNOŚCI.

Sposób na skaleczenie. Rąbał Bartek drzewo, ta jakci się palnie siekierą po łapie, to aż dwa palce okrótnie skaleczył. Chłopisko w krzyk i lament, żona sobie, a dzieci sobie. Harmider po całej wsi, bo Bartek niecierpliwy, więc narzeka i huczy na nieszczęście, aż się rozliga. Tymczasem nadszedł xiądz proboszcz i pyta:

— A co ci to Bartku?

— Oj dobrodzieju — powie on — toć nieszczęście moje, znowu skaleczyłem się i człek będzie musiał cierpieć. A toć palce sobie pociąłem.

— Pokażno — powie xiądz proboszcz.

Bartek pokazał, dobrodziej kazał mu obmyć zimną wodą rękę, a potem obejrzał i mówi:

— Nic strasznego, ot zadrasnąłeś się. Potrzymaj rękę jakiś czas w wodzie, a ja ci dam lekarstwo. Potem mówi do Bartkowej:

— Masz ty kobieto jakie kwiatki w ogrodzie?

— Niemam, proszę dobrodzieja — odpowie ona.

— No to źle; więc biegaj do Marysi Kozubównej i poproś ją o kilka listków *geranii.*

Poszła Bartkowa i przynosi wnet listki. Xiądz proboszcz pogniótł je nieco, a potem przyłożył na okaleczałe palce, obwinął szmatką, owiązał i powiada:

— No masz lekarstwo doskonałe. Za kilka dni zgoi się rana, i będziesz zdrów. Widzisz jak to ziele boże pomaga. Powinieneś hodować sobie bodaj jeden krzaczek tego ziela w doniczce.

Bartek wyzdrowiał i od tego czasu

ma w chałupie zawsze doniczkę z geranią.

Nieszczęście. Niedawno jechał sobie pewien kmieć Hawryło Czych z Zarzecza pod górę z wozem ładownym. Góra stoi koło Szewelówki w obwodzie kołomyjskim. Czych wiózł kukurudzę, a iż miał niezłe konięta, to pod górę szło mu dobrze. Zaś jak przyszło jechać z góry, wpadł Czych pod koła, i tak biedaczynę wóz pogniótł, iż niebawem umarł.

Pożary. W Chachłowie w obwodzie żółkiewskim powstał pożar jeszcze w połowie maja i spalił pięciu gospodarzom calutеńkie gospodarstwo. Zaś przy końcu tamtego miesiąca był jednego dnia pożar aż w dwoch miejscach. Jeden w Szczyrcu w obwodzie lwowskim, gdzie spalił przedmieście i szkody narobił na cztery tysiące reńskich, a drugi w Stradcu w obwodzie janowskim, gdzie jedno kmiece gospodarstwo zniszczył.

Mądra odpowiedź. Poszli dwaj gospodarze oglądać swoje pola. U jednego zboże podrosło już pięknie, kłosy okwitały prawie; zaś u drugiego jeszcze wszystko bardzo małe i drobne. Ten ostatni pyta pierwszego:

— Mój miły powiedz mi też, czem się to dzieje, że twoje zboże już dojrzewa, a moje ledwie się zieleni?

Pierwszy gospodarz, człek pilny i pracowity, pomyślał nieco, a w końcu tak odpowie drugiemu, który był sobie leń po prawdzie i okrótny nieroba.

— Ot temu mój bracie, iż ja wstaję wcześniej, bo o godzinie czwartej albo i trzeciej nieraz; zaś ty wstajesz daleko poźniej, bo o godzinie szóstej a często i o siódmej.

Kto rano wstaje, temu Bóg daje; kto wczas bierze się do pracy, temu wyrosną szybko kołacze; a kto jest śpiochem i kto się leni, jużci się jemu chlebek wypleni.

☞ *Otóż macie moi mili znowu jeden tom Dzwonka skończony, a to już ósmy. W imię Boże zaczynamy piąty rok już wydawać to pismo, które zda mi się, iż jeno na pożytek a na dobro wasze wychodzi. Więc i nadal będziemy wam spisywać różne nauki dobre a ciekawe historye, jak kochać Pana Boga i świętą ziemię ojczystą, jak żyć uczciwie na świecie, i jak to życie osłodzić sobie a w kłopotach i trudach ulżyć a pomódz. Więc znowu was zapraszamy do czytania a kupowania. Chociaż wszystko coraz drożej kosztuje, Dzwonek jednak można mieć tak tanio jak i dawniej; więc tom dziewiąty, to jest aż do nowego roku kosztuje jeden reński, a kto chce zapłacić na cały rok, to jest na tom dziewiąty i dziesiąty, ten niech przyszle dwa nowe reńskie, a będzie odbierał każden numerek regularnie co dziesięć dni, jak dotąd.*

Posyłamy wam okładzinkę i spis rzeczy do tomu ósmego, a na koniec oddajemy was opiece Pana Boga i najświętszej Panny Królowej polskiej.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.